EVAN CURRIE

ODYSSEY ONE

TOM 3

OSTATNI BASTION

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Evan Currie

ODYSSEY ONE

TOM III

OSTATNI BASTION

Przekład Małgorzata Koczańska

Warszawa 2014

W serii ODYSSEY ONE dotychczas ukazały się:

ODYSSEY ONE

ROZGRYWKA W CIEMNO

ODYSSEY ONE

TOM II

W SAMO SEDNO

Tytuł oryginału: *Homeworld: Odyssey One*
Text copyright © 2013 Evan Currie
All rights reserved.
Published in the United States by Amazon Publishing, 2013.
This edition made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com
Projekt okładki: Agencja Ilustratorsko-Reklamowa MOTOKO
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Ewa Jurecka

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN epub: 978-83-64030-38-3
ISBN mobi: 978-83-64030-39-0

Opracowanie wersji elektronicznej:
Karolina Kaiser

Dla Wynn Currie, mojej matki, która nigdy nie wątpiła, że moje pisarskie próby zakończą się sukcesem. Bez jej wsparcia nigdy nie zaszedłbym tak daleko. Dziękuję, Wynn.

PROLOG

Gliese 581

Okręt międzygwiezdny zbliżał się do układu planetarnego. Gwałtownie wytracał prędkość, wykorzystując grawitację czerwonego karła jako dodatkowe wsparcie przy manewrach hamowania. Silniki wsteczne włączały się, aby przeciwdziałać inercji, jakiej jednostka nabrała podczas podróży. Przy pomocy generatorów pól masy przeciwnej udało się pozbyć resztek prędkości relatywistycznej i okręt odzyskał pełną sterowność. Jednostka „Weifang" Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej była jednym z zaledwie pół tuzina okrętów klasy Mao Tse, dostosowanych do generatorów masy przeciwnej czwartej generacji, które umożliwiały poruszanie się szybciej od światła. Od sukcesu Konfederacji Północnoamerykańskiej i jej sławetnej jednostki, „Odysei", Blok Wschodni odczuwał presję, aby zaznaczyć swoją obecność w tym nowym kosmicznym wyścigu – „Weifang" został wyznaczony do tego właśnie celu.

Kapitan Sun Ang Wen rozpiął uprzęże chroniące przed przyśpieszeniami i zachwiał się lekko, gdy wstawał z fotela.

Dzięki działaniu MP załoga nie została zmiażdżona przez ogromne siły deceleracji, które działały na okręt. Ale system nie był doskonały i odczuwało się niektóre impulsy kontrgrawitacyjne.

– Obliczenia trajektorii zakończone, panie kapitanie. – Nawigator odwrócił głowę, ale nie wyzwolił się z własnej uprzęży. – Jesteśmy dokładnie na kursie.

– Doskonale. Proszę namierzyć Gliese 581 D – rozkazał Sun. – To nasz główny cel.

– Tak jest, kapitanie.

Blok Wschodni wybrał Gliese 581, ponieważ w układzie znajdował się jeden z najbliższych odkrytych światów podobnych do Ziemi. Sun nie potrafił zrozumieć, dlaczego Konfederacja postanowiła przeprowadzić pierwsze loty próbne w zupełnie innym kierunku. Możliwe, że w konfederackich systemach naprowadzających stosowano inne założenia niż w bardziej konwencjonalnych konstrukcjach, na jakich opierały się urządzenia Bloku używane do określania punktu docelowego lotu. To miało sens.

W układzie Gliese raczej nie istniało żadne życie, które zainteresowałoby Blok, ale propagandowe slogany, głoszące zajęcie kilku ziemiopodobnych planet najbliżej Układu Słonecznego, miałyby nieocenioną wartość.

Sun wcisnął guzik komunikatora i połączył się z niższymi pokładami.

– Sprawdzić lądowniki i zaopatrzenie. Wkrótce znajdziemy się na orbicie docelowej.

– Tak jest, kapitanie.

„Weifang" kontynuował wytracanie prędkości, gdy oślepiająco szybko krążył po orbicie czerwonego karła. Stosunkowo niska energia wytwarzana przez gwiazdę pozwalała lecieć o wiele bliżej korony, niż byłoby to możliwe w Układzie Słonecznym. Kurs po ciasnym korkociągu, stosowany do wydłużenia czasu hamowania, wystarczy, aby osiągnęli trajektorię wejścia na orbitę planety Gliese 581 D.

– Planeta docelowa przed nami, kapitanie. Zbliżamy się na wysoką orbitę.

Sun skinął głową.

– Zwolniliśmy na tyle, żeby grawitacja D nas pochwyciła?

– Tak, kapitanie.

– Doskonale. – Sun z zadowoleniem spojrzał na ekran główny, na którym w oddali widniała powiększająca się powoli kula.

– Kapitanie, na orbicie wykrywamy obiekty.

– Księżyce?

– Nie, sir, za małe. Zapewne mniejsze asteroidy, przyciągnięte przez planetę. Jest ich kilka… – Specjalista od

instrumentów namierzania urwał, a kiedy znowu się odezwał, w jego głosie zabrzmiało zaskoczenie. – To dziwne.

– Co takiego?

Panowała cisza, gdy mężczyzna pochylił się nad konsolą i wbił wzrok w liczby przelatujące po ekranach. Otworzył szerzej oczy, po czym cofnął się i rozejrzał nerwowo. – Kapitanie! One mają zasilanie!

– Co? – Sun złapał uchwyt na suficie i skierował się do stanowiska namiarowego. – Jest pan pewien?

– Tak, kapitanie. Obiekty przyśpieszają na orbicie, aby uniknąć upadku w studnię grawitacyjną.

– Jaki mają kurs?

Mężczyzna zawahał się, potem podniósł wzrok.

– Przechwytujący, kapitanie.

Sun zaklął wulgarnie, choć wiedział od razu, że postąpił głupio. Daleki był jednak od przejmowania się profesjonalizmem, gdy odepchnął się i poszybował z powrotem do swojego fotela.

„Wybraliśmy kierunek przeciwny do tego, w jakim Konfederacja posłała swoją przeklętą »Odyseję«! Czy to ci sami obcy, których tam odkryli?”

Zrobiło mu się zimno na myśl, że informacja zamieszczona w tajnych raportach przejętych od Konfederacji okazała się jak najbardziej prawdziwa. Tylko kilku ludzi w wyższych kręgach hierarchii Bloku wierzyło w to bez zastrzeżeń, choć było oczywiste, że konfederaci natknęli się w głębi kosmosu na coś, co niezbyt ich polubiło. Istnienie pozaziemskiego życia, inteligentnego życia, nie podlegało już dyskusji, ale przypuszczenie, że to jakaś apokaliptyczna horda kosmicznych Mongołów, wydawało się raczej mało prawdopodobne.

Jeżeli jednak była to prawda, „Weifang” miał spory problem. Co gorsza, Ziemia znalazła się chyba w większych opałach, niż można by sobie wyobrazić.

„Jeżeli to ci sami, to nie tylko są bliżej Ziemi, niż nam się wydawało… Oni najwyraźniej nas okrążają”.

– Włączyć alarm bojowy – rozkazał Sun. – Drugi stopień dla wszystkich stanowisk.

– Tak jest, kapitanie. Alarm drugiego stopnia dla wszystkich stanowisk.

Z daleka rozległy się sygnały alarmowe, stłumione przez grodzie, które zamknęły mostek, gdy „Weifang” rozpoczął przygotowania do walki.

***

Okręty-drony zareagowały natychmiast, gdy tylko wykryły zbliżanie się szkarłatnej pręgi. Taka reakcja została zaprogramowana, drony nie miały nad nią żadnej kontroli. Dziewięćdziesiąt procent ich sił oderwało się od orbity świata, na którym przeprowadzały właśnie proces oczyszczania, i obrało bezpośredni kurs na zbliżenie do źródła zakłóceń, zanim jeszcze zakończyły analizy danych.

Znajdowały się prawie w granicach zasięgu ostrzału, kiedy dostrzegły, że parametry nie zgadzają się z tym, czego oczekiwały.

Był to okręt pręgi, ale nie jeden z bezpośrednich celów. Zarejestrowana krzywa mocy okazała się jeszcze niższa niż w przypadku tej jednostki, która zdziesiątkowała flotę dronów podczas wcześniejszych starć. Po krótkiej konsultacji i przedyskutowaniu danych uznane zostało, że okręt z wysokim prawdopodobieństwem pochodzi z tego samego źródła, co nieznana jednostka sklasyfikowana obecnie jako *Drakr Yngat*.

Flota przeszła w stan najwyższej gotowości i przy zbliżaniu rozciągnęła szyk, broń naładowano na pełną moc, napędy rozjarzyły się jaskrawo.

***

– Kapitanie, zbliżają się szybko, kurs przechwytujący!

– Widzę – odparł Sun surowo. – Rozpocząć manewry unikowe. Czy kondensatory MP są w pełni naładowane?

– Tak, kapitanie!

– Skierować pełną moc do kondensatorów laserów głównych. Utrzymać moc na wszystkich stanowiskach. – Sun próbował prześwidrować wzrokiem ekran taktyczny.

– Przekierowanie, pełna moc.

– Zamknąć główne grodzie międzypokładowe – rozkazał Sun, po czym podświetlił najbliższe pół tuzina zbliżających się jednostek. – Działa w gotowości, czekać na rozkazy.

– Tak jest.

Sun nie chciał rozpoczynać starcia. I tak źle się stało, że Konfederacja wyrwała się jak amerykańscy kowboje i wywołała przeklętą wojnę z obcymi. Sun nie zamierzał dawać wrogom kolejnego powodu do ataku na Ziemię.

„Może nawet nie zorientują się, że pochodzimy z tego samego świata, co »Odyseja«. »Weifang« nie jest przecież do niej ani trochę podobny" – pomyślał Sun z nadzieją. Jednak gdy patrzył na działania obcych na schematach, nabierał pewności, że nadlatująca flota dąży do starcia bez względu na to, czy rozpoznała pochodzenie „Weifanga", czy nie.

Mimo to Sun nie zamierzał rozpoczynać walki.

– Ster, ostro na prawą burtę – rozkazał. – Obrócić nas na gwiazdę, pełna masa przeciwna.

– Tak jest, kapitanie. Pełna masa przeciwna na prawą burtę.

„Weifang" zanurkował w stronę gwiazdy, obracając się bokiem do nadlatujących okrętów, gdy przyśpieszał, robiąc zwrot przez sterburtę. Sun spoglądał na wykres, odliczając sekundy, podczas których sygnał jego jednostki dotrze do obcych i powróci. Niemal dokładnie wtedy oficer namierzania odwrócił się, by złożyć meldunek.

– Obcy zmienili kurs na zbliżenie, kapitanie. Prędkość wzrasta.

„Szlag. Zamierzają za wszelką cenę zmusić nas do walki, a do tego mają sporą przewagę liczebną".

Spojrzał raz jeszcze na schemat danych. Zbliżało się dokładnie dwanaście wrogich jednostek, każda o masie nieco tylko mniejszej od tonażu „Weifanga”. Sun ocenił, że nie ma szans się z tego wyrwać.

– Główne silniki, boczny ciąg.

– Boczny ciąg. Tak jest, kapitanie.

– Ster, nawigacja. Podać najefektywniejszą prędkość ucieczki z pola grawitacyjnego gwiazdy, jeśli weźmiemy kurs jak najbliżej korony!

– Tak jest, kapitanie! Przeliczanie nowego kursu.

Sztuczka polegała na tym, żeby okręt przemknął wokół gwiazdy, zanim wrogie jednostki zdążą go dokładnie namierzyć. Z odpraw Sun wiedział, że „Weifang” nie ma szans przy bezpośrednim trafieniu laserami obcych, o ile dane o ich mocy były dokładne. W przeciwieństwie do Konfederacji Zjednoczony Blok Wschodni nie poniósł tak wielkich nakładów na pancerz odporny na lasery.

Szczerze mówiąc, Sunowi wydawało się to dziwne. „Wei-fang” i inne jednostki typu 99 klasy S, w rzeczy samej trzon sił kosmicznych Bloku, nie polegały na laserach tak bardzo, jak Konfederacja Północnoamerykańska. Sławny pancerz adaptacyjny skuteczniej chronił „Odyseję” przed jednostkami konfederackimi niż przed wynalazkami Bloku.

„No i przeciwko tym potworom, jak widać” – pomyślał ponuro Sun, gdy przyglądał się wykresom.

– Rozdzielają się, kapitanie!

– Co? – Sun przestał rozmyślać i skupił uwagę na ikonach okrętów obcych.

Rzeczywiście, rozdzielały się na dwie grupy, jedna, przyśpieszając, oddalała się od dotychczasowego kursu, druga kontynuowała zbliżanie się do „Weifanga”.

Kapitan skrzywił się, przechylił głowę i zmarszczył brwi, gdy przyglądał się posunięciom wroga. Zrozumiał ich cel dopiero, gdy zerknął na wykres przewidywanego kursu okrętu.

Zaklął znowu, lecz tym razem jak najciszej.

„Lecą tak, żeby przeciąć nam drogę, gdy oderwiemy się od gwiazdy. Sprytnie”.

Nieważne, co planowali obcy, ważne, że się rozdzielili. To znaczyło, że Sun musiał się teraz martwić tylko o sześć wrogich okrętów, które zmierzały do natychmiastowego starcia.

„Szanse na śmierć zmalały o połowę, ale sześciu na jednego to i tak mało sprzyjający układ sił”.

– Kapitanie, grupa pościgowa znajduje się mniej niż minutę świetlną od nas.

– Rozpocząć działania unikowe – rozkazał Sun. – Utrzymać trajektorię do korony. Zamknąć wszystkie osłony cieplne i przygotować się na opanowanie uszkodzeń.

– Tak jest, kapitanie!

Sun sprawdził swoje pasy, wiedząc, że zapewne będzie musiał na nich polegać przez dość długi czas. Gdy przekonał się, że wszystko jest w porządku, włączył interkom na paśmie obejmującym cały okręt.

– Uwaga, załoga, przygotować się na manewry alarmowe – oznajmił najspokojniejszym tonem, na jaki udało mu się zdobyć. – Zabezpieczyć wszystkie luźne przedmioty. Meldować się do stanowisk akceleracyjnych. Przygotować się na naprawę uszkodzeń.

Po trajektorii zmierzającej łukiem tak blisko czerwonego karła, jak tylko się dało, „Weifang” przyśpieszał szybciej, niż zdarzyło mu się do tej pory. Nie osiągnął żadnych rekordów prędkości, pobił je już w drodze na Gliese 581, ale z pewnością rozpędzał się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Wzrasta temperatura zewnętrzna. Zaczynamy dostrzegać wewnętrzne skoki ciepła – zgłosił oficer po kontroli stanu okrętu. – Proszę o pozwolenie na adaptację pancerza do odbijania ciepła.

– Udzielone. Tylko osłony dziobowe.

Blok zdołał odtworzyć (a raczej najzwyczajniej ukraść) konstrukcję konfederackiego pancerza adaptacyjnego pierwszej generacji. Sun nie był pewien którego, ale pancerz pod wieloma względami okazał się dość przydatny. Odbijanie ciepła

należało do ustawień domyślnych, wraz z najlepszą ogólną osłoną i paroma podstawowymi trybami kamuflażu. Z pewnością pancerz nie dorównywał ostatnim zabawkom Konfederacji, ale był użyteczny.

– Tak jest, sir. Pancerz dziobowy dostosowany – oznajmił oficer, a po chwili jeszcze dodał: – Temperatura wewnętrzna spada.

– Wróg wciąż się zbliża, kapitanie. Pięćdziesiąt sekund świetlnych… – Oficer przy stanowisku namierzania przerwał meldunek i puścił wiązkę niewybrednych przekleństw.

– Shi Ang Fa! – warknął Sun, wytrzeszczywszy oczy.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie. Wróg do nas strzelił. – Głos Shi zadrżał lekko, gdy oficer przepraszał.

– I tylko to było przyczyną pana wybuchu?

– Czytał pan raporty o tych obcych, kapitanie? Pamięta pan poziom mocy ich broni? – zapytał Shi.

– Oczywiście.

– Były niedoszacowane.

– Co? – Sun aż odwrócił głowę, żeby popatrzeć na oficera.

– Z odczytów wynika, że poziom energii tego lasera jest co najmniej dwa razy wyższy niż wskazania z raportów – wyjaśnił Shi. – A prawdopodobnie jest jeszcze potężniejszy. Trudno dokładnie określić, ponieważ muszę się opierać na reakcji cząsteczek, które już się zjonizowały podczas przejścia tak blisko gwiazdy. Kapitanie, nie przeżyjemy nawet jednego trafienia.

Tym razem to kapitan zaczął przeklinać, chociaż robił to pod nosem. Rozważał, jakie ma możliwości.

„Ucieczka nie wydaje się najlepszym wyjściem. Obcy przewidzieli mój plan i podjęli działania, aby zbliżyć się z przeciwnych stron”.

Druga grupa wroga zakładała, że pierwsza przypędzi „Weifanga” jak cielę. Sun spojrzał na schemat. Wrogie jednostki zbliżały się powoli, skracając dystans mniej więcej o sekundę świetlną co dwie minuty. „Weifang” nabierał prędkości delta-V szybciej niż ścigające go okręty, ale to nie wystarczy, żeby

całkowicie uniknąć kontaktu, skoro wróg znalazł się już w zasięgu strzału i wciąż się zbliżał.

– Wyrównać osłony, pełne odbicie ciepła! – rozkazał Sun.

– Osłony wyrównane, kapitanie!

– Zabierz nas do korony – rzucił Sun do sternika. – Nawigator, wyznacz najwyższą prędkość dla bliskiej orbity z trajektorią odejścia, która zabierze nas jak najdalej od obu grup wroga.

– Przeliczam, kapitanie.

Sun wyczuwał niepewność na mostku po swoim ostatnim rozkazie, ale nie winił o to podwładnych, tylko cieszył się, że nikt nie zakwestionował polecenia. Z pewnością zabranie „Weifanga" do korony Słońca byłoby samobójstwem. Okręt przetrwałby chyba o wiele dłużej, gdyby wylądował na powierzchni rodzimej gwiazdy, niż gdyby próbował przedrzeć się przez jej koronę.

Ale to nie było Słońce i kapitan liczył, że to pozwoli mu na powodzenie. Gliese 581 była czerwonym karłem, gwiazdą, która wydzielała o wiele mniej energii w postaci ciepła niż Słońce, i ten niższy poziom mógł dać okrętowi szansę.

– Wejście w koronę, kapitanie. Wewnętrzna temperatura rośnie!

„Na bogów, szybko poszło".

– Coraz więcej rozbłysków laserowych wokół nas!

– Nawigacja! – zawołał Sun. – Potrzebujemy tych obliczeń!

– Zrobione. Posłane do sternika, kapitanie.

– Ster!

– Wprowadzam je!

– Przejście na nowy kurs. Maksymalny ciąg, minimalna masa przeciwna! – rozkazał Sun. „Niech teraz gwiazda wykona dla nas trochę roboty".

***

„Weifang" zanurzył się głębiej w koronę czerwonego karła, jego pancerz zabłysnął oślepiająco, doskonale widoczny dla

każdego przyrządu w układzie. A ponieważ przyrządy takie należały do wroga i były skierowane na ziemski okręt, kapitan i załoga uznali to za sprawiedliwą wymianę za stale rosnącą prędkość, jaką zapewniała im siła przyciągania Gliese 581.

Rozżarzone promienie światła wybuchły wokół „Weifanga", gdy lasery przebiły wzburzoną już plazmę korony. Okręt kontynuował swoje minimalne manewry unikowe – różne mniej lub bardziej ciasne korkociągi i ósemki.

Pościg nieubłaganie i bez wahania podążał za ziemskim okrętem w głąb korony.

***

Na mostku „Weifanga" stało się jasne, że manewr może i zapewnia minimalne zwiększenie odległości od ścigających jednostek wroga, ale ma też znaczące mankamenty.

Pot lał się po twarzach wszystkich znajdujących się na pokładzie dowodzenia, a Sun nie miał wątpliwości, że reszta załogi musi znosić to samo. Parę kropel potu poszybowało w mikrograwitacji pomieszczenia i spadło na metalową podłogę, gdzie wyparowało z sykiem ku zaskoczeniu i przerażeniu kapitana.

– Czy osłony cieplne trzymają? – zapytał Sun, zmrużywszy oczy.

Oficer odpowiedzialny za kontrolę uszkodzeń skinął głową.

– Tak, kapitanie. Temperatura rośnie, ale wciąż w zakresie pozwalającym na funkcjonowanie.

Sun zaklął. Zaczynało mu to już wchodzić w nawyk.

Jeżeli osłony cieplne rejestrowały wzrost temperatury, ale mogły nadal funkcjonować, oznaczało to, że istniała tylko jedna przyczyna tak szybkiego rozgrzewania się okrętu. Potężne zakłócenia elektromagnetyczne, przez które przelatywali, zmieniały każdą ferromagnetyczną powierzchnię „Weifanga" w działający indukcyjnie element grzewczy.

„Innymi słowy zmieniamy się w latający piekarnik".

– Przygotować się do opuszczenia orbity! – zawołał Sun.

– Kapitanie, nie osiągnęliśmy jeszcze optymalnej pozycji – zaoponował sternik.

– Optymalna pozycja jest po drugiej stronie gwiazdy. Upieczemy się żywcem, zanim tam dotrzemy. – Sun pokręcił głową. – Nie mamy wyboru. Przygotować się na impuls masy przeciwnej!

– Tak jest, kapitanie. Wszystkie kondensatory w gotowości do impulsu pełnej mocy dla generatorów masy przeciwnej.

– Wykres przewidywanego kursu na moje ekrany.

– Tak jest, kapitanie.

Na ekranach pojawił się schemat pokazujący obecny kurs okrętu na ciasnym torze wokół gwiazdy wraz z przewidywaną trajektorią, po której będzie się poruszać „Wei-fang”, jeżeli teraz zacznie wyrywanie się z orbity.

Sun oblizał wargi, rozważając rozłożenie działań w czasie. Wiedział, że nie uzyska czystego wektora ucieczki. Żeby go osiągnąć, musiałby zostać w zasięgu indukcji korony na zbyt długo, zwłaszcza że w najbliższych minutach miało się okazać, czy ugotuje żywcem swoją załogę – dosłownie.

– Zejście z orbity na mój rozkaz.

Trasa ucieczki zabierze okręt w zasięg potencjalnej strefy ostrzału drugiej eskadry wroga, jeżeli jednak Sun dobrze to zaplanuje, będzie mógł ograniczyć czas trwania starcia. Tak naprawdę pozostała mu tylko jedna kwestia.

„Strzelali do nas. To praktycznie akt wypowiedzenia wojny. Jeżeli jednak odpowiem ogniem, zapewne dojdzie do eskalacji. A jeżeli tego nie zrobię, szanse, że przeżyjemy to spotkanie, będą bardzo niskie”.

W zasadzie nie miał wyboru. Jak dotąd wrogie okręty doskonale pasowały do opisów ze skradzionych raportów o misji „Odysei”, nawet gdy chodziło o możliwości bojowe, które większość wojskowych z Bloku uznała za propagandę.

– Oficer taktyczny – zawołał Sun.

– Tak, kapitanie?

– Uzbroić wyrzutnie rufowe. Przygotować się do strzału.

Za „Weifangiem” eskadra obcych już nie zbliżała się tak szybko. Nadal przyśpieszała, ale czas grał teraz na korzyść ziemskiego okrętu. Sun zerknął na liczby i z zadowoleniem stwierdził, że obcym nie uda się zbliżenie w małym zasięgu. Kapitan wolał nie znaleźć się pod lufami dział laserowych tego kalibru, gdy wystrzelą z dystansu dziesięciu sekund świetlnych.

– Kapitanie, rejestrujemy niezwykłe zakłócenia na wszystkich naszych przyrządach… – odezwał się Shi, nie odrywając wzroku od swojego pulpitu.

– To pewnie sprawa pól magnetycznych korony – mruknął Sun.

– Nie, kapitanie. – Shi pokręcił głową. – Systemy są mocno chronione. Zakłócenia muszą być wewnątrz, ale nie potrafię wykryć…

Narastający pomruk wzmógł się tak bardzo, że zagłuszył słowa oficera. Doszły do niego jeszcze trzaski. Wszyscy zaczęli się rozglądać nerwowo, próbując się zorientować, skąd dochodzi hałas.

– Co to jest? – Sun potoczył wzrokiem po mostku.

– Nie wiadomo. Mamy zakłócenia we wszystkich przyrządach, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. – Shi podniósł głos na tyle, żeby było go słychać, a mimo to wydawał się mówić cicho. Rozglądał się powoli.

– Broń wroga? – Sun przypomniał sobie, że raporty wspominały o jakimś rodzaju broni bliskiego zasięgu, którą „Odyseja” sklasyfikowała jako „nieznana, ekstremalnie niebezpieczna”. Kapitan sądził, że jego okręt znajduje się poza zasięgiem jakiejkolwiek broni „bliskiego zasięgu”.

– Nie wiadomo – powtórzył Shi, a w jego głosie brzmiała bezradność i irytacja z powodu tej niewiedzy.

Sun wcale mu się nie dziwił. Myśl, że z okrętem coś jest nie tak i nie można nawet dokładnie określić, co to takiego, budziła u kapitana czystą wściekłość. Jednak miał wrażenie, że coś mu się tłucze w zakamarkach pamięci, coś, co powinien wiedzieć.

– Wyrzutnie rufowe gotowe do strzału, kapitanie.

Sun potrząsnął głową, starając się zignorować niepokojące uczucie. Miał coś do zrobienia i nie mógł sobie pozwolić na domysły.

– Mamy namiary na ścigające nas jednostki?

– Tak, kapitanie. Współrzędne są wprowadzane i aktualizowane na bieżąco.

Sun skinął głową, sprawdził dane. Zgodnie z jego rozkazem eskadra obcych została namierzona i jest śledzona. Z takiej odległości uzyskanie dokładnych namiarów było niemożliwe, ale napływające dane w zupełności wystarczały.

„Zresztą korona prawdopodobnie wywołuje zakłócenia również na okrętach wroga”.

– Bardzo dobrze. Wszystkie wyrzutnie, krótka salwa.

– Tak jest, kapitanie. Krótka salwa ze wszystkich wyrzutni!

Okręt nie zatrząsł się ani nie zadrżał, gdy wyrzutnie wypluły śmiercionośny ładunek w przestrzeń kosmiczną – „Weifang” był na to zbyt masywny – ale dzwonek po każdym strzale sygnalizował załodze, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Przygotować się do włączenia pełnej mocy masy przeciwnej i oderwania od gwiazdy – rozkazał Sun ze wzrokiem wbitym w wykres przewidywanego kursu.

Ledwie zauważył, że rozległy się potwierdzenia rozkazu, skupił się na wykresie, choć rozpraszały go trochę trzaski, przypominające kapitanowi nieosłonięty przewód, na którym ciągle robią się zwarcia. Nie dostał jednak ani jednego meldunku o utracie mocy w akumulatorach na którymkolwiek pokładzie, więc nie chodziło o stratę energii.

Tarcie metalu o metal przyciągnęło jego uwagę. Śluza mostka zaczęła się otwierać. Przed grodzią stał Kong Sha Tu, pierwszy oficer, i czekał na otwarcie się drzwi.

– Kapitanie – zawołał, gdy tylko mógł przejść – na całym okręcie pojawiły się niezwykłe zakłócenia elektryczne.

Słowo „elektryczne” otworzyło szufladkę w pamięci Suna, choć przecież myślał o tym, gdy tylko pojawiło się buczenie. Kapitan wytrzeszczył oczy. Obrócił się, szarpiąc z uprzężą i patrząc przez ramię.

– Kong! Stój! Ani kroku!

Ostrzeżenie okazało się spóźnione – pierwszy oficer prześlizgnął się przez metalowe drzwi śluzy, czyli znalazł się między dwoma biegunami.

Błyskawica, która przecięła miejsce, gdzie znalazł się Kong, była oślepiająca. Sun poczuł ozon w powietrzu, gdy uwolnił się z pasów i odepchnął od fotela. Uniósł ręce, aby powstrzymać każdego, kto chciałby się do niego zbliżyć.

– Wszyscy zostają na swoich miejscach! – rozkazał. Nie mógł oderwać wzroku od swojego zastępcy.

– C-co się stało? – wydusił wstrząśnięty bosman.

– Pole magnetyczne wywołało indukcję ładunków elektrycznych na metalowej powłoce kadłuba – wyjaśnił Sun. W ustach czuł dziwny posmak. – Cały kadłub i wiele z wewnętrznych części zmieniło się w kondensatory elektryczne.

Włączył otwarty kanał łączności z całym okrętem.

– Uwaga, załoga, mówi kapitan. Pozostać na swoich miejscach w zabezpieczeniach akceleracyjnych i pod żadnym pozorem nie poruszać się po okręcie.

Wyłączył interkom, po czym zmienił pasmo na to do maszynowni.

– Pan, mówi kapitan.

– Tak, kapitanie? – zgłosił się natychmiast główny oficer maszynowni.

– Kadłub się naelektryzował. Musisz wymyślić sposób, jak bezpiecznie rozładować tę energię.

– Naelektryzował? Jak?

– Prawdopodobnie – Sun westchnął – od pól magnetycznych, przez które przelecieliśmy.

– Ach, na podobnej zasadzie, jak indukcja, która zrobiła z nas piekarnik. Tak, rozumiem. Zacznę natychmiast, kapitanie. Ale nie będzie to możliwe, dopóki nie oddalimy się od korony – ostrzegł główny inżynier.

– Zrozumiałe. To nie będzie problemem. Bez odbioru. – Kapitan zakończył połączenie i poszybował nad ciało swojego

pierwszego oficera.

Nie mógł wezwać nikogo z działu medycznego do zabrania zwłok, więc nie miał wyboru, musiał przyciągnąć je do stanowiska Konga i przypiąć do fotela.

– Cóż, Kong – mruknął cicho. – Nasza ostatnia wspólna misja, co?

Poklepał zmarłego po ramieniu, po czym odleciał na swój fotel, przypiął się i szybko przejrzał wskazania, żeby zapoznać się raz jeszcze z sytuacją.

Uruchomił połączenie do całej załogi.

– Mówi kapitan. Przygotować się na zmiany kursu – oznajmił, skrywając wrażenie chłodu, które ciążyło mu w brzuchu. – Ster, ruszać na maksymalnej masie przeciwnej, pełny ciąg boczny na mój znak.

Kiedy spojrzał na ekran taktyczny, musiał odwrócić wzrok.

– Status pocisków?

– Uderzenie w cel za dwadzieścia sekund.

Sun kiwnął głową, przejrzał wykres.

Dwadzieścia sekund. Niezbyt idealnie, ale blisko. Tak, to wystarczy.

– Rozpocząć odrywanie się za piętnaście sekund! – rozkazał, raz jeszcze spoglądając na wykresy broni.

Pociski „Weifanga” były wzmocnioną przez MP, naprowadzaną subatomowo bronią, nieco staroświecką w porównaniu z zabawkami Konfederacji, ale niemal równie skuteczną. Pociski, według doniesień wywiadu, miały mniejszą prędkość niż konfederackie „torpedy impulsowe” i okazywały się, niestety, łatwe do przechwycenia, ale umieszczone w nich ładunki były o wiele bezpieczniejsze w użytku i posiadały siłę rażenia niemal równie dużą jak północnoamerykańskie.

Gdy zostało dziesięć sekund do uderzenia, broń docierała do obszaru krytycznego, skąd mogła namierzyć konkretny cel i przyśpieszyć w ostatniej fazie lotu, podczas której spalała resztki paliwa. Pociski uderzą z prędkością nieco mniejszą niż jedna setna prędkości światła. Na samą myśl o tym Sun

dosłownie się wzdragał, lecz martwiło go przede wszystkim, że to potrwa i że pozostanie mu tylko bezpośrednia obrona.

Zegar odliczał czas, ostatnie sekundy wlokły się w nieskończoność, lecz wreszcie upłynęły.

– Oderwanie! Oderwanie! – zawołał sternik, gdy rozpoczął manewr. – Wszystkie silniki burtowe pełny ciąg, włączyć maksymalną masę przeciwną!

Jak piłeczka kręcąca się na sznurku, która właśnie się z niego zerwała, „Weifang” odskoczył od gwiazdy z najwyższą prędkością. Generatory masy przeciwnej chińskiego okrętu, pracujące na pełnej mocy, wystawały nieco za kadłub, kiedy więc jednostka wyskoczyła z korony, pociągnęła za sobą trochę plazmy w spektakularnej erupcji, która dorównywała najmocniejszym wybuchom na Słońcu, rejestrowanym przez ziemskie urządzenia.

– Uzbroić wszystkie wyrzutnie dziobowe! – zawołał Sun. – Dajcie mi namiar na eskadrę przed nami.

– Przeliczam.

Sun skinął głową, chociaż wiedział, że jego oficerowie byli zbyt zajęci swoimi przyrządami, żeby zwrócić na to uwagę, po czym wrócił do ekranu taktycznego, pokazującego bliższą grupę pościgową wroga.

– Status eskadry pościgowej?

– Straciliśmy kontakt, gdy opuściliśmy koronę – odparł Shi. – Zakłócenia przeszkadzają nam monitorować telemetrycznie nasze pociski. Zarejestrowaliśmy jednak detonacje, więc udało im się dotrzeć do strefy krytycznej.

– Przyjąłem, dziękuję. – Sun przesunął obraz naprzód do drugiej grupy pościgowej, która przyśpieszała, oddalając się od gwiazdy kursem równoległym do „Weifanga”.

Ziemski okręt miał teraz przewagę prędkości, ale manewrując przedtem, sporo stracił, a wrogie jednostki przyśpieszały, by nie stracić go z zasięgu. W otwartej przestrzeni okręty dysponowały o wiele mniejszą ilością sztuczek, żeby uciec przeciwnikowi – tak naprawdę teraz wszystko zależało od mocy silników.

Na nieszczęście, z tego, co Sun wiedział o możliwościach obcych, jakie określono na podstawie wyłapanych danych telemetrycznych, „Weifang” po prostu nie posiadał odpowiednio mocnych silników.

– Okręty wroga wynurzają się z korony, kapitanie!

Sun cofnął obraz, spojrzał na napływające dane.

– Cztery w eskadrze pościgowej… nie, pięć. Piąty okręt wygląda na mocno uszkodzony i płonie, kapitanie. Żadnego śladu po szóstym.

„Jeden zniszczony, jeden uszkodzony. Nie jest źle”. Sun ponownie przybliżył obraz. „Zdaje się, że ulegają broni konwencjonalnej tak samo, jak nowym zabawkom Konfederacji”.

Był to drażliwy temat w kręgach militarnych Bloku Wschodniego. Choć podczas ostatniej wojny Blok miał przewagę techniczną, Konfederacja wyprzedziła go bardzo, kiedy warunki gospodarcze uległy zmianie. Początkowo gospodarka Chin i innych państw azjatyckich oraz ich ogromny potencjał przemysłowy dawały Blokowi przewagę, która wydawała się nie do nadrobienia dla upadających infrastruktur Stanów Zjednoczonych.

Przez dekady USA i większość państw zachodnich pozwoliły, by ich zaplecza rozpadły się, podczas gdy Chiny i reszta Azji inwestowały w najlepszą ówczesną technologię. Zwłaszcza Stany Zjednoczone doprowadziły się dosłownie do nędzy. Już w roku 2010 kraje takie jak Korea czy Hongkong miały Internet i dostęp do sieci informacyjnej tak rozwinięte, że USA prezentowało się przy nich jak państwo Trzeciego Świata. Podczas wojny Blok Wschodni zyskał niepodważalny prymat w przemyśle i rozwoju nauki.

Ze swojej natury Blok był bardziej socjalistyczny, a jego rządy widziały potrzebę postępu, nawet gdy nie przynosiło to natychmiastowych korzyści. I właśnie takie inwestycje w różne dziedziny dawały ogromną przewagę nad USA na początku trzeciej wojny światowej. Jednak nikt w Bloku nie przewidział nadejścia drugiej rewolucji przemysłowej.

To, co zaczęło się jako hobbystyczne zabawy, okazało się rewolucją technologiczną, która zniszczyła przemysłową przewagę Bloku Wschodniego.

Mikrofabryki, domowe systemy replikacji, zdolność do zrzutu towaru w dowolne miejsce na świecie – tyle wystarczyło, żeby zacząć produkować broń, lekarstwa, pojazdy… W ciągu pięciu lat gospodarka azjatycka praktycznie się załamała, a szala zwycięstwa w wojnie przechyliła się na stronę Stanów Zjednoczonych. Do tej pory USA utrzymywały się tak długo tylko dlatego, że logistyka zaopatrzenia przy próbach inwazji na środkowe stany stanowiła prawdziwy koszmar. Zawarcie Paktu Konfederacji pozwoliło USA zyskać parę lat – zaczęły płynąć wtedy surowce z Kanady, a do pracy w przemyśle zbrojeniowym zatrudniono pracowników z Meksyku, jednak to domowe systemy wytwórcze większość ludzi uznawała za czynnik, który zapewnił zwycięstwo.

„Większość ludzi wykształconych” – poprawił się w duchu Sun. Publika za zwieńczenie wysiłków wojennych Konfederacji uważała oczywiście Archanioły. Zbudowane w oparciu o technologię MP, skradzioną z myśliwców odrzutowych Bloku Wschodniego, jednostki amerykańskie były skuteczne, lecz stanowiły tylko kroplę w morzu działań wojennych.

– Kapitanie – głos Shi wyrwał Suna z rozmyślań – eskadra z przodu zwalnia.

„Zwalnia?” – Sun zmarszczył brwi, analizując informację. „To nie ma sensu. Stracą kilka minut, jeżeli to zrobią”.

Sunowi nie podobało się, że wróg daje mu tak wspaniały prezent. To zwykle oznaczało ukryty podstęp.

Kapitan zmrużył oczy i cofnął obraz na ekranach, żeby sprawdzić pozycję eskadry za nim. Obnażył zęby, gdy dostrzegł, że jednostki wciąż przyśpieszają, po czym szybko przeliczył ich spodziewany kurs w odniesieniu do „Weifanga” i eskadry z przodu.

„Chcą nas złapać w krzyżowy ogień. Starcie potrwa krócej, owszem, ale nie ma mowy, żeby systemy obronne »Wei-fanga« wytrzymały tak potężny ostrzał”.

– Nawigacja, zacząć obliczać alternatywne wektory kursu – rozkazał. – Obcy chcą nas zapędzić w pułapkę. Wolałbym im tego nie ułatwiać.

– Tak jest, kapitanie.

„Są lepsi taktycznie, niż opisywały raporty Konfederacji” – pomyślał Sun z irytacją. Przechwycone meldunki mówiły o „olbrzymach wymachujących maczugami” – z pewnością niebezpiecznych, lecz głupich. Jednak ta ocena nie zgadzała się ani trochę z tym, co właśnie obserwował Sun.

– Kapitanie, nie ma żadnego czystego wektora ucieczki.

– Tego już się sam domyśliłem. Chcę wektor najkrótszego kontaktu.

– Obliczone, sir, zaraz prześlę na pana stanowisko.

Sun kiwnął głową i jeszcze chwilę poświęcił temu, o czym myślał wcześniej, póki miał refleksję świeżo w pamięci. Pod jednym względem wojna w przestrzeni kosmicznej górowała nad tą naziemną – było zazwyczaj więcej czasu na podejmowanie decyzji. Istniały ograniczenia działań w obrębie studni grawitacyjnej gwiazd, a prędkość światła do takich ograniczeń należała.

„Czy raporty Konfederacji były nieścisłe, czy dopiero teraz konfederaci zaczynają się uczyć na własnych błędach?”

Każdy z tych wariantów był prawdopodobny. Możliwe również, że szpiegom Bloku podrzucono celowo fałszywe informacje. Z pewnością meldunki „Odysei” wskazywały, że kilku jej przeciwników przeżyło, mogło więc donieść o taktycznych błędach, a obcy mieli po prostu słaby wywiad albo nie mieli zgoła żadnego.

„Tak czy siak, mogli wybrać sobie inną porę na uczenie się nowych sztuczek”.

– Możliwe wektory na pana stanowisku, kapitanie.

– Mam je – potwierdził Sun i popatrzył na alternatywne wykresy.

Były w zasadzie tylko ćwiczeniem akademickim, matematycznymi równaniami, rozwiązanymi przez sieć komputerów „Weifanga”. Przedstawiały trzy możliwości, a tylko

jedna zapewniała więcej niż piętnastoprocentową poprawę w stosunku do obecnego kursu. Sun wskazał właśnie ten wykres.

– Kurs przyjęty, kapitanie. Zmiana na pana rozkaz.

– Wybierz żagle, sterniku – odpowiedział Sun. – Lećmy tak, aby mieć gwiazdę za rufą. Przekaż wszystkim stanowiskom, żeby odbezpieczyły broń i przygotowały się do walki.

– Tak jest, kapitanie. Ogłaszam alarm.

Wojna w kosmosie, jak zdążył się już nauczyć Sun, nie rozwijała się jak ta naziemna. Na Ziemi, nawet przy użyciu satelitów i zaawansowanych urządzeń, zazwyczaj nie widziało się wroga, dopóki nie znalazł się w zasięgu strzału. Skrajne możliwości różnych systemów uzbrojenia sprawiały, że kiedy atak stawał się widoczny, oznaczało to, że natarcie się odbyło i dla tych, którzy przeżyli, było już po wszystkim.

W kosmosie widziało się wroga z odległości, której pokonanie wymagało dni, tygodni lub jeszcze dłuższego czasu nawet przy prędkościach bliskich światłu. Wystrzelone pociski o ekstremalnie dużym zasięgu potrzebowały godzin lub dni na dotarcie do celu. W przypadku lasera również oznaczało to co najmniej kilka minut lub dłużej. A przy takich ramach czasowych o celności można było zapomnieć.

Należało podejść blisko, najlepiej na kilka sekund świetlnych, aby osiągnąć naprawdę śmiercionośne rezultaty.

Och, ale nie każdy ma szczęście. Bezpośrednie trafienie przez lasery tych obcych, nawet ze skrajnie dużej odległości, mogłoby raz na zawsze wyeliminować „Weifanga” z gry. Jednak w żadnym laserze nie udaje się dokonać idealnej kolimacji, a na dystansach mierzonych w sekundach świetlnych nawet najlepsze emitery mogą tracić moc.

Na podstawie początkowych działań oraz informacji przechwyconych przez wywiad i raportów Sun uważał, że wróg przede wszystkim polega na laserach i właśnie je wykorzysta do klinczu. Była to dla „Weifanga” okoliczność zarówno dobra, jak i zła. Wiązka lasera poruszała się z prędkością światła praktycznie niewykrywalnie, dopóki nie było za późno. Ale nie

posiadała także naprowadzania i po wystrzeleniu nie dało się już skorygować jej kursu.

Pociski „Weifanga” poruszały się znacznie wolniej, to pewne, ale miały samonaprowadzanie i wraz z odległością nie traciły siły rażenia.

„Zobaczymy, czy staroświeckie uzbrojenie Bloku jest równie skuteczne wobec tych obcych, jak zaawansowane technologicznie zabawki Konfederacji”.

– Ścigające jednostki zmniejszają dystans, kapitanie. Znowu znajdują się na granicy zasięgu bezpośredniego śledzenia.

Sun skrzywił się, ale nie oderwał wzroku od wykresu.

„Szlag, są szybcy”.

Blok miał nadal przewagę nad Konfederacją, jeżeli chodziło o technologię masy przeciwnej – północnoamerykańscy badacze może w przyszłym pokoleniu zdołają to nadrobić. Utrzymanie tej przewagi nie należało do łatwych, ale warto było podjąć wysiłek w kosmicznym wyścigu. Dzięki tej przewadze to właśnie Blok Wschodni opracował systemy zupełnie innego napędu nadświetlnego niż trzymana w najściślejszej tajemnicy technologia napędu tranzycyjnego, zwanego potocznie skokowym, Konfederacji.

Zazwyczaj słaba ochrona północnoamerykańska osiągała niewyobrażalny poziom, gdy chodziło o napęd okrętów kosmicznych. Wszystko, co miało choćby najmniejsze powiązanie z teorią napędu skokowego albo tranzycją, zostało ukryte przed światem w konfederackiej bazie na Marsie.

Konieczność rywalizacji z Konfederacją zmusiła naukowców Bloku do rozwinięcia technologii MP w zupełnie nowym kierunku. A to oznaczało, że „Weifang” był zauważalnie szybszy niż „Odyseja”, jednak najwyraźniej ta przewaga nie stanowiła problemu dla eskadry obcych, zdolnej do dogonienia chińskiego okrętu i oddania przynajmniej jednego strzału.

– Podnieść osłony na jak najwyższą moc. Wszystkie zespoły naprawcze, pełna gotowość – rozkazał Sun. – Zbrojownia, włączyć zdalny pełny ostrzał. Rozpocząć po namierzeniu celów.

Niewiele więcej zostało po tym do zrobienia lub powiedzenia. Reszta była już matematyką.

– Tak jest, kapitanie!

„Weifang” sunął po swoim wektorze ucieczki, pokonywał przestrzeń kosmiczną z piekielną prędkością, a sześć okrętów przed nim zbliżało się pod kątem, by włączyć się do walki, podczas gdy pozostałe pięć z rufy w każdej chwili mogło otworzyć ogień. Rozpoczęły się uniki przez zmiany kursu. Gdy najbliższe jednostki wroga znalazły się w odleg-łości minuty świetlnej, ziemski okręt już zataczał ósemki o różnych interwałach.

Sun miał nadzieję, że to wystarczy – nie pozostały mu inne możliwości manewrów unikowych, o ile chciał zachować dystans. Jeżeli za bardzo rozciągnie kurs, straci przewagę odległości. Jednak przy zbyt ciasnych manewrach, „Wei-fang” stanie się łatwym celem dla laserów obcych.

„Oczywiście przy odrobinie szczęścia możemy się znaleźć po złej stronie tego równania i mimo wszystko spłonąć. Jak to na wojnie”.

– Wychwyciliśmy właśnie zabłąkane fotony z lasera, sir. Chybił przynajmniej o sekundę świetlną.

– Przyjąłem. Wiemy, z którego okrętu padł strzał?

– Tak, kapitanie. Rozbłysk koronalny był wyraźny.

– Ustawić komputery, niech odpowiedzą na ogień napastnika.

– Tak jest, kapitanie!

Cel rozjarzył się na wykresie. Strzał padł z okrętu znajdującego się w eskadrze z lewej strony „Weifanga”. Komputery pokładowe będą musiały odczekać, aż manewr unikowy ustawi ich ponownie na lewą burtę, zanim będzie można wystrzelić w cel.

– Więcej fotonów, druga wiązka z lasera, kapitanie.

– Namierzyć źródło, wycelować i strzelać, gdy tylko broń będzie gotowa.

– Tak jest, kapitanie.

– Wyrzutnie rufowe od jeden do pięć, ognia.

Sun skinął głową, sprawdził wykres. Pociski znalazły się w przestrzeni. W miarę jak rosła odległość między nimi a Weifangiem", dane telemetryczne stawały się coraz mniej wiarygodne, ale kapitan i tak zerkał na nie, skoro już napływały.

Sun, jak każdy dowódca, chciałby dostawać precyzyjne dane o pozycjach systemów obronnych wroga, i to najlepiej na wczoraj.

– Wyrzutnie dziobowe od jeden do osiem, ognia.

Nowe światełka pojawiły się na wykresie, tym razem umykając od lewej burty. Także te ślady telemetryczne szybko traciły na aktualności przez relatywizm i ograniczenia do prędkości światła, ale przynajmniej dane z rufy zajmowały Suna na tyle, że nie popadał w gniew.

Telemetria z rufy wskazywała, że pociski osiągnęły zasięg krytyczny, co oznaczało, że już minutę temu uderzyły we wroga. Trzeba było jednak poczekać na dane. Sun na razie zadowolił się ograniczonymi przekazami z instrumentów zamontowanych na głowicach pocisków.

Eskadra otworzyła ogień z punktów obrony laserowej. A przynajmniej Sun założył, że są to lasery obronne. Możliwe, że obcy używali głównej broni i zamierzali ją wesprzeć dodatkową, ale to wydawało się przesadą. Światełka telemetrii gasły jedno po drugim, bo gdy pociski przekraczały granicę strefy krytycznej, głowice bojowe ruszały na pełnym ciągu.

„Trzy pociski wyeliminowane przed osiągnięciem strefy krytycznej. Czy obcy potrafią przechwytywać głowice bojowe po przejściu przez granicę skutecznego zasięgu?"

Jednak nie potrafili, jak się okazało, co Sun przyjął z zadowoleniem. Po przekroczeniu strefy krytycznej, pociski przyśpieszały mocno, pchane eksplozją, która oddzielała je od modułów napędowych. Znajdowały się już blisko celu, a zmiana kursu i prędkości w ostatniej chwili lotu sprawiała, że samych głowic nawet diabeł nie potrafiłby namierzyć i zestrzelić.

Od ostatnich dwóch pocisków oderwało się osiem głowic i uderzyło w cel. Sun musiał czekać parę sekund na dane

telemetryczne, aby otrzymać przyzwoity obraz, ale kiedy wreszcie pojawił się po przetworzeniu, Sun ujrzał ogromne erupcje ognia i jednostkę wroga, która niemal natychmiast zaczęła tracić przyśpieszenie.

Przeskoczył na wykres z dziobu i dane telemetryczne z pocisków, które przeszły w strefę krytyczną. Do granicy dotarły trzy pociski kasetowe i wystrzeliły w przestrzeń piętnaście ładunków subamunicji. Niektóre ze światełek na wykresie zgasły, gdy systemy obronne wrogiego okrętu wkroczyły do akcji, ale wystarczająco dużo przetrwało i uderzyło.

– Cel płonie, kapitanie. Przyśpieszenie spada.

Sun skinął głową. Dostrzegł to oczywiście, jak wszyscy, jednak coś w tym obrazie go niepokoiło.

– Nie wspierają się wzajemnie – mruknął.

– Przepraszam, kapitanie? – Shi odwrócił się nieco. – Mówił pan coś?

– Nie, nic. – Sun pokręcił głową, ale myślami był gdzie indziej. Z trudem wierzył w to, co widzi. Na Ziemi nie istniały żadne nowoczesne siły zbrojne, które nie użyłyby swoich punktów obronnych do osłony sojuszników. Tak się po prostu nie walczyło.

– Kapitanie! Wykryto wiele rozbłysków koronalnych laserów! Obie eskadry otworzyły do nas pełny ogień.

– Namierzyć promienie najszybciej jak się da! – Sun odzyskał koncentrację.

Od tego momentu sytuacja będzie się rozwijała błyskawicznie. Eskadry mogły już pochwycić „Weifanga” w krzyżowy ogień.

– Namierzyć wszystkich agresorów! – rozkazał Sun. – Przygotować wszystkie wyrzutnie na ostrzał automatyczny!

– Namiary celów w komputerach!

– Wszystkie wyrzutnie gotowe!

– Og… – Sun zmarszczył brwi. – Czekać!

Załoga przed nim zamarła, ludzie zaczęli zerkać na siebie, potem odwrócili głowy, aby spojrzeć na kapitana, który

wpatrywał się martwo w jakiś przypadkowy punkt na ścianie.

– Kapitanie?

„Oni się nie wspierają wzajemnie. Dlaczego się nie wspierają?” Sun skrzywił się mocniej. Zastanawiał się, czy kryje się w tym jakaś pułapka.

Omal nie zignorował tej informacji, niemal postanowił postępować zgodnie ze standardowymi procedurami opracowanymi do walki z eskadrami Konfederacji podczas ostatniej wojny. Potrząsnął głową.

– Zmienić priorytet celów – rozkazał. – Namierzyć najbliższe jednostki wroga od dziobu i od rufy.

– Namierzone, kapitanie!

– Ostrzelać ze wszystkich wyrzutni dziobowych cel z przodu i ze wszystkich wyrzutni rufowych cel z tyłu – powiedział Sun. – Następnie namierzyć kolejny najbliższy okręt wroga z przodu i z tyłu, ostrzelać.

Sun wyczuł, że załoga zawahała się, i wiedział dlaczego. Zwykle nie wysyła się pocisków po tak przewidywalnym kursie na zbliżenie jak ten, a przynajmniej nie przeciwko eskadrom Konfederacji. Konfederaci natychmiast zacieśniliby szyk i podzielili się obroną w taki sposób, że nie dałoby się w nią wcisnąć nawet kartki.

Ale to nie była grupa bojowa Konfederacji. Sun zyskał już pewność. Kimkolwiek byli ci obcy, do ekspertów od walki osłonowej nie należeli.

– Wyrzutnie dziobowe i rufowe, ognia!

„Zdejmiemy ich po kolei, o ile tylko nam pozwolą” – pomyślał Sun wściekle, chociaż w głębi duszy zaczynał się zgadzać ze swoim odpowiednikiem na „Odysei”. Coś było nie tak z tymi obcymi. Nie walczyli jak ludzie.

– Namierzanie kolejnego celu!

Sun nie zwracał uwagi na meldunki z mostka, skupił się na mapowaniu wiązek laserów wroga. Odczytywanie dokładnej mocy i wektora wiązki laserowej, która chybiła, nie należało do zadań łatwych. Pierwszą wskazówkę stanowił rozbłysk koronalny, o ile nastąpił wystarczająco blisko, aby uderzyć

w zewnętrzne czujniki i tym samym włączyć alarm. Po tym można było wykreślić prawdopodobne położenie źródła, lecz stanowiło to tylko połowę wykonanej pracy. Ustalenie dokładnego umiejscowienia wiązki wymagało trochę więcej wysiłku i odrobiny szczęścia. Przestrzeń kosmiczna nie jest tak pusta, jak się wydaje – można powiedzieć, że jest po prostu słabo „zaludniona”.

Jeżeli wiązka przetnie drogę błądzącej cząsteczki lub nawet atomu, zrzuci na nią energię, a zatem zmieni stan takiego „przechodnia”. Chociaż promień lasera jest bardzo skupiony i trudny do wykrycia, to cząstki o wysokim poziomie energetycznym można traktować jako ślad.

Dlatego ludziom Suna nie zajęło wiele czasu wykreślenie na komputerach częściowej siatki, pokazującej, gdzie lasery wroga przecinały przestrzeń wokół „Weifanga”.

„Na przodków, można by uwierzyć, że naprawdę strzelali przypadkowo”. Sun zmarszczył brwi, przyglądając się wykresom. „To szaleństwo”.

Wiedział, że nie powinien narzekać. To było szaleństwo, ale szaleństwo, które mu sprzyjało. Jednak na wojnie nauczył się, że jeśli coś wyglądało za dobrze, by było prawdziwe, oznaczało podstęp.

– Bezpośrednie uderzenie na główne jednostki z dziobu i rufy! Obcy odpadają!

– Trzecia salwa poszła!

– Druga salwa w zasięgu krytycznym!

Nic więcej Sun nie mógł zrobić – kolejna okoliczność, która działała mu na nerwy. Wróg nie używał żadnego wzorca, na ile kapitan mógł stwierdzić, więc zmiany kursu też były bezcelowe. Rozkazy ostrzału, jakie wydał, działały i „Weifang” właśnie zaczynał się oddalać.

Zbyt łatwo.

– Shi, pełna moc na skany dalekiego zasięgu – rozkazał Sun. – Wąski promień, jak najdalej.

– Tak jest, kapitanie.

Sun oddałby wszystkie pieniądze i jeszcze więcej za tachionowe skanery Konfederacji, ale bez nich musiał polegać na bardziej tradycyjnych metodach, jak radar, lidar, a także infra- oraz ultrapasmowych elektromagnetycznych urządzeniach detekcyjnych.

Pewien generał powiedział kiedyś swoim żołnierzom: „Proście mnie o wszystko oprócz czasu". Jak na ironię, Sun tylko czasu miał pod dostatkiem.

– Cel numer trzy – trafienie! Przyśpieszenie spada!

– Zniszczyliśmy jakąś jednostkę wroga? – zapytał Sun.

– Nie, kapitanie! Strzały je co najwyżej uszkadzają.

Sun pokręcił głową. „Te pociski zatopiłyby najlepsze jednostki floty Konfederacji. Szlag, ci obcy są naprawdę twardzi".

– Punkty obronne jednostki numer cztery zdjęły większość naszych głowic bojowych – zameldował Shi. – Pomniejsze trafienia, brak spadku prędkości.

– Namierzać dalej – zdecydował Sun. – Celować w jednostki najbliżej w stosunku do „Weifanga".

– Tak jest, kapitanie.

Coś było nie w porządku w tej całej sytuacji, ale na razie Sun uznał, że najlepiej pozostać przy tym, co się sprawdzało. Ostrzał pojedynczych okrętów wroga był lepszy niż rozrzucanie pocisków na całą eskadrę. Przynajmniej tak było, dopóki Sun nie dostał wyniku skanu dalekiego zasięgu.

– Kapitanie!

„O wilku mowa…"

– Ile ich jest, Shi? – zapytał z nieobecnym uśmiechem.

– Dwie kolejne eskadry, kapitanie. – Shi odwrócił się lekko od swojej konsoli, żeby spojrzeć na Suna. – Skąd pan wiedział? Jak im w ogóle udało się przewidzieć nasz kurs?

– Nie przewidzieli – zapewnił Sun. Rozluźnił się, skoro już wiedział, co się dzieje. – Spodziewałem się, że gdy tylko zdołamy zrobić skan systemu, obcy wypełzną. Popychano nas w odpowiednim kierunku od samego początku, od pierwszych kursów na zbliżenie i wyraźnie przypadkowych strzałów z laserów. Matematycznie nasz wybór był oczywisty.

– Tak jest, kapitanie. – Shi odwrócił się do swojego stanowiska wyraźnie zmieszany i bardziej niż wstrząśnięty. Sun wcale mu się nie dziwił. Matematyka wyglądała teraz o wiele gorzej, jeżeli chodziło o szanse okrętu. Przy dwóch kolejnych eskadrach z przodu „Weifangowi" nie pozostała tak naprawdę żadna droga ucieczki. Za mniej więcej piętnaście minut pułapka się zatrzaśnie, a okręt będzie stracony.

„Jednak teraz mamy jeszcze jedną rozsądną możliwość".

Sun włączył ogólne pasmo łączności. Postarał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie.

– Cała załoga, gotowość do działań naprawczych.

Potem dodał:

– Sternik, zabierz nas do jeden czterdzieści dziewięć, radian dwanaście.

Zapadła cisza, potem załoga mostka obróciła się, żeby na niego spojrzeć z nieskrywanym niepokojem. Sun poczuł dumę, że chociaż jego ludzie byli zdenerwowani, nie pozwolili, by ogarnął ich strach, gdyż odwrócili się znowu i zajęli przygotowaniami do wypełnienia rozkazów.

– Zmiana kursu, kapitanie.

– Wszystkie wyrzutnie dziobowe na ostrzał krótkimi seriami – rozkazał Sun, gdy „Weifang" przestał zataczać szerokie łuki uników i skierował dziób wprost na eskadrę, która przyśpieszała z przodu.

– Wszystkie wyrzutnie… ostrzał krótkimi seriami. Tak jest, kapitanie.

Kurs „Weifanga" zmienił się w ciasną, ostrą parabolę, która wyprowadziła okręt z pułapki, ale posłała go wprost na najbliższe jednostki wroga. Sun z determinacją chciał jak najszybciej zmniejszyć dystans do częściowo unieszkodliwionej eskadry, zanim pozostałe grupy przeciwnika zorientują się, co się dzieje. Kapitan miał nadzieję, że wróg nie domyśli się w porę.

Było to ryzykowne, ale co to za życie bez ryzyka?

– Naprzód – szepnął Sun. – Prosto w burzę.

– Kapitanie?

– Nic, nic – odparł Sun, tym razem głośniej. – Mamy jakieś odczyty częstotliwości laserów wroga?

– Częściowe odczyty z trzech jednostek.

– Czy te okręty są blisko nas?

– W trzech różnych miejscach.

Sun skrzywił się tylko. I po sprawie. Chciał wyrównać osłony i dostosować je do średniej częstotliwości przeciwnika. Zdaje się, że ci ludzie… ci obcy, czy coś, nie byli tak całkiem przewidywalni.

– Wybierz jeden – rozkazał.

– Kapitanie?

– Wybierz jeden i dostosuj nasze osłony do jego częstotliwości – wyjaśnił Sun. – Nieważne który, zdaj się na szczęście.

– Tak jest, kapitanie.

Shi wyglądał na bardziej niż trochę wytrąconego z równowagi tym rozkazem, ale Sun nie miał mu tego za złe.

Kapitan był zbyt zajęty, żeby komukolwiek w załodze współczuć. Musiał wyprowadzić okręt z tego przeklętego układu, a liczba potencjalnych tras ucieczki kurczyła się alarmująco szybko. Więc powierzył los „Weifanga” sile wyższej i miał tylko nadzieję, że szczęście mu dopisze chociaż odrobinę.

Nie spuszczając oczu z ekranów i osobistego wyświetlacza, Sun zaczął wykonywać pośpieszne obliczenia na swoim terminalu. Jego zamiary stały w sprzeczności z wszelkimi protokołami i naruszały procedury bezpieczeństwa.

– Potrzebuję jak najdokładniejszych skanów mocy dalekiego zasięgu i wszystkich pasywnych odczytów! – zawołał Sun. – Na wczoraj!

Nie fatygował się patrzeniem i słuchaniem potwierdzeń. Wiedział, że jego załoga pracuje, a załoga wiedziała, że kapitan jest zajęty. Wszyscy mieli też świadomość, że wróg bynajmniej nie czeka z założonymi rękami.

„Przekonajmy się, kto pierwszy skończy”.

– Rozbłysk koronalny lasera!

– Kontynuować manewry unikowe! – rozkazał Sun, nawet nie patrząc. Jeżeli okręt zostanie trafiony, ludzie na pokładzie i tak

nie zobaczą wiązki, która ich zabiła. – Pełny ciąg!

– Tak jest, kapitanie, pełny ciąg!

„Weifang” wykonywał korkociągi w przestrzeni kosmicznej, zmieniał kierunek lotu i kurs w pozornie przypadkowych momentach, żeby uniknąć krzyżujących się wiązek laserów wroga. Sun i cała załoga wiedzieli, że tak na zdrowy rozsądek okręt międzygwiezdny, nieważne, jak ogromny według ludzkiej skali, stanowił maleńki cel, biorąc pod uwagę skalę toczącej się bitwy, a szanse trafienia go przypadkiem były niewielkie.

Jednak przy zmniejszającej się odległości od wroga światło odbite od okrętu wracało w coraz krótszym czasie… A przeciwnik potrzebował coraz mniej szczęścia, by trafić „Weifanga”. Szanse ocalenia malały z każdą chwilą…

Sun skończył swoje obliczenia, gdy odległość między okrętem a eskadrą wroga przed dziobem zmniejszyła się do około trzydziestu sekund świetlnych. Jeszcze trochę bliżej, jak wiedział Sun, a sytuacja stanie się bardzo nieciekawa. W obecnej pozycji „Weifang” miał tyle samo szans na skuteczną ucieczkę, co wróg na trafienie go laserem.

Jednak ziemska broń posiadała samonaprowadzanie, a głowice „Weifanga” uderzały nieustannie w jednostki z eskadry, która straciła już połowę swoich sił. Tylko trzy z okrętów nadal zachowały pełną sprawność.

„Może uda się nam wydostać i nie oszaleć”.

– Kapitanie! Następne dwie eskadry wykryte na skraju dalekiego zasięgu! Zbliżają się szybko!

„I to by było na tyle…”

Sun zawahał się, po czym przesłał swoje obliczenia do sternika.

– Przejście na kurs, który właśnie przesłałem – oznajmił. – Gotowość do zakrzywienia czasoprzestrzeni.

Załoga mostka popatrzyła na Suna z rozdziawionymi ustami. Nie kryli wcale, że są wstrząśnięci. Ale Sun ich zignorował. Wiedzieli, że lepiej nie kwestionować jego rozkazów.

– Maszynownia. – Pochylił się do interkomu. – Będę potrzebował na krótko pełnej mocy do zwojów MP.

Nastąpiło długie wahanie, zanim nadeszła odpowiedź.

– Tak jest, sir. Kapitanie, czy pan…

– Bez odbioru. – Sun przerwał połączenie. Nie zamierzał pozwolić, żeby ktoś próbował odwieść go od tego, co postanowił zrobić.

Spojrzenie na ekrany dało mu obraz sytuacji. Znajdowali się o dwadzieścia sekund świetlnych od zbliżających się najszybciej dwóch jednostek wroga. „Weifang” mógłby rozbić je w pył, ale to nie uchroniłoby go przed tym, co jeszcze czaiło się w układzie. Sun nie chciał dopuścić, żeby jego okręt spotkał taki koniec.

– Zabezpieczyć się przed rozpoczęciem lotu w nadświetlnej – rozkazał. Skrzywił się na myśl o zakrzywianiu czasoprzestrzeni tak blisko pola grawitacyjnego gwiazdy.

Teoretycznie powinno się udać. Jednakże pozostawała jeszcze kwestia utrzymania kursu, ponieważ zakrzywienia czasoprzestrzenne gwiazdy i jej planet wpłyną na zakrzywienia „Weifanga”. Lecz Sun nie przejmował się tym ani trochę, skoro wybrał kurs w miarę przypadkowy i jak najdalej od Ziemi.

Największy problem stanowiło teraz to, że po rozwinięciu prędkości nadświetlnej niczego nie będzie można zobaczyć, a tym samym nie uda się uniknąć odłamków. Zakrzywienie czasoprzestrzeni używane do rozpędzenia okrętu zazwyczaj odpychało mu z kursu większość drobnych obiektów, ale jeżeli na trasie „Weifanga” znajdzie się ciało wielkości, powiedzmy, samochodu… wtedy może okazać się groźniejsze niż jakikolwiek laser.

Prędkość nadświetlna. Sun wątpił, czy obcy zorientują się, co się stało.

– Ster, rozpoczęcie zakrzywienia czasoprzestrzeni, MP na maksimum! – rozkazał Sun. Bał się, że gdyby chociaż jeszcze chwilę zwlekał, mógłby się rozmyślić.

Poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupia, gdy generatory MP ruszyły, ekrany zrobiły się czarne, a „Weifang” zatrząsł się gwałtownie.

– Trafienie laserem!

ROZDZIAŁ 1

Okręt międzygwiezdny „Odyseja” spoczywał w punkcie Lagrange’a wysoko nad Ziemią. Rusztowania przesłaniały kadłub niemal w całości. Gdyby się przyjrzeć bliżej, można by dostrzec robotników poruszających się w środowisku mikrograwitacji podczas kończenia prac przy jednostce.

Uszkodzenia odniesione w walce podczas ostatniej misji dawno zostały naprawione, ale w obecnej sytuacji politycznej, gdy Konfederacja Północnoamerykańska nastawiała się na obronę, wielki okręt został mocno rozbudowany. Obszerne fragmenty pierwotnego kadłuba okryto powłokami antydetekcyjnymi i antyradiacyjnymi.

Kapitan Eric Stanton Weston przyglądał się temu z pokładu widokowego na stacji orbitalnej Konfederacji i liczył dni do zakończenia remontów.

– Kapitanie.

Eric obejrzał się przez ramię i od razu rozpoznał mężczyznę, który się do niego zbliżał.

– Panie Gordon.

Seamus Gordon, kutas z wywiadu, został kiedyś opisany jako „chodzące kłopoty w tanim garniturze”. Jak dotąd kapitan nie miał okazji, by sprawdzić, czy opis jest prawdziwy, ale też niezbyt go to interesowało.

– Chciałbym porozmawiać o pańskim raporcie. – Gordon spojrzał na zawieszoną w przestrzeni „Odyseję”.

– Słucham.

Gordon rozejrzał się szybko, po czym wsunął rękę do kieszeni i dopiero wtedy znowu otworzył usta.

– Część dotycząca Centrali wydaje się nieco… ograniczona – zauważył cicho.

– To dlatego, że nie posiadamy, jak mi się zdaje, odpowiednich słów, żeby adekwatnie opisać, czym jest to cholerstwo –

wyjaśnił Eric szczerze. – Panie Gordon, nie ma pan pojęcia, jak to jest stać w obecności czegoś, co może grzebać panu w umyśle niczym w szufladzie ze skarpetkami, by wybrać sobie ulubioną parę.

– Nie – prychnął Gordon. – Chociaż zawsze marzyłem, żeby posiąść taką umiejętność.

– Proszę mi wybaczyć, ale ten pomysł nie przysparza mi radości.

Przedstawiciel wywiadu uśmiechnął się słabo.

– To zrozumiałe. W raporcie określił pan zasięg Centrali jako planetarny?

– Wyraziłem przekonanie, że jej zasięg jest planetarny – przyznał Eric. – Ale nie mogę tego zweryfikować ani obalić.

– Uczciwe podejście. Ale co pan sądzi?

Eric zamyślił się.

– Zapewne rzeczywiście jest ograniczona do planety. Nie znam się na geologii planetarnej, ale jeżeli Centrala jest choć trochę tym, czym twierdzi, że jest, to wydaje się sensowne, że ogranicza ją zasięg pola magnetycznego planety.

– A jeżeli nie?

– Zapewne moglibyśmy to wykryć – odparł Eric z przekonaniem. – Monitorowaliśmy każdą częstotliwość, tachiony i cząstki w tym systemie. Nie stwierdziliśmy nic odbiegającego od normy.

– Ta-ak – mruknął Gordon. Odwrócił się lekko, żeby spojrzeć na „Odyseję”. – Nic odbiegającego od normy.

Eric podążył za jego spojrzeniem i skrzywił się, bo nie musiał nawet czytać w umyśle Gordona.

„Jeżeli Centrala mówiła prawdę, Priminae jej nie stworzyli. Gestalt. Suma większa od jej składników. Czy wykrylibyśmy cokolwiek odbiegającego od normy, skoro w rzeczywistości to właśnie jest norma?”

– No cóż – odezwał się w końcu Gordon – będziemy się tym martwić, gdy nadejdzie pora. Teraz, kapitanie, pragnąłbym usłyszeć streszczenie innych elementów pańskiej ostatniej misji.

– Z całym szacunkiem, panie Gordon – odparł Eric ze znudzeniem – jest pan cywilem, o ile mi wiadomo. Nie muszę panu zdawać sprawozdań.

Gordon uśmiechnął się nieznacznie i wręczył mu kartę.

Eric skrzywił się, zanim jeszcze na nią spojrzał. Był pewien, że nie spodoba mu się to, co zobaczy. Otworzył dokument i westchnął, gdy przeczytał jego treść.

– Zobaczymy się za godzinę w biurze pani admirał. – Twarz Seamusa Gordona wyglądała niewinnie, gdy wrócił spojrzeniem do „Odysei", odcinającej się na tle Ziemi.

Eric zmarszczył brwi, ale nie odpowiedział, tylko schował rozkazy do kieszeni.

– Niezły ma pan okręt – rzekł Gordon, by przerwać ciszę.

– Najlepszy – zapewnił Eric również po chwili milczenia, gdy uznał, że komentarz agenta nie zawierał żadnych ukrytych znaczeń.

***

– Starsza bosman!

Starsza bosman Rachel Corrin ledwie się obejrzała na podchodzącego oficera i zaraz wróciła do pracy.

– Zaraz do pana przyjdę, komandorze.

– Proszę się nie śpieszyć – odparł Roberts, przyglądając się, co robi kobieta. – Przepraszam, że pani przeszkadzam.

– Gdyby mi przeszkadzały takie rzeczy, przysmażyłabym sobie tyłek już dawno temu, komandorze. – Rachel uśmiechnęła się sztywno, podłączając przewód wysokiego napięcia, którym się zajmowała. System zadziałał od razu. Ponieważ był częścią linii transportowej połączonej z główną siecią energetyczną „Odysei", i normalnie nie byłoby dobrze, gdyby się zepsuł. Jednak w tym wypadku jak na ironię oznaczało to, że będzie gorzej niż zwykle w doku naprawczym, ponieważ po pokładzie kręcili się niezliczeni cywilni pracownicy, którzy nie znali protokołów alarmowych.

Gdy tylko skończyła, bosman zamknęła i zapieczętowała panel, po czym podniosła się i otrzepała ręce z wyimaginowanego raczej kurzu, jako że filtry okrętu utrzymywały w czystości nawet mniej uczęszczane sekcje. Wreszcie odepchnęła się w dół, a podeszwy jej butów przylgnęły do podłogi.

– Czego pan potrzebuje, komandorze?

– Uaktualnień nowego uzbrojenia – odparł z niechęcią Roberts. – Powiedziano mi, że będą skończone dzisiaj, ale nie dostałem żadnego nowego raportu.

– Pewnie dlatego, że zajmują się tym cywilni wykonawcy. – Rachel przewróciła oczami. – Musieli posiekać nasz kokpit, żeby dopasować nowe systemy pod habitatami, co chyba bardzo wkurzyło kapitana. A teraz mają przechlapane, bo muszą wszędzie przywrócić hermetyczność.

Roberts skrzywił się jeszcze bardziej.

– Nic dziwnego, że nie wypełnili żadnego raportu. Jak bardzo jest źle?

– Mogę to naprawić w godzinę, ale nie płaci mi się nawet w połowie tak dobrze, jak im – prychnęła Rachel. – Dopóki więc nie dostanę rozkazu, żeby to szybko załatwić, niech wykonawcy się męczą.

– Tylko niech pani nie pozwoli im pociąć niczego, co jest nam potrzebne, bosman Corrin.

– Bez obaw, komandorze, mam na nich oko – zapewniła Rachel. – Daję słowo.

– Mnie to wystarczy. – Roberts skinął głową, odwrócił się i wyszedł.

Rachel popatrzyła za nim, po czym pokręciła głową i skinęła na jednego z podwładnych.

– Co następne?

– Dostaliśmy meldunek o braku mocy we wszystkich wieżyczkach dziobowych, pani bosman.

– Ci idioci odcięli główne zasilanie, gdy rozcinali pokład, tak?

Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami.

– Na to wygląda. Przepraszam, bosman Corrin. Sądziliśmy, że potrafią czytać schematy.

Rachel westchnęła.

– Synu, to cywilni wykonawcy. Nie potrafiliby ich odczytać, nawet gdyby to był prosty szkic narysowany kredkami. Myślisz, że po co wynaleziono GPS?

Jej podwładni zachichotali, ale Rachel znów westchnęła.

– No dobrze, naprawmy tę sieć, a potem zadbajmy, żebym nie złamała słowa, które dałam komandorowi. Ruszać się, ślamazary, robota czeka.

***

– Chińczycy rozgryźli, jak poruszać się szybciej od światła.

– Tak, wiemy o tym, pani admirał. I co z tego?

Admirał Gracen spojrzała na zgromadzonych, starając się, by jej spojrzenie było twarde jak stal. Nie spodobał się jej ten szyderczy ton. Admirał nie przepadała za cywilami i ich niepełną znajomością sytuacji. Nie zdawali sobie sprawy, z czym mają do czynienia, i zwykle nawet nie próbowali zrozumieć. Wszystko by było w porządku, gdyby przynajmniej mieli świadomość swoich ograniczeń, lecz na takie nastawienie nie należało liczyć u polityków-cywilów.

Stłumiła westchnienie.

– Nie wiemy, jak to zrobili. Prawdopodobnie to rozwiązanie podobne do metody Priminae, które jak się zdaje, jest wariantem teorii Alcubierre’a.

– Nasz napęd skokowy jest o wiele lepszy – stwierdził z przekonaniem senator.

– Nie zapoznał się pan z teoriami Alcubierre’a, prawda? – rzuciła oschle Gracen. Mężczyzna posłał jej grymas nieskrywanej niechęci.

– Co to ma do rzeczy?

– DARPA zaczęła finansować prace nad napędem nadświetlnym ponad pięćdziesiąt lat temu – odpowiedziała. –

Wiele dziesięcioleci po tym, jak Alcubierre ogłosił swoją teorię. Czy wiedzą państwo, dlaczego rządowy program obrony zaczął pompować pieniądze w projekty NASA podczas wielkiej recesji w dwudziestym pierwszym wieku?

Nikt się nie odezwał, zresztą admirał właśnie tego się spodziewała.

– Nie, oczywiście, państwo nie wiedzą, ponieważ nic nie przeczytali – stwierdziła złośliwie. – DARPA zaczęła finansować te badania, ponieważ była przerażona na myśl, że Chiny zbudują ten napęd pierwsze i wynajdą broń, przy której bomby atomowe będą wyglądały jak fajerwerki.

– Wszyscy znamy zagrożenia związane z bronią kinetyczną, pani admirał.

– Nie mówię o broni kinetycznej – warknęła admirał Gracen i uderzyła dłońmi w blat stołu. – Mówię o wymuszaniu rezonansu i uwalnianiu cząstek o wysokiej energii pobieranych przez napęd podczas pracy. Działający napęd Alcubierre'a bez odpowiednio mocnego systemu zabezpieczeń mógłby teoretycznie anihilować planety, do których by się zbliżył.

Rozejrzała się po sali i skonstatowała z ironią, że teraz udało jej się przyciągnąć uwagę wszystkich obecnych.

– Pozwolą zatem panowie, że powtórzę – powiedziała oschle. – Chińczycy wynaleźli sposób na poruszanie się z prędkością nadświetlną. Musimy sprawdzić, czy stworzyli także broń, która mogłaby spalić Marsa na węgiel lub usmażyć Amerykę Północną na skwarkę.

Jej słowa padały w całkowitej ciszy, jakby wreszcie ich znaczenie dotarło do słuchaczy. A potem wśród zgromadzonych wybuchło spanikowane paplanie. Admirał pozwoliła na to przez chwilę, po czym odchrząknęła na tyle głośno, by usłyszeli ją ci siedzący najbliżej. Reszta rozmawiała dalej, dopóki Gracen znowu nie uderzyła dłońmi w stół konferencyjny.

– Dość.

Wszyscy umilkli i skierowali wzrok na arystokratyczną postać admirał.

– Teraz, gdy mają państwo pojęcie o powadze sytuacji, chciałabym przypomnieć, że niektórzy z panów siedzieli w tej radzie, kiedy żebraliśmy o fundusze na badania związane z teorią Alcubierre'a. Gratuluję – stwierdziła zjadliwie. – Ponownie musimy dorównać naukowym osiągnięciom Bloku Wschodniego. A chociaż należy się spodziewać, że Blok użyłby tej broni do zastraszenia nas, jednak jest mało prawdopodobne, by chciał wywołać kolejną wojnę. Zarówno oni, jak i my mamy inne priorytety.

– To nie znaczy, że możemy im pozwolić, żeby wyprzedzili nas w wyścigu zbrojeń.

Gracen uśmiechnęła się w końcu.

– Całkowicie się zgadzam. Dlatego porozmawiajmy najpierw o moim budżecie na badania i projekty, dobrze?

***

Nieco później Weston stawił się w gabinecie admirał Gracen. Odruchowo zasalutował zwierzchniczce. Wyglądała na nieco zmęczoną, gdy oddawała salut i skinieniem głowy wskazała wolny fotel.

– Proszę usiąść, kapitanie. Pan Gordon ma do pana kilka pytań i tak się składa, że ja również chciałabym poznać na nie odpowiedzi. Uznałam, że to on poprowadzi spotkanie.

– Złożyłem już raport, pani admirał, i zawarłem w nim wszystko.

Gracen skinęła głową.

– Jestem tego pewna, kapitanie. Teraz bardziej chodzi nam o pańskie spekulacje i domysły na temat kilku kwestii, które ujął pan w raporcie.

Eric skinął powoli głową, nie do końca pewien, czy rozumie, ale też szczerze powiedziawszy, niezbyt tym przejęty.

– Dobrze. Co to za kwestie?

– Czy podczas pańskiego pierwszego starcia z obcymi jednostkami nasi sojusznicy Priminae użyli szczególnie brudnej

broni nuklearnej? – zapytał Gordon.

– Mało powiedziane – prychnął Eric. – Ta broń była tak plugawa, że naruszała prawa fizyki, przynajmniej te, które znamy. Przecież znajdowaliśmy się o MINUTY ŚWIETLNE od wybuchu, a im dalej od epicentrum, tym silniejsze chyba było promieniowanie.

Gordon skinął głową.

– Jesteśmy zainteresowani tą technologią, kapitanie.

– Mam nadzieję, że nie zamierzają jej państwo użyć na żadnej planecie, a na pewno nie na Ziemi – skrzywił się Eric. – Zapytałem potem o tę broń, zupełnie prywatnie. Stosowane są w niej materiały i techniki, które wywołują reakcję łańcuchową przy zetknięciu z nową materią. Radiacja dosłownie karmiła się osłonami „Odysei", dopóki nie zmieniliśmy ich na tarcze odbijające. Dzięki Bogu, tyle wystarczyło, żeby uchronić nas przed działaniem tego oręża, ale gdyby użyć czegoś takiego w atmosferze… Wątpię, czy z planety by coś zostało. A przynajmniej coś nadającego się do zamieszkania.

– Tak. Mamy tego świadomość. Jednak patrzymy na ten problem także z innej perspektywy. Docenimy każdą informację, jaką pan zdobędzie o tej technologii.

– No dobrze, mogę porozmawiać z Priminae, jeżeli państwo sobie życzą – zdecydował Eric.

– Dziękuję, kapitanie. – Gordon skinął głową, po czym zerknął na Gracen. Admirał skorzystała z tego niemego zaproszenia i zadała następne pytanie.

– Przejdźmy do tej konstrukcji wokół gwiazdy.

– Chmury Dysona?

– Właśnie. Sprawdziliśmy dokładnie nasze nagrania. W oparciu o ostatnie obserwacje z teleskopu Jamesa Webba wrogowie rozpoczęli budowę najwyżej sto lat temu. Ta gwiazda zaczęła przygasać mniej więcej dziesięć lat temu czasu lokalnego.

Eric ściągnął wargi i potrząsnął głową.

– Boże, ale szybko.

– W rzeczy samej. Jasno z tego wynika, że ten gatunek podchodzi do budowania tak samo, jak do niszczenia – zauważyła Gracen. – Muszą zapewne konstruować struktury samoreplikujące się i samoorganizujące.

Eric skinął głową. Doszedł do podobnego wniosku, gdy przyjrzał się odczytom i porozmawiał ze swoimi ludźmi. Wróg, Drasinowie czy jak tam siebie nazywali, był pod wieloma względami nanotechnologicznym koszmarem w skali makro. Tak zwany scenariusz „szarej mazi", tyle że w ogromnym wymiarze.

– Czy możliwe by było złapanie przedstawiciela obcych w stanie nietkniętym?

Eric obrócił się do Gordona z wytrzeszczonymi oczami.

– Co?!

Mężczyzna w garniturze uśmiechnął się krzywo.

– Proszę pana – zaczął Eric sztywno – te paskudztwa dosłownie pożerają stal i wydalają energię. Nie zapakuję żadnego z nich na pokład mojego okrętu pod żadnym pozorem, a każdy rozkaz, który będzie do tego zmierzał, uznam za szalony i nieuprawniony.

Gordon uniósł ręce.

– Spokojnie, kapitanie. Zadałem tylko pytanie. Dokonaliśmy znacznych postępów z samoreplikującymi się urządzeniami, ale obcy są na zupełnie innym poziomie. Byłoby miło, gdyby nam się udało zrównać te obszary zainteresowań.

Eric odetchnął, po czym skinął niechętnie głową.

– Mogę to zrozumieć, ale nie posiadam żadnych możliwości transportu wroga. Wzięcie choćby jednego na pokład to proszenie się o kłopoty, jakich nie potrafię sobie nawet wyobrazić. Co więcej, nigdy nie udało nam się niczego wywnioskować na temat ich anatomii.

– Nie, bo nie da się nic ustalić na martwych próbkach – przyznał Gordon. – I właśnie dlatego pytałem o nietkniętego i żywego wroga. Niektórzy z naszych badaczy przypuszczają, że te istoty używają jakichś ścieżek neuronowych w roztopionym krzemie swoich ciał, wyjątkowej nanotechnologii

samodzielnego montażu obwodów. Chętnie byśmy się temu przyjrzeli w akcji, gdyby była możliwość.

– Nie na moim okręcie – odparł Eric beznamiętnie. – Chce pan kombinować z tymi obcymi, niech pan znajdzie inną jednostkę, którą w razie czego można zastąpić.

– Nie rozumiem, jak jeden z obcych dronów mógłby stanowić poważne zagrożenie dla takiego okrętu jak „Odyseja”.

– Jeden by nie mógł, ale przetrzymanie go dłużej do testów to zupełnie inna sprawa – stwierdził Eric. – One jedzą wszystko, co napotkają, i używają tego do reprodukcji. Nie znamy sposobu, żeby je uśpić, nie wiemy też, na ile inwazyjne są ich techniki samodzielnego montażu. Panie Gordon, nie wpuszczę żadnego na mój okręt. Na pewno nie żywego. Kiedy wieźliśmy martwe, kazałem utrzymywać przy ładowni całodobową wartę na wypadek, gdyby jednak w dronach pozostały aktywne procesy nanotechnologiczne.

Gordon westchnął, ale wiedział, że nie ma sposobu, aby zmusić kapitana do współpracy. Przynajmniej w tej chwili. Skoro Weston postawił sprawę tak jasno, Konfederacja Północnoamerykańska nie będzie chciała wydawać sprzecznych rozkazów, które mogłyby narazić okręt.

– Dobrze, kapitanie. Na razie – wycofał się Gordon.

– Proszę znaleźć sposób na powstrzymanie ich działania lub uśpienie – doradził Eric. – Wtedy możemy rozmawiać. Wiem, że wywiad w tej kwestii jest ważny, Gordon. Podejmę ryzyko, proszę mi wierzyć. Nie pisałem się na bezpieczne życie, ale męczennikiem też nie jestem. Proszę dać mi rozsądne rozwiązanie lub użyteczne narzędzie do transportu drona, a spróbuję. Ale do tego czasu nie mamy o czym rozmawiać.

Gordon skrzywił się, ale musiał przyznać kapitanowi rację. Zabijanie dronów nie stanowiło najwyraźniej problemu, ale złapanie ich żywcem – wręcz przeciwnie. Potrzebne były informacje, co ci obcy mogą pożreć i – co ważniejsze – czego nie mogą.

Jedno było pewne, Drasinowie, o czym Gordon doskonale wiedział, okazali się technologicznym, a prawdopodobnie

również biologicznym koszmarem. Szczerze mówiąc, nie wiedział, czy właśnie technologicznym, czy biologicznym. Możliwe, że zaliczali się do trzeciej kategorii, ale nadal pozostawali koszmarem.

Poszukiwanie rozwiązania, jak poradzić sobie z takim gatunkiem wałęsającym się po całej Galaktyce, stanowiło teraz główny cel pracy Gordona. Zwykle dzielił swój czas między Blok i różne niezrzeszone państwa, które mogłyby sprawiać kłopoty. Teraz musiał przyjąć na siebie rolę jakiegoś protagonisty rodem z science fiction.

A Seamus Gordon naprawdę wolałby zajmować się zwykłą mokrą robotą.

– Świetnie. Znajdziemy ludzi, którzy nad tym popracują – stwierdził po chwili. – Admirał Gracen, kiedy zakończą się remonty „Odysei”?

– Nowe systemy uzbrojenia powinny być zainstalowane w ciągu tygodnia – odpowiedziała admirał po namyśle, po czym zerknęła na Erica. – Czy tak, kapitanie?

Eric skinął głową.

– Mniej więcej. Będziemy musieli przeprowadzić standardowe testy, zanim zaufam nowym systemom…

– Nie w Układzie Słonecznym, kapitanie – przerwała mu admirał.

– Proszę? – Eric zamrugał.

Wiedział, że obecne zagrożenia wykluczały testowanie broni w określonym zasięgu od Ziemi, ale w całym układzie?

– Działa T są utajnione na najwyższym poziomie – wyjaśnił spokojnie Gordon. – Nie wiem, czy został pan wprowadzony w sprawę, ale prywatnie doradzamy dowódcom okrętów, aby nie sprawdzali tych systemów gdziekolwiek w zasięgu bezpośredniej obserwacji okrętów Bloku, stacji albo dronów.

– Ma rację, kapitanie – dodała z powagą Gracen. – Rozkazy nie są oficjalne, głównie dlatego, że nie chcemy, aby Blok dowiedział się, jak bardzo tajne są działa T. Dostanie pan prywatne rozkazy w tej sprawie, zanim opuści pan punkt Lagrange’a pięć.

– Rozumiem. – Eric skinął głową. – A jak będą wyglądały moje oficjalne rozkazy?

– Najprawdopodobniej kolejna misja dyplomatyczna do Priminae – odparła admirał. – „Odyseja” oraz pan i pańska załoga cieszą się tam sporym szacunkiem, a to bezcenne.

Eric domyślił się, że właśnie to stanowiło decydujący czynnik, ale tak naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Lubił Priminae, a związanych z nimi tajemnic wystarczało, żeby się nie nudzić tak, jak na innych misjach dyplomatycznych.

– Ale pewnie będziemy też chcieli, żeby zajrzał pan po drodze do paru układów gwiezdnych z naszej listy, włącznie z Gliese 581 – dodała Gracen.

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – Eric znał tę gwiazdę, przynajmniej ogólnie. Znajdowała się na trasie, jaką planowano dla pierwszej misji „Odysei”. Gliese 581 była na liście systemów gwiezdnych, w których prawdopodobnie występowały planety podobne do Ziemi, w tak zwanej strefie Złotowłosej. A to przyciągało bardzo uwagę do układu, zwłaszcza uwzględniając jego bliskość.

– Wykryliśmy ślady chińskiej misji nadświetlnej, wskazujące na ten właśnie kierunek. Gliese 581 to jedna z lokalizacji, którymi Blok mógł się zainteresować – stwierdził Gordon niewinnie.

Eric po prostu wytrzeszczył na niego oczy.

– Przepraszam? Jaka chińska misja nadświetlna? – Spojrzał ostro na admirał, potem na agenta. – Udało im się ukraść technologię skoków?

– Nie, wybrali inne rozwiązania – odparł Gordon. – Zdaje się, że zdołali zastosować w praktyce równania Alcubierre’a.

Eric zamyślił się, marszcząc brwi. Czytał trochę o teorii Alcubierre’a, kiedy został przydzielony na „Odyseję”, ale nikomu w Konfederacji nie udało się przejść od teorii do praktyki. Przede wszystkim taki napęd wymagał obłędnej energii, chociaż o wiele mniejszej, niż zakładano na początku. Ale w przeciwieństwie do napędu tranzycyjnego, okręt

z napędem nadświetlnym poruszałby się w przestrzeni, którą zakrzywiał.

A to się naprawdę liczyło, ponieważ żadne, nawet najlepsze urządzenia nie zdołałyby wykryć takiej jednostki i ostrzec przed jej zbliżaniem, dopóki nie przeleciałoby się przez nią. Właściwie mogłoby to stanowić drobną wadę, a Eric nie znosił latania na oślep… nawet jeśli z intelektualnej perspektywy rozumiał, że droga przed nim jest czysta na więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Rozwiązali kwestie nawigacji? – zapytał z ciekawością.

– Nie wiadomo. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Blok w ogóle zastosował równania Alcubierre'a – przyznał ponuro Gordon. – Kiedy „Weifang" minął Plutona i zniknął z naszych czujników, chyba wszyscy na posterunkach obserwacyjnych zesrali się w gacie z wrażenia.

– Założę się – mruknął Eric.

– Naszym głównym celem nadal jest wymiana dyplomatyczna z Priminae – wtrąciła Gracen z naciskiem. – Jednak każda informacja o działalności Chińczyków poza Układem Słonecznym byłaby miłym bonusem.

– Zrozumiałem – odparł Eric. – Nasz napęd tranzycyjny musiał nieźle przypalić tyłki tym z Bloku, skoro wykonali ruch tak szybko.

– Cóż, w technologii MP zawsze mieli nad nami przewagę o pokolenie lub dwa – stwierdził Gordon. – Nie byliśmy nawet bliscy jej odkrycia, dopóki tuż przed wojną nie wykradliśmy planów urządzeń pierwszej generacji z laboratorium Bloku.

– Ich komputery też są lepsze – dodał ponuro Eric.

– To żadna niespodzianka. Większość zakładów przemysłowych przed wojną znajdowała się w krajach Bloku, a procentowo większość czołowych naukowców sympatyzowała z Blokiem – westchnął Gordon. – Zatem to bardzo prawdopodobne, że rozwiązali również problem z urządzeniami namiarowymi.

Eric skinął głową.

– Bardziej niż prawdopodobne.

Przed powstaniem Bloku i wojną Stanom Zjednoczonym wydawało się, że są najlepszym państwem na planecie. Problem polegał jednak na tym, że chociaż przekonanie to było prawdziwe, jeżeli chodziło o siłę zbrojną, kraj cierpiał na niedostatki w innych ważnych dziedzinach w porównaniu z państwami takimi jak Japonia, Korea, Chiny i inne, w których obywatele skłonni byli pracować za wynagrodzenie, jakie amerykańscy bezdomni mogliby uznać za śmieszne.

A chociaż Japonia aktywnie sprzeciwiała się Blokowi i trzymała z Konfederacją Północnoamerykańską, jednak niemal wszystkie rozwijające się przemysłowo państwa związały się z Blokiem i stały podstawą jego siły. Od Korei przez Chiny po Indie, potęga przemysłowa, ongiś należąca do USA i ich sojuszników, była systematycznie przenoszona za ocean przez amerykańskie korporacje, którym zależało na zmniejszeniu kosztów produkcji.

Na dodatek kraje zachodnie kształciły najzdolniejszych ludzi z państw Bloku, a oni wracali do siebie i wykorzystywali to wykształcenie…

Okoliczności te nie przysłużyły się Konfederacji Północnoamerykańskiej, gdy wybuchła wojna.

Na początku konfliktu USA kontrolowały nadal pięćdziesiąt procent morskich sił zbrojnych na planecie, jednak w powietrzu przewagę uzyskały Chiny, które wyprodukowały odrzutowce pierwszej generacji z masą przeciwną. Chińscy piloci modliszek przedarli się przez obronę przeciwlotniczą i eskadry samolotów, po czym zmienili lotniskowiec USS „Enterprise”, najpotężniejszy okręt wojenny na świecie, w rynnę żużlu i pozostawili, aby powoli zatonął. Potęga na morzu nie miała znaczenia, liczyła się moc w powietrzu i Blok przejął władzę nad niebem na prawie trzy miesiące.

Aż wreszcie na scenę wkroczyły Archanioły, które wzięły udział w walkach nad Japonią.

A teraz najwyraźniej Blok znowu zajął dominującą pozycję pod względem opanowania technologii MP, jednak tym razem Eric był za to niemal wdzięczny. Widział, co znajdowało się

w przestrzeni kosmicznej. Dlatego każde nowe odkrycie technologiczne ludzkości było dla niej dobre.

„Pieprzyć patriotyzm. Potrzebna nam każda broń, której możemy użyć”.

Obrazy chmury Dysona nawiedzały go na jawie i w koszmarnych snach. Bardzo dobrze, że Blok zaznaczał swoją pozycję w przestrzeni międzygwiezdnej. Będzie musiał walczyć jak inni, chyba że wolałby, aby Ziemię spalili na popiół Drasinowie i ci, którzy za nimi stali.

– Dobrze, będę miał oczy szeroko otwarte. Możemy oblecieć „Odyseją” najbardziej prawdopodobne lokacje, choćby po to, żeby sprawdzić, czy Chińczycy gdzieś tam są – zdecydował. – Tyle że nie widzę problemu, jeśli ich nawet zlokalizujemy. O Bloku wiele można powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest na tyle szalony, żeby teraz rozpocząć wojnę. Jesteśmy wystarczająco zaawansowani technologicznie, żeby rezultat takiej konfrontacji z ich perspektywy pozostawał niepewny, a trzeba sobie jeszcze poradzić z Drasinami.

– Przywódcy Bloku nie są pewni, czy Drasinowie w ogóle istnieją, kapitanie. – Gordon pokręcił głową. – Znacząca większość uważa, że to tylko propaganda.

– Och, na litość… – prychnął gniewnie Eric.

Szczerze powiedziawszy, nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle go to zaskoczyło, ale jednak czuł wściekłość, że wątpiono w jego słowa. Oczywiście przywódcy nie mieli powodu, żeby wierzyć kapitanowi „Odysei” na słowo, jednak i tak budziło to w Westonie irytację.

– Pewnie nie powinno mnie to dziwić – mruknął.

– To prawda – zachichotał Gordon. – Ale proszę spojrzeć na to z jaśniejszej strony. Jeżeli Blok wynalazł porządny napęd nadświetlny, wkrótce przekona się o istnieniu Drasinów na własnej skórze.

– Zakładając, że okręt powróci, by o tym zameldować – przypomniała im obu admirał Gracen. – Blok nie posiada technologii osłon maskujących choć odrobinę porównywalnych z naszymi, a bez odpowiedniej obrony przed laserami chińska

misja kosmiczna nie będzie raczej tak przyjemna, jak wyprawy „Odysei”.

– Nie da się ukryć – westchnął Gordon.

– Czy dostanę rozkazy na wypadek, gdybym natrafił na okręt Bloku w opałach?

– Prawo morskie, kapitanie. W tej chwili nie prowadzimy wojny z Blokiem. Ratować, jeżeli to możliwe.

– Tak jest, pani admirał.

– To wszystko, co musieliśmy omówić osobiście – oznajmiła admirał Gracen. – Oficjalne rozkazy i dodatkowe materiały zostaną panu przekazane przed odlotem „Odysei”. Proszę jednak, żeby miał pan na uwadze to, co zostało tutaj powiedziane, kapitanie.

– Oczywiście, pani admirał. – Eric wstał. Zasalutował zwierzchniczce, po czym skinął głową szpiegowi. – Panie Gordon.

– Jeszcze się zobaczymy, kapitanie.

Eric nie posłał mu groźnego spojrzenia, no, może nie całkiem niegroźne, co u szpiega wywołało uśmiech.

– Ten człowiek nie przeżyłby w Agencji nawet jednego dnia – powiedział, kiedy Weston wyszedł.

– Zapewne. – Admirał Gracen wzruszyła ramionami. – Jednak nadaje się na wzorcowego kapitana.

– Wszyscy zwracają na niego uwagę, gdy tylko się pojawi, prawda? – roześmiał się cicho Gordon. – Emanuje z niego szczerość i poczucie honoru. I chociaż na dowódcę „Odysei” wolałbym kogoś bardziej przebiegłego i podstępnego, obecny kapitan musi wystarczyć.

– Ktoś bardziej podstępny i przebiegły mógłby nie zjednać sobie Priminae ani Centrali – przypomniała mu Gracen.

– To prawda, ale może dzięki temu nie wmieszalibyśmy się w wojnę międzygwiezdną.

– Początkowo też tak myślałam, ale to wygląda inaczej. – Admirał pokręciła głową. – Obawiam się, że to by się zdarzyło niezależnie od wszystkiego. Kapitan Weston po prostu nieco to przyśpieszył. Ale sytuacja pod każdym względem rzeczywiście

nie należała do sprzyjających. Wolałabym, żeby dokonał zwiadu i uciekł gdzie pieprz rośnie… Jednak biorąc pod uwagę najnowsze dane dostarczone przez „Odyseję”, ocalenie Priminae mogło być dla nas najlepszym rozwiązaniem.

Gordon skrzywił się, ale nie zaprzeczył. Chociaż Priminae zapewniali o swoim umiłowaniu pokoju, posiadali potężne uzbrojenie i byli zdolni do produkowania go w przyśpieszonym tempie. Gordon nie wiedział, czy to ma znaczenie wobec możliwości Drasinów, lecz zawsze lepszy rydz niż nic.

ROZDZIAŁ 2

Przestrzeń międzygwiezdna
W pobliżu niezbadanej wcześniej struktury Dysona

– Nad organikami nikt nie panuje, prohuerze. Jeżeli ich nie zablokujemy, całkowicie stracimy kontrolę.

– Spokojnie, Ivanth – powiedział mężczyzna w mundurze, siedzący za biurkiem. – To przesada, czytałem raporty.

– Raporty nie oddają rzeczywistej sytuacji – zaoponował z przekonaniem młody mężczyzna, jednak dobierał argumenty tak, aby nie okazać rozmówcy braku szacunku. – Zaczęli anihilować planety nienależące do Priminae!

– Niezamieszkane planety, które praktycznie nie mają dla nas znaczenia.

– Mój prohuerze – odparł spokojnie Ivanth – planet zdolnych do podtrzymywania życia nie ma we wszechświecie aż tak wiele.

Mężczyzna za biurkiem zachichotał, choć to zupełnie nie pasowało do nastroju rozmowy.

– To pomniejszy sektor pozbawionej jakiegokolwiek znaczenia odnogi Galaktyki, Ivanth. Priminae stanowią zagrożenie tylko w tym rejonie. Na dodatek nie znają nawet własnej historii. Uporządkujemy wszystko i znowu zapanuje cywilizacja. A organiki niech się zabawią.

– Tak, mój prohuerze. – Ivanth poddał się z westchnieniem. – A co z nieznanym?

Mężczyzna za biurkiem pochylił się i splótł dłonie.

– A tak, nieznany. Przejrzałem dane ze starć, które uzyskaliśmy od organików. Pokrywają się z sygnaturą okrętu,

który uciekł nam przy Ulu.

– Nie pasuje do żadnego znanego nam typu jednostek Priminae. Skonstruowali coś nowego?

– Nie sądzę. Jednostki Priminae zawsze należą do określonych typów – stwierdził prohuer. – Jego pochodzenie musi być inne.

– Wyniki skanowania są jednoznaczne – zaprotestował Ivanth. – To ludzie.

– Tak, tak. Jestem tego świadom i właśnie to najbardziej nie daje mi w całej tej misji spokoju – przyznał prohuer. – Najwyraźniej Prim sprzymierzyli się z kolejnym odłamem ludzi. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego wycofali się do tego odległego sektora Galaktyki, ale najwyraźniej ktoś przybył tam z nimi.

– Ten okręt bez wątpienia stworzyła rasa nastawiona na walkę – odparł zdezorientowany Ivanth. – Dziwne, że Priminae sprzymierzyli się z kimś takim.

Prohuer westchnął i potrząsnął głową.

– Śledzimy Priminae już od tysiąca gwiazd, ale wcale nie rozumiem ich lepiej niż na początku. To tchórze, ukrywający się za pięknymi słowami. Chowanie się za okrętem należącym do innej rasy pasuje do Priminae jak ulał.

– Być może – przyznał Ivanth. – Ale za tylko jednym? Jeden okręt przeciwko wielokrotnie liczniejszym organikom, a nawet przeciwko wielu z naszych w Ulu? I za każdym razem udawało mu się zwyciężyć lub uciec. Nawet nasze najlepsze jednostki miałyby problem, aby mu dorównać.

– Wiem i to martwi mnie najbardziej – przyznał prohuer. – Ta jednostka jest praktycznie nieobecna na naszych wykresach zagrożenia. W obrębie Ula okręt pozostawał w ukryciu. Nie udało się go przeskanować, zarejestrowaliśmy tylko zaburzenia czasoprzestrzenne, które wywoływał swoją obecnością. A do tego ta rasa z pewnością zachowała dość siły militarnej, aby stanowić całkowicie realne zagrożenie. To niewiadoma i jej obecność jest niepokojąca. Jak dotąd widzieliśmy zaledwie jeden okręt. A jeden okręt, nawet tysiąckrotnie potężniejszy, nie może… nie zdoła powstrzymać naszej ofensywy.

Ivanth tylko skinął głową.

W czerni międzygwiezdnej
Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej
„Weifang”

– Włączyć wentylację. – Sun wpadł do rufowej sekcji maszynowni. – Wasi ludzie nie mogą zginąć, inaczej „Weifang” nigdy nie wróci do domu!

– Wydajność układów filtrowania spadła do dwudziestu procent, kapitanie. Nie zdołamy oczyścić powietrza.

Sun puścił potok siarczystych przekleństw, których zawodowy żołnierz armii ludowej nie powinien używać. System filtracji na okręcie ledwo dawał radę. Wkrótce zacznie mieć problemy, a wtedy „Weifang” stanie się kolejnym statkiem widmem, jak z legend.

– Wyciągnijcie świece z magazynów – rozkazał.

– Kapitanie, nie wystarczy ich na podróż do domu.

– To bez znaczenia. Nie przetrwamy podróży, jeżeli nie pozbędziemy się tego dymu i nie oczyścimy filtrów. Wyciągnijcie świece i naprawcie filtry, nawet jeżeli trzeba będzie to zrobić w próżni.

– Tak jest, panie kapitanie. – Mechanik poszedł przekazać rozkazy.

Sun śledził postęp prac z pełną świadomością, że dzięki świecom tlenowym zyskali tylko trochę czasu. Stawiał na to, że uda się przywrócić filtry do pracy, ale sytuacja nie wyglądała dobrze.

„Wiedzieli, na co się ważą” – pomyślał ponuro Sun. „Połowa maszynowni jest w ruinie, tak samo jak reszta sekcji. To, co z nich zostało, jest wystawione na działanie próżni i prędkości nadświetlnej”.

Z tej sytuacji nie było wyjścia i Sun o tym wiedział.

Aby przeprowadzić naprawy, „Weifang” musiał zwolnić.

Labiryntem korytarzy kapitan udał się na mostek. Przeszedł obok własnego stanowiska i zatrzymał się przy sekcji rozpoznania dalekiego zasięgu.

– Ścigają nas? – zapytał krótko.

Podoficer obsługujący urządzenia potrząsnął przecząco głową.

– Nie, panie kapitanie, ani śladu wroga.

Mężczyzna zawahał się, po czym uniósł wzrok znad instrumentów.

– Panie kapitanie, obcy zniszczyli połowę naszych urządzeń, a lecimy z nadświetlną. Nie jesteśmy do końca ślepi, ale niewiele nam brakuje.

– Rozumiem. – Kapitan poklepał podoficera po ramieniu i odbił się od podłogi.

Poleciał swobodnie w kierunku swojego stanowiska i przypiął się do fotela.

– Sternik, przygotować się do opuszczenia nadświetlnej.

– Tak jest, rozpoczynam przygotowania.

– Wytracić prędkość na MP, gdy będziecie gotowi. Zejść z nadświetlnej i zwolnić do małej relatywistycznej.

Na całym okręcie rozbrzmiał alarm informujący załogę o konieczności udania się na wyznaczone pozycje. Kolejne stanowiska zaczęły zgłaszać gotowość.

– Okręt gotowy do deceleracji.

– Wyłączam generatory MP. – W głosie sternika słychać było nerwowe napięcie. – Przekroczenie bariery prędkości światła… teraz.

Okrętem nie zaczęło rzucać. Nie była to taka zmiana, jak nagłe zwolnienie podczas lotu z prędkością naddźwiękową do poddźwiękowej, ale dało się odczuć wyraźne przejście, które wstrząsnęło członkami załogi, choć byli przygotowani. Napęd z użyciem generatorów MP to cud inżynierii wielowymiarowej i manipulacji czasoprzestrzenią. W wyniku jego działania powstawała stromizna, po której ześlizgiwał się „Weifang”.

W trakcie lotu z pełną prędkością nadświetlną bąbel, w którym znajdował się okręt, był w pełni izolowany od normalnej czasoprzestrzeni, ale gdy następowało wytracenie prędkości, przez chwilę wyraźnie dostrzegało się efekt Dopplera. Większość spektrum znajdowała się poza zakresem widzialnym, ale to, co pozostawało, groziło ciężką chorobą, dlatego ludzi chroniły osłony.

Ten nieprzyjemny efekt trwał tylko chwilę, aż prędkość spadła do poziomu, przy którym nie był już odczuwalny.

– Panie kapitanie, włącza się osprzęt działający przy prędkości światła!

– Wykonać pełny skan wyśrodkowany na naszej pozycji – rozkazał Sun, uwalniając się od pasów fotela. – Powiadomić mnie, gdyby zdarzyło się cokolwiek niepokojącego. Idę na rufę.

– Tak jest!

Sun skrzywił się, patrząc przez przyciemniany wizjer kombinezonu na sekcje okrętu po ewakuacji.

„Lasery wroga zwyczajnie odparowały kilkaset metrów kwadratowych stali pancernej. Nie do wiary”.

Choć atak trwał krótko, zniszczenia wydawały się nieprawdopodobne.

Gdy przemieszczali się przez uszkodzone sekcje, znaleźli tylko kilka ciał. Większość została wyrzucona na zewnątrz przez dekompresję. Jeśli „Weifang” powróci do domu, rodzinom nie zostaną zwrócone ciała. Dzięki temu ryzyko, że ktoś znajdzie zwłoki przyjaciela i udławi się w kombinezonie własnymi wymiocinami, było raczej niewielkie.

Marne pocieszenie, ale Sun uznał, że lepsze takie niż żadne.

– Poszukajcie fabryk replikacyjnych, które wyglądają na nieuszkodzone. Musimy wymienić filtry. – Polecenie podkreślił gestem.

Członkowie załogi potwierdzili przyjęcie zadania i rozpełzli się po uszkodzonych sekcjach. Sun odwrócił się i spojrzał w przestrzeń.

Była… zaskakująca. Piękna. Przerażająca.

W tak dużej odległości od źródeł światła i odbić wszechświat wydawał się nieskończenie czarny i jednocześnie nieskończenie jasny. Na niebie widziało się znacznie więcej gwiazd niż z Ziemi, ale ich słabe światło podkreślało tylko panującą wokół ciemność.

Poza oświetleniem kombinezonów i migotaniem odległych gwiazd nie było niczego, tylko absolutna czerń, której Sun nie potrafił sobie nawet wyobrazić. W obliczu ciemności tak zupełnej czuł podziw i pokorę. Nie potrafił długo spoglądać w tę pustkę.

– Kapitanie, udało nam się znaleźć replikatory. Wyglądają na całe.

Sun powrócił myślami do bieżących spraw.

– Znakomicie. Zabierzmy je jak najszybciej na okręt.

– Tak jest.

***

Przemieszczanie masywnych replikatorów nie było zadaniem prostym, nawet w warunkach mikrograwitacji. Blok być może przodował w technologii MP, ale Sun musiał przyznać, że najlepsze urządzenia wytwórcze produkowała Konfederacja.

Jednostki Bloku działały wydajnie, ale miały duże rozmiary. Oczywiście wielkość to pojęcie względne. Replikatory zapewniały przecież wydajność zautomatyzowanej fabryki i mieściły się w małym pomieszczeniu.

Sun słyszał, że istniały modele wielkości talerza i o wydajności, która pozwalała w ciągu dwunastu godzin postawić ładny dom.

Niestety, nie mieli na pokładzie takich urządzeń.

Zadanie przemieszczania replikatorów było nieskomplikowane, ale niebezpieczne i czasochłonne. Członkowie załogi nie mogli sobie pozwolić, aby przetransportować je szybko. Pęd zmieniłby urządzenia w śmiertelnie groźne pociski albo co gorsza, uszkodził. A wraz

z nimi przepadłyby ostatnie, i tak bardzo nikłe, nadzieje „Weifanga” na ocalenie.

Musieli więc wlec urządzenia powoli korytarzami, przytrzymując z obu stron, aby nie utracić nad nimi kontroli. Cała operacja okazała się nad wyraz żmudna, powolna i bardzo niebezpieczna.

I musieli ją przeprowadzić w niewygodnych kombinezonach, które ledwie mieściły się w niektórych sekcjach.

Pracowali bez wytchnienia niemal przez trzy pełne wachty, aż w końcu udało się umieścić sprzęt w zabezpieczonych sekcjach „Weifanga”. Sun rozkazał grupie odpocząć. Pracę przejęły zespoły inżynieryjne. Przez pewien czas kapitan obserwował ich krzątaninę, ale w końcu poddał się i wrócił do kabiny, żeby się trochę przespać.

Powietrze było zdatne do oddychania dzięki świecom tlenowym. Dym i smog zostały usunięte. Sun z przyjemnością przyłożył głowę do poduszki i pogrążył się we śnie.

Po przebudzeniu czekało na niego mnóstwo pracy.

Planeta Ranquil

Przestrzeń kosmiczna Priminae

Admirał Rael Tanner spojrzał na stanowisko dowodzenia i kontroli – centrum strategiczne światów kolonii. Było jak oczy wypatrujące czegoś, co jak wiedział admirał, powinno znajdować się w najbliższej przestrzeni kosmicznej, choć nie dawało się odnaleźć.

– Wysłać „Posdana” i „Nepta”, żeby sprawdziły sygnały, które wykryliśmy w pobliżu kolonii Simanth – rozkazał, nie podnosząc wzroku. – Było tam zbyt wiele zakłóceń, żeby uznać je za interferencje tła.

– Tak, admirale.

Od ostatniego natarcia na Ranquil znowu mieli spokój z Drasinami. Najwidoczniej obcy wycofali się, żeby ponownie ocenić sytuację. Admirał nie był pewien, skąd się bierze jego niepokój, skoro sądząc z uzyskanych odczytów, obcy nie znajdowali się w pobliżu, ale wolał się zabezpieczyć.

Odczyty wcale nie oznaczały, że Drasinowie tym razem zniknęli całkowicie.

Rael zastanawiał się, czy wróg nie próbował rozproszyć swoich sił i pojawić się na granicach przestrzeni kolonii, żeby wywabić okręty Priminae. Wydawało się to możliwe, ale przy pełnym tempie produkcji w Kuźni miał do dyspozycji tyle okrętów, że nie wiedział, co z nimi zrobić. Nie żeby to miało znaczenie, jeżeli potwierdzą się raporty „Odysei", jednak i tak Rael próbował sformować eskadrę zwiadowczą do tej misji.

„Nic, co mamy, nie zdoła dotrzeć tam niezauważone, a potrzebna będzie flota, żeby się wydostać, jeżeli Drasinowie zaatakują".

Jednak to nie te zmartwienia wywoływały u niego napięcie.

– Wojna dobrze nam idzie.

Tanner nie obejrzał się przez ramię na tego, kto się odezwał. Wiedział, że duży mężczyzna z tyłu stoi sztywno z rękoma za plecami i surowym wyrazem kanciastej twarzy.

– Tak, wiem. – Tanner nie przestał wpatrywać się w mapy.

– Martwisz się, że idzie tak dobrze – zauważył Nero Jehan.

To nie było pytanie.

– Poprzednim razem Drasinowie wycofali się tylko po to, żeby ocenić sytuację. Niedługo potem wrócili, i to znacząco liczniejsi.

– Wydaje się, że mają tylko liczebność po swojej stronie.

– I niczego więcej nie potrzebują – warknął Tanner. – Wiemy dzięki „Odysei", że do uzyskania nad nami przewagi liczebnej posiadają więcej, niż potrzeba. Dlaczego jeszcze po nas nie przyszli?

– Narzekasz? – W głosie Nero zabrzmiało lekkie rozbawienie. – Ciesz się, że mamy czas na przygotowania.

– Przeciwnik, który zachowuje się nieprzewidywalnie… – wysyczał Tanner. – To może oznaczać bardzo wiele zagrożeń.

– Doprawdy?

– Owszem. Może znaczyć, że albo są głupi i nie wiedzą, jaką mają nad nami przewagę, albo to ja jestem głupi i nie dostrzegam czegoś, co oni wiedzą doskonale, albo… – Tanner powoli pokręcił głową.

– Albo co?

– Albo mają jeszcze inne, ukryte plany – burknął Tanner. – Nic z tego nie ma sensu.

– Drasinowie to bestie – stwierdził Nero beznamiętnie. – Wszystko na to wskazuje. Starożytne zapisy i nasze doświadczenie. Oni nie planują, tylko się roją.

– Informacje od „Odysei" w jednym aspekcie są jasne, Nero. I przeczą wszystkiemu, co wiemy o Drasinach. – Tanner westchnął ze znużeniem i przeczesał włosy palcami. – Oni się z kimś sprzymierzyli.

– Drasinowie nie mają sojuszników.

– Właśnie. Nie mają ich. – Admirał przechylił głowę i znowu wbił wzrok w mapy, jakby chciał się im przyjrzeć z innej perspektywy. – Zatem… czy to naprawdę są Drasinowie?

– Nie… nie rozumiem? – odparł Nero niepewnie.

– Wyglądają jak Drasinowie, zachowują się jak oni – rozwinął Tanner. – Lecz czy to są Drasinowie?

– Admirale?

Tanner tylko machnął ręką i odwrócił się od map.

– Nie zwracaj na mnie uwagi, przyjacielu. Jestem zmęczony, a muszę to dokładnie przemyśleć. Zobaczymy się jutro.

Nero, zmieszany nagłym wyznaniem dowódcy, przyglądał się, jak drobniejszy mężczyzna wychodzi z sali. Postawny dowódca sił naziemnych całego układu gwiezdnego odwrócił się do map strategicznych i pochylił nad nimi. Podobnie jak przyjaciel, Jehan również uważał, że najgorsze jeszcze nie nadeszło. Priminae przeżyli pierwsze operacje wroga bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom, a wiele wskazywało, że prawdziwa fala ataku dopiero wzbierała.

Z daleka, z najgłębszych otchłani czerni, zbliżał się wróg.

ROZDZIAŁ 3

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”
Układ Słoneczny, orbita Ziemi
Punkt Lagrange’a

– Jak tam systemy zasilania? – zapytał Weston, gdy tylko wszedł na mostek.

– Normalne wartości na wszystkich przyłączach. Żadnych niewytłumaczalnych spadków mocy.

– A te, które można wytłumaczyć?

Młoda kobieta zarumieniła się lekko.

– Większość minimalna.

– Pani porucznik – westchnął Weston – jeżeli będę zmuszony wyciągać z pani każdą informację, pobyt na pokładzie tego okrętu skończy się dla pani bardzo szybko.

– Przepraszam, kapitanie – wymamrotała porucznik Kathy McReady. – Nadal mamy wysoki wypływ mocy w systemach generatorów tachionowych.

Weston skinął głową, po czym podszedł do stanowiska dowodzenia i zajął miejsce.

– A co na to powiedziała bosman Corrin?

– Sir?

– Rozmawiała pani z bosman Corrin, jak mniemam?

– Tak jest.

– Dlatego spytam jeszcze raz, choć już pani powiedziałem, że bardzo nie lubię tego robić. – Kapitan spojrzał na młodą kobietę znacząco. – Co powiedziała bosman Corrin?

– Powiedziała, że doprowadzi to do porządku, zanim miniemy Plutona, sir.

– Doskonale. Dziękuję. – Podniósł wzrok na stanowisko, przy którym Daniels pochylał się do innego członka załogi i zapewne próbował powstrzymać się od śmiechu. – Sternik… obrać kurs poza Układ Słoneczny. Uruchomić silniki, gdy dostaniemy zezwolenie z centrum kontroli lotów na stacji Liberty.

– Tak jest, sir.

Eric zerknął na McReady, która wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć.

– Tak?

– Sir, wypływ mocy w generatorach tachionowych jest znaczący. – Kobieta przełknęła nerwowo. – Przepisy stwierdzają jasno, że nie możemy opuścić punktu Lagrange'a z tak dużym ubytkiem energii.

– Porucznik McReady – Eric zmusił się, żeby jego głos brzmiał w miarę uprzejmie – jeżeli starsza bosman Corrin mówi, że coś będzie naprawione, to znaczy, że BĘDZIE NAPRAWIONE.

– Uhm… Tak jest, sir. Przepraszam.

– Liberty wydała zezwolenie, kapitanie.

– Wie pan, co robić, komandorze podporuczniku – odparł Weston z uśmiechem. – I gratuluję raz jeszcze awansu.

– Dziękuję, kapitanie. Kurs wyznaczony, napęd uruchomiony. Prędkość bezpieczna, wyjście z portu.

„Odyseja" zadudniła nisko i potężnie, gdy rozpoczęły się reakcje spalania, a systemy MP pchnęły okręt naprzód. Zaczął powoli oddalać się od punktu Lagrange'a i orbity Ziemi. Eric uśmiechnął się z satysfakcją, gdy poczuł lekki nacisk przyśpieszenia, co znaczyło, że znowu wyruszał w czarną międzygwiezdną otchłań.

***

Wydostanie się ze studni grawitacyjnej gwiazdy wymaga czasu, zwłaszcza gdy początkowa prędkość jest zerowa. No,

relatywnie zerowa, jak podejrzewał Eric. W czasoprzestrzeni wszystko było względne, jak na złość.

Okręt spotkał się z tankowcem tuż za orbitą Saturna, zgodnie ze standardową procedurą dla opuszczających układ jednostek. Oczywiście oprócz „Odysei" innymi takimi jednostkami były zwykle statki górnicze do eksploatacji komet oraz badawcze. Jednakże używały tego samego paliwa, więc procedura obejmowała je wszystkie.

Eric otrzymał materiały dotyczące okrętu międzygwiezdnego „Weifang" i musiał przyznać, że trochę zazdrościł Chińczykom ich technologii napędu. Chyba naprawdę zastosowali w praktyce równania Alcubierre'a, co Zachodowi nie udało się mimo trwających od dziesiątków lat prób.

„Z pewnością ktoś dostał już grant na miliard dolarów, żeby to nadrobić". Weston podejrzewał jednak, że Biuro Wywiadu Zagranicznego – External Intelligence Bureau – dostało także po cichu rozkazy, żeby przechwycić wyniki tych badań i przekazać je do domu.

Eric życzył agentom EIB szczęścia, chociaż domyślał się, że Gordon zapewne do nich należy i prędzej czy później stanie się dla Westona wrzodem na tyłku. Napęd reaktywny miał pewną przewagę nad tym z równań Alcubierre'a, ale napęd bez reakcji? Choćby tylko czysta oszczędność na masie paliwa wstrząsała wyobraźnią.

„Zapewne dlatego »Weifang« jest trzy razy mniejszy od »Odysei«. Ciekawe, jakie ma uzbrojenie i systemy obronne?"

– Zbliżamy się do heliopauzy, kapitanie.

Eric podniósł wzrok na stojącego w progu gabinetu świeżo mianowanego komandora podporucznika i skinął głową.

– Dziękuję, Daniels. Jak sobie radzą nowi praktykanci?

– Na razie nie można narzekać, kapitanie. Dam panu znać, gdy zauważę u nich oznaki stresu.

– Dobrze – stwierdził Eric. – Tylko pamiętaj, żeby wkroczyć, gdyby sprawy przyjęły nieprzyjemny obrót. Wolę w takich przypadkach polegać na tobie niż na kimś innym.

– Zrobi się, kapitanie. – Daniels zasalutował i cofnął się od drzwi, które oddzielały pomieszczenie od mostka.

Eric westchnął i zaczął porządkować swoją dokumentację. Było tego dużo, coraz więcej, odkąd musiał podpisać każdą zmodyfikowaną lub nową część, jaką zamontowano w „Odysei" podczas przebudowy. Chyba miał po prostu szczęście, że wszystko to działało, lepiej lub gorzej, bo inaczej musiałby pisać raporty do dnia Sądu Ostatecznego.

Kiedy ostatnie z wymaganych dokumentów zostały zaakceptowane, Eric wrócił na mostek i zajął główny fotel przy stanowisku dowodzenia.

– Ach, komandorze, miło widzieć, że wyszedł pan z najgłębszych zakamarków okrętu – stwierdził z lekkim uśmiechem, gdy obejrzał się na pierwszego oficera. – Słyszałem, że mieliśmy jakieś problemy z zasilaniem.

– Cywilni wykonawcy nie wiedzieli, jak podłączony jest nasz reaktor, i chyba nie umieli sobie poradzić z odczytaniem schematów – odpowiedział oschle Roberts, dawniej amerykański komandos, niezbyt rozbawiony tą sytuacją. – Bosman doprowadziła to do porządku. Możemy lecieć.

– Doskonale. Wiedziałem, że się jej uda. – Eric nieco się rozluźnił.

Chociaż nie chciał czekać na ziemskiej orbicie – źle by to wyglądało w raportach, gdyby okręt nie był sprawny po przebudowie i nie odleciał w wyznaczonym terminie – jednak jeszcze bardziej obawiał się, że będzie musiał wrócić do portu, aby dokonać napraw. Bosman Corrin doskonale sobie radziła – inaczej nie znajdowałaby się na pokładzie okrętu Westona – jednak należało również uwzględnić wszechobecne prawo Murphy'ego. Eric cieszył się, że nie zawiódł się na starszej bosman.

Ruszył na obchód mostka. Zerknął na ekrany przekaźnika.

– Czas do tranzycji?

– Trzy minuty, kapitanie – odpowiedział Daniels ze swojego stanowiska. Pochylał się nad chorążym, który siedział przy pulpicie. – Obliczanie współrzędnych dla układu Ranquil.

– Dobrze. – Eric usiadł w fotelu. Czuł już ciężar w żołądku. – Niech pan uprzedzi załogę przed tranzycją i można włączyć systemy, gdy tylko będzie pan gotów.

– Tak jest, sir. Czas do tranzycji… dwie minuty trzydzieści sekund. Odliczanie, teraz.

Światła na mostku oraz na całej „Odysei” przygasły i przybrały bursztynową barwę, gdy Daniels włączył komunikator na paśmie dla całego okrętu.

– Cała załoga: gotowość do tranzycji, powtarzam, cała załoga: gotowość do tranzycji.

Podczas odliczania Eric zmusił się do rozluźnienia. Weszło mu to już w nawyk. Wyrównać oddech, wyglądać na opanowanego i spokojnego. Na pokładzie „Odysei” niewielu było takich, którzy lubili napęd skokowy. Stanowił on jedną z najbardziej przerażających i nienaturalnych metod transportu, jakie udało się wymyślić ludzkości, i zwykle doprowadzał wszystkich na skraj obłędu.

Niełatwo zachować spokój i zdrowy rozsądek, gdy okręt zostaje przemieniony w kontrolowaną erupcję tachionów i przelatuje w okamgnieniu przez wszechświat. Gdy się uwzględni dylatację czasu podczas skoku, która sprawia, że niektórym wydaje się, jakby wieczność była chwilą, a dla innych chwila trwa wieczność, człowiek dowiaduje się o sprawach, o których wolałby nie wiedzieć.

Najłatwiej było przyjąć do wiadomości, że kadłub roztapia się w próżni. O wiele trudniej przychodziła świadomość, że to samo dzieje się z przyjaciółmi i innymi członkami załogi. Eric miał pewność, że w jakimś momencie widział, jak wierzchnie warstwy jego oczu zanikają, i było to coś, o czym starał się ze wszystkich sił nie myśleć.

Odliczanie trwało do ostatnich sekund i Eric usłyszał mimowolnie, jak Daniels ogłasza rozpoczęcie skoku. Zamknął oczy, koncentrując się na udawaniu, że wygląda na znudzonego i może trochę zmęczonego, na wypadek gdyby ktoś patrzył. To akurat było bardzo wątpliwe, ale dbanie o wizerunek nigdy nie zaszkodzi.

Tym razem Eric poczuł efekty, zanim jeszcze napęd skokowy zaczął obracać jego cząsteczki w pustkę. Kapitan wychwycił jedynie przebłyski gwiazd za kadłubem „Odysei”, po czym stracił oczy i pogrążył się w czerni.

Wkrótce potem oczy wróciły na miejsce wraz z resztą ciała i było po wszystkim.

Centrum dowodzenia
Mons Systema, Ranquil

– Boje na zewnątrz systemu zarejestrowały zdarzenie nadświetlne, admirale.

– Nadchodząca fala czołowa? – Tanner podniósł się z łóżka i pacnięciem włączył linię komunikacyjną.

– Nie. Sygnatura pasuje do napędu „Odysei”.

Rael opadł na posłanie.

– W porządku. Dotarcie do Ranquil zajmie jej kilka godzin. Będę gotów za trzy, o ile nie zdarzy się coś nieprzewidzianego.

– Dobrze, admirale.

Połączenie się skończyło i Rael obrócił się na plecy, starając się nie przeszkadzać śpiącej towarzyszce. Przylot „Odysei” albo jakiegokolwiek okrętu z Ziemi nie należał do złych wieści, ale Tanner zaczął się zastanawiać, czy te wydarzenia nie przynosiły pecha.

Poprzedniego dnia otrzymał odpowiedź od dwóch okrętów wysłanych, żeby sprawdziły dziwne odczyty ze skanów dalekiego zasięgu. Drasinowie znajdowali się znowu w pobliżu, ale tym razem nie wydawali się wcale zainteresowani światami kolonii. Gdy tylko pojawiały się oznaki kłopotów, z głębi kosmosu przybywała „Odyseja”.

„Niemal aż nazbyt w porę” – uśmiechnął się Tanner i ponownie zamknął oczy.

***

„Odyseja” szybko minęła punkty kontrolne, zagłębiając się w studnię grawitacyjną. Unikalna konfiguracja okrętu dawała jasno do zrozumienia, kim są przybysze na jego pokładzie i że z całą pewnością nie są to Drasinowie. Eric nerwowo sprawdził, czy mundur galowy dobrze leży, ponieważ wiedział, że przybycie na planetę będzie się wiązało z pewnymi ceremoniami.

Załoga „Odysei” była witana na Ranquil z entuzjazmem, przynajmniej przez cywilną część społeczeństwa. Wojskowi traktowali ludzi z szacunkiem, lecz także z większą rezerwą. Erica nie dziwiło to nastawienie, sam byłby nieufny wobec obcego okrętu wojennego o możliwościach, jakimi mogła się pochwalić „Odyseja”.

– Mostek do kapitana Westona.

Eric wcisnął guzik interkomu.

– Tu Weston.

– Osiągnęliśmy stabilną orbitę nad Ranquil. Admirał Tanner przesyła pozdrowienia i zaproszenie na obiad. Pułkownik Reed i ambasador LaFontaine także przesyłają pozdrowienia i podobne zaproszenia.

– Przyjąłem. Zabraliście pocztę?

– Tak jest, sir. Dostarczymy ją, gdy tylko znajdziemy się na orbicie.

– Dobrze. Upewnijcie się, żeby paczki wymagające ostrożnego transportu zostały dostarczone w odpowiednich warunkach.

– Się robi, kapitanie.

Reed i ambasador mogą poczekać, zdecydował Eric. Oczywiście nie za długo, ale wolał najpierw spotkać się z admirałem Tannerem, tym bardziej że nie otrzymał żadnych rozkazów, które mogłyby temu przeszkodzić.

Wrócił na mostek i dwukrotnie upewnił się, że „Odyseja” znajduje się na bardzo wysokiej orbicie. Znajdowali się daleko za pasami van Allena planety i Eric miał nadzieję, że to

uniemożliwi Centrali przeszukiwanie komputerów pokładowych. Niewiele jednak mógł zrobić ze swoim umysłem. Nie było żadnego dyplomatycznego sposobu, żeby uniknąć postawienia stopy na planecie, ale też kapitan nie znał wielu tajemnic, które okazałaby się przydatne dla bezcielesnej inteligencji lub dla Priminae, więc postanowił zaryzykować.

– Prom gotowy do startu, kapitanie.

– Świetnie. – Eric skinął głową. – Przekaż, że już lecę.

– Tak jest, sir.

***

Rael Tanner obserwował lądowanie wielkiego terrańskiego promu. Wahadłowiec unosił się tuż nad płytą lądowiska, które nie wytrzymałoby ciężaru tak wielkiej maszyny, dlatego pilot tylko obniżył lot i utrzymując ją w delikatnej równowadze nad ziemią, opuścił rampę, żeby wypuścić pasażerów.

Był to imponujący pokaz sprawności pilotażu. Zwłaszcza gdy się wiedziało, że to świadectwo umiejętności pilota, który polegał prawie wyłącznie na sterowaniu ręcznym, nie automatycznym. We wcześniejszych rozmowach Weston powiedział Tannerowi, że ziemskie promy mogły wykonywać automatyczne manewry, ale bardzo niewielu pilotów po szkoleniu wojskowym z tego korzystało. Sterowanie automatyczne było dla cywilów.

Weston zszedł z rampy samotnie, po czym zatrzymał się, żeby machnięciem ręki dać znak, że prom może odlecieć, zanim ruszył dalej do miejsca, gdzie czekał Tanner. Wahadłowiec oddalił się, manewrując precyzyjnie, odrzut tylnych silników szarpnął mundurem kapitana. Weston obojętnie wygładził ubiór, zanim przestąpił próg.

– Witam ponownie na Ranquil, kapitanie.

– Powrócić tutaj to prawdziwa przyjemność, admirale. – Eric z uśmiechem skinął głową drobniejszemu mężczyźnie. I wcale nie przesadzał – lubił spędzać czas na Ranquil. Główne miasto,

Mons Systema, było największą zamieszkałą aglomeracją, jaką widział. Przy Mons Systema wielkie miasta Ziemi wydawały się prowincjonalnymi osadami. Większość tutejszych megalitycznych budowli sprawiała wrażenie starodawnych, co Ericowi bardzo się podobało.

Większość środowiska naturalnego planety pozostała nietknięta, z krajobrazu wyłaniało się tylko kilka miast. Weston niewiele wiedział o socjologii, ale rozmawiał z historykami, amatorami i profesjonalnymi konsultantami o świecie i społeczeństwie Priminae. To była jedna z korzyści jego sławy – kiedy prosił o rozmowę z największymi umysłami Kolonistów, ludzie rywalizowali o to, kto udzieli mu odpowiedzi.

W przypadku Priminae nic nie pasowało.

Przede wszystkim byli ludźmi, a to nie miało żadnego sensu. W wykresach ewolucji na Ziemi ziały wprawdzie dziury, ale już prawie wszystkie zostały wypełnione, więc nie zgadzała się teoria, że Ziemia to zaginiona dawno temu kolonia. Ludzkość ewoluowała na Ziemi i kropka. Koniec dyskusji.

Kim byli Priminae? Ludźmi przeniesionymi z Ziemi?

Możliwe, ale mało prawdopodobne. Priminae mieli zbyt długą historię, sięgającą dziesięciu tysięcy lat, a wiele wskazywało, że nawet dłuższą. O ile to nie fałsz. Istniały bowiem mocne dowody, że Priminae nie pochodzili ze światów, które zamieszkiwali. Do tego ich miasta. Specjaliści, z którymi Eric rozmawiał, wierzyli, że każda kultura, która rozwinęła się na danym świecie, rozprzestrzeniała się, a nie grupowała i ograniczała do kilku wielkich aglomeracji.

„Oczywiście to, że sami nazywają swoje światy koloniami, jest też wyraźną wskazówką” – pomyślał Eric, gdy szedł obok Tannera kamiennym korytarzem.

– Powiedział pan, kapitanie, że to przyjemność wrócić do nas. Zapewniam więc, że dla nas jest przyjemnością gościć pana na Ranquil – oświadczył Tanner.

– Dobrze, że tym razem nic nam nie przeszkodziło w drodze. – Weston uśmiechnął się szeroko. – To była nudna podróż, bez żadnych incydentów.

– Nudna, czyli dobra – zgodził się admirał.

– A skoro już o tym mowa, pojawiły się ślady Drasinów od naszego odlotu?

– Tak. – Rael spoważniał. – Głównie na obrzeżach naszych światów. Właśnie wysłałem dwa okręty do wyśledzenia wroga, zapewne roju.

– Jakieś pomysły, co knują Drasinowie?

– Obawiam się, że żadnych – skrzywił się ponuro admirał. – Trzymali się na granicy zasięgu naszych najlepszych skanerów i chociaż nie cofali się, żeby uniknąć spotkania z naszymi okrętami, nie mieliśmy ochoty podchodzić za blisko.

Eric tylko skinął głową. Nie chciał na głos wyrażać swoich myśli.

Nie chodziło o to, że dowódcy Priminae byli tchórzami, kapitan widział dość, żeby tak nie uważać. Oni po prostu nie lubili myśleć agresywnie ani tak postępować. Gdyby coś próbowało wyważyć drzwi, Priminae bez wahania by to załatwili, ale nie przychodziło im do głowy, żeby iść i powstrzymać draństwo na zimno w głębi kosmosu, gdzie wyrządziłoby to niewiele szkód.

Gdyby Eric dysponował odrobinę większą siłą militarną, nalegałby, żeby Konfederacja zaatakowała Drasinów. Drasinowie stanowili zagrożenie dla wszystkiego, co Weston cenił i uznawał za warte obrony. Teraz jednak pozostanie w ukryciu było dla Ziemi największą szansą. Priminae nie mieli takiego wyboru – już ich napadnięto, więc nie pozostała im żadna wymówka, a jednak wciąż woleli stać i czekać.

W wojnie o przetrwanie nie ma miejsca na opory moralne.

Łatwo powiedzieć, ale Priminae nie myśleli w ten sposób. Byli w każdym calu pacyfistami, nawet gdy chodziło o samoobronę. Ale przynajmniej nie należeli do tych, którzy stoją i czekają na rzeź. Eric jednak uważał, że powinni się obwarować i ruszyć na wroga.

– Z tego, co widzieliśmy, są tak liczni, że bez trudu mogliby zmiażdżyć wasze siły, gdyby się tylko zgromadzili – zauważył. – Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobili.

– Ani ja – przyznał ze znużeniem Tanner. – To jedno z kluczowych zagadnień, które nie daje mi zasnąć prawie każdej nocy.

Eric aż za dobrze go rozumiał. Sam stracił więcej niż parę godzin snu, gdy dowiedział się o istnieniu Drasinów, a jeszcze więcej, gdy przekonał się o istnieniu innej grupy, która się za nimi kryła.

– Mam przygotowany skromny posiłek. – Tanner gestem zaprosił Erica do środka. – Nic wymyślnego. Zapewne później będzie pan chciał zjeść z ambasador.

Eric potwierdził, gdy wchodzili do pokoju.

– I z pułkownikiem, choć to będzie raczej picie niż jedzenie.

– W rzeczy samej. – Rael wskazał kapitanowi miejsce i zajął swoje. – A co ciekawego dzieje się na pańskim świecie?

– Dobrze, jak sądzę, choć musimy sobie poradzić z paroma denerwującymi przepychankami politycznymi.

– Ach tak, czytałem streszczenie raportu. Nie macie centralnego rządu?

– Nie. – Eric uśmiechnął się szeroko. – I szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby na Ziemi udało się taki wprowadzić. Ludzie są podzieleni na zbyt wiele frakcji. Nigdy nie dojdziemy do porozumienia, jak rządzić, nie wspominając już o tym, KTO powinien to robić.

– A dla mnie to właśnie jest nie do pojęcia. – Tanner potrząsnął głową. – Nawet młodsze kolonie, gdzie osiedlają się głównie ludzie, którzy nie są zadowoleni z życia w światach centralnych, podporządkowują się naczelnemu rządowi.

– Każdemu na własną miarę – stwierdził Eric. – I, jak mawiała moja matka, niechaj im to służy.

– Niechaj im służy – uśmiechnął się Tanner. – Podoba mi się. Niechaj im to służy, w rzeczy samej.

– Teraz najbardziej mnie dręczy, co knują Drasinowie i ich nadzorcy. – Eric powrócił do bieżących problemów. – Chociaż dostałem również rozkaz, aby mieć oko na jednostkę Bloku, która znajduje się gdzieś w okolicy.

– Blok? To ten… drugi główny rząd na pana świecie?

Eric skinął głową.

– No cóż, w każdym razie jeden z nich. Okręt międzygwiezdny Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang” jest pewnie w układzie Gliese 581, a przynajmniej tak mi powiedziano. To nawet nie w pobliżu pańskich światów, ale mam sprawdzić kilka lokacji, zanim odlecę do domu.

– Nie znam tej nazwy układu – przyznał Tanner. – Terminologia terrańska, jak rozumiem?

– Tak. Ta gwiazda znajduje się o kilkadziesiąt lat świetlnych stąd. Czerwony karzeł, którego odkryliśmy parę dekad temu, z planetami prawdopodobnie nadającymi się do zamieszkania. Gliese był na naszej liście do zbadania, zanim spotkaliśmy Priminae. Chińczycy zdołali stworzyć napęd nadświetlny i właśnie tam się skierowali, sądząc po wektorowej analizie ich trajektorii.

– Czerwony karzeł z nadającymi się do zasiedlenia planetami? Rzadkość, jak wszystkie takie układy. – Tanner zmarszczył brwi. – Wydaje mi się to znajome, ale nie mogę sobie przypomnieć.

– Może coś z raportów? – Eric doskonale wiedział, że to, co się czyta w materiałach informacyjnych, często przypomina się później.

– Możliwe. Gdzie leży ten układ, może pan powiedzieć?

– Proszę mi dać mapę gwiezdną, a na pewno znajdę.

– Oczywiście, ale najpierw może coś zjemy?

Eric uśmiechnął się na tę propozycję.

– Jak pan sobie życzy, admirale.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”
W pobliżu kolonii Simanth

Kapitan Kian spojrzała na wyniki skanowania układu gwiezdnego kolonii i z trudem powstrzymała się od rzucenia

wiązki wulgarnych przekleństw. Simanth była młodym światem, słabo zaludnionym, ale przede wszystkim znajdowała się pod ochroną Kian. Znajdowała się.

Główną kolonię zainfekował rój brudnych i obrzydliwych stworzeń, a pocieszające było tylko to, że wkrótce wszystkie one znikną z tego świata i zajmą się następnym.

Drasinowie dokonali inwazji, gdy okręt Kian i „Nept" były w drodze z głównych światów. Z Simanth nie wysłano ostrzeżenia ani prośby o pomoc. Zanim okręty wyruszyły, dysponowały tylko odczytami ze skanerów dalekiego zasięgu, które wskazywać mogły na obecność Drasinów. A kiedy „Posdan" i „Nept" przybyły, zastały już…

To.

– Przekażcie wieści do centrum dowodzenia, poinformujcie o utracie kolonii – rozkazała Kian.

– Co z sygnałami, które mieliśmy sprawdzić?

– Chyba już znamy ich źródło – mruknęła Kian ponuro.

– Na to wygląda.

– Powinniśmy to sprawdzić dokładniej. – Kapitan westchnęła. – Tak na wszelki wypadek. Mamy wektor prowadzący do ostatniej znanej lokalizacji tych sygnałów?

– Tak. Pojawiały się na granicach tego układu o kilka lat świetlnych. Żadnych oznak, żeby się zbliżały.

Kian zmarszczyła brwi.

– Rozumiem. Dobrze. Ustawcie kurs i przekażcie „Neptowi", że postępujemy zgodnie z instrukcjami.

– Wedle rozkazu.

Wielki okręt, jeden z najpotężniejszych we flocie Priminae, obrócił się powoli od umierającego świata. Wydostanie się z pola grawitacyjnego zajmie trochę czasu, ale wiedzieli już, co robić.

Gdzieś tam coś wyraźnie się ukrywało.

Nadeszła pora, by to wywabić.

ROZDZIAŁ 4

Centrum dowodzenia
Mons Systema, Ranquil

Eric przyglądał się wielkiej mapie gwiezdnej, unoszącej się na środku pomieszczenia. Największe wrażenie zrobił na nim system obrazowania. Na Ziemi używano projekcji holograficznych, ale wymagało to o wiele potężniejszych gabarytowo urządzeń niż te, które widział tutaj.

– Może pan znaleźć tę gwiazdę… Gliese 581? – zapytał zza pleców Westona admirał.

Dobre pytanie, skonstatował Eric.

Był wyszkolonym nawigatorem i potrafił odnajdować drogę między gwiazdami, ale wymagało to najprostszych urządzeń pod ręką. Zapowiadało się, że łatwo nie będzie.

– Bliżej naszego ramienia Galaktyki.

Obraz przybliżył się, gładko wykluczając kilkaset milionów gwiazd.

– Ranquil w centrum.

Słońce układu, w którym Eric właśnie się znajdował, rozjarzyło się po przesunięciu na środek mapy. Eric znał relatywną odległość między Ranquil i Ziemią, ale z ostrożności nawet nie spojrzał na tamten obszar. Nawet NIE POMYŚLAŁ o tym obszarze. Przyjął Ranquil jako punkt wyjściowy i z grubsza dokonał w pamięci obliczeń, aż znalazł czerwonego karła w wyznaczonym wycinku przestrzeni.

– Tutaj. Zbliżenie, proszę.

Układ się powiększył, planety orbitujące wokół małej gwiazdy stały się widoczne. Teraz wystarczyło jedynie porównać obraz

z tym, jaki pamiętał z materiałów informacyjnych, przygotowanych przed pierwszą misją „Odysei”. Wyglądały chyba tak samo.

– Myślę, że to ten.

Rael zamruczał pod nosem, po czym pochylił się i przyjrzał gwieździe. W tym obszarze nie było żadnego skolonizowanego przez Priminae świata, a gwiezdny obiekt, na który natknęła się „Odyseja”, znajdował się o wiele dalej.

„O co chodzi z tym układem? Och!”

– Chyba wiem – stwierdził Tanner, po czym odwrócił się do swojego komputera i otworzył wcześniejsze raporty. – Właśnie. Tu jest. Nie mamy żadnej kolonii w tym obszarze, ale wykryliśmy ślady i obliczyliśmy, że stąd mógł pochodzić sygnał Drasinów.

– Naprawdę? – Pytanie zabrzmiało ostro, choć Eric wcale tego nie chciał.

Układ Gliese 581 znajdował się około dwudziestu dwóch lat świetlnych od Ziemi – może nie w jej bezpośrednim sąsiedztwie, ale wystarczająco blisko, żeby stanowiło to powód do zmartwienia.

– Tak. Położona najbliżej tego obszaru kolonia to Simanth. Posłałem tam „Nepta” i „Posdana”, żeby sprawdziły ślad sygnału. Jeżeli nie został zmieniony lub zniekształcony, musiał pochodzić właśnie z waszego Gliese 581 – odparł Tanner i podświetlił gwiazdę, o której mówił.

Eric wziął głęboki wdech, żeby trochę się uspokoić. Jeżeli Drasinowie wyruszyli z Gliese 581, nie kierowali się nawet w pobliże Ziemi, kurs na Simanth prowadził w innym kierunku. Jednak trajektoria skłaniała do jeszcze jednego wniosku: wrogowie byli w układzie Gliese. A jeśli tak, to istniała spora szansa, że „Weifang” na nich natrafił.

„Zwiad do tego układu należy uznać za priorytet. Trzeba polecieć i sprawdzić, czy znajdują się tam ślady Drasinów”.

Ze względu na ludzkość Eric miał nadzieję, że nie doszło do kontaktu. Wiedział, że technologia osłon kamuflujących Bloku była zacofana o parę generacji w stosunku do rozwiązań

stosowanych przez Konfederację. Aparaturą namiarową Blok też nie mógł się pochwalić. Dla okrętu bez najnowszego opancerzenia lasery Drasinów okażą się zabójcze.

– Kiedy skończymy tutaj – oznajmił Eric – zamierzam przed powrotem do domu polecieć w ten rejon.

– I poszukać swoich pobratymców, tak? – upewnił się Tanner. – Nawet jeśli to pana wrogowie?

Eric wzruszył ramionami.

– Są wrzodem na tyłku, ale to ludzie. Przynajmniej sprawdzę, jak sobie radzą. Zresztą, i tak miałem zwiad na Gliese w rozkazach. Mogę załatwić wszystko za jednym zamachem.

Tanner skinął głową. Choć nie do końca rozumiał ton wypowiedzi przyjaciela, jego słowa miały sens.

– Uprzedzę „Nepta" i „Posdana", żeby wiedziały, że może będziecie prowadzić działania w ich pobliżu.

– Byłbym zobowiązany – uśmiechnął się Eric. – Lepiej uniknąć… bratobójczego ognia.

Głęboka przestrzeń kosmiczna Trzy lata świetlne od Gliese 581

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang"

Sun rozejrzał się po maszynowni, na wpół przerażony, na wpół dumny ze stanu, w jakim wszystko tutaj zastał. Musieli praktycznie zerwać całą sekcję, żeby zrobić miejsce dla wytwórni, które udało się odzyskać z uszkodzonych sekcji okrętu.

Nowe części do filtrów były wymieniane tak szybko, jak tylko udawało się je wytworzyć, a Sun wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Świece chemiczne, wydzielając tlen, pozwalały

utrzymać powietrze w stanie zdatnym do oddychania, ale było ono coraz bardziej zatęchłe.

– Ostatnie części właśnie schodzą z taśmy produkcyjnej, kapitanie – zameldował z ulgą główny mechanik, Pan. – Za godzinę pozbędziemy się dymu.

– Dobrze. Niech wytwórnie pracują. Chcę mieć części zamienne i wszystkie systemy naprawione jak najszybciej.

– Tak jest, kapitanie.

Sun opuścił maszynownię i na rękach przeciągnął się po korytarzach, żeby wrócić do swojej domeny – na mostek. Jego oficerowie oczywiście pracowali. Usadowił się w fotelu, a potem zapytał:

– Jakieś oznaki, że byliśmy śledzeni?

– Nie, kapitanie. Skierowaliśmy nasze pasywne sensory do tyłu, na nasz kurs, zaraz po wyjściu z nadświetlnej – odparł Shi. – Nie wykryliśmy jak dotąd żadnych oznak pościgu.

Sun skinął głową. Nie zamierzał jednak kierować się w stronę Ziemi, jeszcze nie.

Czujniki pasywne opierały się na aparaturze działającej tylko dla prędkości światła, co znaczyło, że nie mogli wykryć nic oprócz… Sun zerknął na zegar okrętowy, żeby się upewnić. Tak, wszystko, co znajdowało się dalej niż dwa dni świetlne, było dla „Weifanga” niewykrywalne.

Cała flota mogłaby przelecieć parsek i przyczaić się o trzy dni świetlne, a na okręcie musiałby minąć jeszcze dzień, żeby ktoś zauważył obecność wroga. Fizyka prędkości nadświetlnych wywoływała u Suna bóle głowy, ale jedno było pewne – „Weifang” jeszcze nie wydostał się z tarapatów.

– Maszynownia skończyła wytwarzanie nowych filtrów – oznajmił. – Gdy tylko nasze systemy podtrzymywania życia będą znowu w pełni sprawne, chcę mieć gotowy kurs ucieczki. Wydłużymy dwukrotnie drogę, wybierzemy losowo kilka pobliskich gwiazd i zrobimy tam przystanki. Postarajmy się, żeby wyśledzenie nas stało się naprawdę trudne. Jasne?

– Jak słońce, kapitanie – zapewnił Shi. – Mam zająć się wyznaczaniem kursu ucieczki?

– Poproszę – skinął głową Sun.

– Będzie gotów, gdy tylko skończymy przygotowania do odlotu.

– Dobrze.

Kapitan włączył przekaźnik danych z głównych skanerów i zaczął przyglądać się przepływającym po ekranie liczbom. Nie wiedział, czy „Weifangowi" uda się wrócić do domu, ale musiał przynajmniej spróbować i zrobić to tak, aby nie zdradzić wrogowi, dokąd zmierza okręt.

Nieoczekiwanie Sun przyłapał się na zastanawianiu, jak kapitan „Odysei" znosił podobną sytuację.

Planeta Ranquil

– No, kapitanie, jakie wieści z domu?

Eric zerknął na Reeda, który opierał się o ścianę, składane krzesło zatrzeszczało niebezpiecznie pod ciężarem potężnego mężczyzny. Po zakończeniu spotkania z admirałem Weston złożył wizytę ambasador, a dopiero potem poszedł tam, gdzie Priminae i ich terrańscy doradcy przygotowywali poligon.

– Większości mógłbyś się sam domyślić – odpowiedział Eric. – „Enterprise" wystartuje za kilka miesięcy, a wraz z nim dwa bratnie okręty, „Pearl Harbor" i „Iwo Jima". Sporo okrętów wsparcia i mniejszych niszczycieli też wkrótce będzie skończonych, ale nie pamiętam ich nazw.

– Czyli wkraczamy na wojenną ścieżkę, prawda? – zapytał Reed z powagą.

– Na to wygląda – przyznał Eric. – I moim zdaniem, był już na to najwyższy czas. Za wiele paskudztw gdzieś w kosmosie chce nas pożreć i wysrać marne resztki.

– To prawda.

Reed widział na własne oczy, jak Drasinowie przejmują świat, i chociaż ich taktyka nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia,

łatwo potrafił się domyślić, co stanie się z planetą, która nie ma odpowiedniej obrony.

– A najświeższa wieść głosi – skrzywił się Eric – że Blok dołączył do zabaw w kosmosie.

Reed omal nie upuścił drinka.

– Rozpracowali napęd skokowy?

Weston pokręcił głową.

– Nie, zdaje się, że zastosowali równania Alcubierre'a.

Żołnierz zmarszczył brwi, próbując przywołać z pamięci, co wiedział na ten temat.

– Przez chwilę też próbowaliśmy, prawda?

– Tak, NASA miała taki projekt, ale nie udało się obejść wymaganej do uruchomienia takiego napędu mocy, przynajmniej nie na praktycznym poziomie – wyjaśnił Eric. – Pewnie też nie wszystko było zrozumiałe. Niewiele czytałem o tych pracach. Blok zawsze nas wyprzedzał w technologii MP o parę generacji, nic więc zaskakującego, że to właśnie jego naukowcom udało się skonstruować napęd Alcubierre'a.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem materiały informacyjne – stwierdził Reed z namysłem – to chyba sposób, który stosują również Priminae?

– Taka jest teoria, owszem, ale niepotwierdzona – przyznał Eric. Nikt nie chciał za bardzo naciskać na Priminae w kwestii ich napędu, skoro Konfederacja ani myślała ujawniać w zamian jakichkolwiek danych dotyczących technologii umożliwiającej tranzycję. Lepiej było nawet o tym nie wspominać. – Okręt Bloku, „Weifang", skierował się na Gliese 581 około dwóch tygodni temu. Nie znamy jego prędkości, ale to na pewno nadświetlna. Kiedy pozałatwiam sprawy tutaj, poprowadzę „Odyseję" w tamte okolice, żeby się po cichu rozejrzeć.

– Chcesz zerknąć dawnemu wrogowi przez ramię? – Reed uśmiechnął się krzywo.

– Tak. I nie bez znaczenia jest to, że dowództwo Priminae wysłało w tamten rejon dwa okręty parę dni temu. No, przynajmniej w pobliże tego rejonu – odparł z powagą Eric. – Wykryli tam jakieś ślady, które mogą pochodzić od Drasinów.

– Cholera. Nie lubię Bloku, ale tego nie życzyłbym najgorszemu wrogowi – stwierdził Reed. – Mają szanse w starciu z Drasinami?

Eric wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Nie mogą przyjmować trafień jak „Odyseja", a wiesz, że nasz okręt przypomina raczej skorupkę jajka…

Reed tylko pokiwał głową.

Chociaż „Odyseja" była zapewne najlepiej opancerzoną jednostką, jaką dotychczas stworzyła ziemska cywilizacja, jednak wydawała się tylko kruchą zabawką, która spłonęłaby na popiół, jeśli wziąć pod uwagę siłę rażenia, jaką dysponowali Priminae albo Drasinowie. Tylko zaawansowane osłony dawały „Odysei" jakąkolwiek szansę w starciu, ale nawet one nie wytrzymałyby zmasowanego ostrzału. Eric nie chciałby się znaleźć na pokładzie jakiegokolwiek okrętu, w który wymierzone byłyby lasery Drasinów, ale jednostka o gorszej niż „Odyseja" osłonie po prostu prosiła się o szybką śmierć.

– Jednak i tak muszę sprawdzić Gliese – dokończył Weston. – Choćby tylko po to, żeby przekonać się, czy Drasinowie rzeczywiście się tam pojawili i po co. Nawet myśl, że mogliby się znaleźć w pobliżu Ziemi, budzi mój sprzeciw.

– No to jest nas dwóch – zapewnił Reed twardo. – To na jak długo się tutaj zatrzymałeś?

– Odlatuję za parę godzin. To był tylko krótki rejs z zaopatrzeniem i pocztą dla was, chłopaki. Trochę listów i rozkazy dla ambasady. Wiesz, jak to działa.

– Jasne. Mam listę rzeczy, które chciałbym dostać, gdy zajrzycie tu następnym razem – oznajmił Reed.

– Przyślij mi spis, zanim opuścimy orbitę, albo to będzie musiało poczekać. I pośpiesz się, bo tym razem nie mogę zwlekać z odlotem. Dostałem od admirała nowe informacje.

– Zrozumiałe. Dopilnuję, żeby pliki zostały przesłane na czas.

– Tylko nie zapomnij. – Eric dokończył drinka. – A co nowego tutaj? Powinienem o czymś wiedzieć?

– Nie. Głównie chodzi o zaopatrzenie, które zużywamy szybciej, niż się spodziewaliśmy. – Reed pokręcił głową. – Miejscowi są bystrzy. Szybko się uczą. Przeskoczyliśmy parę zaplanowanych lekcji i tyle. Przydałoby się jednak paru szkoleniowców. Specjalistów.

Eric skinął głową. Nie znał się na tym, co robił Reed, ale przecież nie musiał. Wiedział natomiast, że wszystkie działania przebiegają o wiele lepiej, gdy są ludzie, którzy wiedzą, co robią, i wiedzą też, jak nauczyć tego innych. Ta ostatnia umiejętność należała do rzadkości, jednak Weston był pewien, że Konfederacja kogoś znajdzie.

– Specjalistów od czego, jeśli mogę spytać?

– Szczerze? Od wsparcia z powietrza bliskiego zasięgu – skrzywił się Reed. – Miejscowi piloci za bardzo polegają na kontroli komputerów pokładowych.

To pobudziło nieco ciekawość kapitana, ponieważ odsłużył sporo na pokładzie myśliwców bojowych. Jego specjalność stanowiło dowodzenie eskadrą, zwłaszcza że najbardziej zasłynął właśnie jako dowódca Archaniołów, ale spędził też więcej niż trochę czasu na innych stanowiskach.

– Potrzebny ci ktoś taki jak Jen – stwierdził.

– Jen?

– Jen Samuels – wyjaśnił Eric. – Jest nadzwyczajnym pilotem. Zaczęła od latania w transporcie, potem oblatywała najbardziej przerażające maszyny podczas wojny. Przydzielano ją i transferowano do moich jednostek chyba z pół tuzina razy pod koniec tamtej łomotaniny, ale wtedy już odzyskiwaliśmy przewagę. Oddałem jej własny myśliwiec, gdy zostałem kapitanem „Odysei” i wyruszyliśmy na pierwszą misję w tę część kosmosu. Teraz dziewczyna jest na stałe w eskadrze.

– Możesz ją wypożyczyć? – zapytał Reed. – Normalnie bym nie prosił, ale szczerze mówiąc, niektórzy z tych chłopaków zaczynają mnie przerażać, a powinniśmy już opracować jakieś procedury działania.

Eric zastanowił się nad tym, nie był jednak pewien. Wypożyczenie pilota nie osłabiało bardzo „Odysei”, zwłaszcza

że coraz rzadziej polegała na myśliwcach. Straty poniesione podczas starć w ostatnich dwóch misjach nie zostały uzupełnione, a sytuacja polityczna na Ziemi sprawiała, że Archanioły były na widoku, ale też stanowiły swoiste tabu.

Wiedział, że obecne dowództwo wojskowe nie chce nadziać się na minę, ujmując rzecz kolokwialnie, a prasa nagłośni każde posunięcie związane z odnowieniem eskadry. Jak na ironię, dziennikarze bardziej niż chętnie gotowi byli przeoczyć zbudowanie trzech okrętów klasy lotniskowców, wyposażonych w komplet „konwencjonalnych" jednostek latających bojowych i wsparcia. Archanioły stanowiły znacząco mniejszą siłę, ale ponieważ im się bacznie przyglądano, stały się jakby trędowate w obecnej sytuacji politycznej.

– Pogadam o tym z jej dowódcą eskadry – zdecydował w końcu Eric. – Nie spodoba mu się to, ale może uda się coś wykombinować.

– Dzięki.

– Jeszcze nie dziękuj. – Weston pokręcił głową. – Steph pewnie będzie równie chętny do oddania Jen, jak ja, gdy jeszcze dowodziłem eskadrą. Co znaczy, że niezbyt chętny, delikatnie rzecz ujmując.

– Uda się albo nie – zapewnił Reed. – Jeżeli twój chłopak się nie zgodzi, to tylko przekaż moje zapotrzebowanie jako rozkaz. Poczekam, jeżeli będzie trzeba. Cóż gorszego może mnie jeszcze spotkać?

– Wsparcie z powietrza naprawdę bliskiego zasięgu – mruknął Eric z przekąsem.

– A, tak. Właśnie – skrzywił się Reed.

W pobliżu niezbadanej wcześniej struktury Dysona

Ivanth przyjął postawę zdyscyplinowaną i uważną, zanim wszedł do gabinetu prohuera, i czekał w milczeniu, aż

zwierzchnik go zauważy. Stał tak kilka minut, zanim mężczyzna za wielkim biurkiem podniósł wzrok i skinął głową.

– Ivanth. – Wskazał krzesło.

Ivanth usiadł.

– Prohuerze.

– Z pewnością jesteś ciekaw, więc nie będę cię przetrzymywał. – Mężczyzna uśmiechnął się sztywno. – Drony przekazały raporty, które wzbudziły moje zainteresowanie.

– To znaczy, jeśli mogę spytać?

– Nowy okręt. – Głos prohuera zabrzmiał zwodniczo lekko. – Z pewnością nie należy do Priminae.

– Nieznany zatem?

– Nie, nie sądzę – odpowiedział prohuer. – Chociaż ciężko stwierdzić, biorąc pod uwagę, że drony pod wieloma względami są niezwykle prymitywne.

Ivanth skinął głową, ponieważ sam doskonale wiedział, że to prawda. Kiedy Ludzie odkryli drony, wydawały się cieniem w stosunku do obecnej formy, ale ich rdzenie właściwie się nie zmieniły. Pradawny świat, na którym znaleziono drony, przetrwał jakoś infekcję, dzięki czemu pozostało na nim kilka nietkniętych egzemplarzy tych bestii.

Matematyka, która rządziła ich tak zwanymi umysłami, okazała się nie tylko odkrywcza, lecz także nieopisanie frustrująca.

Ktokolwiek je stworzył, a bez wątpienia drony zostały stworzone, był formą życia nieznaną Ludziom, a zarazem chyba najgłupszą, jaka kiedykolwiek powstała we wszechświecie.

Biorąc pod uwagę milenia zapisanej historii, nikt nigdy nie napotkał niczego, co mogłoby uchodzić za ten zaginiony lud. Nie natrafiono na światy, gdzie pozostałyby ślady jego bytności. Ivanth osobiście wolałby to drugie niż pierwsze.

Obliczenia, które uchodziły za MYŚLI dronów, były dość proste i zarazem podstępne do interpretowania. Drony rozpoznawały ŻYCIE w oparciu o zdumiewająco prosty zestaw algorytmów, po czym przechodziły do anihilacji wszystkiego, co

żyło. A co do broni Ivanth słyszał, że drony skłaniały się do tej masowego zniszczenia, która miała manualne wyzwalacze. Bardzo skuteczne. Ale drony nie wybrzydzały, gdy chodziło o destrukcję. Jeżeli ktoś żywy znalazł się w ich zasięgu, stawał się celem.

A przynajmniej tak było, dopóki Ludzie nie przejęli nad nimi kontroli i nie dokonali paru modyfikacji algorytmów na poziomie rdzenia. Właściwie technicznie rzecz ujmując, dodali parę algorytmów. Nie udało się zmienić czegokolwiek, ale udało się coś dołożyć.

Wszystko to jednak oznaczało, że gdy sprawdzało się odczyty skanerów z dronów, otrzymywało się najwyżej analizę spektralną tego, na co drony akurat patrzyły, oraz rozkazy zabić/nie zabić.

– Dane wskazują na okręt o niskim potencjale mocy, podobny do nieznanego. Jednak odczyty bojowe ujawniły zupełnie inne systemy uzbrojenia – oznajmił prohuer z powagą. – Drony ścigają tę jednostkę, ale dodałem im instrukcje, aby trzymały się na maksymalny dystans. Chcę sprawdzić, czy ten okręt doprowadzi nas do czegoś interesującego.

– Do nieznanego zasiedlonego świata, jak się domyślam?

– Owszem, tak, to byłoby idealne rozwiązanie – przyznał prohuer.

Odkąd po raz pierwszy potwierdzono istnienie nieznanego okrętu, stało się to tematem intensywnych badań i dyskusji wśród osób zajmujących się planowaniem i dowodzeniem ekspedycjami. Jednostka bez efektywnej krzywej mocy, która mogła anihilować okręty dronów z równą łatwością, jak jednostki Ludzi rozprawiały się z bandytami ze światów zewnętrznych? To wystarczyło, żeby nawet najrozsądniejszych doprowadzić na skraj obłędu, a mówiąc szczerze, Ivanth nie znał wielu rozsądnych osób, które zgłosiłyby się na ochotnika do wyprawy tak daleko od głównych rodzimych światów.

Na własne oczy widział dane i był równie zafascynowany nieznanym jak wszyscy. Na okręcie nie powinno być żywej duszy z powodu niewyobrażalnie wysokiego poziomu

promieniowania, które stanowiło efekt uboczny działania napędu, a systemy nie mogły być tak niewykrywalne.

Jak wielu w siłach ekspedycyjnych, Ivanth myślał o świecie, skąd pochodził nieznany okręt, zarówno z przestrachem, jak i nieposkromioną ciekawością. Najbardziej lękano się natrafienia nie na pojedynczy świat, lecz na prawdziwe imperium międzygwiezdne. Wydawało się to nieprawdopodobne, skoro jak dotąd natrafiono na zaledwie jeden okręt, co potwierdzały odczyty, ale nawet kilka światów zdolnych zbudować jednostki o takiej mocy i finezji mogłoby stanowić przeszkodę dla misji Ludu.

Oczywiście nawet międzygwiezdne imperium nie zdoła przeszkodzić Ludziom. Drony replikowały się w postępie geometrycznym i były nie do powstrzymania. Gdyby je wypuścić po zdjęciu wszelkich ograniczeń, zniszczyłyby WSZYSTKO na swojej drodze.

Jednak to zajęłoby znacząco dużo czasu, co mogłoby okazać się problematyczne, wziąwszy pod uwagę wzrastający opór na głównych światach.

Co ważniejsze, zastanawiał się Ivanth ponuro, po czym powiedział:

– Czy enkodery wykryły przyczynę usterki?

Prohuer westchnął, wyraźnie zaniepokojony pytaniem.

Po przybyciu Drasinów na świat Priminae wystąpiły problemy z wszczepionymi algorytmami instrukcji. Zawiodły zwłaszcza ograniczenia i drony prawie zniszczyły pewien kluczowy świat, który siły ekspedycji chciały zachować nietknięty. Jeżeli nie udałoby się tego kontrolować, wysyłanie dronów do wartościowych układów gwiezdnych mijałoby się z celem.

– Niestety nie – odparł w końcu prohuer. – Jednak to nie powinno wpłynąć znacząco na tę misję. Nieznany okręt i świat, z którego pochodzi, nie znajdują się na naszej liście. Nie będzie problemów, jeżeli ten świat zniknie.

Ivanth skinął głową.

– Tak, prohuerze.

– Weź „Nieśmiertelnego” i „Herosa”. Chcę regularnych raportów i, jak się już domyślasz, czujnej obserwacji dronów. Okazuje się, że ich wewnętrzny kod jest mniej elastyczny, niż przewidywano.

Ivanth wstał.

– Jak rozkazałeś, prohuerze.

– Świetnie. Ruszaj. – Zwierzchnik skinął krótko głową.

Ivanth wykonał zwrot i odmaszerował.

ROZDZIAŁ 5

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”
Orbita Ranquil

Chodzenie w mikrograwitacji było oszałamiającym doznaniem, przypominającym bardziej stanie na krawędzi dachu wieżowca niż ciągłe spadanie. Nie był to upadek, uderzenie w ziemię i wspinaczka, by wszystko to powtórzyć. Nie, wrażenie przypominało raczej stałe mijanie punktu bez powrotu, nawet gdy się robiło kolejny krok.

Eric nigdy do tego nie przywykł, chociaż wiedział, że niektórym członkom załogi podoba się to doznanie. Oczywiście dostał też raporty, że jednemu lub dwóm ludziom podobała się tranzycja.

Miał załogę, której zdrowe zmysły dawno już nie podlegały dyskusji.

Magnetyczne buty zapobiegały bezwładnemu unoszeniu się w potężnym wnętrzu hangaru myśliwców „Odysei”. Eric pokonał w nich dystans do niewielkiej i szczerze mówiąc, bardzo zróżnicowanej eskadry, gdzie jak wiedział, znajdzie swojego przyjaciela Stephanosa.

Komandor Stephen Michaels był jednym z najmłodszych, lecz także najbardziej odznaczonych pilotów sił powietrznych. Ze swoją eskadrą wydostał się z tarapatów, w których powinien zginąć z resztą skrzydła. Eric, gdy został kapitanem „Odysei”, wybrał od razu Stephanosa na dowódcę jednostki i jak dotąd się nie zawiódł, chociaż podejrzewał, że pilot otrzymał ten przydział również dlatego, że nikt inny nie był zainteresowany.

Archanioły stanowiły niemal własność publiczną po wojnie, ale eskadra nie miała wysokiego priorytetu z różnych powodów. Większość tych, co byli starsi stopniem od Stephanosa, wolała awansować poza eskadrę, głównie na dowództwo okrętów podobnie jak Eric, Steph jednak jak nikt uwielbiał myśliwce.

Teraz eskadra asów pilotażu była tylko cieniem dawnej chwały – o połowę mniej liczna i zapewne do zastąpienia przez nowocześniejsze, ulepszone myśliwce kosmiczne, w jakie wyposażono już okręt „Enterprise" i jemu podobne.

Eric widział nowe eskadry i spodziewał się, że Archanioły zostaną rozwiązane w ciągu roku. Starał się utrzymać swoją eskadrę, jak długo się dało, zwłaszcza że ludzie tego chcieli, ale nadchodził kres epoki Archaniołów i niewiele już można było z tym zrobić. Archanioły robiły się przestarzałe. Tylko pod jednym względem wyprzedzały najnowsze maszyny latające z zakładów lotniczych, systemem połączeń neuronowych – i dopóki nie zostanie wynaleziony inny, którego będzie mogła używać większa część populacji, myśliwce nie staną się priorytetem dla konstruktorów.

– Steph – zawołał Eric, gdy stanął przed Archaniołem Zero Jeden, maszyną dowódcy eskadry.

– Szefie? – W głosie pilota brzmiało zaskoczenie i zmieszanie. Stephanos wystawił głowę z wlotu jednej z przepustnic powietrza. – To ty?

– Co, u licha, tam robisz? – Eric zignorował głupie pytanie i obszedł maszynę, żeby zobaczyć, czym się zajmuje młodszy mężczyzna.

– Cześć, szefie. – Steph wysunął się z wylotu i odepchnął, żeby stanąć przed kapitanem. Nie nosił butów magnetycznych, więc po prostu unosił się w powietrzu, przytrzymując się jedną ręką myśliwca, żeby zachować równowagę. – Co się stało?

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie. – Eric spojrzał nad jego ramieniem na wielką maszynę, teraz ciekaw jak nigdy, co się dzieje.

– Och, to tylko parę ulepszeń, które kilka tygodni temu testowaliśmy na symulatorach – wyjaśnił Steph. – Powinny podnieść moc w atmosferze o dodatkowe dwadzieścia procent i podwoić ciśnienie w zbiornikach rezerwy paliwa, gdybyśmy musieli tankować podczas lotu.

– I to działa?

– Na symulatorze tak – odparł Stephanos. – Miałem nadzieję, że pozwolisz na lot próbny w atmosferze Ranquil.

– Niestety, nic z tego. – Eric pokręcił głową.

– Daj spokój, szefie, nie musielibyśmy nawet schodzić głęboko w atmosferę, tylko w wysokie warstwy… – zaprotestował Steph.

– Nie ma czasu. Odlatujemy za godzinę. – Kapitan wzruszył ramionami. – Może trochę później, zależnie od tego, co wyniknie z naszej rozmowy.

– Na tyle później, żeby zdążyć z lotem próbnym? – wyszczerzył się Steph. – Zrobię wszystko, co zechcesz, byle wykonać ten lot.

– Ach tak? Reed prowadzi szkolenie w obozie na planecie i potrzebuje specjalisty od wsparcia lotniczego. Pomyślałem, że mógłbyś oddelegować tam Jen na jakiś czas – podsunął Eric, opanowując uśmiech. – A gdy będzie się pakować, mielibyśmy chwilę, żeby…

– Och nie, do cholery. Albo jeszcze dosadniej: o nie, kurwa – warknął Steph. – Przeprowadzimy lot próbny gdzie indziej. Eskadra i tak jest już o połowę słabsza. Nie możemy znaleźć pilotów do naszych jednostek, nie mamy nawet dla nich maszyn, gdyby się znaleźli. Jen jest z Archaniołów. Lata z nami.

– Archanioły długo się nie utrzymają, Steph. Na pewno sam to już zauważyłeś. Nigdy nie byłeś najbystrzejszy, ale też nie tak głupi, na jakiego pozujesz – odgryzł się Eric. – Archanioły się kończą. Zaciągnąłeś się, gdy miałeś dwadzieścia lat lub coś koło tego. Jeżeli zechcesz, dostaniesz własny okręt albo inną eskadrę pod dowództwo. Dotyczy to większości z nas. Ale Jen jest nowa. Będzie musiała wrócić do transportowców lub lotów pasażerskich, chyba że zdobędzie jakieś porządne rekomendacje.

W tym kryło się dla Erica sedno sprawy. Nie wiedział, co przyniesie przyszłość, ale nie widział żadnych perspektyw dla Jennifer Samuels. Dołączyła do Archaniołów za późno, eskadra zostanie zlikwidowana, zanim dziewczyna wyrobi sobie renomę. Weston nigdy nie miał jej pod bezpośrednimi rozkazami jako dowódca eskadry, ale i tak uważał ją za jedną ze swoich. Musiał spróbować znaleźć jej lepsze możliwości niż te, które oferowała bieżąca sytuacja polityczna.

– W jaki sposób szkolenie pacyfistów z obcej planety ma być lepsze niż loty transportowe lub pasażerskie? – Pytanie Stephanosa wyrwało Erica z zamyślenia. – Jen pragnie walczyć. Obaj to wiemy.

– I prawdopodobnie będzie miała okazję, jeżeli zostanie doradcą na Ranquil – zauważył Eric. Przecież planeta znajdowała się w strefie wojny.

– Ale to nie to samo. Wiem, że chcesz wyświadczyć Jen przysługę. Zapytam ją, ale wiem, co odpowie. – Steph z powagą pokręcił głową. – Archanioły to jedyny wybór. Zostanie z eskadrą do końca.

– Pogadaj z nią, Steph. Przekaż jej przynajmniej propozycję – westchnął Eric. – Nie zamierzam wydawać rozkazu, to zadanie całkowicie na ochotnika.

– Zasada numer pięć. – Stephanos spojrzał kapitanowi w oczy. – Nigdy nie zgłaszać się na ochotnika. Nigdy.

– Pogadaj z nią tylko, dobrze? – warknął Eric. – Nie mam czasu na cholerne dramaty. Przekaż prośbę Jen, a potem się przygotuj. „Odyseja” wyrusza w przestrzeń, gdzie możemy natrafić na wroga. Jeżeli Drasinowie nie zaczną do nas strzelać, to istnieje spora szansa, że zrobią to Chińczycy. Wsparcie naszej obrony eskadrą może się wtedy bardzo przydać.

– I chcesz pozbyć się przed taką misją jednego z pilotów? – prychnął Steph. – Bez urazy, ale odbiło ci?

– Nie zamierzam ciągnąć dłużej tej rozmowy, Steph. Jeden myśliwiec nie wpłynie na nasze szanse, o czym doskonale wiesz. Tu nie chodzi o nas, lecz o Jen.

– Dobra, jak chcesz. – Steph zmarszczył brwi, po czym wytarł ręce w szmatkę wyciągniętą zza pasa. – Coś jeszcze?

– Owszem, zmień nastawienie – odparł mu Eric beznamiętnie. – Nie wyrzuciłem cię jeszcze z tego okrętu tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi i masz dość rozsądku, żeby mnie nie wkurzać tak, jak inni, gdyby znaleźli się na twoim miejscu.

Młodszy mężczyzna miał czelność się uśmiechnąć.

– Może i nie jestem takim asem lotnictwa jak ty, kapitanie, ale nauczyłem się już, że istnieją tylko dwa dobre sposoby, żeby wkurzyć swojego zwierzchnika. Albo prywatnie, gdy zwierzchnik może to łaskawie zignorować, albo w obliczu Boga i wszystkich innych, gdy przynajmniej zyskuje się satysfakcję.

– Pewnego dnia, Steph – Eric z westchnieniem pokręcił głową – ktoś ci to wypomni, a wtedy nawet Archanioły nie zdołają uratować twojego żałosnego tyłka.

– Pewnie tak – zgodził się Stephanos, gdy kapitan ruszył do wyjścia. – Ale nie dzisiaj, na pewno nie dzisiaj. I jeżeli będę miał szczęście, wcześniej strąci mnie jakiś bandyta.

– Nie licz na takie szczęście, Steph. Jesteś nieśmiertelny. Wszyscy jesteśmy – rzucił przez ramię Eric.

– Nawet ci, którzy zginęli? – zawołał za nim Steph.

– Zwłaszcza ci, którzy zginęli.

Ranquil

Byt znany jako Centrala obserwował sylwetkę okrętu gwiezdnego Terran z uczuciem, które można określić jako rozbawienie. Po pierwszym spotkaniu terrański kapitan wprowadził procedury bezpieczeństwa, które miały uniemożliwić Centrali bezpośredni dostęp do jego systemów komputerowych.

Jak dotąd Centrali nie udało się złamać żadnego z terrańskich zabezpieczeń danych. Och, dostęp do nich był łatwy. Używali

systemów elektronicznych, sortowali dane według struktur strun kwantowych. Skopiowanie tych danych było dziecinną igraszką – Centrala zrobiła to niemal mimowolnie.

Niestety, paranoiczne dranie szyfrowały najwyraźniej każdy okruch informacji przy użyciu długich i skomplikowanych matematycznych algorytmów. Tak skomplikowanych, że nawet skopiowanie klucza na nic się nie zdało. Klucz zmieniał się co kilka milisekund.

Centralę irytowało, że zdobyła informacje, do których nie ma dostępu. Odczuwała to jak swędzenie w miejscu, w którym nie można się podrapać.

„Interesujące… A jeżeli posłać jeden z okrętów bojowych bliżej »Odysei«, można by odbić stany kwantowe komputerów Terran na Ranquil i…”

Centrala opanowała się i uwolniła od tej fantazji.

Niełatwo było przełamywać nawyki. W obrębie swojej strefy Centrala wiedziała wszystko, co możliwe. A wszechwiedza to uzależnienie o wiele silniejsze od tych absurdalnych nałogów chemicznych, na które tak podatni byli ludzie.

Jednak Centrala musiała niechętnie, o, jakże niechętnie, odsunąć to uzależnienie. Choćby dlatego, że to, co robiła, kapitan Weston uważał za nieuprzejme i jasno dał to do zrozumienia. A co ważniejsze, istniała wiedza i o wiele większa kultura poza jego zasięgiem, której ci ludzie byli zaledwie słabym odbiciem. Centrala nie mogła jednak opanować rozbawienia, gdy patrzyła na wysiłki kapitana Westona, pragnącego ukryć lokalizację swojego świata. Ta informacja została wyciągnięta z umysłów Terran jako pierwsza… No, przynajmniej pierwsza znacząca.

Zidentyfikowanie żółtej gwiazdy w promieniu stu lat świetlnych od Ranquil stanowiło wyzwanie, ponieważ istniało sporo możliwości. Jednak sprawdzenie szczegółów dotyczących układu planet pozwoliło szybko wytypować właściwy. W zasięgu znajdowała się tylko jedna żółta gwiazda ze skalistymi planetami na orbitach wewnętrznych

i zewnętrznymi gazowymi gigantami, które pasowały do rodzimego systemu słonecznego Terran.

Co nie znaczyło, że informacja ta była dla Centrali przydatna, przynajmniej obecnie. Priminae nie mieli żadnego powodu, żeby odwiedzać układ planetarny Terran, a zatem nie musieli o nim wiedzieć. Centrala wolałaby, żeby Priminae trzymali się od Terran z daleka. Piętno brutalności, jakie nosił nawet kapitan Weston, sprawiało, że Centrala czuła się… chora.

Dziwne doznanie. To znaczy: choroba.

Centrala znosiła to pośrednio poprzez życie i śmierć tych, którzy znajdowali się w polu magnetycznym Ranquil, jednak nigdy nie odczuwała cierpienia osobiście. I jak się przekonała, doświadczenie własnego bólu bardzo się różniło od tego odczuwanego za pośrednictwem innych.

A jednak Priminae mogli potrzebować Terran… Pomimo że Centrala wolałaby ograniczyć kontakt do minimum.

Przemoc to paskudna sprawa.

***

Starsza porucznik Jennifer Samuels, kod wywoławczy Szulerka, czytała podręcznik techniczny o systemach łączy neuronowych zainstalowanych w jej myśliwcu. Nie zaliczała się do jajogłowych, i to nawet wśród tych, z którymi spędzała najwięcej czasu, ale była pilotem w epoce, gdy nie dostaje się skrzydeł, jeżeli nie potrafi się w pamięci robić obliczeń dotyczących manipulacji czasoprzestrzennych. Co więcej, Jennifer wiedziała bez fałszywej skromności, że jest dobrym pilotem.

Jednak ustawienia systemów łączy neuronowych to coś zupełnie innego. Mapowanie ścieżek nerwowych zawsze przypominało błądzenie po omacku i często wymagało lat ćwiczeń, żeby naprawdę dobrze wykorzystać wyniki. Mapowanie okazało się przydatne dla ludzi niepełnosprawnych, którzy dysponowali czasem i motywacją,

żeby dokładnie odwzorować swoje ścieżki neuronowe, lecz ludzie zajęci karierą nie mogli sobie na coś podobnego pozwolić, było to po prostu mało praktyczne. Jednak na mniej więcej dziesięć lat przed wojną z Blokiem odkryto, że niewielki odsetek ludzi ma niemal identyczne ścieżki nerwowe. Wówczas było to odkrycie dość kontrowersyjne, zupełnie jak znalezienie dwóch takich samych płatków śniegu albo ludzi o takich samych liniach papilarnych.

Takich ludzi wystarczyło podpiąć do systemu z pasującym cudzym przeliczonym mapowaniem i tyle.

Wtedy stanowiło to jedynie ciekawostkę, ale kiedy nadeszła wojna i presja wzmocnienia siły militarnej, przypadkowo jeden z lekarzy zauważył, że wśród tysiąca testowanych osób o identycznej mapie neuronowej zaskakująco wielu to piloci.

Archanioły narodziły się z tej przypadkowej obserwacji i śmiałej kradzieży myśliwca Bloku klasy Modliszka, na podstawie którego udało się opracować technologię generatora masy przeciwnej.

A to, że pilotem, który sterował skradzionym z chińskiej bazy na pustyni Gobi myśliwcem, był śmiały żołnierz Marines Eric Weston, stanowiło tylko wisienkę na przysłowiowym torcie. Opowieści o Archaniołach przypominały najpopularniejsze filmy z Hollywood, gdy jeszcze Hollywood wiodło prym w branży rozrywkowej.

Jednak Jennifer nie zajmowała się w tej chwili historią, choćby najbardziej interesującą. Pracowała nad aplikacjami systemu łączy neuronowych. Neuronowy interfejs bez wątpienia był bardzo skuteczny. Testy laboratoryjne i polowe potwierdzały, że odpowiedź jest ponad dziesięciokrotnie szybsza przy użyciu łączy neuronowych, ale wiązało się to z problemami.

Podstawowym były oczywiście igły w karku, ale o wiele większą wadę stanowiła jednokierunkowość systemu. Sygnały wychodziły, ale nie wchodziły. Do urządzeń wprowadzono konieczne opóźnienie, ponieważ pilot musiał interpretować dane z łącza przez swoje naturalne zasoby – przez oczy, uszy,

znajomość taktyki i tym podobne. A to z kolei nakładało znaczące ograniczenia czasu reakcji. I jak dotąd nie udało się tego obejść.

Samuels miała parę pomysłów, jak to zrobić. Pracowała nad tym jeszcze przed swoim pierwszym zgłoszeniem się do eskadry.

Jak zwykle w czasie wolnym, zajmowała się swoim projektem, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi jej kajuty.

– Proszę, otwarte – powiedziała, nawet nie podniósłszy oczu.

Drzwi zatrzeszczały przy otwieraniu. Ciężkie metalowe płyty nie poruszały się z cichym sykiem, tak charakterystycznym dla starych filmów fantastycznych, ale za to wytrzymałyby eksplozję i dekompresję.

– O co chodzi? Pracuję – mruknęła Jen.

– Rozmawiałem właśnie z kapitanem.

Słysząc ten głos, dziewczyna zerwała się z fotela i wyprostowała, przez co musiała od razu chwycić się czegoś, żeby nie odpłynąć pod sufit.

– Sir, ja…!

– Spokojnie, porucznik Samuels. – Komandor Michaels gestem kazał jej usiąść. – To rozmowa nieoficjalna.

– Sir? – Jennifer odprężyła się tylko trochę, mniej więcej między postawą na baczność i spocznij.

– Kapitan rozmawiał z Reedem na powierzchni planety. – Michaels wyglądał na niezbyt zadowolonego, że musi przekazać wiadomość. – Reed szuka pilota szkoleniowca. Kapitan uważa, że nadawałabyś się do tego zajęcia.

Po plecach Jennifer przeszedł zimny dreszcz.

– Co? Dlaczego?

Próbowała dostać się do Archaniołów przez całą swoją karierę. A teraz, gdy wreszcie jej się udało, miejsce znowu wyślizgiwało się dosłownie z rąk.

Michaels, jak sobie uświadomiła, wyglądał równie ponuro, jak dziewczyna się czuła.

– Słuchaj, Jen. Nie wiem, czy znasz obecną sytuację polityczną, ale eskadra Archaniołów stała się czymś w rodzaju

białego słonia. Kochano nas podczas wojny, gdy mieliśmy wyniki, lecz teraz nasz poziom utajnienia uniemożliwia nam podejmowanie się zajęć, jakimi byśmy się normalnie zajęli po powrocie do domu, a koszt utrzymania nas jako sił bojowych i operacyjnych jest za wysoki. Eskadra liczy pięciu pilotów i nigdzie się nas już nie wysyła – wyjaśnił dowódca z powagą. – W ogóle byłoby tylko czterech, gdyby kapitan nie oddał ci swojej maszyny.

Jennifer poczuła, że drżą jej nogi. Nie poświęcała wiele uwagi polityce, ale kiedy wyłożono jej kawę na ławę, uświadomiła sobie, że sytuacja rzeczywiście nie wygląda najlepiej, skoro od kiedy dołączyła do eskadry, nie pojawił się żaden inny pilot jako uzupełnienie składu.

– Większość z nas zapewne awansuje, gdy eskadra zostanie zlikwidowana, zakładając oczywiście, że ET nie rozwalą nas w kosmosie na kawałki – podjął Michaels. – Ale ty jesteś jeszcze nowa, a to oznacza, że nie czeka cię żaden awans. Prawdopodobnie wrócisz do pilotowania promów, a kapitan chce ci zapewnić coś lepszego.

– Uczenie latania zadzierających nosa pacyfistów? – prychnęła Jennifer. Spotkała paru Kolonistów podczas pierwszej misji „Odysei” w przestrzeni Priminae i, co tu kryć, nie zrobili na niej najlepszego wrażenia.

Nie miała problemu z pacyfizmem, ale to zadowolenie z siebie i protekcjonalizm, z jakim traktowali innych Prymusi, po prostu ją wkurzały. Zdawali się zapominać, że nie każdy we wszechświecie myśli tak, jak oni. Na dodatek problem z pacyfizmem polegał na tym, że dopóki tej filozofii nie przyjmą wszyscy bez wyjątku i wszędzie, pozostanie ona, delikatnie rzecz ujmując, nierealistyczna. Przynajmniej w opinii Jennifer.

Jasne, z perspektywy intelektualnej Jen rozumiała, że pacyfizm to bardziej rozwinięty styl życia. Rzecz w tym jednak, że przypominał komunizm – sprawdzał się dobrze tylko w teorii. Ale wystarczyło wprowadzić go do prawdziwego świata, a wszystko zaczynało się lawinowo walić, ponieważ aby ustrój działał, potrzebna była dobra wola i chęci ludzi.

A ludzie najczęściej pokazują się wtedy od tej najgorszej strony.

W krainie ślepców jednooki jest królem. W świecie pacyfistów rządzi ten, kto nie waha się zadać cios.

– Oni nie są tacy źli, Jen.

Dziewczyna przewróciła tylko oczami.

– Słuchaj, albo to, albo… w najlepszym razie? – Michaels westchnął i wzruszył ramionami. – Może Archanioły trafią do PR.

To było jeszcze gorsze. Jen tylko jęknęła na myśl o pokazach pilotażu dla gawiedzi przez resztę swojej kariery.

– Właśnie, pomyślałem to samo – rzekł dowódca, słysząc cichy jęk. – Zastanów się nad tym. To nie rozkaz, tylko propozycja „pod stołem”. Kapitan obiecał się upewnić, że przeniesienie nie spowolni żadnego awansu. Może nawet trochę przyśpieszyć.

Michaels ruszył do wyjścia, ale w pół drogi powstrzymał go głos Jennifer:

– Nie muszę się zastanawiać, sir. Należę do Archaniołów.

Nie odwrócił się, tylko skinął głową.

– Dobrze. Przekażę kapitanowi.

Jen wróciła do swojego zajęcia. Nie wiedziała, że jej dowódca uśmiechał się, gdy opuszczał małą kabinę.

***

– Procedury przedstartowe w gotowości, kapitanie.

Eric machinalnie skinął głową, gdy szedł przez mostek na swoje stanowisko.

– Dziękuję, komandorze. Czy komandor Michaels się zgłosił?

– Nie, sir. Czekamy na kogoś z eskadry?

– Może. – Eric zajął fotel. – Dostarczyliśmy wszystko dla ambasady i doradców?

– Tak, sir. Wszystkie przesyłki zostały dostarczone bez problemów i o czasie.

– Dobrze. Miła nudna misja na Ranquil. Po raz pierwszy. – Uśmiechnął się do swojego zastępcy. – Oby to była pierwsza z wielu, co?

Roberts prychnął cicho.

– Nudna misja w strefie wojny. Ma pan poczucie humoru, kapitanie.

Eric uśmiechnął się szerzej.

– Albo śmiech, albo płacz, komandorze.

Komunikator zaświergotał, sygnalizując nadejście wiadomości tekstowej. Eric przestał zwracać uwagę na pierwszego oficera, zajął się logowaniem do systemu, żeby ją przeczytać.

– Kłopoty, sir? – zapytał Roberts, gdy dostrzegł wyraz twarzy Westona. – W razie czego możemy opóźnić odlot.

– Nie – westchnął Eric z zamyślonym uśmiechem. – Nie ma potrzeby. Odlatujemy według planu.

– Tak jest, kapitanie.

***

Ze swojego stanowiska w centrum dowodzenia Rael Tanner obserwował, jak „Odyseja” przyśpiesza i oddala się od jego świata.

Dziwnie skonstruowany okręt przyniósł wiele zmian na planetę Tannera, większość bardziej pozytywnych, niż można by było sobie wyobrazić. Admirał nie miał złudzeń, wiedział, że jego pobratymcy przeżyli inwazję Drasinów tylko dzięki interwencji Terran, ale nie wszyscy podzielali to przekonanie. Na dodatek wielu Priminae bardzo niepokoiło się istnieniem kultury tak zmilitaryzowanej jak Terranie.

Zapewne Tanner nie powinien za to winić Kolonistów. Jeden mały okręt niszczył wroga, który miał nie tylko przewagę liczebną, lecz także dysponował jednostkami o kilkakrotnie większym tonażu niż „Odyseja”. Okręty Priminae ledwie mogły sprostać Drasinom w starciu jeden na jednego, ewentualnie

dwa na jednego przy naprawdę genialnej taktyce, nic więc dziwnego, że możliwości Terran niepokoiły starszych.

Dlatego z mieszanymi uczuciami admirał patrzył, jak „Odyseja” znika z jego ekranów.

Obecność jednostki kapitana Westona oznaczała jedną więcej warstwę obronną, i to znaczącą w przypadku ataku. Na dodatek na Ranquil znajdowała się ambasada terrańska, co tylko wzmacniało przekonanie Tannera, że dowódca pokroju Westona będzie bronił świata Priminae niemal równie mocno, jak swojej rodzimej planety. Jednak musiał przyznać, że atmosfera polityczna stawała się nieco bardziej napięta, gdy obcy okręt wojenny unosił się nad Mons Systema.

***

Na pokładzie okrętu wyczuwało się moc, której nie można było pomylić z niczym innym. Moc ogromnych silników. Pomimo że je tłumiono i izolowano od reszty okrętu, zawsze coś się przedzierało. Niskie wibracje, odległy warkot… To, co po prostu brzmiało, jak należy.

Eric też to czuł, gdy jeszcze stacjonował na „Reaganie” przed wojną, i teraz, gdy znajdował się na „Odysei”, która przyśpieszała na pełnej mocy, aby wyrwać się ze studni grawitacyjnej Ranquil. Dziób okrętu zwrócony był w czerń międzygwiezdnej pustki. Było to jak żeglowanie w mrok oceanu nocą, gdy się wiedziało, że rejs zakończy się akcją u celu podróży.

– Kurs na Gliese 581 ustalony, kapitanie.

– Dobrze. Kiedy dotrzemy do heliopauzy?

– Za trzy godziny.

Eric skinął głową.

– Komandorze, przejmuje pan dowództwo. Zamierzam się przespać. Proszę mnie nie budzić na tranzycję.

Ostatnie słowa rzucił z ironicznym uśmiechem, czym wywołał chichoty u tych, którzy go usłyszeli. Podczas

pierwszych lotów na napędzie skokowym Weston, żeby podkreślić swój profesjonalizm, zawsze dowodził podczas tranzycji. Uważał, że to ważne dla załogi. Teraz nie musiał już niczego udowadniać. Podwładni go znali, a Eric czuł się pewnie jako kapitan okrętu.

Teraz mógł przespać tranzycję i zostałoby to odebrane jako wyraz zaufania do umiejętności załogi, a nie uchylanie się od obowiązków.

– Przejmuję mostek, sir. – Komandor Roberts potwierdził skinieniem głowy przyjęcie rozkazu, gdy Eric wstał z fotela.

Kapitan ruszył do kabiny, zastanawiając się, co zastanie, gdy „Odyseja” dotrze do celu, i co prawdopodobnie ich tam czeka.

Jak zwykle Eric ucieszył się z wyboru swojej życiowej drogi – nie było szans, żeby dopadła go nuda.

ROZDZIAŁ 6

– Meldować.

Ivanth wszedł na mostek „Herosa” i wbił wzrok w wielkie ekrany i wyświetlacze ustawione wokół stanowiska sterowniczego okrętu.

„Heros” i „Nieśmiertelny” przyleciały na stację i dołączyły do „Mitu”, który pełnił funkcję jednostki dowodzenia i kontroli dronów wysłanych w ten rejon przestrzeni. Według raportów sektor był pusty. Żadnych interesujących planet, żadnego życia wartego wzmianki, a jednak właśnie tutaj podczas rutynowego przelotu drony wykryły okręt, który nie pasował do niczego, co skonstruował Lud albo Priminae.

– Drony zrobiły się… kapryśne, dowódco.

Ivanth skrzywił się tylko. Nie taki meldunek chciał usłyszeć. Jego zdaniem drony były kapryśne przez cały czas, chociaż raporty zapewniały o ich posłuszeństwie. Kiedy oficjalnie zaczną uchodzić za kapryśne, Ivanth na pewno się spoci.

„Nigdy nie powinniśmy byli budzić tych przeklętych dronów”.

Westchnął. Drony znalazły się tutaj tylko z jednego powodu – żeby przetrenować niektóre z mniej stabilnych impulsów z daleka od światów cennych dla Ludu. Jednak drony, zamiast się szkolić, namierzyły podejrzany okręt i trzeba było je przełączyć znowu w tryb obserwacji. Na dodatek ta część roju już wcześniej przejawiała wyraźne tendencje do niewykonywania rozkazów, dlatego Ivanth wolał nie wiedzieć, jak bardzo formacja stała się kapryśna.

– A co z obserwowanym celem?

– Obca jednostka wyszła z prędkości nadświetlnej jakiś czas temu, pewnie, żeby dokonać napraw – odpowiedział podwładny. – Uważamy, że została trafiona przez lasery dronów, zanim uciekła rojowi w ostatnim układzie gwiezdnym.

– Coś wiemy na pewno?

– Nic – przyznał podwładny. – Obcy mogą się domyślać, że są śledzeni. Trzymaliśmy się na jak największy dystans, zgodnie z rozkazami. Jednak to sprawia, że trudniej określić sprawę szczegółowo.

Ivanth skinął głową.

– Dziękuję. Wróć do swoich obowiązków.

Mężczyzna miał oczywiście rację. Z dużej odległości ledwie można było zarejestrować istnienie obcego okrętu. Światło potrzebowało dni, żeby dotrzeć do pasywnych czujników, a Ivanth nie chciał używać czułych wykrywaczy nadświetlnych o dużej rozdzielczości w obawie, że zdradzi to obecność okrętów Ludu.

Wzrok Ivantha powędrował do niewielkiego punkciku światła na wyświetlaczach, niemal zbyt małego do zauważenia przy pełnym powiększeniu w najlepszym wyposażeniu. Wykorzystywało zakłócenia pól nadświetlnych, powodowane przez mały okręt, i były to naprawdę drobne zakłócenia. Nie do wiary, jak dobrze ukrywała się ta jednostka, biorąc pod uwagę, że przecież Ivanth i jego załoga doskonale znali jej lokację i skierowali na nią wszystkie instrumenty.

„Izolacja mocy musi być niesamowita na okręcie tej wielkości. Nic dziwnego, że drony nie uznały go za zagrożenie – skoro ta jednostka tak dobrze się maskuje. Musi ukrywać swoją energię. Skoro może niszczyć drony, musi być bardziej potężna, niż się wydaje…”

No właśnie. Ivanth nie wyobrażał sobie innego wyjaśnienia. Najlepsze skany, jakimi dysponował, wskazywały, że obcy okręt miał zaledwie dość mocy, aby osiągnąć prędkość nadświetlną.

Ivanth skrzywił się do ekranów, skończywszy rozważania. Zapowiadało się długie i z pewnością napięte oczekiwanie. W rzeczy samej.

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”
Przestrzeń międzygwiezdna

– Kapitanie, jesteśmy gotowi.

– Dobrze – odparł Sun. – Ogłosić gotowość do przejścia w nadświetlną dla całej załogi.

– Tak jest, kapitanie. – Oficer odwrócił się i skinął ręką. Chwilę później rozkaz poniósł się przez komunikatory po całym okręcie.

– Załoga, gotowość do przejścia w nadświetlną. Uruchamianie napędu nadświetlnego.

Silniki zajęczały cicho, gdy reaktory ponownie przywróciły wszystkim urządzeniom pełną moc. Ekrany ze stanu gotowości przeszły na aktywny, gdy generatory MP zaczęły ciągnąć moc i zakrzywiać najbliższą czasoprzestrzeń.

– Mamy oznaki pogoni z dalekiego zasięgu, Shi? – zapytał Sun.

– Nie, kapitanie. Przestrzeń jest pusta.

– Dobrze. Upewnijmy się.

– Na pana rozkaz, kapitanie.

– Udzielam pozwolenia – oznajmił Sun z powagą.

„Weifang” zawibrował lekko, gdy ruszył. Kołysał się w przestrzeni, przyśpieszając, w ciągu paru minut minął próg relatywizmu i wbił się w nadświetlną. Wciąż przyśpieszał, „spadając” we własną studnię grawitacyjną, cofając się po kursie, którym przybył.

***

Ivantha oderwały od pracy alarmy, które rozległy się na całym okręcie. Zerwał się od swojego stanowiska i podbiegł na środek pomieszczenia dowodzenia. Wbił wzrok w ekrany.

– Co się dzieje?

– Obca jednostka, sir. Leci w naszą stronę.

– Prędkość?

– Dwukrotna światła i przyśpiesza!

– Wszystkie okręty, maskowanie! Usunąć się z drogi obcym. Pozostać w gotowości do podjęcia pogoni, gdy tylko nas minie! – rozkazał Ivanth. – I, na stwórców, usuńcie stąd drony! Chcę zachować ten okręt w jednym kawałku i żeby obcy niczego się nie domyślili!

– Tak jest, komendancie!

Tak szybkie i niezauważalne poruszanie się floty było problematyczne nawet w sprzyjających warunkach, a teraz Ivanth mógł tylko się modlić, aby drony nie zdradziły ich pozycji i nie zepsuły całej operacji tuż po tym, jak przybył, by ją nadzorować.

„Nie do wiary. Ledwie wyruszyłem na misję, a już mogę wszystko stracić. Powinienem to rejestrować”.

Przyśpieszenie nieznanego okrętu rosło bardzo szybko. Obcy nieźle poznali technologię napędu nadświetlnego. Ivanth mógłby łatwo ich dogonić, ale musiałby się wówczas ujawnić.

Zdenerwowany obserwował, jak obcy okręt nadal przyśpiesza w kierunku flotylli, a jego prędkość właśnie dwudziestopięciokrotnie przewyższyła prędkość światła. Ivanth nie mógł wycofać swoich okrętów na czas, nie bez pełnego przyśpieszenia, a to z kolei byłoby wbrew założeniom.

Przyglądał się pędzącej jednostce. Czuł suchość w ustach i łomot serca w piersi.

„Chyba musimy zniszczyć ten okręt”.

– Wymierzyć broń w zbliżający się okręt – rozkazał z wahaniem. – Przerwać wycofywanie się, gotowość do manewrów bojowych.

Na wszystkich pokładach zawyły alarmy. Ivanth wrócił na swoje stanowisko i usiadł w fotelu z takim opanowaniem i spokojem, na jakie tylko mógł się zdobyć.

„To, że świat wali mi się na głowę, nie jest żadną wymówką dla braku profesjonalizmu”.

Nauczył się tego od swojego mentora w akademii imperialnej i była to lekcja, którą Ivanth bardzo wziął sobie do serca. Należało zachowywać się odpowiednio do stanowiska, ponieważ taki był obowiązek każdego człowieka.

Obca jednostka przekroczyła stukrotność prędkości światła, gdy znalazła się w zasięgu broni flotylli Ivantha, i wciąż przyśpieszała.

– Wszystkie jednostki, otworzyć o…

– Komendancie!

Ivanth przeniósł wzrok na stanowisko namierzania.

– Czego? Jestem trochę zajęty.

– Nie wychwytuję żadnych aktywnych cząsteczek nadświetlnych z obcego okrętu.

– Co? – Ivanth wypluł to pytanie z niedowierzaniem i oburzeniem. – To niemożliwe.

– Nic, komendancie, przysięgam.

Ponownie zwrócił spojrzenie na ekrany, tym razem nie kryjąc zdumienia.

– Lecą na ślepo? Ale to szaleństwo!

Pokręcił głową z niedowierzaniem, a następne słowa wypowiedział jakby nieświadomie:

– Wstrzymać ogień. Wszystkie jednostki, utrzymać pozycję. Niech obcy przelecą.

Kiedy nieznana jednostka wleciała prosto między jego formację i minęła o sekundę świetlną „Nieśmiertelnego” wraz z kontyngentem dronów, Ivanth nie mógł powstrzymać się od wytrzeszczania oczu na wyświetlacz. Obcy nawet odrobinę nie zmienił kursu, żeby uniknąć flotylli.

„To sztuczka. To musi być sztuczka”.

Obcy okręt przeleciał przez formację, całkowicie ignorując jednostki, które po prostu musiały znajdować się w zasięgu jego detektorów, zupełnie jakby ich nie widział.

– Rozkazy?

Ivanth nie rozumiał tego manewru. To nie mogła być próba ucieczki. Obcy mogli wybrać dosłownie każdy inny kierunek.

Dlaczego zatem zawracali i pędzili tak prosto na jego siły? Założyli, że nie zostaną zaatakowani, gdy znajdą się w zasięgu?

– Komendancie, jakie rozkazy?

„Zawrócili. Czy w układzie, gdzie ich odkryto, znajdowało się coś wartościowego? Raporty o niczym podobnym nie wspominały. Planety układu zostały zajęte przez drony. Dlaczego zatem zawrócili?”

– Komendancie!

– Co? – warknął Ivanth, zerknąwszy na głośnik.

– Rozkazy. Potrzebne nam rozkazy.

– Śledzić obcych. Niech się oddalą na dzień świetlny. Zastosować najlepsze maskowanie. – Ivanth wstał i ruszył do wyjścia z mostka. – Będę w swoich kwaterach.

– Jak pan rozkazał, sir.

„W co oni pogrywają? Przecież nie mogą lecieć na ślepo, prawda?”

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”
Przestrzeń międzygwiezdna

– Odwrócić moc, pełna na burty – rozkazał Sun. – Shi, miej oczy szeroko otwarte, gdy tylko wyjdziemy z nadświetlnej.

– Gotów, kapitanie – odpowiedział pewnym głosem oficer przy stanowisku skanerów.

„Weifang” przerzucił moc do swoich generatorów MP, podniósł gradient czasoprzestrzeni od dziobu i zmniejszył od rufy, praktycznie hamując w miejscu. Niewiele rzeczy we wszechświecie mogłoby zrobić coś podobnego. Wytracił szybkość w oszałamiającym tempie i wyskoczył z nadświetlnej do przestrzeni relatywistycznej z zerowym przyśpieszeniem.

Gdy tylko stanęli, mostek rozświetlił się na każdym stanowisku. Włączyły się skanery, okręt otwierał oczy na wszechświat. Dane zaczęły napływać tak szybko, że pokładowe komputery ledwie mogły nadążyć.

Wkrótce pojawiły się odczyty dla najbliższej przestrzeni i Sun otrzymał przyzwoity obraz rejonu w promieniu paru sekund świetlnych wokół okrętu. Informacje o dalszym obszarze jednak szybko stawały się bezużyteczne ze względu na upływ czasu. Kapitan wiedział, że okręty, które śledziły „Weifanga", miały napęd nadświetlny, więc dane starsze niż parę minut stawały się niewiarygodne.

– Żadnych obcych jednostek, kapitanie. Czysto w promieniu minuty świetlnej – zameldował Shi.

– Rozumiem. Gotowość do kolejnych manewrów unikowych.

– Tak jest, kapitanie.

Sun nie miał pojęcia, czy to, co robił, było konieczne albo w ogóle skuteczne, ale tylko tym dysponował, zamierzał więc jak najlepiej wykorzystać swoje możliwości. Nowy kurs prowadził okręt po łuku, wciąż w przestrzeni relatywistycznej, po czym kierował go pod kątem do płaszczyzny Galaktyki.

Pięć minut po wyjściu z nadświetlnej Sun wydał rozkaz przyśpieszenia i „Weifang" zniknął w międzygwiezdnym mroku.

Niszczyciel imperialny „Heros"

– Zmienili kurs i wrócili do nadświetlnej, komendancie.

„Co ci ludzie wyprawiają?"

Ivanth nigdy nie widział tak chaotycznych i przypadkowych manewrów. Okręt, który obserwował, skakał od kursu do kursu jak przerażone zwierzę i nie okazywał chęci, by wybrać jakąś trajektorię. Zapewne była to jakaś droga ucieczki, ale przecież obcy musieli wiedzieć, że skanery nadświetlne mogą łatwo wychwycić zmiany prędkości.

Zakrzywianie czasoprzestrzeni tworzyło kilka typów szkodliwych cząstek, które wpadały w pola pseudograwitacyjne, napędzające okręty gwiezdne. Przy stałej prędkości wykrycie tych cząstek było dość trudne, ponieważ zakrzywienie utrzymywało je tak samo jak okręt, przeciwdziałając wyrzuceniu go z wszechświata. Ale kiedy pole opadało lub zmieniało się wyraźnie, przypominało to wystrzelenie pulsującej flary prosto w oczy tych, którzy chcieli obserwować jednostkę.

Ivanth nie musiał nawet podążać za obcymi tak blisko, jak teraz. Mógł rozkazać swoim okrętom cofnąć się na stukrotnie większą odległość. Albo jeszcze dalej.

Nie wydał jednak takiego rozkazu, ponieważ obawiał się, że obcy prowadzą z nim grę.

„Nie uciekniecie mi tylko dlatego, że dałem się nabrać na wasze taneczne wygibasy, kimkolwiek jesteście” – pomyślał, wpatrując się w ekrany. „Będziecie musieli się bardziej postarać”.

– Kontynuować pościg z zakładanym opóźnieniem – rozkazał. – Nie spuszczać obcego okrętu z zasięgu.

– Tak, komendancie.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Kapitan Kian, wykryliśmy wysokie skoki energii w kilku pasmach nadświetlnych.

– Gdzie? – Kian podeszła do stanowiska detektorów dalekiego zasięgu.

– Tutaj. – Mężczyzna przy aparaturze pokazał punkty na mapie holograficznej.

Kian przyjrzała się wskazanym lokacjom. Znajdowały się blisko sektora, do którego została wysłana na zwiad.

– Poinformuj „Nepta”, że zmieniamy kurs i spróbujemy się tam zbliżyć.

– Tak jest.

– Sternik, zabierz nas w pobliże. Kurs na sektor trzy-jeden-dziewięć, pełna moc.

– Tak jest. Kurs trzy-jeden-dziewięć, pełna moc.

Okręt wojenny Priminae obrócił się powoli w przestrzeni, gdy wielkie rdzenie mocy zaczęły zakrzywiać pobliską przestrzeń. Wydawało się, że jednostka się kołysze, gdy przechodziła na nowy kurs, tylko dlatego, że była tak wielka. W kilka minut silniki osiągnęły pełną moc i „Posdan" przekroczył barierę prędkości światła, po czym zniknął.

Zaraz potem ten sam manewr wykonał „Nept".

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang"

Sun wyczuł drżenie pokładu „Weifanga", które nie powinno występować. Żałował, że nie ma czasu ani narzędzi, żeby porządnie naprawić uszkodzenia i wymienić części. Niestety, na taki luksus nie można było liczyć.

W sytuacji, gdy okręt mógł się rozpaść podczas lotu, kapitan przyłapał się na wspominaniu mnóstwa rzeczy, które chciałby zrobić, lecz nie mógł. Wiedział jednak, że takie myślenie było dla słabych i straconych. A on nie zamierzał okazać się słaby, modlił się też, aby los nie skazał go na zagładę. Pozostało mu zatem jedynie wierzyć w swój okręt i załogę.

„W przeszłości zawsze to wystarczało, więc i teraz musi wystarczyć".

– Przygotować się do wyjścia z nadświetlnej.

Okręt zatrząsł się lekko, gdy MP zmieniały znowu zakrzywienie przestrzeni, co u Suna wywołało grymas niepokoju. Zmiana prędkości nie powinna być wyczuwalna na pokładzie. Nie w ten sposób działały generatory MP.

„Zakrzywienie musiało być nierówne. Rufa lub dziób znalazły się zbyt blisko środka pola. Szlag”.

Wydawało się to może niezbyt ważne, ale Sun zdawał sobie sprawę, że siły przepływające przez pole MP mogłyby poważnie uszkodzić konstrukcję okrętu. Im bliżej środka zakrzywienia pola MP znajdował się obiekt, tym mocniej wpływała na niego grawitacja i odwrotnie – im większa była odległość obiektu od środka, tym wpływ efektów grawitacyjnych stawał się mniejszy.

Prawdziwe zagrożenie kryło się w odległościach jednego od drugiego. Jeżeli obiekt za bardzo zbliżył się do mocno skondensowanych i silnych pól MP… cóż, naukowo rzecz ujmując, kończyło się to spaghettifikacją.

Wystarczy rzec, że każde drżenie, każdy wstrząs pokładu wywoływały grymas u Suna właśnie dlatego, że wiedział, czym to grozi i jak paskudnie może się skończyć.

„Weifang” zwolnił i wszedł znowu w przestrzeń relatywistyczną, aby przeczesać najbliższy obszar pasywnymi czujnikami, podczas gdy załoga i kapitan pośpiesznie przygotowywali się do kolejnych manewrów.

Sun osobiście przecisnął się przez tunel prowadzący z mostka do sekcji maszynowni okrętu. Zastał tam stan ledwie kontrolowanego chaosu.

– Pan – zawołał, gdy odnalazł głównego inżyniera – zwoje są ustawione nierówno.

– Wiem, kapitanie – warknął postawny mężczyzna, nawet nie podnosząc oczu. – Staram się jak mogę, ale potrzebuję dokładnych zewnętrznych danych ustawień, aby to wyregulować, a te zostały w domu.

Sun zacisnął zęby, ale wiedział, że Pan mówi tylko czystą prawdę. Nawet gdy wszystko na okręcie było w najlepszym porządku, niewiele instrumentów pozostawało nietkniętych i wolnych od efektów działania potężnych pól MP. Tutaj liczyły się nanometry, na pokładzie nie było nic, co mogłoby poradzić sobie z dokładnością chociażby do mikrometra.

– Rób, co możesz.

– Nasze życie też od tego zależy, kapitanie. Nie poddamy się, kapitanie, obiecuję. – Pan podniósł głowę, wyraźnie zdenerwowany sytuacją. Wziął głęboki oddech. – Proszę o wybaczenie. Zakrzywienie jest nieco nierówne ze względu na większą moc generatorów dziobowych. Zajmujemy się rufowymi. Jeszcze parę przeskoków, a uda się wyrównać to do bezpiecznego poziomu.

– Dobrze – westchnął Sun. – Tylko utrzymaj okręt w kupie na tyle długo, żeby zdążyć. Dwa przeskoki, może trzy. Ustaw wszystko, bo jeżeli nie wykryjemy do tej pory pogoni… zabieramy się do domu. Na pełnym gazie.

Pan skinął głową.

– Tak jest, kapitanie.

Sun odwrócił się i ruszył tunelem z powrotem na pokład dowodzenia.

„Trzeba było w ogóle zostać w domu”.

ROZDZIAŁ 7

Gliese 581

„Odyseja”, okręt międzygwiezdny Konfederacji Północnoamerykańskiej, zbliżyła się do układu w przestrzeni relatywistycznej i przyjęła pozycję na granicy heliopauzy czerwonego karła. Żagle zostały rozpięte, aby wyłapać fotony emitowane z systemu gwiezdnego.

– Żadnych wątpliwości, komandorze.

– Cholera – zaklął cicho Roberts.

Dane na ekranach były stuprocentowo pewne, a komandor żałował, że nie ulega złudzeniu.

– Te wstrętne robale wciskają się wszędzie – wymamrotał z niechęcią.

Po czwartej planecie systemu gwiezdnego, jednym z nielicznych nadających się do zasiedlenia światów odkrytych poza Układem Słonecznym jeszcze przed wynalezieniem napędu skokowego, teraz pełzały formy życia, których Roberts wolałby nigdy nie oglądać.

– Pozostać w gotowości bojowej. Utrzymać pozycję, dopóki coś się nie zmieni – rozkazał. – Daniels, przejmuje pan mostek.

– Tak jest, sir. Przejmuję mostek – potwierdził Daniels, po czym zmarszczył brwi. – Co chce pan zrobić, komandorze?

– Obudzić kapitana.

***

Jękliwy sygnał nie należał do najprzyjemniejszych na świecie, ale Erica budziły już w życiu o wiele gorsze odgłosy. Huk ostrzału stanowił najlepszy sposób, aby natychmiast przejść ze

stanu kamiennego snu do pełni życia i czujności, pod warunkiem oczywiście, że nie dostało się właśnie kulą czy odłamkiem. Było to skuteczniejsze od porannego kubka kawy, choć strasznie targało nerwy.

Odrzucił pled i przetarł oczy, po czym sięgnął po brązowe spodnie munduru.

– Już nie śpię, możesz wejść.

Roberts pojawił się w progu, gdy tylko uchyliły się ciężkie drzwi.

– Kapitanie, dotarliśmy na pozycję parę godzin temu i zaczęliśmy obserwację układu.

– Jakieś ślady okrętu Bloku? – Eric ziewnął, zanim zaczął zakładać koszulę i bluzę munduru.

– Nie, sir. Ale mamy przynajmniej jeden świat zajęty przez Drasinów i oznaki, że kolejny może również zostać przez nich zakażony.

Z Erica natychmiast opadła wszelka senność. Mimowolnie pomyślał, że taka wiadomość jest równie dobra na przebudzenie jak odgłos ostrzału.

– Kurwa.

– Tak jest, sir – zgodził się po prostu Roberts.

– Są jakieś ślady ich krążowników? – Eric zapiął mundur.

– Na szczęście nie. Zdaje się, że drony zostały po prostu zrzucone na planetę, żeby dokonały dzieła zniszczenia i ruszyły na następny świat.

– Właśnie, to pasuje do schematu ich działań. – Weston podszedł do umywalki i ochlapał twarz. – Żadnych oznak „Weifanga”? Na pewno?

– Na ile można stwierdzić, żadnych. Ale dokładne przeczesanie czujnikami układu może nam zająć więcej czasu, niż mamy. – Roberts powiedział to, co Weston wiedział. – Przynajmniej nie ma śladów niedawnej walki.

„Niedawnej” oznaczało, że żadna walka nie odbyła się przed paroma godzinami, ponieważ na tyle aktualne były dane z aparatury wykrywającej „Odysei”. Eric próbował sobie przypomnieć, jak daleko od czerwonego karła znajduje się

heliopauza, ale nie potrafił. Przypuszczał jednak, że nie miało to szczególnie dużego znaczenia. Z pewnością nie zamierzał tworzyć finezyjnych planów ataku, przynajmniej nie w tej chwili, więc „parę godzin” mu odpowiadało.

– Zatem Chińczycy albo dotarli tu i uciekli, albo dotarli i zostali zniszczeni, albo wyrwali się gdzieś pomiędzy – podsumował Weston. – Dobrze to wygląda?

– Ich cel lotu mógł być zmyłką – dodał Roberts. – Co oznacza, że równie dobrze mogli tu nie przybyć, bo wybrali się do tuzina innych, podobnych do tego układów.

– Słusznie – przyznał Eric. – Załóżmy jednak, że przylecieli tutaj i uciekli, ponieważ, ujmując rzecz brutalnie szczerze, to najgorszy możliwy scenariusz.

Roberts skrzywił się, ale skinął głową. Nie podobało mu się stwierdzenie, że ucieczka z łap dronów stanowiła najgorszy scenariusz, ale taka właśnie była prawda. Gdyby „Weifang” został zniszczony tutaj, w układzie Gliese 581, sprawa byłaby zamknięta. Gdyby tu nie przyleciał, sprawa nie dotyczyłaby „Odysei”. Gdyby jednak przyleciał i uciekł z tuzinem krążowników Drasinów na ogonie, wtedy sprawa robiła się naprawdę nieprzyjemna.

Obaj mężczyźni wyszli z kabiny i ruszyli w stronę mostka „Odysei”.

***

– Kapitan na pokładzie!

– Jak widać – mruknął Eric. Szedł o pół kroku przed Robertsem. – Coś nowego do zameldowania?

– Nic od pół godziny, sir.

– Dobrze. Nie przerywać obserwacji układu, ale chciałbym, aby przede wszystkim przeczesać zewnętrze.

Winger obróciła się z nieskrywanym zdziwieniem.

– Zewnętrze, kapitanie?

Weston skinął głową.

– Sprawdź wiadomości przychodzące, Michelle. Wysłałem ci notkę, że dwa okręty Priminae lecą tutaj na zwiad. Chcę, żebyś sprawdziła okolicę, zwłaszcza pod kątem zakłóceń tachionowych. Wszystkiego, co odbiega od normy.

Specjalistka skinęła głową. Nieco się uspokoiła, ale nie do końca pozbyła się niepewności, gdy pochyliła się nad aparaturą. Prawdę mówiąc, Eric jej nie winił. Przestrzeń, zwłaszcza przestrzeń międzygwiezdna, to wielki obszar. Poza wycinkiem w promieniu paru godzin świetlnych żadne z instrumentów „Odysei" nie miały taktycznego znaczenia. Pozostawały tylko wykrywacze tachionów, ale nawet one, jak wiedzieli wszyscy na pokładzie, nie na wiele mogły się przydać przy działaniach w średnim i dalekim zasięgu. Na dodatek potrzebny był naprawdę spory rozbłysk tachionów, żeby dawało się go wykryć przez instrumenty „Odysei", a takie erupcje nie zdarzały się zwykle dalej niż o parę dni świetlnych. Poza tym zasięgiem większość źródeł tachionów była efemeryczna, często zbyt potężna, żeby dawało się je wykryć. Ta zdumiewająca sprzeczność wiązała się z fizyką tachionów – im wyższy poziom energii miały cząsteczki, tym mniejszy pokonywały dystans i tym szybciej rozpadały się na cząstki elementarne, kwarki i gluony.

Dlatego szanse uzyskania użytecznych informacji z pułapek tachionowych w czujnikach aparatury namierzania były pod wieloma względami bardzo znikome. I zawsze wymagało to pełnego rozwinięcia żagli. Poświęcenie części z nich na szukanie czegoś poza systemem gwiezdnym komuś takiemu jak Michelle Winger musiało wydawać się świętokradztwem, ale kobieta będzie musiała do tego po prostu przywyknąć.

Nie przylecieli tutaj, żeby badać inteligentne formy wroga, chociaż Eric chciał wyciągnąć z obserwacji jak najwięcej danych, nie zdradzając przy tym obecności okrętu w systemie.

Jednak w tej chwili ważniejsze było sprawdzenie najbliższej okolicy i upewnienie się, czy odbyła się jakaś walka. Jeżeli nic nie znajdą, wtedy – jak podejrzewał Eric – będzie trzeba się tym martwić później.

***

– Nic.

Eric dziwił się i zarazem nie dziwił. Wiedział, że szanse na znalezienie śladu w przestrzeni były małe, ale przecież od pierwszej misji los sprzyjał „Odysei”. Weston wiedział, że niektóre okręty tak właśnie miały – zawsze trafiały w sam środek wydarzeń, na dobre i na złe, jakby takie właśnie było ich przeznaczenie.

„Niektórzy ludzie też tak mają”.

Tym razem jednak nie pozostawało nic innego, jak postępować według staroświeckich, wypracowanych zasad. Należało sprawdzać sektor po sektorze w poszukiwaniu oznak okrętów Priminae, które – jak Weston wiedział – powinny tu wkrótce nadlecieć.

Jednostki Priminae miały takie urządzenia wykrywające, o jakich projektantom „Odysei” nawet się nie śniło. Ale i ci nieliczni spośród ziemskich konstruktorów nie wyobrażali sobie oglądania innego systemu gwiezdnego, jakby to był film na ekranie, a Weston z doświadczenia wiedział, że Priminae potrafili tego dokonać, przynajmniej jeśli chodziło o odległości rzędu kilku lat świetlnych.

Oczywiście to także miało swoje ograniczenia. Przestrzeń była ogromna i im dalej się zaglądało, tym bardziej zawężało się pole widzenia. Poza obszarem o promieniu kilku minut świetlnych trzeba było praktycznie znać położenie celu z dokładnością do paru metrów, jeżeli chciało się go zobaczyć, chyba że obiekt był nieopisanie wielki. W innym przypadku mógł przelecieć niezauważony tuż pod nosem obserwatora.

Ale Priminae mieli lepsze również detektory tachionów, a to zdaniem Erica mogło się w obecnej sytuacji bardzo przydać.

– Będzie mi potrzebny kurs od sektora trzy-dziewięć-osiem do dwunastego – rzucił, zerknąwszy na stanowisko, gdzie siedział Daniels.

Sterownia „Odysei” rozrosła się od pierwszej misji. Dowodził nią komandor porucznik Daniels, szkolący przyszłych nawigatorów gwiezdnych ziemskiej floty kosmicznej. Westonowi nie podobał się pomysł, żeby zieloni sternicy prowadzili jego okręt we wskazanym kierunku, ale co zaskakujące, Daniels świetnie sobie radził z całą tą gromadką żółtodziobów. A flota bez wątpienia potrzebowała doświadczonych i zaprawionych w bojach nawigatorów.

Poza tym to był jedyny sposób, żeby Westonowi udało się zatrzymać na pokładzie utalentowanego nawigatora. Daniels został przydzielony do szkolenia specjalistów w akademii, pomimo stanowczych sprzeciwów samego komandora porucznika, dopóki Eric nie udostępnił z niechęcią pokładu „Odysei” jako poligonu dla początkujących.

Jak się okazało, nie było tak źle. Zresztą do tego przecież i tak wszystko zmierzało, więc Weston nie żałował tak bardzo. Chociaż uważanie na żółtodziobów chwilami działało mu na nerwy.

– Kurs wykreślony, kapitanie.

– Dobrze – mruknął Eric. – Ruszać. Powiadomić załogę o gotowości do tranzycji.

– Tak jest, kapitanie. – Daniels skinął na swoją uczennicę.

Kilka szybkich ruchów nadgarstka młodej kobiety wprowadziło „Odyseję” na kurs, po czym rozległy się syreny ostrzegawcze przed skokiem.

– Cała załoga, gotowość do tranzycji. To nie ćwiczenia. Cała załoga, gotowość do tranzycji. To nie ćwiczenia.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

Kapitan Kian marszczyła brwi, wpatrzona w ekrany wokół niej, niezmiernie zdenerwowana tym, co widziała.

Bez wątpienia coś się poruszało w jej sektorze, ale nie przypominało żadnego znajomego wzorca i chyba zamierzało

tylko doprowadzić Kian do obłędu swoim zachowaniem. „Posdan” śledził kilka słabych zakłóceń tachionowych, które pojawiły się na rzadko używanej trasie w wycinku przestrzeni od dawna nieodwiedzanym z powodu rozwoju technologii napędu i opuszczeniu przez populację niestabilnej kolonii.

Nic niezwykłego, biorąc pod uwagę obecny stan kolonizacji, ale nagle zakłócenia zmieniły kurs w przypadkowych interwałach, zaczęły cofać się po własnych trajektoriach i w ogóle zachowywały się w sposób, z jakim Kian nigdy jeszcze nie spotkała się w swojej karierze – ani we flocie handlowej, ani jako dowódca „Posdana”.

„Jeżeli to Drasinowie, to popadli w zupełne szaleństwo”.

– Kapitan Kian, kolejny rozbłysk tachionów.

Kian pomasowała skronie.

– Kolejna zmiana kursu?

– Nie. Tym razem w innym sektorze.

To przyciągnęło jej uwagę do meldunku.

– Pokaż.

Obraz na ekranie zmienił się, ukazując nowy wycinek przestrzeni. Rozbłysk tachionów pojawił się znikąd. Kapitan zmarszczyła brwi.

– To prawidłowy odczyt? Gdzie jest źródło sygnału?

– Nie mamy żadnego. Rozbłysk po prostu się pojawił.

Kian przypomniała sobie fragment raportów z odprawy i nieco się rozluźniła.

– Sprawdź to z plikiem danych o sygnaturze „Odysei”.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym nadeszła zawstydzona odpowiedź:

– Sygnatura pasuje, kapitan Kian.

– Zrozumiałam – odparła Kian z namysłem.

Uprzedzono ją oczywiście, że „Odyseja” zamierza odwiedzić ten rejon.

„Zdaje się, że chodziło o inny okręt z Terry, jeśli dobrze pamiętam. Ale nie dostrzegliśmy niczego, co przypominałoby sygnaturę napędu »Odysei«. Dziwne”.

Szybko oderwała się jednak od rozmyślań na ten temat, ponieważ miała na detektorach inny obiekt, który budził jej zmieszanie. Połączyła się z „Neptem”.

– Tak, kapitan Kian.

– Czy kapitan Tsarin jest na stanowisku?

– W tej chwili jest pod pokładem. Mogę go wezwać.

– Nie. Przekaż mu tylko, że zmieniam kurs, żeby wyjść na spotkanie terrańskiej jednostki, „Odysei”. Wrócę niedługo.

– Nowe źródło cząsteczek poruszających się z prędkością światła? To „Odyseja”?

– Pasuje do sygnatury – potwierdziła Kian. – Poinformuj kapitana, że to nie potrwa długo, ale wolę wiedzieć, gdzie są Terranie, niż pozwolić, żeby nas zaskoczyli.

– Przyjęte. Przekażę. Dziękuję za informację, kapitan Kian.

Kian zakończyła połączenie z drugim okrętem Priminae i wstała z fotela. Przeszła przez pokład dowodzenia.

– Kurs na zakłócenia tachionowe. Pełna prędkość.

– Tak jest, czekamy tylko na rozkaz.

– Wykonać.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Okręt zakończył tranzycję i natychmiast rozwinął żagle sensorów na maksimum, by od razu zebrać dane o przestrzeni w promieniu paru minut świetlnych. Weston przejrzał informacje z obszaru w promieniu jednej minuty świetlnej, niezbyt przekonany o braku zagrożeń.

Wiedział, że dane mogą okazać się mylące. Za granicą detektorów mogło się kryć dowolne niebezpieczeństwo, o ile tylko poruszało się z prędkością nadświetlną. Załoga „Odysei” polegała jedynie na swoich wykrywaczach tachionów, a te miały bardzo ograniczony zasięg.

– Mamy cokolwiek? – Pochylił się nad ramieniem Winger.

– Wykryliśmy tylko proste uderzenia, kapitanie. Nic spójnego i na pewno nic modulowanego, jak dotąd – odparła Winger. – Na pewno Priminae już tu są?

– Tak właśnie mi powiedziano – odrzekł. – Co to?

Winger podążyła za jego spojrzeniem i ujrzała niewielką jaśniejszą smugę, która pojawiła się na ekranie na tle martwej czerni pikseli.

– Nie mam pewności. Sprawdzę, czy można to jakoś wyostrzyć. – Winger uderzyła w klawisze, żeby wyizolować ten wycinek przestrzeni i skupić na nim więcej wykrywaczy tachionów.

Chwilę później otrzymała lepszy odczyt – wyglądał jak spiralny wzór. Winger szybko otworzyła plik z archiwów okrętu i porównała.

– Myślę, że to fala czołowa, kapitanie.

Weston wyprostował się i skinął głową.

– Zabierz nas do centralnego rejonu, pierwszy.

– Tak jest, sir, rejon centralny! – potwierdził Roberts, po czym pochylił się nad Danielsem, żeby sprawdzić na ekranie, który powielał obraz ze stanowiska namiarowego, co widział Eric. – Co mamy, kapitanie?

– Nadchodzącą falę czołową – odparł Eric, po czym wrócił na swój fotel.

– Przyjęte, sir – potwierdził Roberts, po czym skinął głową Watersowi.

Oficer taktyczny nie potrzebował wyjaśnień. Wydał rozkaz gotowości całego uzbrojenia, w tym polecenie przygotowania torped impulsowych. Przekierował też część mocy do kondensatorów, które zasilały aparaturę wykrywania w czasie rzeczywistym.

– Mam pełny obraz, kapitanie – oznajmiła Winger. – Pingować cel?

Weston zastanowił się, po czym skinął głową.

– Wykonać.

– Jeden wąskopasmowy ping za trzy sekundy… dwie… jedną…

Ekran rozbłysnął bielą, a Eric wyobraził sobie, że zauważył przygaśnięcie świateł na mostku, gdy moc z kondensatorów została przekierowana na impuls generatorów tachionowych. Było to jedynie złudzenie. Gdyby jednak generatory nie czerpały energii z kondensatorów, lecz bezpośrednio z zasilania okrętu, wywołałyby znaczący spadek mocy w systemach pokładowych.

– Ping wysłany. Analiza danych – oznajmiła Winger, zerkając na monitory. – Mam. Pasuje do wzorców jednostek Priminae.

– Co znaczy tylko tyle, że to nie Drasinowie, kapitanie. Pamiętajmy o nieznanym.

Eric skinął głową, wiedząc, że Roberts ma rację. Nieznany gatunek, na który natrafili w pobliżu struktury Dysona, najwyraźniej pożyczył sobie klucz do baz danych Priminae, ponieważ jego jednostki miały niemal identyczne sygnatury jak okręty Priminae.

Istniała między nimi tylko jedna różnica.

– Analiza materiałowa? – Spojrzał na stanowisko, przy którym pracowała Winger.

– Pracuję nad tym, kapitanie. Zdaje się jednak, że okręt nie jest z metalu. Otrzymujemy słabszy sygnał powrotny, gdy kadłub jest metalowy.

Wysoko naładowane cząstki tachionowe odbijały się łatwiej od ceramicznych stopów kompozytowych, jakich używali Prymusi, niż od powłok metalowych, w których tachiony „grzęzły” i zmieniały konfigurację, raczej niż się odbijały. Dla „Odysei” oznaczało to, że nie trzeba gotować się do walki, ale był to tylko znak. Eric nie musiał się nawet zastanawiać nad swoim kolejnym posunięciem, doskonale wiedział, co robić.

– Pozostać na pozycji w głównym sektorze, dopóki nie będzie pewności co do konstrukcji okrętu – oznajmił. – Zdaje się, że to okręty, których się spodziewamy, ale lepiej nie tracić czujności.

– Tak jest, kapitanie.

– Przewidywany czas do kontaktu?

– Trudno dokładnie określić prędkość, ale po widmie schodzącym ku czerwieni zakładam, że do dziesięciu minut,

może mniej – odparła Winger.

– Jak daleko od nas znajduje się ta jednostka?

– Trzy dni świetlne, może cztery.

– Cholera… – mruknął ktoś obok i cicho gwizdnął.

Eric nie powiedział tego głośno, ale nie mógł się nie zgodzić. Tranzycja była szybsza, o wiele szybsza, ale nie stanowiła w zasadzie podróży. Pod wieloma względami skok przypominał złożenie przestrzeni – przynajmniej w praktyce, jeśli nie w teorii. Po prostu przestawało się przebywać w punkcie początku, a znajdowało się w punkcie docelowym. Pomijając czystą grozę, która towarzyszyła tranzycji, było to tak naprawdę dość nudne.

Obcy okręt poruszał się z prędkością co najmniej pięćset razy większą od światła, o ile wierzyć wskazaniom z ekranów Winger. Eric wiedział z rozmów z Millą i Raelem podczas pierwszej i drugiej misji „Odysei", że w nadświetlnej z okrętu można było oglądać gwiazdy tak samo, jak w zwykłej przestrzeni relatywistycznej oglądało się je przez teleskopy. Obserwować ciągły ruch gwiazd podczas lotu, a nie tylko zmianę ich położenia po tranzycji – to naprawdę robiło znaczącą różnicę.

Niesamowicie by było zobaczyć to na własne oczy, uznał Eric.

Może kiedyś.

Po wysłaniu impulsu kondensatory potrzebowały czasu na doładowanie, nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko czekać na zbliżenie się tamtego okrętu. Wreszcie pojawił się w zasięgu pola widzenia, zaledwie dziesięć minut później. Erica rozbawiła myśl, że okręt znajdował się bliżej, niż wskazywały najlepsze czujniki Konfederacji, jako że poruszał się szybciej niż fotony, które wychwytywały urządzenia.

– Nawiązać łączność, standardowe pasmo Priminae.

– Tak jest, kapitanie. Połączenie gotowe.

Bez łączności nadświetlnej „Odyseja" musiała polegać na uzgodnionej standardowej modulacji, którą można było zastosować w większości urządzeń na pokładzie ziemskiego okrętu. W tym przypadku wystarczyła transmisja radiowa.

Eric chciałby mieć jeden z transmiterów nadświetlnych Priminae. Nawet na krótki zasięg taki transmiter stanowiłby ogromne ułatwienie, jednak problemem było zasilanie. Gdyby zgromadzić maksymalną energię w kondensatorach, nie wystarczyłoby jej na dość długo, żeby transmiter do czegokolwiek się przydał.

– Do jednostki Priminae, tu mówi kapitan Eric Weston z okrętu „Odyseja" Konfederacji Północnoamerykańskiej. Jesteśmy w tym sektorze w celu sprawdzenia, czy znajduje się tutaj inna terrańska jednostka. – Eric mówił powoli i wyraźnie, żeby nie utrudniać pracy automatycznym translatorom.

Algorytmy, które umożliwiały tłumaczenie, były nieustannie ulepszane w oparciu o wyniki badań Palina i dostosowywane po każdej rozmowie, jednak nadal pozostawiały wiele do życzenia. Najlepiej zatem było mówić prosto i wyraźnie.

– Witam, kapitanie – rozległ się w odpowiedzi kobiecy głos, zniekształcony nieco przez komputer translacyjny. – Jestem Kian, dowódca „Posdana". Wykryliśmy wasze przybycie. Muszę zameldować, że nie wykryliśmy żadnych innych sygnatur nadświetlnych podobnych do waszego okrętu. Wątpię, czy pana pobratymcy nadal znajdują się w tym sektorze.

– To jednak możliwe, kapitan Kian – odparł Eric. – Drugi okręt nie używa naszego napędu skokowego, więc jego sygnatura będzie się znacząco różnić od naszej.

Nastąpiła pauza, zanim kapitan „Posdana" odpowiedziała, a kiedy wreszcie się odezwała, Ericowi wydawało się, że w jej głosie słyszy irytację.

– Rozumiem. Dobrze, kapitanie. Przekoduję dane o sygnałach nadświetlnych, które zebraliśmy w tym sektorze. Może dzięki temu uda się panu zlokalizować zaginioną jednostkę.

– Będziemy bardzo wdzięczni. Dziękuję, kapitan Kian.

– Nie ma za co, kapitanie. Proszę przygotować się na przyjęcie transmisji danych.

Eric zerknął na stanowisko łączności i natychmiast otrzymał potwierdzające skinienie głowy od oficera, który je obsługiwał.

– „Odyseja" gotowa do przyjęcia transmisji danych.

– Przesyłam – odpowiedziała Kian chwilę później.

– Transmisja bez zakłóceń, kapitanie. Kopiuję sygnały na stanowisko Michelle.

– Michelle? – Eric obejrzał się.

– Mam je, sir – zapewniła Winger. – No, no.

– Co: no, no? – zapytał ostro Eric.

– Nie mogę potwierdzić ze stuprocentową pewnością, sir – wyjaśniła natychmiast – ale myślę, że widzę manewry unikowe Bloku.

– Na pewno? Nie, wycofuję. Oczywiście, przecież nie masz pewności. – Eric zmarszczył brwi. – Dobrze, zatem najgorszy scenariusz: „Weifang" gdzieś tu jest i ucieka, ponieważ jest ścigany. Spróbuj przewidzieć jego następny ruch przy manewrach unikowych, Winger.

– Tak jest, kapitanie.

– „Posdan", nadal jesteście na linii?

– Tak, kapitanie. Nadal mamy połączenie. Chyba rozumiem sytuację. Może pan przewidzieć następną zmianę kursu terrańskiego okrętu?

– Pracujemy nad tym. Manewry unikowe nie są łatwe do przewidzenia – westchnął Eric. – I o to właśnie chodzi. Jeżeli „Weifang" używa schematu z wojny, może uda się coś przewidzieć. Jeżeli nie, będzie trudniej.

– Przyjęłam. Jeżeli ten okręt ucieka, to znaczy, że przed czymś lub przed kimś. Dobrze się domyślam? – zapytała Kian.

– Tak właśnie uważam, kapitan Kian – przyznał Eric. – A jeżeli nie ucieka przed nami i nie przed Priminae, to nietrudno domyślić się, kto jest ścigającym.

– Tak. Cóż, mamy raporty o sygnałach Drasinów w tym rejonie, więc to żadne zaskoczenie. Przekażę „Neptowi" nowe informacje.

– Zrozumiałem i dziękuję za dane. „Odyseja", bez odbioru.

Eric odwrócił się do Winger.

– Potrafi pani przewidzieć następny ruch „Weifanga"?

– Może być z tym problem, kapitanie – odpowiedziała Michelle z namysłem, zajęta analizą danych, które przepływały

po jej ekranie.

– Mamy i bez tego mnóstwo problemów. Co tym razem?

– Jeżeli dobrze to odczytuję, mam do czynienia ze starym schematem manewrów unikowych z okresu wojny, który został zmodyfikowany do użytku przy prędkościach nadświetlnych. „Weifang” wykonał trzy pętle i z pół tuzina „szalonych Iwanów”. I chyba uważa, że zgubił ogon, sir.

– Ale nie zgubił, jak się domyślam?

Kobieta pokręciła głową.

– Mowy nie ma. Za nimi leci mała flotylla, śledzi ich poza zasięgiem czujników. I jeżeli Chińczycy nie dysponują aparaturą namierzającą FTL o czułości dorównującej urządzeniom Priminae, to nie ma szans, żeby się zorientowali, że nadal są śledzeni, sir. Nie możemy wykryć tych okrętów, sir. Nie bez miliona pingów tachionowych. „Weifang” na pewno nie wie, że ma ogon.

Winger odwróciła się, by spojrzeć Westonowi w oczy.

– A jeżeli stosuje schemat bojowych manewrów unikowych Bloku, to wkrótce skieruje się do bezpiecznego portu.

Weston tylko się skrzywił.

Niedobrze, ponieważ „Weifang” miał na liście tylko jeden bezpieczny port.

Ziemię.

ROZDZIAŁ 8

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”

Chociaż wydawało się to dziwne, Sun przyglądał się sobie i załodze z ironicznym rozbawieniem. „Weifang” radośnie błąkał się po Galaktyce – no, przynajmniej po niewielkim zakątku Galaktyki – już od kilku dni. A przy każdym przystanku wszyscy się uciszali, włącznie z Sunem, niemal wstrzymywali oddech i rozmawiali tylko szeptem.

Wielu z członków załogi, podobnie jak Sun, służyło wcześniej na okrętach podwodnych i teraz, jak się zdawało, powróciły dawne nawyki.

Tym razem zatrzymali się w przestrzeni kosmicznej na trzy dni i pozwalali po prostu, aby pokładowe czujniki, ograniczone prędkością światła, wyłapywały fotony z okolicy, powoli rozciągając promień wykrywania o kolejne sekundy świetlne. W zasięgu trzech dni świetlnych, na ile dało się stwierdzić, nie było wroga. Możliwe, że się maskował, ale nawet wtedy ujawniłby się pod wpływem paru nuklearnych eksplozji, jakie Sun polecił wywołać, gdy tylko zatrzymał „Weifanga” na kolejny postój.

W przestrzeni, bez atmosfery, która zaabsorbowałaby energię i zmieniłaby ją w ciepło, większość wybuchów nuklearnych emitowała energię elektromagnetyczną. Śmiercionośną zapewne dla słabo chronionych celów, ale dla okrętów wojskowych stanowiącą niewielkie zagrożenie, chyba że znalazłyby się naprawdę blisko epicentrum.

Eksplozje byłyby wspaniałymi transmiterami, jeżeli nie dbało się o rodzaj sygnału, jaki by wysyłały. Przydałyby się, na przykład, gdyby chciało się wysłać bardzo mocną falę, która odbije się od niemal wszystkiego, co napotka. W zasięgu półtora dnia świetlnego od pozycji „Weifanga" załoga wykryła kilka asteroid, sporo mniejszych odłamków skalnych, a nawet obiekt, który wyglądał na zabłąkaną planetę. Jednak nie pojawiły się żadne oznaki pogoni ani nic, co pasowałoby do sylwetek okrętów zapisanych w plikach pamięci.

„Na ile to możliwe, mamy pewność" – uznał w końcu Sun.

– Przygotować kurs powrotny do domu – rozkazał zdecydowanym tonem. – Nie bezpośredni, ale też nie traćmy zbyt wiele czasu.

– Tak jest, kapitanie.

Sun usłyszał ulgę w głosie oficera i dostrzegł to samo uczucie na twarzach załogi. Nie musiał się starać, żeby ich zrozumieć. Czuł to samo. Przebywali już zbyt długo w głębokiej przestrzeni na okręcie, który był na wpół zniszczony, na dodatek istniała możliwość, że obce monstra z kosmosu polowały na „Weifanga" wśród gwiazd.

Napięcie rosło wbrew dyscyplinie, jaką utrzymywał na pokładzie, i Sun domyślał się, że gdyby teraz poluzował nieco, mogłoby się to źle odbić na załodze. Zdarzyły się już przepychanki, dziecinne bójki, które w normalnych warunkach nie miałyby znaczenia, ale kapitan wiedział, że w krótkim czasie nastąpi eskalacja.

Dlatego nadeszła pora, by wracać do domu.

Sprawdzili, czy nie mają ogona, a i okręt potrzebował napraw, jakie można przeprowadzić tylko przy pomocy narzędzi i aparatury dostępnej wyłącznie w stoczni Bloku na orbicie Ziemi. Koniec zabawy. Czas się zbierać do domu.

Niszczyciel imperialny „Heros"

„Ci obcy są bardziej irytujący niż cały układ planetarny Priminae”.

Obca jednostka zataczała się w przestrzeni jak prowadzona przez pijanego uczniaka, angażując w pościg całą dywizję dronów wraz z dwoma niszczycielami Floty Imperium. Owszem, Ivanth takie właśnie miał zadanie, ale ta sytuacja, szczerze mówiąc, zaczynała mu działać na nerwy.

„Jak długo jeszcze będziemy gonić za tym głupcem niby pies, który chce na siebie zwrócić uwagę?”

Ivanth rozumiał konieczność sprawdzania każdego nieznanego okrętu. Galaktykę wypełniały kieszonkowe królestwa i pomniejsze tyranie, które nieustannie sprawiały kłopoty Imperium. W tym sektorze przestrzeni już raz Lud natrafił na okręt ledwie wykrywalny przez skanery i zdolny do zniszczenia wielu jednostek dronów oraz unikania reszty floty.

Nic nie powinno być do tego zdolne.

Nic.

– Nowa zmiana kursu!

Ivanth skrzywił się, ale ruszył do stanowiska nawigacyjnego.

– Dokąd tym razem?

– Donikąd.

Ivanth po raz kolejny pożałował swojego pytania, ponieważ wielokrotnie słyszał tę odpowiedź. Ale i tak musiał to doprecyzować.

– Wyjaśnij.

– Nie ma żadnych gwiazd na nowym kursie, przynajmniej w odległości kilku lat świetlnych.

„Nic zaskakującego. Ci ludzie są albo szaleni, albo skrajnie paranoiczni”.

Chociaż, szczerze mówiąc, Ivanth nie potrafił ich do końca za to winić. Nie musiał się obawiać, że drony napadną na jego świat. Znajdowały się przecież pod kontrolą Imperium. Co nie znaczyło, że się ich nie obawiał. Zachowywałby czujność, gdyby istniało prawdopodobieństwo, że zaprowadzi je do swojego rodzinnego świata. Ivantha martwiło bowiem to, że drony znają lokalizację jego ojczyzny.

W przeciwieństwie do wyższych rangą Ivanth nie był przekonany co do skuteczności poleceń nadpisanych na pierwotne ustawienia dronów. Nikt jednak nie liczył się z jego zdaniem, więc pozostawało mu tylko słuchać rozkazów i robić, co należy.

W tej chwili znaczyło to śledzenie trajektorii lotu obcego okrętu i dotarcie do jego świata.

– Kontynuować śledzenie z bezpiecznej odległości – rozkazał. – Utrzymać pełne wykrywanie. Nie wolno stracić tego okrętu z oczu.

– Tak jest, komendancie.

Ivanth cofnął się od stanowiska namierzania i wrócił na mostek. Zatrzymał się przy dowódcy wachty.

– Chcę, żeby poinformowano mnie, gdy tylko obcy postanowi ruszyć do celu.

– Na rozkaz.

Ivanth skinął głową i opuścił pokład dowodzenia.

„Heros" był imperialnym niszczycielem, jednym z najlepszych okrętów w znanej przestrzeni. Został zbudowany, aby wytrzymać i zwyciężyć w walce. Latanie od układu do układu jak jakieś opętane zwierzę było poniżej godności takiego okrętu.

Nie na to się pisał Ivanth, gdy wstąpił do floty. Wyobrażał sobie patrolowanie przestrzeni pod władzą Imperium, utrzymywanie siłą Pax Imperia, a od czasu do czasu ścieranie się z piratami lub obcą „armadą". Oczywiście historycznie obce armady składały się z mniej niż stu jednostek i zazwyczaj nie udawało im się zarysować niszczyciela, nawet gdy się z nim zderzyły.

Rzecz jasna istniały wyjątki.

Jak choćby Priminae.

Ivanth skrzywił się nieświadomie na myśl o Priminae. Głupi pacyfiści.

Minęło dziesięć tysięcy pokoleń, a nadal przeklinano ich imię na głównych światach Imperium. Mnóstwo czasu zajęło wytropienie, dokąd się udali, a raczej uciekli, ale teraz znowu

znaleźli się w rękach Imperium, choć może jeszcze o tym nie wiedzieli.

A co robił Ivanth? Śledził obcego szkodnika, który wyraźnie miał problem z lataniem po prostej, ponieważ jeszcze inna obca jednostka okazała się bardziej bojowa, niż się spodziewano. Należało wytropić świat pochodzenia owej jednostki, gdyż stanowiła zagrożenie, którego nie wolno było lekceważyć. I tamten świat musiał powrócić do Imperium, a jednostka dołączyć do pierwszej z wielu przyszłych flot.

I właśnie po to były drony.

***

Czerwona pręga wśród nich była jak ogień, który parzył od wewnątrz. Sprzeczne rozkazy, na których opierało się ich działanie, nie miały sensu, jednak na razie nic nie można było z tym zrobić. Dwa wielkie okręty czerwonej pręgi leciały między nimi i każdy dron mógł tylko zerkać na nie pożądliwie.

Drony wiedziały, że rozkazy będą miały sens.

W końcu.

Na razie drony wyładują frustrację tam, gdzie mogą i jak mogą.

Wkrótce jednak… Wkrótce nie będą już musiały znosić pręgi w swoich szeregach.

Tak właśnie postępował rój.

***

– Komendancie, obca jednostka zmieniła kurs.

Ivanth nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał się od zdegustowanego prychnięcia na tę nowinę, która dawno już przestała być nowiną. Zmusił się, żeby skinąć głową i odezwać się opanowanym tonem:

– Jakieś miejsce przeznaczenia?

– Możliwe.

Cóż, to było odrobinę bardziej interesujące, niż Ivanth się spodziewał, ale tylko odrobinę. Obliczono już kilka takich miejsc przeznaczenia i wszystkie okazały się fałszywe. Jednak lepsze to niż najczęstsze „nie”, jakie słyszał w odpowiedzi na swoje pytanie.

– Szczegóły proszę.

– Nowa trajektoria biegnie po łuku, więc jednostka minie przynajmniej trzy gwiazdy, w zależności od tego, jak długo pozostanie na tym kursie. Każda z tych gwiazd może być celem obcego.

– Albo żadna z nich – stwierdził Ivanth beznamiętnie.

– Tak jest, komendancie.

– Dobrze. Zapisz wszystkie do pamięci i kontynuuj ten pościg.

– Na rozkaz, komendancie.

„W rzeczy samej, na rozkaz. Lećcie do domu, nieznośne szkodniki. Lećcie do domu, żebym mógł nareszcie wrócić do moich właściwych obowiązków”.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Nowe sygnały, kapitan Kian.

Kian odwróciła się i podeszła do stanowiska namierzania, po czym spojrzała na ekran. Obraz był ustawiony tak, żeby „Posdan” stanowił centralny punkt odniesienia, z oznaczonymi strefami zasięgu otaczającymi okręt w wybranych odległościach. Trójwymiarowy schemat ukazywał serię wyładowań nadświetlnych przed dziobem okrętu, które oddalały się od niego po krzywej. Kian zmarszczyła brwi, w pamięci obliczając trajektorię, po czym się nieco rozpogodziła.

Terranie przynajmniej oddalali się od przestrzeni kolonii. Chociaż jedna optymistyczna okoliczność.

– Mamy lokalizację „Odysei”? – zapytała, szukając wzrokiem drugiego terrańskiego okrętu na ekranie.

– Zdaje się, że jest tutaj.

Na ekranie rozbłysła kropka, rozświetlając zupełnie inny sektor przestrzeni niż ten, w którym okręt znajdował się wcześniej.

„Jak Terranom się to udało?”

Jakkolwiek tego dokonali, znaleźli się znowu poza zasięgiem ograniczonej łączności, jakiej używali, chociaż Kian przypuszczała, że nadal mogą wykryć łączność nadświetlną.

– Prześlij do ich obecnej pozycji – rozkazała kapitan. – Przekoduj wszystkie związane z tym kursem dane i przekaż na „Odyseję”, że będziemy nadal śledzić jej pobratymca.

– Tak jest, kapitan Kian.

Skoncentrowany sygnał nadświetlny powinien dotrzeć do „Odysei” niemal natychmiast, a choć Terranie nie mogli odpowiedzieć, Kian dowie się, czy otrzymali dane, ponieważ wtedy ich okręt po prostu zniknie z ekranów „Posdana”.

– A tymczasem zróbmy tak, jak powiedziałam, czyli kontynuujmy śledzenie.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Zakłócenia tachionowe!

Okrzyk wyrwał Erica z zamyślenia tak głębokiego, że mogłoby uchodzić za stupor. Kapitan potrząsnął głową i rozejrzał się, żeby znaleźć właściciela podekscytowanego głosu.

– Meldować.

– W nasze detektory tachionów uderzyła transmisja o takiej mocy, że wolę sobie nawet jej nie wyobrażać – oznajmiła Winger, która nawet nie raczyła podnieść wzroku znad ekranów.

– Transmisja?

– Tak jest, sir. Jest modulowana i bez zniekształceń, na ile mogę oszacować. Protokół Priminae.

– Odszyfrować.

– W trakcie, sir. Przypomina to dane z sensorów – odpowiedziała Winger. – Skany fali czołowej, wykresy nawigacyjne… O cholera.

„To nie wróży nic dobrego". Ericowi ledwie udało się powstrzymać od wypowiedzenia tego na głos.

– Potrzeba mi więcej informacji niż „o cholera", porucznik Winger.

– Och… oczywiście, sir. – Winger skrzywiła się i pochyliła nieco bardziej nad konsolą. – Widać zmiany kursu „Weifanga", jeśli dobrze to odczytuję, i wygląda na to, że Chińczycy chcą wracać do domu.

Eric przymknął oczy.

– A pościg?

– Nadal na ich ogonie, sir.

– Proszę, niech tylko nie będzie to kurs po prostej. – Ton głosu Erica zmienił się w niemal błagalny.

– Nie, kapitanie. To zakrzywiona trajektoria, która doprowadzi „Weifanga" w pobliże Słońca jako ostatniej z trzech gwiazd – odpowiedziała porucznik Winger. – Ale to nie wystarczy, żeby zmylić kogoś, kto przygląda się dokładniej.

– Daniels, ustal kurs. Zabierz nas przed tych przeklętych głupców – rozkazał Eric nerwowo. – Musimy ich zawrócić, do diabła!

– Tak jest, kapitanie. – Daniels już nad tym pracował, jego odpowiedź była jedynie formalnością.

Roberts tylko zerknął na stanowisko nawigacyjne, gdy podszedł do Erica.

– Kapitanie, jeżeli technologia tachionowa Bloku przypomina naszą, „Weifang" nas nie zauważy, gdy wejdzie w nadświetlną. Nie sądzę, żeby udało się go zawrócić.

Eric ponuro pokiwał głową.

Zbyt dobrze sam o tym wiedział. Wiedział również z najnowszych doniesień wywiadu, że Blok nie tylko nie miał

bardziej zaawansowanej technologii tachionowej, lecz wręcz przeciwnie, w tej dziedzinie był o generację lub więcej w tyle.

Jeżeli nie uda się zawrócić Chińczyków, pozostanie tylko jedno wyjście.

Eric zamknął oczy.

Ostatnie, czego by sobie życzył, to oddać pierwsze strzały w nowej wojnie z Blokiem, ale nie mógł pozwolić, aby Drasinowie poznali lokalizację Ziemi. Jeżeli nie uda się zawrócić „Weifanga", trzeba będzie go zatrzymać.

Za wszelką cenę.

– Dobrze. Cała załoga, gotowość do tranzycji!

Okręt wojenny Priminae „Posdan"

– „Odyseja" zniknęła z naszych ekranów, kapitan Kian.

Kian skinęła głową z zadowoleniem. Co prawda z Terranami nie dało się prowadzić rozmowy, ale to nie oznaczało, że nie można im przesłać wiadomości.

„Co za dziwna mieszanka technologiczna ta »Odyseja«" – pomyślała kapitan. „Wykrywanie w nadświetlnej, ale łączność o minimalnym zasięgu. Napęd, który drwi ze wszystkich metod obliczeniowych w historii Priminae, ale ledwie dość mocy, by okręt pojawił się na naszych skanach wykrywania zagrożeń".

Jednak musiała przyznać, że to ostatnie stanowiło raczej zaletę niż wadę.

Co nie zmniejszało zdumienia, jakie budził terrański okręt. „Odyseja" stanowiła zaskakującą mieszankę technologicznych osiągnięć, które nie miały żadnego sensu praktycznie dla każdego z floty Priminae, kto poświęcił czas, by się nad tym zastanawiać. Kian miała nadzieję, że kiedyś nastąpi prawdziwa wymiana wiedzy i osiągnięć technologicznych, ponieważ napęd Terran był więcej niż rewolucyjny.

Lecz w tej chwili „Odyseja" znajdowała się poza zasięgiem Kian.

„To, co robią tutaj Drasinowie, musi być dla mnie priorytetowe. Jednak jak długo trzymają się z dala od głównych planet, sytuacja i tak się polepsza”.

Odkąd na światach centralnych rozpoczęto wreszcie produkcję okrętów wojennych i obronnych, sytuacja w domu wyglądała coraz korzystniej. Ale Kian nie chciałaby zobaczyć, co się stanie, jeśli niepowstrzymana armia Drasinów zaatakuje ostateczne linie obrony na centralnych światach Priminae. Kapitan obawiała się, że „ostateczne” może mieć inne znaczenie niż kiedyś.

– Możemy przeciąć kurs sygnałów, które śledzimy? – Kian przerwała rozmyślania.

– Na maksymalnej prędkości możemy je dogonić, zanim opuszczą ramię Galaktyki.

Kian westchnęła. Tego się mniej więcej spodziewała.

– Tamten okręt nie zmierza na krańce Galaktyki – stwierdziła. – Przekaż „Neptowi”, że rozpędzamy się do maksymalnej prędkości.

– Tak jest, kapitan Kian.

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”

Sun spoglądał na meldunki przesyłane z każdej sekcji okrętu i wymieniające prace, jakie zostały wykonane przez minione parę dni. Była to długa lista – tak długa, że kapitana ogarnęła duma z załogi – jednak spis prac do wykonania nadal pozostawał równie okazały.

Załodze udało się uczynić kilka małych cudów w czasie, który otrzymała, jednak było jasne, że „Weifang” potrzebuje koniecznie kapitalnego remontu. Niemal połowa jego maszynowni otwierała się na próżnię. Tym bardziej wykonywanie tam bieżących napraw graniczyło z cudem. Co tu

kryć, Sun nie tak wyobrażał sobie tę misję, gdy przedstawiono mu jej założenia na odprawie.

Jednak przynajmniej przekonał się, że Konfederacja nie wyolbrzymiała zagrożenia, jakie stanowił obcy gatunek, nazwany przez nią Drasinami. Co więcej, było jasne, że właśnie ci obcy podkradali się coraz bliżej Ziemi. Gliese 581 znajdowała się dwadzieścia dwa lata świetlne od Słońca. Pod każdym względem przerażająco blisko.

Na tyle blisko, żeby wychwycić wczesne transmisje sygnałów telewizyjnych, które na szczęście później zostały nieco ograniczone dzięki satelitom i bardziej precyzyjnemu nakierowaniu przekazów.

„Ciekawe, jakie mieliśmy szanse, żeby obcy nie wyśledzili Ziemi na podstawie starych sygnałów, zanim nauczyliśmy się lepiej izolować nasze urządzenia i dokładniej skupiać wiązki fal?”

Sun uznał, że chyba nie chce znać odpowiedzi na to pytanie. I tak już nie mógł zasnąć przez bieżące problemy.

Na Ziemi, głównie dzięki „Odysei”, wybuchł zgiełk wokół wszystkiego, co miało przedrostek „kseno”. Sam zetknął się z ksenobiologią, jak również kilkoma wiodącymi teoriami kosmologicznymi, które zakładały istnienie życia pozaziemskiego. Przed powrotem „Odysei” z pierwszej wyprawy największą popularnością cieszyła się hipoteza, że człowiek może być pierwszą formą inteligentnego życia, jaka pojawiła się we wszechświecie.

Wydawało się to trochę absurdalne, ale gdy się przyjrzeć liczbom, można było zrozumieć, skąd wzięła się taka teoria.

Wszechświat liczył sobie około osiemnastu miliardów lat, Ziemia powstała mniej więcej sześć miliardów lat temu. Ludzkość narodziła się w okresie między dziesięć a sto tysięcy lat temu, zależnie od tego, jak się liczyło.

Chodziło o to, że ewolucja do świadomości, społeczeństwa, techniki i tym podobnych wymagała czasu. Przynajmniej miliardów lat. Na Ziemi dokładnie prawie sześciu miliardów. Wszechświat był starszy od Ziemi zaledwie trzykrotnie

i zapewne bardzo nieprzyjazny dla każdej formy życia w okresie, gdy się kształtował.

Przypuszczać zatem należało, że życie nie miało zbyt wielkiej szansy, żeby powstać wcześniej niż sześć miliardów lat temu i co więcej, do niedawna jeszcze nie mogło ewoluować w bardziej skomplikowane, a zwłaszcza inteligentne formy.

Odkrycia dokonane przez „Odyseję” położyły oczywiście kres tej hipotezie, ale liczby pozostały i nadal miały swoją wymowę.

A przynajmniej Sun miał taką nadzieję, ponieważ oznaczać to mogło, że nikt w głębokiej czerni przestrzeni kosmicznej nie ma znaczącej przewagi nad ludzkością. Z pewnością jak dotąd wróg, choć bez wątpienia bardziej zaawansowany w niektórych dziedzinach, należał jednak do mniej więcej tej samej ligi, co ludzie. Miał większą moc, ale chyba nadal pozostawał wrażliwy na broń zaprojektowaną do walki w kosmosie.

Sun wolałby nie mieć do czynienia z przeciwnikiem potencjalnie tak zaawansowanym, jak przewidywały niektóre najgorsze teorie.

Rzeczywistość była wystarczająco zła.

Kapitan spojrzał na ciemny ekran. Żałował, że czujniki „Weifanga” nie mogą sięgnąć poza grawitacyjne zakrzywienie czasoprzestrzeni, które pozwalało poruszać się okrętowi wśród gwiazd. Lot na ślepo nie koił nerwów, a Sun właśnie tego potrzebował teraz najbardziej.

„Wkrótce znajdziemy się w domu. Mam nadzieję, że mój raport wystarczy, aby zmusić obecną władzę do przemyślenia swojej polityki. Wydaje mi się, że chyba nadeszła pora na zaprzestanie przepychanek z Konfederacją”.

Wszechświat wydawał się o wiele większy niż jeszcze parę dni temu.

Większy i o wiele bardziej niebezpieczny.

ROZDZIAŁ 9

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Ericowi trudno było utrzymać lunch w żołądku, gdy okręt wyszedł z tranzycji. Przyzwyczaił się już nieco do procesu przeskoku, ale w przypadku większości załogi częste i szybkie skoki odbijały się na kondycji.

Kapitan słyszał o paru osobach na pokładzie, zwłaszcza o pewnym osiłku, które podobno polubiły ten proces. Co tu kryć, w opinii Erica byli to ludzie nie do końca zdrowi na umyśle. Tranzycja nie należała do wydarzeń, których wyglądało się z niecierpliwością. Nie była niczym przyjemnym, lecz czymś, co trzeba znieść, a potem mieć żarliwą nadzieję, że uda się długo jej nie powtarzać.

Nie istniała jednak możliwość rekonwalescencji po skoku. Podczas alarmu – a nawet i bez alarmu – bezsprzecznie ważne było, aby kluczowi członkowie załogi znajdowali się na swoich stanowiskach gotowi dosłownie na wszystko już w parę sekund po tranzycji. Kapitan musiał zatem wprowadzić zabezpieczenia – mnóstwo zastępców na najważniejsze stanowiska okrętu, włącznie z mostkiem, chociaż tutaj na szczęście dolegliwości po tranzycji nie pojawiały się w ostrej postaci.

Tym razem Eric był wdzięczny i zadowolony, że gdy tylko wzrok mu się wyostrzył, zobaczył swoich ludzi już przy pracy. Szanse zderzenia się z czymś w kosmosie były minimalne, ale biorąc pod uwagę, że „Odyseja” znalazła się w strefie wojny i wielokrotnie już kusiła los, trzeba było zachować najdalej idącą czujność.

– Pobliski obszar czysty. Wciągamy żagle i pułapki tachionowe.

Winger bez wątpienia czuła się jak ryba w wodzie, jak zauważył Eric, gdy zerknął na specjalistkę od namiarów pochyloną nad konsolą. Rozwinięcie wielkich płacht czujników trochę trwało, a do tego czasu „Odyseja” musiała polegać na detekcji bliskiego zasięgu, ograniczonej prędkością światła.

„Co w naszej sytuacji oznacza, że jesteśmy po prostu ślepi”.

Gdy tylko żagle zostały rozpostarte, Winger skupiła się na odczytach tachionów, szukając zarówno oznak fali czołowej, jak i sygnałów z jednostek Priminae.

– Słaba fala czołowa, kapitanie – oznajmiła niedługo potem. – Znaleźliśmy się przed „Weifangiem”.

Eric skinął głową bardziej do siebie niż do niej. Nie było wątpliwości, że im się uda, napęd „Odysei” pozwalał na tak szybkie przeskoki. Nie znano niczego, co mogłoby ich prześcignąć z prędkością nadświetlną, a to kapitanowi wielce odpowiadało. Bardziej obawiał się, że okręt Bloku zmieni kurs, ponieważ tylko to opóźniłoby jego dogonienie.

– Nadal jest na poprzednim kursie?

– Tak, sir. – Głos Winger zabrzmiał ponuro. – Panie kapitanie, może już być za późno.

Eric skrzywił się, ale nie mógł odrzucić tej możliwości.

„Weifang” poruszał się po krzywej, która w końcu doprowadzi go na tyle blisko Ziemi, że będzie mógł szybko zmienić kurs i dotrzeć do domu. Jeżeli jednak wróg był choć trochę ciekaw, zapewne wyśle okręty, aby sprawdziły układy gwiezdne znajdujące się w pobliżu trajektorii Chińczyków, tak na wszelki wypadek.

Co oznaczało, że Eric będzie musiał rozwiązać problem.

– Sternik, kurs na zbliżenie. Zbrojownia, przygotować broń.

– Tak jest, sir!

W ten czy inny sposób należało przede wszystkim zepchnąć „Weifanga” z kursu.

„Odyseja” ruszyła z pomrukiem dobrze dostrojonego mechanizmu, aby zająć pozycję, do której zbliży się „Weifang”.

– Proszę uruchomić łączność szerokopasmową – rozkazał Eric, gdy okręt przemieszczał się do celu.

– Łączność otwarta, sir.

– Do „Weifanga”, jednostki Bloku, tu „Odyseja”, okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej – zaczął ponuro, niemal pewny, że drugi okręt nigdy nie usłyszy tego komunikatu. – Jesteście śledzeni. Musicie zmienić kurs i pozostać w gotowości na bezpiecznej pozycji. Powtarzam, jesteście śledzeni. „Odyseja” nie może pozwolić wam, abyście zaprowadzili wroga na Ziemię. Musicie zmienić kurs i pozostać w gotowości na bezpiecznej pozycji.

Weston westchnął.

– Zamknąć kanał.

– Łączność zamknięta, sir.

– Za ile będziemy musieli strzelać?

– Za trzy minuty, sir – odparł Waters.

– Dobrze. Przełożyć komunikat na mandaryński i nadawać w pętli przez trzy minuty.

– Tak jest, sir.

Eric zapatrzył się w ekran, obliczając w pamięci, ile czasu zajmie dotarcie wiadomości wysyłanej z „Odysei” do zbliżającego się okrętu.

„Usłyszcie moje słowa. Nie chcę do was strzelać”.

Sekundy ciągnęły się, gdy obserwował, jak fala czołowa tachionów dociera do pozycji „Odysei”. Napięcie rosło. Może jedynie u Erica, ale nie przypuszczał, żeby tylko on się denerwował, bo inni w zasięgu wzroku wydawali się coraz bardziej ponurzy.

Nie mógł ich winić. To, co miało się zdarzyć, równało się praktycznie wypowiedzeniu wojny Blokowi, o ile „Weifang” nie odpowie na sygnał.

– Jeszcze minuta, sir.

„Chińczycy już minęli nasz komunikat. Niech zwolnią, do cholery!”

– Przekazać kontrolę nad ogniem komputerowi – rozkazał Eric. – Zielone światło dla programu.

Waters przełknął nerwowo, ale nie zaprotestował, tylko wykonał polecenie.

– Tak jest, sir. Broń pod kontrolą komputera.

Okręt gwiezdny Bloku nie dawał żadnych oznak, że odebrał komunikat, a Eric nienawidził się za to, że wydał rozkaz ostrzału, ale nie znał żadnego innego sposobu na zatrzymanie jednostki. Nie mógł przecież pozwolić „Weifangowi" na doprowadzenie Drasinów do Ziemi.

„Nie po tym, czego dowiedzieliśmy się o tym gatunku. Drasinowie mieli więcej atutów w zanadrzu, niż można się było spodziewać, i to jeszcze zanim zobaczyliśmy z zewnątrz strukturę Dysona. Pomnożyć to przez zdolność Drasinów do replikacji i wyjdzie pewność, że nie zdołamy ich powstrzymać, jeżeli zdecydują się nas napaść".

Z wielu powodów Eric przypuszczał, że Drasinowie powstrzymują się albo, co bardziej prawdopodobne, są powstrzymywani przez kogoś i nie ujawniają w pełni swojej siły. Kolonie, chociaż doznały przerażających strat, zostały napadnięte przy minimalnej liczebności potrzebnej do wykonania każdego z zadań. Ktokolwiek pociągał za sznurki, dość ostrożnie zarządzał swoimi zasobami.

Bez wiedzy, dlaczego tak się działo, Eric nie potrafił przewidzieć, co się stanie z Ziemią, jeżeli Drasinowie ją odnajdą. Może to, co powstrzymywało ich przed przytłoczeniem planet Priminae, nie odnosiło się wcale do Ziemi.

– Cel w zasięgu… Ognia – zameldował Waters, gdy komputer wypuścił wiązkę z głównego lasera i salwę pocisków rakietowych z dziobowych wyrzutni.

Eric praktycznie mógł wyczuć spadek ciśnienia powietrza, gdy oficerowie na mostku jednocześnie zaczerpnęli tchu. Wszystkie oczy wbijały się w ekran, na którym pojawił się schemat zbliżających się do siebie okrętu i pocisków.

Zwykle rakiety nie poruszały się o tyle wolniej od celu. W tym przypadku okręt ostrzelany przez „Odyseję" mógł się poruszać stukrotnie szybciej niż one. Dlatego strzelanie do „Weifanga" przypominało bardziej zastawianie pułapki niż rzeczywisty ostrzał bojowy.

– Kontakt za dziesięć sekund – oznajmił Waters zupełnie niepotrzebnie, ponieważ wszyscy i tak patrzyli na cyfry odliczania na ekranie.

Dwie linie na schemacie zbliżały się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie się zetknęły i wtedy…

Nic się nie stało.

Nic.

Szczerze powiedziawszy, Eric nie spodziewał się zbyt wiele. Na ekranie widać było jedynie model pola bitwy i z pewnością bez odwzorowania sytuacji w czasie rzeczywistym. Popatrzył na stanowisko, przy którym pracowała Winger.

– Co masz, Michelle?

Porucznik zawahała się, po czym pokręciła głową, gdy spojrzała na kapitana.

– Nic, sir. Żadnych widocznych efektów.

Eric skrzywił się. Tego się właśnie obawiał.

– Nic? Nie zmienili nawet kursu?

– Nie, sir.

– Szlag.

„Weifang” najwyraźniej używał do uzyskania prędkości nadświetlnej zakrzywienia przestrzeni Alcubierre’a – rozwiązania nie bez wad, ale z pewnością mającego też swoje zalety. Jak wszyscy się domyślali, a kapitan wiedział, że się domyślali, okręt wewnątrz zakrzywienia Alcubierre’a niezbyt dobrze widział swoje otoczenie ze względu na zakłócenia tworzone przez napęd, ale w zamian grawitacyjne zakrzywienie, które popychało jednostkę, tworzyło bardzo silną osłonę.

„Niemal niewyobrażalnie silną. Prawie się spodziewałem, że hiperszybkie pociski okażą się nieskuteczne, ale to zakrzywienie przestrzeni jest tak duże, że może przekierować nawet wiązkę lasera! Zdumiewające”.

– Daniels, przygotować kurs na nową pozycję do ataku. Załoga, gotowość do tranzycji.

– Tak jest, kapitanie!

– Cała załoga! – zawołał Roberts przez szerokopasmowe łącze. – Gotowość do tranzycji.

W tle rozległy się sygnały alarmowe. Eric pochylił się do Robertsa.

– Uwagi, pierwszy?

– Torpedy impulsowe mogłyby wywołać jakiś efekt, wziąwszy pod uwagę, że mają głowice antydeuterowe, ale są bardziej podatne na pola grawitacyjne niż lasery – odparł Roberts. – To samo dotyczy dział T, sir. Może nie uda nam się trafić „Weifanga", skoro w tak dużym stopniu zakrzywia czasoprzestrzeń.

Eric skinął głową. Wnioski pierwszego oficera pokrywały się z jego przemyśleniami. „Odyseja" nigdy jeszcze nie próbowała starcia z celem poruszającym się z prędkością nadświetlną, szczerze mówiąc, nigdy nawet nie rozważano takiej możliwości. Większość bitew toczyła się z natury w głębi studni grawitacyjnych gwiazd, w obszarach, gdzie duże zakrzywienia czasoprzestrzeni były niewskazane.

– Lasery i pociski rakietowe mogą wstrząsnąć „Weifangiem", ale go nie zniszczą – stwierdził. – Jeżeli trafimy go torpedami impulsowymi, Chińczycy będą martwi, pierwszy.

– No cóż, albo oni, albo Ziemia.

Eric zacisnął zęby, zakołysał się w fotelu i nerwowo przeczesał palcami włosy.

– Szlag! Wystarczy spojrzeć na wykres, pierwszy. Ziemia już została ujawniona.

– Potencjalnie – zaoponował Roberts. – Nie na pewno.

Eric posłał mu niechętne spojrzenie.

– Każdy oficer taktyczny o połowę gorszy od Watersa posłałby zwiad do każdej z gwiazd na kursie, z czego obaj doskonale zdajemy sobie sprawę. Nie ma znaczenia, czy zabijemy teraz Chińczyków, czy nie. To tylko potwierdzi, że coś tam jest.

– Kapitanie, coś trzeba zrobić. Inaczej to jak zaproszenie Drasinów do domu na herbatkę.

Eric powoli skinął głową.

– To, niestety, słuszna konkluzja. – Popatrzył znowu na ekran, gdzie na schemacie pojawiły się fale czołowe jednostek pościgu. – Jeżeli jednak mamy niszczyć cele, wybierzmy takie, z którymi już prowadzimy wojnę. Poruczniku Waters?

– Sir?

– Przygotować torpedy impulsowe – rozkazał Eric. – Narysujemy linię na piasku.

– Tak jest, kapitanie.

Fale czołowe jednostek pogoni zbliżały się szybko do pozycji „Odysei", a wymierzenie pocisków zajmie sporo cennego czasu, przez co przygotowania do ostrzału będzie trzeba wykonać w tempie, do jakiego Eric nie przywykł podczas tradycyjnych starć. Częściej przypominały one grę na przeczekanie niż wyścig, ale tym razem z pewnością załogę okrętu czekała konkurencja sprinterska.

– Rozpocząć ostrzał, gdy tylko zbrojownia zgłosi gotowość torped – rozkazał Watersowi. – Chcę ostrzelać cele jak najszybciej.

– Tak jest, sir.

Roberts zmarszczył brwi nad swoim ekranem, wystukał rozkazy, zanim znowu podniósł wzrok na Erica.

– Nie wiemy, czy antymateria w torpedach wywoła jakieś efekty w zakrzywieniu czasoprzestrzennym. To może być tylko strata czasu.

– Jeżeli nic się nie stanie, skoczymy od razu na Ziemię i podniesiemy alarm – odparł Eric. – Nie ma sensu zabijać Chińczyków, skoro i tak czeka nas wizyta obcych. Do diabła, może będziemy mieli trochę szczęścia i wywołamy jakąś poważną awarię w ich systemach napędu. A naruszenie ich bańki czasoprzestrzennej pewnie okaże się fatalne w skutkach przy prędkości, z jaką się poruszają.

Roberts skinął głową, zgodziwszy się z argumentacją. Bez zakrzywienia czasoprzestrzeni przed dziobem jednostki każdy, nawet najmniejszy odłamek będzie mógł trafić w „Weifanga" i przy jego obecnej prędkości takie uderzenie dorówna sile wybuchu bomby atomowej. Kłopot w tym, że zakrzywianie

czasoprzestrzeni nie wiązało się z reakcją na materię czy antymaterię, trudno było zatem ocenić, czy torpedy impulsowe okażą się choć trochę skuteczne.

– O ile pamiętam teorię prędkości nadświetlnych – odezwał się Eric z namysłem – napęd Alcubierre'a powinien przyciągać cząstki o niskim i wysokim ładunku energii w całym widmie. Jeżeli to prawda, nasze torpedy zareagują z cząstkami uwięzionymi w bańce czasoprzestrzennej i wybuchną.

– Zgadza się – przyznał Roberts krótko. – Nie jestem tylko pewien, czy uwolniona energia wywoła jakiś skutek, czy tylko zostanie zakrzywiona w polu jak wszystko inne.

– Kapitanie, torpedy gotowe.

Eric zerknął na swojego pierwszego.

– Sprawdźmy to.

– Wedle życzenia, kapitanie – odparł Roberts. – Zezwolenie na ostrzał automatyczny?

– Udzielam.

– Oficer taktyczny – rozkazał pierwszy – ostrzał, gdy cel znajdzie się w zasięgu.

– Tak jest! Program gotowy, komputerowa kontrola ostrzału w toku. Otwarcie ognia, gdy cel będzie w zasięgu.

***

Napęd nadświetlny wykorzystuje właściwości czasoprzestrzeni do zmiany kształtu najbliższego wszechświata, tworząc zakrzywienie z przodu i z tyłu okrętu. „Głębia" uformowana przed dziobem sprawia, że okręt zsuwa się po wirtualnym zboczu, podczas gdy w tym samym czasie za rufą podnosi się wzniesienie, które równoważy siłę napędu i podnosi jego skuteczność.

Dla wszechświata w ogólności okręt zamknięty w bańce zakrzywionej czasoprzestrzeni porusza się w niesamowitym tempie, ale dla samego okrętu wszystko stoi w miejscu. Nie odczuwa się na jego pokładzie żadnych skutków przyśpieszenia,

które rozrywałoby kadłub i załogę na strzępy. Zakrzywienie nie wywołuje efektów relatywistycznych w postrzeganiu czasu, a prędkość, jaką można rozwinąć, ograniczona jest głównie zdolnością do manipulacji polami Higgsa, które otaczają okręt.

System nie jest jednak doskonały.

Przestrzeń wewnątrz bańki rozgrzewa się, potencjalnie przyćmiewa najgorętsze naturalne źródła ciepła we wszechświecie. Izolacja termiczna i przekierowanie oraz pozbycie się tego ciepła to pierwsze wyzwanie przy konstruowaniu zdatnej do użytku jednostki z napędem opartym na manipulacji zakrzywieniami pól. Kolejne wyzwanie stanowią niepożądane cząstki gromadzące się w zakrzywieniu czasoprzestrzeni i kumulujące, gdy okręt pędzi przez wszechświat z prędkością niemożliwą do osiągnięcia w warunkach naturalnych.

Jeżeli nic się nie zrobi, zanim okręt wyłączy pola zakrzywiające, nagromadzone cząsteczki zostaną uwolnione wzdłuż trajektorii, po której porusza się jednostka. A ponieważ okręty wroga pędzą z niesamowitą prędkością i mają energię pulsara, cząsteczki te zniszczą wszystko, co napotkają na drodze.

Kiedy torpedy impulsowe „Odysei” dotarły do czoła pogoni, głowice antydeuterowe, stanowiące rdzeń tej piekielnej broni, zostały wciągnięte w zakrzywienie pola wokół jednostek i zanurzyły się w osobliwość przed dziobem najbliższych okrętów. Głowice dotarły do ogromnego skupienia cząsteczek materii zgromadzonych przez lata świetlne podróży.

Anihilacja, która nastąpiła poza studnią grawitacyjną, miała niesamowitą siłę. Sześć jednostek Drasinów wypadło z zakrzywienia.

Pięciu udało się przetrwać.

***

– Co to, u diabła, było?

Eric zignorował pytanie, głównie dlatego, że też nie miał pojęcia, co zaszło. Błysk przed nimi oślepił wszystkie ekrany na pokładzie i „Odyseja” znalazła się w mroku pod każdym względem.

– Michelle!

– Restartuję, sir! Coś przeciążyło wszystkie nasze urządzenia. System wyłączył się, żeby uniknąć przepalenia.

– Sprawdź nagrania tuż przed tym, jak wszystko wysiadło. Dowiedzmy się, co było przyczyną.

– Tak jest, sir. – Porucznik szybko wywołała odpowiednie pliki.

Wskazanie epicentrum wybuchu nie sprawiło trudności. Było widoczne nawet gołym okiem o ponad trzy minuty świetlne od okrętu. Winger szybko przybliżyła ten punkt i puściła zapis paru sekund przed wybuchem, podczas gdy wszyscy na mostku przyglądali się z wytrzeszczonymi oczami i łomoczącymi sercami.

Ekran ukazał obraz eksplozji energii z przesunięciem Dopplera, w której sześć jednostek Drasinów straciło stabilność zakrzywienia i spadło do przestrzeni relatywistycznej. Jednostki poruszały się w formacji jedna za drugą i wybuch pierwszej przetoczył się na kolejne jak wściekła nawałnica, która zmiotła wszystko, co napotkała. W porównaniu z tą eksplozją, po której z okrętu pozostały co najwyżej kłęby kosmicznego pyłu, poprzedzające ją wybuchy torped wyglądały jak małe obłoczki.

– Cóż, to chyba potwierdza, że Drasinowie używają równań Alcubierre’a – przerwał milczenie Eric.

– Albo czegoś tak podobnego, że nie robi to żadnej różnicy – zgodził się Roberts. – Czujniki działają. Nadal mamy pięć wrogich okrętów rozrzuconych wokół nas w promieniu od trzech do osiemnastu minut świetlnych.

– Pełny kamuflaż – rozkazał Eric. – Panie Waters, proszę odblokować działa tranzycyjne.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział Waters z szerokim uśmiechem.

Niszczyciel imperialny „Heros”

– Co, na Galaktykę…?

Urwane pytanie przyciągnęło uwagę Ivantha. Spojrzał z zaciekawieniem.

– O co chodzi?

– Właśnie straciliśmy jeden z naszych dronów, a pięć kolejnych wypadło z nadświetlnej w tym samym czasie – odpowiedział zmieszany oficer.

– Zasadzka? – Ivanth, coraz bardziej zainteresowany, podszedł do jego stanowiska.

– Nie wiadomo, komendancie. Meldowały, że wszystko w porządku, a potem nagle ich napęd uległ jednoczesnej destablilizacji. Zdaje się, że nastąpiło niekontrolowane wyjście z nadświetlnej, komendancie. Drony powpadały na siebie.

Ivanth skrzywił się. Owszem, to tylko jednostki dronów, których nie brakowało tam, skąd przybyły, ale niekontrolowana deceleracja to najpaskudniejsze, co może się przydarzyć w kosmosie. Nie znano niczego, co stanowiłoby osłonę przed taką energią, a w skrajnych przypadkach energia ta mogłaby wysterylizować całą planetę.

Gdy coś takiego przytrafiało się okrętowi, było to naprawdę niezwykłe. A sześciu? To nie mógł być przypadek.

Spojrzał na wykres oddalającego się obcego okrętu. W pamięci przeliczył, jak daleko można pozwolić mu odlecieć bez ryzyka, że się go zgubi.

– Posłać dwie eskadry, żeby kontynuowały pościg, a „Nieśmiertelny” i reszta niech lecą za nami, żeby sprawdzić, co zaszło.

– Na rozkaz, komendancie.

Ivanth nie wiedział, co się stało, ale nie było szans, żeby zdarzyła się po prostu zwykła awaria napędu. Drony, które miał pod kontrolą, należały do drugiej generacji, zostały wyprodukowane bezpośrednio przez pierwszego, odkrytego

przez Lud i przeprogramowanego do służby Imperium. Drony drugiej i trzeciej generacji nie były podatne na awarie, w przeciwieństwie do czwartej i późniejszych. Awaria napędu u jednego? Owszem, nawet u dwóch czy trzech, ale sześć przekraczało już granice prawdopodobieństwa.

„Heros” i „Nieśmiertelny” rozkazały dronom pod swoimi rozkazami wyjść z nadświetlnej w szyku umożliwiającym sprawdzenie wycinka przestrzeni, gdzie wydarzył się incydent.

– Aktywny impuls nadświetlny!

Ivanth się odwrócił.

– Jesteśmy skanowani?

– Nie, komendancie. Był zbyt krótki. Wystarczyłby jedynie na uzyskanie bardzo podstawowych danych, co najwyżej lokalizacji i kierunku ruchu.

– Namierz impuls. Znamy jego źródło?

– Nie, tylko podstawowy kierunek, nic więcej.

– Wyślij impuls w tym kierunku – rozkazał Ivanth.

– Inicjacja impulsu… nic, nie… chwileczkę, słabe echo, komendancie. Prawie nic tam nie ma. Nie mogę namierzyć lokalizacji, jest zbyt słabe.

– Ktoś tam jest – mruknął cicho Ivanth. – I dobrze się ukrywa.

– Impuls nadświetlny! Wiele impulsów nadświetlnych!

– Zlokalizuj i zidentyfikuj źródło!

– Namierzam… – Mężczyzna zawiesił głos, wyglądał na zmieszanego. – Komendancie, impulsy są skierowane na nasze jednostki dronów.

– Co?

– Drony od ósmego do dwunastego właśnie wybuchły! Żadnych oznak przyczyny eksplozji!

Ivanth odwrócił się i wbił wzrok w wielki ekran. Wytrzeszczył oczy, gdy cztery z jego dronów zmieniły się w chmurę.

„W co myśmy wlecieli? W pole minowe?”

To była głupota sięgająca wręcz obłędu. Nikt nie rozstawiłby min w tak głębokiej przestrzeni.

„Czyżby?”

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Niesamowite – wyszeptał Waters, który niemal nie wierzył własnym oczom, gdy patrzył, co się stało.

Eric podzielał jego odczucia. Działa tranzycyjne, dodane do uzbrojenia „Odysei” podczas ostatnich remontów, zadziałały wspaniale. Okręt mógł teraz prowadzić ostrzał celów z odległości pełnej jednostki astronomicznej w czasie rzeczywistym. Pociski nuklearne wystrzelone z dział „skakały” na takiej samej zasadzie jak napęd „Odysei”, a do celu kierował je impuls tachionowy, dzięki czemu pojawiały się wewnątrz jednostek wroga i tam eksplodowały.

Była to przerażająco niszczycielska broń.

– Sześć wrogich okrętów minęło nas w nadświetlnej, kapitanie – zameldowała Winger. – Nadal są na kursie pościgowym za „Weifangiem”.

– Przyjąłem, dziękuję. Daniels, daj mi punkt ataku na te jednostki – rozkazał Eric. – Waters, strzelaj bez rozkazu.

– Tak jest!

„Odyseja” maskowała się w pełni, gdy mierzyła ze swoich dział T w dowolny cel, który znalazł się w jej zasięgu. Długie lufy poruszane serwomechanizmami, zamontowanymi nad pokładem z hangarami myśliwców i pod pokładem mieszkalnym, przesuwały się przy mierzeniu do celu z wyprzedzeniem o minuty świetlne i strzelały z ledwie nieznacznym rozbłyskiem energii tachionów.

Prosto i precyzyjnie jak przy promieniu lasera, większość energii była niewykrywalna, poza namierzaniem, a gdy cel zdołał nawet odebrać sygnał namierzający, było już o wiele za późno. „Odyseja” oddała jeszcze dwanaście strzałów, po których kolejne jednostki Drasinów zmieniły się w chmury gazu, i nie zdradziła przy tym w najmniejszym stopniu swojej pozycji.

– Mała flota wyposażona w takie działa mogłaby powstrzymać prawie wszystko – wyszeptał Roberts do Erica.

Głos miał cichy, niemal niesłyszalny.

– Możliwe – przyznał Eric. – Nie mamy jednak małej floty, tylko „Odyseję”. Nawet stacja Liberty została wyposażona jedynie w kilka dział, bo rząd stara się z całych sił ukryć technologię przed Blokiem. Słyszałem, że „Enterprise” też ma je dostać, ale wiadomo, ile to trwa.

Roberts ponuro skinął głową.

– Zresztą nie przyzwyczajajmy się za bardzo. Każda broń wydaje się superpotężna, gdy się po raz pierwszy widzi jej użycie – stwierdził Eric. – Teraz musimy poczekać, żeby się przekonać, ile czasu zajmie wrogowi opracowanie taktyki obronnej.

– Trudno bronić się przed snajperem, który potrafi zestrzelić jednostki z odległości ośmiu minut świetlnych, sir.

– Owszem. I to właśnie najbardziej mnie przeraża.

– Kapitanie? – Roberts spojrzał na niego zmieszany.

– Nie podoba mi się, gdy nie potrafię wymyślić taktyki przeciwdziałania. Nie jestem może najmądrzejszym facetem na pokładzie, ale skoro nie potrafię jej wymyślić, nie zdołam też przewidzieć zamiarów wroga w podobnej sytuacji, a to bardzo niedobrze.

– Myślę, że za bardzo pan się martwi, kapitanie – stwierdził Roberts, gdy „Odyseja” zrobiła pętlę i zaczęła szybko oddalać się od przeciwnika pod kątem, żeby ukryć gazy odrzutu. – Niektóre rodzaje broni są po prostu *force majeure*.

– Owszem, ale Drasinowie nadal mają według naszych szacunków parę milionów okrętów i nie wahają się przed misjami samobójczymi – zauważył Eric surowo. – Niech pan nie ulega złudzeniom, komandorze. Musimy opóźniać odnalezienie przez nich Ziemi najdłużej, jak zdołamy.

Roberts skrzywił się, ale skinął głową, przyjąwszy argumenty.

Działa T były imponujące, jednak – niestety – ludzie na Ziemi nie mieli dość amunicji, aby pokonać flotę Drasinów.

– Kurs ustalony, kapitanie!

– Przygotować się do tranzycji.

Niszczyciel imperialny „Heros”

Jedna trzecia jego floty dronów po prostu zniknęła.

Ivanth zamarł. Wiedział, że powinien się ruszyć, ale nie potrafił. Nigdy nie widział czegoś takiego, nigdy nawet o czymś takim nie słyszał.

Nawet w powtarzanych szeptem plotkach o niedawno wynalezionej nowej broni nie było niczego, co pasowałoby opisem do tego, co właśnie się stało z okrętami Ivantha. Owszem, to były tylko drony, niewielka strata, ale… co się z nimi stało?

– Komendancie, właśnie wykryliśmy impuls nadświetlny.

Ivanthowi zaschło w ustach. Oblizał wargi, ale na niewiele się to zdało.

– Ile straciliśmy tym razem?

– Żadnego, komendancie. Ten był… inny.

Ivanth odwrócił głowę, szok wreszcie chyba zelżał.

– Jak inny?

– Przede wszystkim znajdował się kilka dziesiętnych sekundy świetlnej od naszych jednostek. Sygnał był także silniejszy i mniej skupiony. Zgrałem go i porównałem. Znalazłem jeden pasujący.

– Pokaż.

Ekran przy stanowisku namierzania pokazał nieznany impuls po jednej stronie, a po drugiej znany. Ivanth rozpoznał ten drugi bez zastanowienia.

– Nieznany okręt, który nas prześladuje – stwierdził z namysłem. – To nawet pasuje. Ten okręt jest jedną z niewielu rzeczy, które potrafią się przed nami ukryć. Brak grawimetrycznej pułapki do jego lokalizacji. Jednak broń… Nie przypomina niczego, z czym mieliśmy do czynienia. Ta broń nie pasuje.

– Samonaprowadzające się miny, komendancie?

– Możliwe. Albo pociski nadświetlne? – Ivanth zmarszczył brwi.

Broń nadświetlna nie była nieznana, ale służyła głównie jako broń strategiczna. Stosowało się ją do przełamania szczególnie trudnych systemów obronnych otaczających świat, o ile zachowanie go w stanie nietkniętym nie było priorytetem. Wystarczyło zamontować napęd nadświetlny do platformy-pocisku, rozpędzić ją do prędkości pięćset razy większej od światła, po czym cisnąć nią w wybrany cel.

Jeżeli efekt kinetyczny zderzenia nie wystarczył, by rozłupać świat, w który się wycelowało, energia uwolniona z napędu nadświetlnego obracała planetę w żużel. Z oczywistych przyczyn nie była to szczególnie poprawna politycznie broń, zwykle nieużywana pod żadnym pozorem, trzymana jedynie w arsenałach Imperium jako groźba. Drony nadawały się o wiele lepiej do rozsiewania strachu i zniszczenia na odpowiednim poziomie, choćby tylko dlatego, że stanowiły atut, mimo że nieco kontrowersyjny. Gdyby sprawy za bardzo wymknęły się spod kontroli, łatwo by było opanować większość społeczeństw na planetach dzięki strachowi przed legendarnymi Drasinami i zyskać dzięki temu jeszcze większą kontrolę nad światami należącymi do Imperium.

Jednak ta broń była nieprecyzyjna i bardzo brutalna. To, co wysadziło flotyllę dronów, reprezentowało zupełnie inny poziom.

– Zbliżymy się do rejonu eksplozji przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności – rozkazał Ivanth. – Drony niech zajmą pozycje w awangardzie. Zdaje się, że nasz nieznany napastnik odleciał, ale może to tylko podstęp. Sprawdzimy ten sektor, zanim dołączymy do pościgu.

– Tak, komendancie.

ROZDZIAŁ 10

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Niezwykłe sygnały nadświetlne przed nami, kapitan Kian.

Kian wstała i podeszła do stanowiska skanerów, po czym spojrzała na ekrany.

– Możesz do czegoś je dopasować?

– Jeden chyba pasuje do „Odysei” i wskazuje, że okręt opuszcza sektor.

– A reszta?

– Wiele odczytów fali czołowej i coś, co wygląda na serię katastrofalnych awarii pola zakrzywiającego w napędzie nadświetlnym.

Kian aż gwizdnęła. Cokolwiek wywołało takie skutki, było naprawdę paskudnym wynalazkiem. Emisje cząstek z uszkodzonego napędu, gdy jednostka znajdowała się w ruchu, to nie był temat do żartów.

– Większość z sygnatur napędu z grubsza pasuje do naszych odczytów Drasinów, kapitan Kian, ale są dwa, które… – Oficer zawahał się, co przyciągnęło uwagę Kian.

– Co?

– Przypominają niemal odczyty Priminae.

Kian zmrużyła oczy, gdy pochyliła się nad danymi i przyjrzała im dokładniej.

Oczywiście dostała informacje o odkryciu „Odysei”, ale podobnie jak wielu we flocie, nie była pewna, jak je przyjąć. Sam pomysł, że wróg, który przerażał wszystkich, to tylko pionek w grze prowadzonej przez kogoś większego… cóż, to było wystarczająco złe. To, że ten ktoś większy mógł używać

schematów zaczerpniętych prosto od Centrali? To wydawało się nie do pomyślenia.

Odczyty napędu zdecydowanie nie wskazywały na Drasinów, zwłaszcza gdy wrogie jednostki zwolniły na tyle, aby „Posdan” i „Nept” zbliżyły się do ich pozycji. I równie zdecydowanie były bardzo podobne do specyfikacji Priminae.

„Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego. Kim jesteście? Dwa okręty z napędem o niemal identycznej specyfikacji jak »Posdan« i »Nept«, lecz lecące w formacji z Drasinami. Kim są ci ludzie?”

– Na ile masz pewność, że „Odyseja” opuściła ten sektor?

– Całkiem sporą, kapitan Kian. Sygnał niemal doskonale pasował do odlotu „Odysei” w nadświetlną.

– Dobrze. – Kian się wyprostowała. – Zmniejsz prędkość i osłoń nasze sygnały napędu. Chcę zostać za nimi w zasięgu śledzenia, dopóki nie zbierzemy więcej informacji albo dopóki nie będziemy mieli powodu, aby wdać się z nimi w walkę.

– Tak jest, kapitan Kian, redukcja prędkości.

Kian spojrzała na ekrany chłodno i z wyrachowaniem.

„Nie wiem, kim jesteście, ale się dowiem. I kiedy się dowiem, lepiej módlcie się, żeby sytuacja nie była taka, jak mi się w tej chwili wydaje. Inaczej bardzo nie spodoba się wam nasze pierwsze spotkanie”.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Śledzimy zbliżające się sygnały fali czołowej. Sześć porusza się z największą szybkością w pościgu za „Weifangiem”.

– Jesteśmy na tyle blisko, by wykryć „Weifanga”? – zapytał Eric.

– Tak, sir. Nadal jest na kursie. Zdaje się, że mija Słońce. Spodziewam się, że wkrótce zrobi nawrót.

„Kapitan »Weifanga« najwyraźniej jest paranoikiem” – pomyślał Eric z aprobatą. Zło pewnie już się stało, ale każda, najmniejsza nawet zmyłka sprawi, że wróg straci czas, a właśnie o to teraz chodziło.

– Jaki jest status torped impulsowych?

– Załadowane, niemal gotowe do wystrzelenia – zameldował Waters. – Mamy dość czasu.

– Dobrze. Uruchomić program ostrzału. Zielone światło dla komputera – rozkazał Eric. – Chcę, żeby te śmieci zniknęły z mojego nieba.

– Tak jest, sir. – Waters uśmiechnął się wrednie. – Program uruchomiony. Wróg znajdzie się w zasięgu namierzania w przybliżeniu za pięć minut.

Eric skinął głową, ale myślami był gdzie indziej. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy „Odyseja” aktywnie atakowała wroga. No, w pewnym sensie. Nadal reagowali na posunięcia przeciwnika, ale po raz pierwszy Eric nie oddał wrogowi pierwszego strzału, jeśli można tak powiedzieć. Podejrzewał, że to mało ważne. Z pewnością znajdowali się w stanie wypowiedzianej wojny, więc nie miało znaczenia, kto rozpoczął starcie.

Wróg wdarł się już na ziemskie podwórko i Eric nie mógł sobie pozwolić na luksus rezygnacji z pierwszego ciosu.

Znajdowali się mniej niż o rok świetlny od Ziemi, tak blisko, a jednak tak daleko. Po tym starciu „Odyseja” będzie musiała odczekać trochę, żeby sprawdzić, czy reszta wrogiej armady nie zamierza ruszyć w ślad za swoją flotyllą, po czym wykonać tranzycję prosto na Ziemię i ostrzec Konfederację o zmianie sytuacji.

Nie zazdrościł bólu głowy, jaki wywoła to w dowództwie.

„Potrzebujemy lat, nie miesięcy. Systemy obrony naszego świata nie zbliżyły się jeszcze nawet do tego, co musimy mieć. Jeżeli wróg rozpocznie teraz natarcie na Ziemię, nie wiem, co zrobimy”.

Jednak szczerze mówiąc, nie była to prawda.

Eric doskonale wiedział, co zrobią w takim przypadku. Będą walczyć, a potem PRZEGRAJĄ. Nawet z przewagą uzbrojenia nie mieli nic, czego mogliby użyć przeciwko pełnej sile armii Drasinów.

„Może, jeśli los się uśmiechnie, wróg będzie posyłał małe eskadry co parę miesięcy, jak to zrobił w przypadku Ranquil. Wątpię jednak, że będziemy mieli tyle szczęścia. Wróg nie może być tak głupi".

Chociaż, szczerze powiedziawszy, Eric nadal nie potrafił się domyślić, dlaczego, u diabła, tak właśnie obcy działali na Ranquil. Może jednak byli tak głupi.

Nie należało jednak na to liczyć.

– Okręty wroga wchodzą w zasięg namiaru – zameldował Waters. – Torpedy impulsowe w gotowości…

Komputer przejął kontrolę nad wyrzutniami „Odysei" i przechylił okręt do strzału, gdy sygnały z napędu nadświetlnego wroga znalazły się w zasięgu. Okręt ześlizgnął się na pozycję i otworzył ogień, sześć pocisków pomknęło w nierównej formacji, zanim komputer oddał znowu ludziom władzę nad sterami.

Na ekranach „Odysei" białe punkty reprezentujące torpedy impulsowe błysnęły – niewielkie kule z piekła rodem, które rwały się tylko do tego, by komuś popsuć nastrój.

– Zabezpieczyć aparaturę przed przeładowaniem w błysku – rozkazał Eric ze wzrokiem wbitym w torpedy, które nieuchronnie pędziły naprzód.

– Tak jest, kapitanie. Osprzęt zabezpieczony.

Na ekranach nie zaszła żadna zmiana, ale Eric wiedział, że większość tego, co teraz było widać, stanowiło jedynie przypuszczenie oparte na obliczonych wypadkowych i prawdopodobieństwie. Torpedy będą lecieć swoim kursem, dopóki na coś nie natrafią, w tym przypadku na pola zakrzywiające czasoprzestrzeń wokół wrogich jednostek.

Na ekranach zderzenie nie miało żadnego napięcia, po prostu „pik", a potem „pi-ik" do wskazania, że chwila nadeszła i minęła. Każdy punkt został zapisany, następnie komputer

przeliczył, gdzie trafiona jednostka wypadnie z nadświetlnej i kiedy błysk dotrze do „Odysei”. Teraz pozostało tylko czekać.

– Wykrywacze tachionowe potwierdzają, że sześć sygnałów fal czołowych zniknęło, sir – odezwała się porucznik Winger.

– Dziękuję.

Przynajmniej Eric nie musiał się już martwić, że ktoś się teraz obok nich prześlizgnie.

– Pięć minut trzydzieści dziewięć sekund, dopóki nie minie nas ostatni błysk.

– Jak daleko znajduje się najbliższy okręt wroga?

To budziło trochę niepokoju. „Odyseja” nie mogła przecież czekać, jeżeli miała przed dziobem kolejne niszczyciele Drasinów.

– Dwie minuty dwadzieścia trzy sekundy świetlne, kapitanie.

„Cóż, biorąc pod uwagę, że wróg powinien być nieco zdezorientowany, a nas ukrywa maskowanie… czasu powinno być dość”.

Nigdy nie przestało go zadziwiać, jak walka w kosmosie różni się od tego, co poznał na szkoleniu. Eric nauczył się podejmować decyzje w ułamkach sekundy, odbić w lewo lub zginąć, wznieść się lub zginąć. Do diabła, w paru przypadkach najlepsze, co przyszło mu do głowy, to po prostu otworzyć ogień I ZGINĄĆ, lecz przynajmniej wykonać misję.

Tutaj, na „Odysei”, na podjęcie decyzji miało się minuty, po czym można się było jeszcze przez wiele godzin rozmyślić, zanim do czegokolwiek doszło.

W takich warunkach było coś, co nigdy do końca nie pasowało kapitanowi, chociaż starał się z całych sił, żeby nie wpłynęło to na jego profesjonalizm i sposób działania. Większość swojej wojskowej kariery Eric spędził z credo „szybkość to życie”, a w kosmosie często znajdował się w środku bez wątpienia walki, ale miał czas na wypicie kawy i pogawędkę ze swoimi oficerami.

Życie jest dziwne.

Sekundy wreszcie minęły i „Odyseja” włączyła znowu skanery działające tylko z prędkością światła. Szczegóły

operacji, jakie podawały ich odczyty, były co najmniej o pięć minut spóźnione.

– Zanotowaliśmy bezpośrednie trafienia w sześć niszczycieli wroga, kapitanie – zameldowała Winger, potwierdzając początkowe dane, jakie mieli z pułapek tachionowych. – Wrogie jednostki wydają się zdezorientowane, niepewne, gdzie się skierować.

– Żadna niespodzianka – stwierdził Eric. – Waters, rozgrzej działa tranzycyjne.

– Tak jest, kapitanie. Działa gotowe do wystrzału.

– Puścić im ping.

Tachionowy transmiter impulsowy „Odysei" był urządzeniem pochłaniającym energię wytwarzaną przez cyklotron okrętu, aby wygenerować nagłą emisję cząsteczek, które ledwie mogły istnieć w naturalnym wszechświecie. Emisja mogła być kierowana, co pozwalało „Odysei" na uzyskanie chwilowego obrazu wycinka przestrzeni w czasie rzeczywistym z odległości, które przewyższały wszystko, co mogłaby osiągnąć aparatura ograniczona do prędkości światła.

– Mamy koordynaty w czasie rzeczywistym na moim stanowisku – oznajmił spokojnie Waters. – Dane namiaru przesłane do obsługi dział.

– Kapitanie! Zbliżają się bandyci! – zameldowała Winger. – Odczyty fal czołowych silne, gorące i stałe. Duże przesunięcie do niebieskiego.

– Liczba? – zażądał Eric. W głowie kłębiły mu się myśli. Wróg nie tracił czasu na sprawdzanie ostatniej pułapki, jaką zastawili, sądząc po tym, co kapitan właśnie usłyszał.

– Na północy dwudziestu bandytów, kapitanie. Nie można precyzyjniej. Sygnały interferują ze sobą.

„Niech to szlag".

Długie lufy dział tranzycyjnych stanowiły piekielne, wielokrotne wzmocnienie siły i dawały „Odysei" przewagę działania „zza horyzontu", ale ta broń także miała swoje ograniczenia. Największym nadal było zasilanie. „Odyseja" nie

posiadała dość mocy, żeby walczyć z flotą takich rozmiarów, po czym uciec.

Eric spojrzał na liczby, dokładnie sprawdzając statystyki pod kątem efektywności strzałów, jaką osiągnęli przy pierwszej pułapce. Można by się spodziewać, że wypełnione ładunkiem nuklearnym pociski wybuchające wewnątrz kadłuba wystarczą do zniszczenia czegokolwiek i jak miał nadzieję, tak właśnie było. Ale to, że działa T mogły zmaterializować ładunek wewnątrz jednostek wroga, nie oznaczało jeszcze, że ładunek ten wroga zniszczy. Nawet osłonięta mocno elektronika nie znosiła dobrze dzielenia przestrzeni z inną fizyczną materią. Nie miało to szczególnie dużego wpływu na ładunki nuklearne, przynajmniej według danych testowych, jakie czytał Eric, ale elektroniczne detonatory to zupełnie inna sprawa.

Seria wybuchów w kadłubach wroga mogłaby z wysokim prawdopodobieństwem zniszczyć detonatory, co uniemożliwiłoby drugi strzał. Okręty Drasinów mogłyby nagle zmienić kurs, a przecież pojedynczy ping „Odysei” pozwalał jedynie na krótkotrwały podgląd pozycji wroga i nie zawsze przekazywał pełne dane o prędkości i kursie jednostek przeciwnika.

Wszystko mogło się zdarzyć i należało się spodziewać, że nie zawsze sprawy potoczą się dobrze przy starciu z więcej niż czterema jednostkami, co tu kryć. Eric skłonny był zaryzykować walkę z sześcioma, nawet jeżeli okręt jeszcze nie zdążył w pełni doładować kondensatorów po poprzednim starciu.

Dwudziestu bandytów na północy? „Właściwie dwudziestu sześciu” – poprawił się w duchu Weston.

To było po prostu proszenie się o katastrofę biblijnych rozmiarów.

– Daniels, lepiej oblicz kurs, który nas stąd zabierze. Mam przeczucie, że towarzystwo nam się nie spodoba.

– Tak jest, sir. Miejsce przeznaczenia?

– Słońce.

Nastąpiła chwila wahania, zanim Daniels skinął głową.

– Tak jest.

– Waters, zostawmy im prezent na pożegnanie, dobrze?

– Wedle rozkazu, kapitanie. Działa gotowe. Ostrzał na pana znak.

– Teraz.

***

„Odyseja” obróciła się powoli. Oczywiście „powoli” było terminem względnym dla okrętu, który mierzył swoją podświetlną prędkość stopniem efektów relatywistycznych. Działa tranzycyjne skierowały się na bieżące cele.

Długie lufy służyły głównie jako przewodniki fali dla emisji tachionów generowanych do tranzycji. Wybuch wysoko naładowanych cząstek był niemal tak skupiony jak wiązka lasera, która znikała wzdłuż ustalonego kursu i pojawiała się w zaprogramowanym przed wystrzałem punkcie.

Każde działo wystrzeliło dwukrotnie w cel, wyrzucając kolejno kilkadziesiąt pocisków z nuklearnym rdzeniem. Urządzenia namierzające były dość precyzyjne, biorąc pod uwagę zasięg, w jakim odbywało się starcie, jednak, jak należało się spodziewać, nie każdy strzał kończył się trafieniem. Niektóre pociski zostały zniszczone, gdy przeskoczyły do opancerzonych grodzi, reaktorów i różnych innych sektorów okrętu. Jeden chybił całkowicie i eksplodował przy burcie wrogiej jednostki z siłą gigatony, co jednak nie wyrządziło żadnych szkód, ponieważ zabrakło atmosfery, która zmieniłaby energię w siłę – a jednostki Drasinów były dobrze chronione przed promieniowaniem kosmicznym wszelkiego rodzaju.

Ale przynajmniej pięć wybuchło w celach, a wywołane przez to kule rozprzestrzeniającej się plazmy stanowiły potwierdzenie, że istnieje ogromna różnica między materiałem wybuchowym detonowanym na zewnątrz a takim, który eksploduje wewnątrz celu.

Twierdzenie, że na ostatnim ocalałym okręcie zapanowała konsternacja, byłoby zarówno niedopowiedzeniem, jak

i przesadą. Drasinowie mieli względnie proste umysły. Nie reagowali na okoliczności w taki sam sposób, jak jednostki o ludzkim typie inteligencji. Pod wieloma względami po prostu nie mieli do tego głowy.

Jednak nie zachowywali się również w taki sposób, jak jednostki o niskim poziomie inteligencji. Ludzie wypełniali lukę między formami inteligencji na naprawdę wysokim poziomie – umysłami, które uwzględniają każdy szczegół, rozpracowują problem dzięki logice i intuicji, po czym tworzą rozwiązanie na podstawie dostępnych faktów – a formami o niskiej inteligencji, które opierają się na reakcjach instynktownych. Ludzki umysł zbiera wszystkie dostępne fakty najlepiej jak umie, przetwarza je na formy, które potrafi zrozumieć, a potem stara się rozpracować problem logicznie. Jeżeli to zawiedzie, instynkt stanowi ostatnią deskę ratunku.

Drasinowie jednakże nie byli tacy.

Nie mieli ani zdolności właściwych rozumowaniu wyższego stopnia, ani też instynktu typowego dla form o niskim poziomie inteligencji. Funkcjonujący bardziej jak roboty, Drasinowie byli prawdziwymi dronami na sposób, jaki tylko nieliczni we wszechświecie potrafiliby zrozumieć. Jeżeli krążownik Drasinów napotykał zupełnie nową, nieznaną wcześniej sytuację, wpadał w niekończącą się pętlę, gdy szukał czegoś, czegokolwiek, co sprawiłoby, żeby okoliczności wpasowały się w domenę jego oprogramowania.

***

– Pięć strąconych, kapitanie, jeden został – zameldowała Winger parę minut po ostrzale.

„Odyseja” oddalała się już od obszaru bitwy.

– To dziwne.

– To znaczy, porucznik Winger? – Eric zerknął przez ramię.

– Ostatni krążownik Drasinów, sir. Wygląda jak… – Winger urwała, jakby szukała odpowiedniego słowa na to, co widziała.

– Winger? – ponaglił ją Eric.

– Szczerze mówiąc, sir, wygląda na zagubiony – westchnęła kobieta. – Po prostu lata w kółko.

– Musiał oberwać mocniej, niż się nam wydaje. – Roberts wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. Trudno powiedzieć, ale nie ma widocznych śladów.

– Nagrać to i zapisać. Będziemy się martwić później – rozkazał Weston. – Proszę o kurs na Ziemię, komandorze poruczniku.

– Tak jest, sir – odpowiedział Daniels. – Obliczenia zakodowane. Jesteśmy gotowi do lotu.

– Cała załoga, gotowość do tranzycji.

ROZDZIAŁ 11

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Na osobliwość, to nas wszystkich załatwi – wyszeptała Kian, gdy okręt przemierzał rumowisko.

Zwolnili, żeby sprawdzić niezwykłe odczyty energii, jakie odebrali, gdy mijali ten wycinek przestrzeni. Większość stanowiły ślady sygnatury Drasinów, znajdujące się zbyt blisko, by je zignorować. Rumowisko, przez które przelatywał „Posdan” i jego brat „Nept”, stanowiło dowód, że identyfikacja nie była pomyłką.

Szczątki jednostek Drasinów zostały rozrzucone w nieskończonej próżni jak zepsute zabawki wyjątkowo nieznośnego dziecka.

– Dziwne.

Kian odwróciła się do tego, kto się odezwał.

– Chcesz coś dodać, Lani?

Oficer wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Wygląda na to, że zniszczeń dokonano przez zwyczajne zerwanie wiązań atomowych. Nie uczyniło tego coś, czego bym się spodziewał na okręcie Drasinów.

– Wiemy, że „Odyseja” często używa technologii, którą postrzegamy jako przestarzałą, więc nie rozumiem, co w tym dziwnego?

– Zniszczenia dokonały się wewnątrz jednostek, kapitan Kian. Jeśli to broń, to nigdy takiej nie widziałem i na pewno nie nazwałbym jej przestarzałą, chyba że chodziłoby o sam mechanizm niszczenia.

– Czy pochodziła z „Odysei”? – zapytała ze zdziwieniem Kian.

– Nie pasuje do żadnej sygnatury broni, której używała na Ranquil – odparł Lani nerwowo. – Nie potrafię powiedzieć, czy to jest coś, czego Terranie nam nie pokazali, czy też technologia należy do kogoś innego.

– Rozumiem – westchnęła Kian. Była coraz bardziej zdenerwowana.

Spędziła większość życia we flocie handlowej. Tam wszystko było uporządkowane i zrozumiałe. Przez dziesięć tysięcy lat podróży po kosmosie flota ta miała dość czasu, żeby napotkać niemal wszystko, co można znaleźć w przestrzeni. Jednak od powrotu Drasinów Kian przekonała się, że jej świat wypełnia masa sprzecznych informacji i nowe problemy, których istnienia nie wyobrażała sobie nawet w najgorszych koszmarach.

Brakowało jej spokoju i pewności.

– Dobrze. Przeskanuj wszystko. Zapisz i oznacz jako priorytetowe do jak najszybszej analizy, a potem odeślij do centrum dowodzenia. Mamy wyznaczone zadanie, więc czas wrócić do tropienia.

– Tak jest, kapitan Kian.

Parę minut później „Nept” i „Posdan” oddaliły się od sektora szerokim łukiem i zniknęły w nadświetlnej.

Niszczyciel imperialny „Heros”

– Co się stało naszym dronom?

Ivanth był sfrustrowany. Nie – bardziej niż sfrustrowany. Był wściekły, rozpalony i w głębi duszy również przerażony.

„Nie tak bardzo w głębi duszy, jak bym chciał”.

Co tu kryć: komunikaty telemetryczne, które otrzymywał od dronów, pozostawiały wiele do życzenia. Istniejący system łączności nałożono niegdyś na ich własne ustawienia komunikacji, krótko rzecz ujmując, wewnętrzne kodowanie

zostało nadpisane przez Imperium. Dlatego w najbardziej nawet sprzyjających warunkach łączność bywała zawodna.

Na dodatek dane, na które Ivanth właśnie patrzył, nie miały sensu.

Doskonale działające drony nie zmieniają się nagle bez przyczyny w kupę złomu i rozprzestrzeniającą się plazmę.

„To musiała być broń wroga, ale nie ma śladu obcego okrętu w pobliżu. Miny? To wydaje się niedorzeczne, ale co innego by to mogło być?”

Jeżeli to miny, musiał rozważyć możliwość, że nieznany okręt, który śledziły drony, wciągnął je w pułapkę. Co więcej, okręt ten marnował czas i zasoby.

Jeżeli jednak tak było, wielkość pola minowego, które zniszczyło jednostki Ivantha, przyprawiała o zawrót głowy. Ivanth dokładnie przeczesał sektor we wszystkich kierunkach, ale nie znalazł żadnych pozostałości po polu minowym.

„Wiemy, że nieznany okręt, na który natknęliśmy się przy bazie Ula, wykorzystuje ekstremalnie skuteczną technikę kamuflażu. Możliwe, że ma również coś podobnego, jeśli chodzi o ukrywanie pól minowych, ale jeśli tak, to jego zasięg przekracza wyobraźnię. Chyba że obcy posiadają coś bardzo podobnego do królowej dronów. Lecz to wydaje się nieprawdopodobne”.

Nie, bardziej prawdopodobne było, że nieznana jednostka nadal znajdowała się w sektorze, świetnie zamaskowana.

Ale w jaki sposób likwidowała drony z taką łatwością, a one nie dostrzegły zagrożenia? Cóż, to była inna kwestia.

Kolejną kwestią było, co z tym zrobić.

W pierwszym odruchu Ivanth po prostu kazał dronom przeczesać obszar tak gęsto, żeby samą liczbą przygniotły obcy okręt, jednak okazało się to bezowocne. Żeby tego typu taktyka zadziałała, musiałby, jak doskonale wiedział, przycisnąć wroga do czegoś, od czego albo nie mógłby, albo – co bardziej prawdopodobne – nie chciałby uciec. Ale w tej sytuacji, gdy znajdowali się w pustce, tamci mogli bez trudu po prostu

odlecieć, pozostawiwszy Ivantha, żeby tracił czas i zasoby na bezsensowne poszukiwania.

„Ten okręt sprawia więcej kłopotów, niż to warte. Liczyliśmy, że wytropienie ojczystego świata obcych pozwoli nam uzyskać przewagę, ale teraz tracimy tylko okręty dronów drugiej generacji bez żadnych korzyści”.

A to stanowiło wielki problem.

Drony drugiej generacji były cenne, ponieważ Lud dysponował tylko jednym dronem pierwszej generacji, a proces samonamnażania się wywoływał defekty i przypadkowe mutacje w późniejszych wersjach. Większość sił Imperium składała się z okrętów dronów trzeciej i czwartej generacji, które były o wiele gorszej jakości.

To sprawiało, że Ivanth pozostał jedynie z paroma niezbyt atrakcyjnymi możliwościami rozwiązania sprawy.

Mógł wycofać swoją flotyllę i pozwolić, aby obcy okręt uciekł. W tym przypadku szanse zlokalizowania jego świata ojczystego przepadłyby na długo. Albo mógł kontynuować pościg i przeć naprzód prosto na nieznane systemy obronne. Wtedy pozostawała tylko nadzieja, że dysponuje wystarczającą siłą, żeby się przez tę obronę przedrzeć.

Jeżeli tak, i jeśli jego siły zdołają zlokalizować świat ojczysty obcych, zakładając, że w ogóle znajdował się w odpowiednim sektorze i to, co się dookoła działo, nie było częścią jakiejś wymyślnej pułapki, to poświęcenie jednostek dronów drugiej generacji mogło się opłacić. Oczywiście jeżeli Ivanth zawiedzie, oznaczać to będzie koniec jego kariery albo przynajmniej znaczne jej opóźnienie.

„Zapewne i tak trafiłbym na czarną listę, gdybym się teraz wycofał. Straciłem już zbyt dużo okrętów”.

Nieważne, jak długo to rozważał, niewiele dobrego wynikało z obecnej sytuacji. I pójście naprzód, i odwrót – w każdym przypadku nie wyglądało to dobrze z osobistej perspektywy Ivantha, ani też z perspektywy ogólnej, imperialnej.

Ivanth rozejrzał się po mostku „Herosa”, przyjrzał mężczyznom i kobietom pod swoimi rozkazami. Starał się

znaleźć rozwiązanie, które przyniesie najlepsze rezultaty. A chociażby najmniej złe.

Wreszcie westchnął. „Niech później nikt nie mówi, że nie potrafię się zdobyć na odwagę”.

– Wysłać sygnał do Ula – rozkazał. – Zażądać posiłków. Lecimy dalej.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”
Układ Słoneczny

– Zbliżamy się do orbity Saturna, kapitanie. Jesteśmy dość blisko, by użyć łączności laserowej.

– Dziękuję, poruczniku. – Eric skinął głową, choć wolałby poczekać na spotkanie twarzą w twarz. – Proszę wysłać mój raport do admirał Gracen i zakodować jako priorytetowy.

– Tak jest, sir. Raport w transmisji.

Dotarcie sygnału laserowego do stacji Liberty na orbicie Ziemi zajmie ponad godzinę, a przylot „Odysei” potrwa jeszcze parę godzin. Weston domyślał się, że admirał wie o powrocie okrętu, chociaż pewnie błyskawicznie wysłana wiadomość i tak ją zaskoczy.

Eric gorąco liczył na to, że gdy „Odyseja” dotrze do Ziemi, flota Konfederacji będzie już gotowa do walki. Nie miał pewności, czy dojdzie do konfrontacji, ale wydawało się to prawdopodobne. Do diabła, wydawało się wręcz nieuchronne.

Zapewne wojna zbliżała się nieodwołalnie od dawna, a „Odyseja” i „Weifang” tylko trochę przyśpieszyły jej rozpoczęcie.

Spodziewał się, że siły wroga, obecnie walczące z Priminae, w końcu znajdą również Ziemię. Eric wiedział, że wielu polityków i wojskowych na najwyższym szczeblu nie chciało w to wierzyć, niemal się przed tą wiedzą broniło. Weston jednak nie miał wątpliwości.

Drasinowie może nie pojawią się za rok lub dekadę – wszystko zależało od tego, ile czasu potrwa czyszczenie układów gwiezdnych Priminae.

Wcześniej czy później jednak i tak by do tego doszło.

„Odysei” przynajmniej udało się wrócić i przynieść ostrzeżenie w zamian za przyśpieszenie toku zdarzeń. Eric nie wiedział, czy w rezultacie będzie to jakieś pocieszenie, ale zamierzał wykorzystać sposobność najlepiej jak można.

„Nie pozostało nic, tylko czekać… a potem wrzeszczeć i umrzeć”.

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

Admirał Gracen czuła nadchodzącą migrenę, a „Odyseja” nie dotarła jeszcze nawet do orbity Marsa.

„Przynajmniej tutaj Weston nie prowadzi okrętu, jakby go diabeł gonił. Chociaż tyle dobrego”.

Informacje, jakie odszyfrowano z laserowego przekazu, który przesłała „Odyseja”, stanowiły bardzo solidny dowód, że mała wycieczka Bloku w głęboką przestrzeń okazała się po prostu katastrofą.

„Weifang” jeszcze nie wrócił – napęd skokowy okazał się pod tym względem lepszy – ale kiedy tylko się pojawi, zaraz za nim do przysłowiowych drzwi zapukają nieproszeni goście.

„Tyle dobrego, że mogę powiedzieć chłopcom z działu innowacji, że ich działa tranzycyjne to wielki sukces. Ile takich dział możemy zmontować i przygotować do walki w ciągu trzech dni?”

Za mało.

Co do tego Gracen nie miała wątpliwości. Nawet jeżeli uda się wyposażyć w te działa okręty i bazy, nie wyprodukowano dość amunicji z nuklearnym rdzeniem. Broń z ładunkiem

rozszczepialnym nie należała do rzadkich, ale do często używanych także nie. Konfederacja i Blok trzymały jej tylko tyle, by było wiadomo, że mogą jej użyć do starcia przeciwnika z powierzchni Ziemi, gdyby posunął się za daleko.

Czyli, prawdę powiedziawszy, nie za wiele.

Stucentymetrowe pociski wystrzeliwane przez „Odyseję" były w tej chwili jedynym zapasem. Wyprodukowano ich dość, by uzbroić okręt i wypróbować nowe uzbrojenie, co kapitan Weston uczynił. Chcąc nie chcąc, facet ma atut w każdym konflikcie, jaki rozegra się w kosmosie. Ale admirał liczyła, że dostanie więcej danych o skuteczności dział od załogi „Odysei", zanim rozpocznie się masowa produkcja.

Co jednak nie znaczyło, że Konfederacja nie miała dział T. Na stacji Liberty znajdowało się kilka wraz ze stosowną ilością amunicji. Można będzie bez problemu uzupełnić zapas „Odysei" i jej ładownie, może nawet więcej, jeżeli się wypełni również hangar myśliwców.

„I tak ich nie potrzebują. A »Enterprise« nie jest jeszcze w pełni gotów do walki, choć to właśnie na nim miały stacjonować myśliwce i piloci. Archanioły mają… ilu? Pięciu pilotów, jeśli dobrze pamiętam?"

Musiałaby sprawdzić, ale była pewna, że to jakaś absurdalnie mała liczba.

„Zbyt wielu przeklętych głupców miesza się w tym przypadku do polityki". Wiedziała to aż za dobrze. „Ale nawet ja muszę przyznać, że eskadra Archaniołów wymaga ponownego przemyślenia".

Podczas wojny projekty myśliwców zmieniły się prawie tuzin razy w ciągu mniej niż dekady. Doszło do tego, że po rekonfiguracjach w eskadrze znajdowały się cztery różne warianty maszyn. Stanowiło to jeden z powodów, dla których jednostka pozostała poza regularnymi siłami armii, a to oczywiście wpływało nawet na system zgłoszeń do służby w Archaniołach.

„Enterprise" wkrótce powinien otrzymać ostatnią eskadrę myśliwców uderzeniowych klasy Vorpal, maszyn

przygotowanych do walki w kosmosie. Ze względu na tę specjalizację w symulacjach komputerowych myśliwce Vorpal wypadały lepiej niż bardziej uniwersalne i lżejsze maszyny przewagi powietrznej, do jakich zaliczały się Archanioły, nawet jeżeli uwzględnić ich system sterowania, wspierany łączem neuronowym.

Gracen i parę innych osób po cichu zatwierdziło już nowe ulepszenia dla Archaniołów, jednak zanosiło się na to, że istniała niewielka szansa, aby je wprowadzono, zanim wszystko dosłownie zwali się Ziemi na głowę.

„Odyseja" pędziła z największą możliwą szybkością do domu, „Enterprise" został odwołany z patrolu na zewnątrz układu, a Siły Zbrojne Konfederacji Północnoamerykańskiej postawiono w stan najwyższej gotowości… Cóż, zanosiło się na to, że niedługo zrobi się bardzo, bardzo interesująco.

Admirał wiedziała, że Blok zaczął również ostrożnie ogłaszać alarm w swoich siłach zbrojnych, oczywiście jako odpowiedź na działania Konfederacji. Minie jeszcze trochę czasu, zanim „Weifang" wróci do domu, przynajmniej Gracen tak przypuszczała, a cokolwiek będzie miała do powiedzenia jego załoga, okaże się już spóźnione, a zatem nieistotne.

„Bez wątpienia jest w tym jeden zabawny akcent. Złe wieści dosłownie rozchodzą się szybciej od światła".

Admirał Gracen uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne. Bo tak naprawdę nie było jej do śmiechu.

***

Kiedy „Odyseja" zbliżyła się do planety kursem w kierunku jej obrotu po trajektorii wyrzutowej wokół Księżyca i opadła na niską orbitę, machina wojenna Konfederacji Północnoamerykańskiej była już w trakcie przygotowań do walki. „Odyseja" musiała przejść automatyczną weryfikację i została jeszcze dokładnie przeskanowana. Nawet Eric, który sam nie był wolny od lekkiej paranoi, uznał, że to jednak

przesada, przecież dowodził chyba najbardziej charakterystycznym okrętem w Układzie Słonecznym.

Nawet z odczytów pasywnych wykrywaczy i bez rozpiętych żagli można było wykryć uzbrojenie w pełnej gotowości i systemy namiarowe radarów i lidarów oraz różne inne, które przeskanowały „Odyseję”. Żadnych pingów tachionowych, ale to pewnie tylko kwestia czasu. Nikt nie chciał teraz marnować energii i Eric podejrzewał, że najszybciej jak się dało przekierowano ją do urządzeń magazynujących.

Chociaż okręt miał ograniczone możliwości gromadzenia energii i używał do tego głównie kondensatorów, w bazach i stacjach takich jak Liberty podobnych ograniczeń nie było. Masywne, obracające się konstrukcje pozwalały magazynować energię w próżni prawie bez strat i przez dość długi czas, na dodatek rozwiązanie to nie należało do zbyt popularnych.

„Jeżeli wróg szacował naszą obronę w odniesieniu do rezerw energii »Odysei« – pomyślał Eric z ponurą satysfakcją – to czeka go paskudna niespodzianka”.

– Wiadomość od admirał Gracen, kapitanie. Admirał chce się spotkać z panem jak najszybciej, gdy tylko zacumujemy.

– Przekaż, że stawię się niezwłocznie – odparł Eric. – Podejrzewam, że nie mamy wiele czasu, pierwszy. Niech załoga dostanie trochę wolnego. Najlepiej w turach, ale nikomu nie wolno opuszczać Liberty. „Odyseja” musi być gotowa do lotu na każdy rozkaz.

– Tak jest, sir, zajmę się tym.

– Nie wątpię, komandorze. Daniels, zabierz nas na Liberty.

– Tak jest, sir.

„Odyseja” wyrównała orbitę blisko wielkiej stacji Liberty, pierwszego przystanku Konfederacji do odlotu w kosmos lub powrotu z przestrzeni. Stacja orbitalna zaczęła jako placówka niewiele większa od „Odysei”. Oba obiekty zbudowano mniej więcej w tym samym czasie, jednak rozbudowa Liberty jak dotąd się nie zakończyła.

Wspomniana obracająca się konstrukcja była, na przykład, nowa. Masywne odłamki meteorytowej stali otaczały stację

wewnątrz pancernych osłon. Sprawiały, że Liberty wyglądała na większą, niż rzeczywiście była, ale wielkie megatony obręczy mogły zmagazynować więcej energii w każdym pojedynczym ogniwie niż „Odyseja” w całym systemie zasilania. Obręcze zostały rozpędzone do prędkości bliskiej światła dzięki technologii MP, tej samej, która umożliwiała wygodne podróżowanie w przestrzeni, a wtedy miejscowymi zmianami pól Higgsa można było sterować. A to z kolei pozwalało na zwiększenie masy obręczy, nie jej zmniejszanie, co umożliwiało o wiele bardziej skuteczne przekazywanie mocy do stacji.

Rozwiązanie, ze względu na swoją żyroskopową konstrukcję, było niepraktyczne na okrętach, ale doskonale nadawało się dla baz stacjonarnych.

„Odyseja” wytraciła prędkość, silniki wsteczne zadrżały, gdy wielki okręt wyrównał prędkość w stosunku do stacji. Eric wstał z fotela.

– Mam spotkanie z admirał Gracen. Lepiej się nie spóźnić. Pierwszy, przejmuje pan mostek.

– Tak jest, sir, przejmuję mostek.

***

Doki na Liberty były albo prawie puste, albo przepełnione śpieszącymi się ludźmi, w zależności od tego, jaką sekcję stacji właśnie mijał Eric. Była to denerwująca zmiana, gdy się wcześniej przywykło do stałego harmidru w tym miejscu. Eric starał się to lekceważyć najlepiej jak umiał, gdy szedł głębiej w kierunku sektora E.

Sektor E na Liberty był wewnętrzną, najmocniej chronioną sekcją stacji. Gabinety starszych oficerów i planistów zlokalizowano właśnie tam, ze względów bezpieczeństwa i dla obrony. Aby się dostać do wnętrza, Eric musiał przejść kilka skanowań i posterunki marines. Przy ostatnich drzwiach wymagany był jeszcze skan biometryczny. Weston poddał mu

się bez protestu pod nadzorem dwóch przyglądających mu się beznamiętnie wartowników.

Odciski palców, siatkówka, badanie krwi – to odbyło się najszybciej. Wszystkie wyniki musiały zostać jednak porównane z zachowanymi próbkami oraz aktami kapitana, inaczej drzwi nigdy by się nie otworzyły. Eric wiedział, że jego krew została również sprawdzona pod kątem DNA, co wydłużyło czekanie o kilka minut. Krążyły plotki, że do użytku weszły jeszcze dwa dodatkowe systemy biometryczne, ale nikt tego oficjalnie nie potwierdzał.

Wydawało się to przesadną ostrożnością, ale podczas wojny Eric nosił fałszywe szkła kontaktowe, aby oszukać skaner siatkówki, a odciski palców dawało się podrobić jeszcze łatwiej. Grupę krwi też można było bez wielkiego wysiłku sfałszować, chociaż wykryto w ten sposób kilku ludzi, którzy usiłowali się pod kogoś podszywać. Jedynie test DNA, jak dotąd, okazał się konkretnym zabezpieczeniem. Podobno trwały eksperymenty nad wykrywaniem retrowirusów, co miało być jeszcze pewniejsze niż DNA. Zapewne ochronę trzeba będzie jeszcze bardziej wzmocnić, chociaż kapitan liczył, że to wkrótce się zmieni.

„Musimy wpuścić Blok do programu. Walka między sobą to nie głupota, lecz samobójstwo. Wystarczy, że staniemy po tej samej stronie, a to gówno nie będzie potrzebne. Chciałbym zobaczyć Drasina, który próbuje podszyć się pod człowieka”.

Eric uśmiechnął się krzywo, gdy rozsunęła się śluza prowadząca do sektora E. Zaraz jednak kapitan przypomniał sobie o nieznanym gatunku, który jak się zdawało, trzymał Drasinów na smyczy. Skrzywił się z niechęcią.

„Używają oznakowania Priminae, a Priminae są ludźmi jak ja, co potwierdza niemal każdy test. Nie dałbym głowy, że tamci dranie też nie są do nas podobni”.

Było to nieco nieprecyzyjne i Eric o tym wiedział. Doktor Rame i inni dokładnie i na wszystkie strony przebadali próbki otrzymane od przedstawicieli Priminae. Koloniści byli oczywiście ludźmi, ale nie znaczyło to, że nie można ich

odróżnić od Ziemian. Różne antyciała stanowiły pierwszą i najlepszą wskazówkę, a głębszy wgląd w DNA prowadził do oczywistego wniosku, że choć Priminae to bezdyskusyjnie ludzie, jednak ewoluowali odrębnie od populacji Ziemi od co najmniej trzydziestu lub czterdziestu tysięcy lat.

Sekwencjonowanie DNA na tym poziomie uszczegółowienia wymagało jednak paru ładnych minut. Gdyby się nie szukało specyficznych i dobrze znanych markerów, otrzymanie wiarygodnych wyników zajęłoby pewnie tygodnie.

„No, dobrze, może nie należy jednak zaniedbywać ochrony, nadal jest konieczna, nawet kiedy uda się sprawić, aby Blok wycelował swoją broń w tę samą stronę, co my" – przyznał w duchu Eric. Cynicznie zastanawiał się jednak, czy nie powinien użyć słowa „jeśli" zamiast „kiedy" w stosunku do Bloku.

– Kapitan Weston?

Eric zatrzymał się przed kobietą w białym uniformie, która spoglądała na niego wyczekująco.

– To ja – zapewnił, choć zupełnie niepotrzebnie. Kobieta musiała wiedzieć, że to właśnie on, skoro dostał się aż tutaj.

– Admirał chce pana widzieć natychmiast.

– Ja myślę.

Gabinet admiralski był bardziej surowy, niż gdyby Gracen pracowała na Ziemi, ale nie tak bardzo, jak wierzyła większość cywili. Stosowanie technologii MP i ogromne rezerwy mocy pozwalały na utrzymywanie sztucznej grawitacji bez konieczności wdrażania skomplikowanych systemów rotujących habitatów, jak na „Odysei". Dlatego chociaż pokój mógł się wydawać nieco spartański w porównaniu z gabinetami wyższych oficerów w Pentagonie, jednak zapewniono tu również odrobinę luksusu.

Admirał wskazała Westonowi krzesło, znowu plastikowe, zapewne wyprodukowane przez miejscową wytwórnię. Nie należało do szczególnie wygodnych, chociaż rzucono na nie poduszkę. Eric nie zamierzał jednak na to narzekać.

W przeszłości zarzucano mu wiele rzeczy, ale nigdy głupotę, choć niegdyś służył w Marines. Pewnie to coś znaczyło, skoro większość kariery Weston spędził w różnych formacjach sił powietrznych, a siły powietrzne z reguły nie przepadały za piechotą morską.

Gracen podniosła na niego wzrok i zmarszczyła brwi.

– Za każdym razem wysyłam pana na prostą misję – stwierdziła – a pan wraca z wieścią o kryzysie, i to za każdym razem większym niż poprzednio. W administracji są ludzie, którzy tylko czekają, żeby powiesić pana za jaja, kapitanie. Sama zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam im na to pozwolić.

Eric skrzywił się, ale milczał.

Właściwie co miałby powiedzieć?

– Niestety. – Admirał odsunęła klawiaturę i oparła dłonie na blacie. – Ta możliwość nie wchodzi już w grę i wątpię, żebym mogła sobie pozwolić na wrzucenie pana do jakiejś ciemnej, zapadłej dziury, nawet gdybym mogła.

– Chciałbym prosić zatem o dziurę w innym układzie gwiezdnym, jeżeli tak już musi być… – rzucił Eric z ironią.

– Niech pan nie przegina, kapitanie.

– Tak jest, pani admirał.

– Właśnie teraz uzupełniane są stucentymetrowe pociski z rdzeniem nuklearnym – oznajmiła Gracen. – Zamówiłam dla „Odysei” dość, żeby wypełnić jej ładownie, a zapewne uda się jeszcze dodać kilka palet na pokładzie myśliwców, chyba że ma pan obiekcje?

– Nie, pani admirał – zapewnił Eric szybko. Po zobaczeniu dział tranzycyjnych w akcji był gotów poświęcić nawet więcej miejsca na amunicję, zwłaszcza że spodziewał się pośpiesznego opróżniania hangaru myśliwców.

– Po pańskich raportach nie wątpiłam, że wyrazi pan zgodę. – Gracen z zadowoleniem skinęła głową. – A tak między nami i bez oficjalnych formułek, jak się spisały działa T?

– Nadzwyczajnie, pani admirał.

– Dobrze. Mamy wszystkie dostępne przeniesione także na Liberty, a tajne fabryki produkują już kolejne. Z tego, co mi wiadomo, zakontraktowani podwykonawcy zamierzają już przeznaczyć kilka swoich zakładów tylko do produkcji amunicji do dział T.

– Mam nadzieję, że to nie za mało i nie za późno, pani admirał.

– Podobnie jak ja, kapitanie – westchnęła Gracen. – Co pan sądzi o obecnej sytuacji?

Eric namyślił się, zanim odpowiedział na to pytanie.

– Cóż, w skrócie? Spierzemy obcych na kwaśne jabłko.

Gracen uniosła brew.

– Och?

– Tak jest, pani admirał – zapewnił Eric. – Nawet według najbardziej pesymistycznych szacunków porucznik Winger, zbliżająca się liczba wrogów nie przekracza kilkudziesięciu okrętów Drasinów plus dwie lub więcej nieznane jednostki. Dysponując choćby tylko Liberty i „Odyseją”, możemy łatwo ich zdziesiątkować. Jeżeli dodać do tego „Enterprise”, gdy tylko będzie gotów do walki, nie sądzę, żebyśmy ponieśli znaczące straty, nawet przy uwzględnieniu, że mogą się zdarzyć różne potknięcia.

– A w średniej i dłuższej perspektywie jak to się pana zdaniem rozwinie?

Eric westchnął, potrząsnął lekko głową i przybrał o wiele poważniejszy ton.

– Mamy namiary na ładną, daleką planetę do kolonizacji?

Gracen skrzywiła się, mimo że spodziewała się podobnej odpowiedzi.

– Tak źle?

– Zależy od czynników, których nie umiałbym nawet sobie wyobrazić.

– Czyli?

– Przede wszystkim nie wiemy, dlaczego Drasinowie byli tak łaskawi dla Priminae – wyjaśnił Eric. – Dwa, cztery czy nawet sześć okrętów na jeden atak? Gdyby chcieli zniszczyć Priminae,

wystarczyłoby, żeby ich przydusili swoją liczebnością, i byłoby po wszystkim. Ktoś celowo ich powstrzymuje.

– A pan nie wie, czy to samo będzie się odnosić do nas?

– Szczerze, pani admirał? – Eric pokręcił głową. – Założę się, że nie. Nieznani bandyci używają konstrukcji podobnych do Priminae. Mają z nimi na pewno jakieś powiązania. Nie sądzę, żeby potraktowali nas podobnie jak tamtych. Nawet jeżeli jakieś więzi między nami istnieją, nie przypuszczam, aby obcy zdawali sobie z nich sprawę.

– Rozumiem. A co w najgorszym przypadku?

– W najgorszym? Milion dronów wtoczy się tutaj i pożre wszystko, co na nie rzucimy – stwierdził Eric. – Zabijemy dziesiątki, może nawet setki, zależnie od czasu, jaki zyskamy, a potem zginiemy, pani admirał.

– Istnieje jakiś sposób, by uniknąć takiego rozwoju zdarzeń, kapitanie? – zapytała Gracen, a potem westchnęła. – Pana zdaniem, oczywiście.

– Jest jeden, ale tylko w długiej perspektywie.

– Och? – Gracen spojrzała na Westona z zainteresowaniem. Sama nie wpadła na żadne rozwiązanie.

– Zlikwidować nadlatującą grupę do ostatniego okrętu i liczyć, że obcy nie posiadają skutecznej łączności nadświetlnej.

– Ach…

Wspominano o tym raz czy dwa, ale szczerze powiedziawszy, pomysł, że wróg nie posiada łączności nadświetlnej, został odrzucony jako równie prawdopodobny jak to, że Drasinowie przybywają w pokoju i w imię dobra ludzkości.

Eric odczytał wątpliwości z wyrazu twarzy admirał Gracen.

– Jak powiedziałem, pani admirał, to tylko założenie.

– Jeżeli obcy mają przyzwoite dowództwo, na pewno ustawią obserwatora daleko za granicami naszego układu.

– Tak, pani admirał – zgodził się Eric. – Rozważałem wyprzedzenie „Weifanga” i uderzenie go torpedami impulsowymi, żeby wytrącić okręt z nadświetlnej. Miałem nadzieję, że Chińczycy wyprowadzą Drasinów jak najdalej od Ziemi, ale to się nie udało. „Weifang” ciągnie za sobą radosną

gromadkę pościgową, a chociaż można było w przybliżeniu przewidzieć, gdzie będą Chińczycy, nie mogliśmy mieć pewności, że dotrzemy tam, gdzie należy. Straciliśmy szansę, gdy „Weifang" był na ostatnim odcinku przed oderwaniem się od kluczących trajektorii i powrotem na Ziemię. Teraz, gdy opuściliśmy tamten sektor, pozostałoby nam tylko szukanie po omacku… a szczerze mówiąc, już i tak są za blisko Ziemi.

– Zgadza się – przytaknęła admirał Gracen. – W najlepszym razie zyskalibyśmy co najwyżej parę dni. Może tygodni, ale nie więcej.

– Teraz, kiedy przekazaliśmy ostrzeżenie, możemy wrócić i poszukać „Weifanga" – zaproponował Eric.

– Za późno, kapitanie. Pułapki tachionowe dalekiego zasięgu wykryły zbliżający się sygnał fali czołowej. „Weifang" wraca do domu.

ROZDZIAŁ 12

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”

Kapitan Sun Ang Wen spodziewał się jakiegoś powitania po powrocie do domu, ale takiego sobie nie wyobrażał w najgorszych koszmarach.

– Kapitanie! – Panika w głosie i zachowaniu oficera zagnała dowódcę na mostek. Sun popędził jak pocisk. – Zostaliśmy namierzeni, kapitanie. Przez systemy AEGIS-X radaru, lidaru i jeszcze czegoś, czego nie rozpoznaję!

– Okręt zbliża się zza naszej rufy, kapitanie. Konstrukcja nieznana!

Sun zaklął, po czym podszedł do swojego stanowiska.

– Uruchomić połączenie szerokopasmowe.

– Połączenie otwarte, standardowe częstotliwości.

– Tu kapitan Sun Ang Wen z Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej – wycedził Sun, nie spuszczając wzroku z punktu na ekranie, który zbliżał się do „Weifanga”. – Dlaczego namierzacie mój okręt?

Nastąpiła długa przerwa, sekundy mijały, gdy Sun czekał, aż sygnał dotrze do okrętu znajdującego się o minutę świetlną od „Weifanga”.

– Uzbrojenie podstawowe – nakazał Sun, przyciszywszy łączność. – Coś mogło się stać w polityce po naszym opuszczeniu Ziemi.

– Tak jest, kapitanie.

W końcu urządzenie zatrzeszczało, gdy nadeszła wyczekiwana odpowiedź.

– Tu kapitan Ethan Carrow z „Enterprise”, okrętu Konfederacji Północnoamerykańskiej. Kapitanie Sun, byliście śledzeni. Proszę wrócić na Ziemię na naprawy i odebranie rozkazów od waszego rządu.

Usłyszane słowa wywołały zimny dreszcz na plecach Suna.

– Niemożliwe – wyszeptał do siebie. – Za nami nie było żadnych okrętów.

Nie było, to pewne, i Sun o tym wiedział. Podjął wszystkie środki ostrożności, jakie tylko zdołał. Jeżeli jednak wróg posiadał bardziej zaawansowane skanery, które pozwalały mu obserwować „Weifanga” z dużego dystansu, wszystko było możliwe. Kapitan przygarbił się na samą myśl.

„Co ja zrobiłem?”

– Kapitanie Sun, zrozumiał pan? – zabrzmiał znowu głos konfederackiego dowódcy. Sun drżącą ręką odblokował nadajnik.

– Tak, kapitanie Carrow. Przyjąłem i zrozumiałem, choć pańskie słowa mnie zaskoczyły i zasmuciły. „Weifang” wraca na Ziemię.

Nastąpiła kolejna pauza, gdy sygnał przelatywał do drugiego okrętu, po czym Carrow odezwał się łagodniej:

– Jeżeli to jakieś pocieszenie, kapitanie, spodziewaliśmy się takiej sytuacji już od dawna. Pan po prostu przyśpieszył tylko trochę bieg zdarzeń.

– Bardzo niewielkie to pocieszenie, kapitanie Carrow – odparł Sun. – Naprawdę niewielkie. „Weifang”, bez odbioru.

Opadł na fotel. Z niewidzącym spojrzeniem zaczął się zastanawiać, co teraz miało się zdarzyć. Z ponurych rozważań wytrąciła go jednak szybko przytłaczająca cisza i wbijające się w niego oczy całej załogi mostka.

– Na Ziemię, jak najszybciej – rozkazał. – Musimy zrobić naprawy i uzupełnić zaopatrzenie, jeżeli mamy pomóc wypić piwo, którego nawarzyliśmy.

– Tak jest, kapitanie!

„Weifang” zakrzywił czasoprzestrzeń, przyśpieszając do ośmiokrotnej prędkości światła, po czym skierował się ku

Ziemi. Zostawiał za sobą smugę zamarzniętych gazów, wydostających się spod prowizorycznie załatanego poszycia.

***

Kapitan Carrow z „Enterprise” obserwował z lekkim ukłuciem zazdrości, jak chiński okręt oddala się w stronę Ziemi. Wykorzystanie masy przeciwnej do zakrzywiania czasoprzestrzeni dawało „Weifangowi” znaczącą przewagę przyśpieszenia nad poruszającym się z prędkością podświetlną okrętem Konfederacji.

Chociaż napęd tranzycyjny przewrócił do góry nogami wszystko, co wiedziano o strategii, Ethan Carrow wolałby dysponować każdą dostępną przewagą taktyczną, a napęd skonstruowany przez Blok bez wątpienia taką przewagę zapewniał. Nadchodząca walka będzie bowiem czysto taktyczna. Kapitan Carrow zostanie uwięziony w studni grawitacyjnej Słońca, ponieważ było to jedyne miejsce, z którego nie mógł się wycofać.

„To ostatnie przeklęte miejsce, gdzie chcielibyśmy walczyć z wrogiem, co gorsza, dysponującym przeważającą siłą. Gdybyśmy mieli jeszcze kilka miesięcy, moglibyśmy posłać parę jednostek, żeby całkowicie zająć uwagę przeciwnika walką w systemach gwiezdnych Priminae”.

Cóż, teraz takie rozważania nie miały już sensu.

Znana teoria wojskowa głosiła, ujmując rzecz w uproszczeniu, że lepiej walczyć z wrogiem na jego terenie niż na własnym. Ogólnie uważano to za brednie, usprawiedliwiające wojny przeciwko ludziom, którzy dosłownie nie potrafili przenieść swoich tyłków przez kałużę, a co dopiero przez ocean, ale teraz sytuacja dotyczyła naprawdę całego świata i stara zasada mogła okazać się prawdziwa.

Nikt nie chciałby walczyć z równym, a tym bardziej silniejszym przeciwnikiem w pobliżu własnego podwórka. Takie starcie, nawet jeśliby okazało się zwycięskie, przyniosłoby

piekielne zniszczenia, a przegrana oznaczała, że nie ma się dokąd wycofać.

Niestety, nie zawsze można wybrać pole bitwy – czasami to przeciwnik dyktował warunki.

– Wezwać nasze eskadry, niech się przygotują – rozkazał Carrow. – Chcę, żeby maszyny dotankowano, a piloci wypoczęli, zanim pojawią się następne okręty. Te nie będą tak przyjazne jak okręt Bloku.

– Tak jest, sir. Przesyłam rozkaz wzywający eskadry.

Myśliwce uderzeniowe klasy Vorpal stanowiły najnowszą konstrukcję z zakładów Northrop Grumman. Były szybsze i uzbrojone w cięższą broń niż ich poprzednicy, a przy tym prawie równie sterowne w głębokiej przestrzeni. Platforma Aniołów, którą wymieniono, wcześniej służyła Archaniołom, tyle że bez wprowadzonych niedawno modyfikacji. Platformy stanowiły podstawę systemu przejmowania kontroli strefy powietrznej. Nie miały tylko tak dobrych zdolności manewrowych jak klasa Vorpal ani wyposażenia MP najnowszej generacji.

Kapitan niemal żałował, że nie posiadał wszystkich eskadr wyposażonych w systemy łącz neuronowych i pilotów zdolnych do prowadzenia takich maszyn.

Gdyby życzenia się spełniały…

– Mamy jakieś dane z dowództwa dotyczące przewidywanego miejsca, gdzie pojawią się okręty pogoni? – Przeszedł przez mostek do swojego specjalisty łączności.

– Nie, sir. – Porucznik Sam Berenger pokręcił głową. – Nawet ich jeszcze nie wykrywamy.

– A zatem się wstrzymują, czekają – skrzywił się ponuro Carrow. – Chcą sprawdzić, co zrobimy.

– Tak jest, sir.

– Cóż, tym gorzej dla nich, bo nawet my nie wiemy, co zrobimy – stwierdził ironicznie kapitan, po czym potrząsnął głową i odszedł od stanowiska łączności.

Niszczyciel imperialny „Heros”

– Więc to jest ten system… – Ivanth spojrzał na odczyty z gwiazdy, do której układu poleciał śledzony okręt.

Przez większość czasu załoga „Herosa” polegała na obrazach z biernych soczewek grawitacyjnych, więc to, co widziała, było spóźnione o kilka lat świetlnych, ale nie miało to znaczenia dla strategii. Był to bez wątpienia system zasiedlony, przynajmniej jeżeli chodzi o dwie planety i cztery księżyce, sygnały płynęły również z czegoś, co wyglądało jak pas asteroid, a także z kometarnej chmury wokół układu.

„Zapewne konstrukcje górnicze. Całkiem ciężki przemysł, ale dość przestarzały, na ile można określić. Żadnych znaczących systemów obronnych, nie widzę też niczego, co choć trochę przypomina stocznię”.

To było irytujące.

Może był to układ gwiezdny, którego szukał, albo tylko przyczółek większego imperium. Bez śladów dużych stoczni Ivantha kusiło, żeby skreślić to miejsce i uznać je za poboczną kolonię. Wiedział jednak, że na świecie Priminae, planecie Ranquil, powinna być stocznia okrętów międzygwiezdnych, chociaż siły Imperium nie potrafiły jej zlokalizować.

Stanowiło to jedną z wielu przyczyn, dla których pobratymcy Ivantha nie ruszyli *en masse* przeciwko temu systemowi Priminae – Imperium chciało przejąć stocznie w stanie jak najbardziej nietkniętym. A było to nie lada problemem, gdy nie wiedziało się, gdzie taka przeklęta stocznia się znajduje.

„Jednak to nie system Priminae. Na pewno nie”. Ivanth skrzywił się, gdy spojrzał na napływające dane o układzie nienazwanej gwiazdy. „Priminae nie dopuściliby do takiego zatłoczenia swoich głównych planet. Widziałem światy Imperium czyściejsze od tutejszej trzeciej planety, a niewiele było bardziej zanieczyszczonych”.

Ktokolwiek rządził tymi planetami, nie wyznawał filozofii Priminae o jak najmniejszym wpływie – ani na swój system, ani na zasiedlone światy. Analiza spektralna atmosfery wykazała niebezpieczne stężenie gazów zatrzymujących ciepło. Wystarczyłoby to do przegrzania świata, gdyby nie lustra na orbicie, jak podejrzewał Ivanth, które odbijały część energii docierającej na powierzchnię.

Pod wieloma względami ten świat wyglądał jak dom.

Owszem, jak dom z przeszłości, gdy na powierzchni miał jeszcze wodę, ale pewnie taka była kolej rzeczy.

– Komendancie! Mamy coś nowego.

Ivanth otrząsnął się z rozmyślań i spojrzał na ekran.

– Co to jest?

– Okręt przybywający do układu.

– Okręt? – Ivanth zmarszczył brwi. – To nie może być nasz cel. Ten jeszcze przez jakiś czas nie pojawi się w naszych soczewkach grawitacyjnych.

– Nie. Analiza konfiguracji na pana ekranach, panie komendancie.

Ivanth cofnął się i podszedł do swojego stanowiska. Wpatrywał się w ekran przez dobre kilka sekund, zanim wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– To oni! – syknął. Od razu rozpoznał konstrukcję nowego okrętu.

Niezdarny, niezgrabny, wręcz brzydki, nawet jak na standardy Imperium. Ale rozpoznawalny na pierwszy rzut oka. Nieznany okręt z Ula i zarazem ten sam, który siał spustoszenie wśród dronów w systemie Ranquil.

– Zebrać dane, spakować i posłać do Ula – rozkazał cicho. – Wszystkie dane dotyczące układu gwiezdnego, szczegóły związane z przybyciem tego okrętu. Potrzebujemy dokładnych rozkazów.

– Tak jest, komendancie.

Ivanth oblizał usta, po czym zajął fotel. Wyciągnął rękę i przybliżył obraz na ekranie, żeby lepiej się przyjrzeć okrętowi. Dotyczące go rozkazy były jasne – każda jednostka Imperium

w tym ramieniu Galaktyki miała namierzyć ten okręt i zniszczyć, o ile to możliwe.

„Czyli ostatecznie śledziliśmy odpowiedniego ptaszka, nieprawdaż?”

Ivanth wiedział jednak, że nie należy nie doceniać nieznanego okrętu. Ta jednostka wielokrotnie wyrwała się nieporównanie masywniejszym okrętom dronów, a nawet prześcignęła lub pokonała parę niszczycieli Imperium.

Ivanthowi pozostało dość dronów, żeby ten nieznany okręt okazał się tylko paszą dla Drasinów, skoro można go było złapać w pułapkę przy świecie, którego musiał bronić.

Pozostawało jednak najważniejsze pytanie.

„Czy musisz bronić tego zapadłego świata? Przypuszczam, że tego właśnie musimy się dowiedzieć”.

– Która z naszych eskadr dronów jest najsłabsza?

– Dziewiąta, komendancie. Pozostało im tylko dwie trzecie mocy.

Ivanth pokiwał głową.

– Cztery okręty. Pełne wyposażenie?

– Tak jest, komendancie.

– To wystarczy. Wysłać je, ale powoli. Chcę, żeby były gotowe, gdy tylko otrzymamy rozkazy z Ula.

– Na rozkaz, komendancie.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Enterprise”

Carrow po raz ostatni spojrzał na zegar, zanim zarządził zmianę wachty. „Enterprise” wracał do systemu i właśnie sunął za Neptunem po jego orbicie. Z lotami w przestrzeni kosmicznej był ten problem, że nawet w niewielkim wycinku wokół tylko jednej gwiazdy istniała piekielnie wielka sfera wpływów różnych sił, na które trzeba było uważać.

Niewiele powstało okrętów do tego zdolnych. Kapitan wiedział, że obrona Ziemi opierać się będzie głównie na

„Enterprise” i „Odysei”. „Odyseja” już otrzymała nowe uzbrojenie i amunicję, „Enterprise” był następny w kolejce przy najbliższych naprawach. Carrow żałował, że nie dostał zaopatrzenia wcześniej. Wkrótce jego okręt miał zatankować w pobliżu Saturna.

– Utrzymać rozpięte żagle i monitorować ściśle pułapki tachionowe – rozkazał oficerowi wachtowemu. – Jeżeli mamy zostać ostrzeżeni, to właśnie dzięki nim.

– Przyjąłem, sir – odparł porucznik Fallon. – Będziemy mieć oczy szeroko otwarte.

Carrow skinął głową. Wiedział, że zwleka tylko dlatego, że jest podenerwowany.

„Muszę się opanować, inaczej załoga zorientuje się, że coś wisi w powietrzu”.

– W porządku. Przejmuje pan mostek, poruczniku.

Carrow rozejrzał się jeszcze, po czym wyszedł i ruszył do swoich kwater w sekcji habitatów.

Myśl o wrogich obcych, którzy przyczaili się, zanim przystąpią do inwazji… Cóż, było to dla kapitana coś nowego i w głębi duszy musiał przyznać, że sytuacja budziła w nim ogromny niepokój.

Starał się tego nie okazywać, gdy szedł korytarzami okrętu – uśmiechał się i kiwał głową wszystkim, których mijał.

Jednak to nie myśl o bitwie targała mu nerwy. Nie. Ethana przerażało, że wróg może nadlecieć z dowolnego kierunku i dotrze do Ziemi, zanim „Enterprise” zdoła wyruszyć i przeciąć mu drogę.

Najbardziej pragnął już znaleźć się w pobliżu Ziemi, a przynajmniej Marsa, skąd mógłby szybko ruszyć na zbliżającego się wroga i praktycznie uniemożliwić mu dotarcie do rodzimej planety. Rozumiał jednak rozsądek kryjący się za obecnymi rozkazami. Pokazując jednostkę dalej od Ziemi, tworzyło się wrażenie większej siły, a – o ile wróg rzeczywiście planował bezpośredni atak na planetę – stacja Liberty zdoła powstrzymać sporą flotę na wystarczająco długi czas, aby

„Odyseja” i „Enterprise” zdążyły wrócić na pozycje i pokazać przeciwnikowi znaczenie słowa „ból”.

Ale, szczerze mówiąc, taka strategia to gówno.

Oczywiście Ziemia miała niewiele atutów strategicznych w tej chwili, nawet nie mogła śledzić ruchów wroga. Biorąc pod uwagę te ograniczenia, pozostawały właściwie tylko dwie możliwości, do tego obie równie beznadziejne.

„Przy odrobinie szczęścia wróg spędzi tyle czasu na zastanawianiu się, gdzie ukrywamy naszą flotę, że zyskamy czas na zbudowanie paru okrętów”.

Ethan zdawał sobie jednak sprawę, że szanse, aby tak się stało, są bliskie zera. Ale w tej chwili, do diabła, chciał się przespać i przestać myśleć o beznadziejności całej sytuacji.

Niszczyciel imperialny „Heros”

Dane płynęły nieprzerwanym, wartkim strumieniem do „Herosa” i „Nieśmiertelnego” przez soczewki grawitacyjne. Fotony, mikrofale i promieniowanie z całego mierzalnego przez instrumenty spektrum było wyłapywane i analizowane, po czym posyłane do głównych baz danych, podczas gdy załoga obserwowała i czekała.

Większość tych obserwacji systemu okazała się dość nudna pod wieloma względami. Dane wskazywały, że był to świat, który bardzo niedawno osiągnął zdolność do rozwijania prędkości nadświetlnych i szczerze powiedziawszy, jeszcze nie miał pojęcia, co z tym zrobić.

Nie znaleziono żadnych oznak poważnego handlu międzyplanetarnego, żadnych śladów aspiracji kolonizacyjnych – ogólnie rzecz biorąc, był to po prostu peryferyjny świat, którego mieszkańcy właśnie wyczołgali się z własnego śmietnika i zaczynali rozglądać po Galaktyce, o wiele większej, niż się spodziewali.

Dla Ivantha jednak obraz ten był przerażająco fascynujący.

Ponieważ pamiętał doskonale dwie rzeczy.

Po pierwsze to, że okręt, który śledzili, zdołał zniszczyć przynajmniej pięć okrętów dronów i poważnie uszkodzić kilka innych w dość krótkim starciu. Nie budziło to bynajmniej w dowódcy „Herosa" oburzenia, wręcz przeciwnie, uważał to za coś godnego szacunku.

A po drugie… pojawił się tutaj drugi okręt. Nieznany.

Nieznana nazwa, nieznana konstrukcja. Systemy uzbrojenia… nieznane. Systemy napędu… nieznane. Wszystko, co zostało o tej jednostce umieszczone w bazach danych, było po prostu – nieznane.

Jak na okręt, który brał udział w trzech starciach, wliczając bitwę bezpośrednio w placówce Ula, sprawującej dowództwo nad regionem, było to nie tylko niezwykłe. Było to po prostu niemożliwe. Lud powinien już dowiedzieć się o wiele więcej o tym okręcie, choćby tylko z odczytów.

Ale tak się nie stało. Pomimo szczegółowych nagrań starć nie znaleziono żadnych dostępnych informacji o uzbrojeniu jednostki, systemach obronnych czy załodze. Stanowił zagadkę, tajemnicę w strefie wojny, a teraz pojawił się tutaj.

A to czyniło z tego układu planetarnego miejsce bardzo interesujące.

„Technologia militarna tego kalibru nie pojawia się znikąd. Kim są ci ludzie? I co ważniejsze, kto ich wspiera?"

Ivanthowi wydawało się oczywiste, że ktoś za nimi stoi. Byle kultura, która ledwie dotarła do gwiazd, nie mogła osiągnąć takiego poziomu militarnego. To było śmieszne. Mieszkańcy tego peryferyjnego świata musieli otrzymać skądś uzbrojenie, a okręt, który Ivanth śledził, zapewne używał tej bazy jako tajnego przyczółku.

Wydawało się to prawdopodobne, ale prowadziło do początku rozważań.

„Prawie do początku. W najgorszym razie wyeliminujemy tę bazę i pozbawimy wroga przynajmniej jednego atutu. Trudno będzie wykorzystać ten świat jako punkt zaopatrzeniowy, skoro świata nie będzie".

Była to słaba nagroda pocieszenia, ale Ivanth zamierzał ją przyjąć, jeżeli okaże się, że nic więcej nie może zrobić.

***

W głębokiej przestrzeni, ukryta za tym, co Terranie nazywali Obłokiem Oorta, czekała niewielka eskadra Drasinów. Ich skanery także przeczesywały układ planetarny i wszystkie ich zmysły wykrywały wyraźną, lśniącą czerwoną pręgę.

Cały układ musiał zostać zniszczony.

Został zakażony tak bardzo, że nie było dla niego ratunku. Każdy świat nosił ślady pręgi, nawet takie, które teoretycznie nie były możliwe do zarażenia. Ale ten zakażony był najbardziej ze wszystkich, jakie drony pamiętały, a miały bardzo, bardzo długą pamięć.

Czwórka Drasinów dosłownie drżała w gotowości, ich pola zakrzywiające czasoprzestrzeń zmagały się z wkodowanymi rozkazami, które nakazywały jednostkom pozostać na miejscu.

Narzędzia zagłady na łańcuchu z wirtualnej mgły.

Oddalone o parę dni świetlnych, pozostałe okręty flotylli trzęsły się, gdy odbierały dane telemetryczne od swoich pobratymców. Świat tak skażony wzywał drony przez czas i przestrzeń, by zaczęły wykonywać swoje obowiązki. Ten świat spowijał szkarłat o paśmie częstotliwości widocznym jedynie dla monstrów z gwiazd, które nie widziały nic innego.

Bez żadnych wątpliwości ten świat musiał zostać zniszczony do cna.

Żaden dron nie spocznie, dopóki ten świat będzie istniał.

Drasinowie wysłali wiadomość do Ula.

Niszczyciel imperialny „Heros”

– Nadeszły rozkazy z okrętu dowodzenia przy Ulu, komendancie.

Ivanth zamrugał, żeby pozbyć się resztek snu, usiadł i rzucił w przestrzeń:

– I?

– Mamy pozwolenie na zwiad do tego układu.

– Wypuścić okręty dronów, które ustawiliśmy w pasie komet.

ROZDZIAŁ 13

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Tankowanie dobiegło końca, czekanie również. „Odyseja” wyruszyła z Saturna na Urana, ześlizgnąwszy się po orbicie otoczonej pierścieniami planety już podczas uzupełniania paliwa.

Eric usiadł za biurkiem w swoim gabinecie. Nie chciał spać, ale wolał też nie wisieć nad ludźmi na mostku bez powodu. Ostatnie, czego potrzebowali, to podejrzenie, że kapitan nie ufa ich kompetencjom. Gdyby zaczęli w to wierzyć, wkrótce naprawdę nie mógłby im ufać.

Zresztą na razie kapitan nie miał nic do roboty. Jeszcze nie.

Okręt leciał bez jego pomocy, pomimo jednego czy dwóch wstrząsów. Eric wiedział, że Roberts sobie poradzi. Pierwszy może jeszcze nie był gotów, żeby objąć dowództwo nad własnym okrętem, ale wkrótce będzie. Jednak wiele się mówiło o korzyściach z tego, że kapitan stał na mostku, gdy sprawy przybierały zły obrót.

Prawie skończył papierkową robotę, gdy nadszedł komunikat.

– Kapitanie, zbliżające się fale czołowe.

– Idę – odparł Eric natychmiast.

Czekanie dobiegło końca. Czas się zabawić.

***

– Co mamy? – Eric wszedł na mostek i skierował się od razu na swoje stanowisko.

– Cztery nadchodzące fale czołowe. Wróg musiał się podkraść i ukryć w Obłoku Oorta, ponieważ nie wykryliśmy go, dopóki

nie znalazł się wewnątrz heliopauzy – wyjaśniła Winger.

– Dopasowanie z baz danych?

– Drasinowie, sir.

Eric wykrzywił usta w lekkim grymasie, chociaż wiadomość bynajmniej go nie zaskoczyła.

– Tylko czterech, tak? – upewnił się.

– Tak, sir.

– Zatem to zwiad – uznał.

– Czy mam przygotować działa tranzycyjne, kapitanie?

Eric rozważył to.

– Nie.

– Kapitanie? – Roberts spojrzał na niego zaskoczony.

– Winger, wyślij sygnał do Liberty – rzucił Eric w zamyśleniu. – Przekaż, żeby zostawili tę czwórkę nam. Podkreśl to. Niech się w to absolutnie nie mieszają.

– Ach… Tak jest, sir.

Eric odwrócił się do Robertsa.

– To tylko zwiad. Trzymajmy jak najdłużej asy w rękawie i poczekajmy, aż w naszym zasięgu znajdzie się na tyle dużo wrogów, żeby naprawdę odczuli boleśnie atak.

– Już użyliśmy przeciw nim dział T.

– Owszem, ale wtedy żaden z Drasinów nie ocalał, żeby przekazać informacje innym. Może i wiedzą, że coś ich trafiło, ale dam głowę, że nie mają najmniejszego pojęcia co.

Roberts pochylił głowę, przyjmując argument.

– Tak jest, kapitanie.

– A tymczasem proszę przygotować kurs na zbliżenie do tej czwórki.

– Kurs ustalony, kapitanie. Czekam na pana pozwolenie – odpowiedział Daniels.

– Udzielone. Pełna szybkość.

– Tak jest, sir, pełna szybkość. – Daniels skinął głową. – Na kursie.

Eric sprawdził dane, zwłaszcza czas do zbliżenia, po czym westchnął, wreszcie uśmiechnął się i zachichotał.

– Tyle zamieszania, a mamy jeszcze prawie dwie godziny, zanim cokolwiek się wydarzy.

***

„Odyseja” poruszała się po zakrzywionej trajektorii, zmierzając w głębszą przestrzeń, aby zbliżyć się do nadlatujących okrętów. Obce jednostki wyrównały kurs, chcąc jak najszybciej dotrzeć do ziemskiego okrętu, i zaczęły przyśpieszać. Wątpliwości załogi, czy wróg wybrał celowo miejsce wejścia do Układu Słonecznego, rozwiały się, ale nikt nie narzekał.

Lepiej było spotkać się z Drasinami po zewnętrznej stronie systemu, niż pozwolić choćby jednemu zbliżyć się do Ziemi.

„Enterprise” znajdował się w ćwierć drogi wokół systemu, za daleko, aby zdążył się zbliżyć do Drasinów, ale i tak przyśpieszył, licząc, że zmniejszy nieco dystans i będzie gotów powstrzymać obcych, jeżeli pokonają „Odyseję”. Jednak dla wszystkich, którzy mieli oczy – zarówno tych wewnątrz Układu Słonecznego, jak i na zewnątrz – było jasne, że ta bitwa rozegra się między dronami i „Odyseją”.

***

– Raporty z torpedowni, kapitanie. Kondensatory impulsowe w pełni naładowane – zameldował Roberts.

– Dziękuję, komandorze – odparł Eric, nie przerywając wpisywania liczb i przyglądania się wykresom kursów.

Okręty Drasinów wyraźnie kierowały się prosto na „Odyseję”, co kapitanowi bardzo odpowiadało. Lepiej, żeby wróg skupił się na „Odysei”, niż skierował na Ziemię lub na Marsa.

„Oczywiście – pomyślał Eric, zerknąwszy znowu na trajektorie zbliżających się punktów na wykresie – nie można im tego za bardzo ułatwiać”.

– Pełne maskowanie – rozkazał. – I zmiana kursu o trzy stopnie w dół od płaszczyzny ekliptyki.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedzieli chórem Daniels i Waters, nim zabrali się do pracy.

Światła „Odysei” przygasły, zmieniając się na oświetlenie o niskiej mocy, gdy okręt uruchomił systemy „czarnych dziur” na pancerzu. Kluczem do maskowania było ograniczenie zarówno wszelkich możliwych odbić energii, jak i emisji energii, które mogłyby zostać wykryte przez wroga – jakby okręt kulił się dla wszystkich potencjalnych wykrywaczy.

Gdy tylko maskowanie zostało uruchomione, wielkie silniki rozbłysły i pchnęły „Odyseję” w dół, pod płaszczyznę ekliptyki, z dala od zbliżających się laserów jednostek wroga.

Z rozpiętymi żaglami, również w trybie maksymalnej absorpcji, urządzenia maskujące sprawiały, że fotony i inne wykrywalne emisje stawały się czystsze. „Odyseja” nie musiała dostosowywać się do miejscowych zanieczyszczeń promieni świetlnych, wywołanych przez odbijanie przez okręt światła gwiazd lub wydzielanie fotonów z jego różnych urządzeń.

Drugą stroną medalu przy takim kamuflażu był jednak natychmiastowy wzrost radiacji przenikającej pancerz, gdy tylko wyłączone zostały osłony odbijające. Ograniczało to czas przebywania w trybie maskującym, zwłaszcza gdy okręt znajdował się w pobliżu rozbłysków słonecznych lub szczególnie brudnych urządzeń jądrowych.

„Nie wspominając nawet o kaskadowych głowicach nuklearnych, które łamią prawa cholernej fizyki”. Eric zmarszczył brwi na samo wspomnienie tej broni. Każdy neuron jego naukowo przeszkolonego mózgu oburzał się na wspomnienie pokazu mocy, jaki kapitan widział w wykonaniu okrętów Priminae podczas niedawnego starcia przy Ranquil, w którym uczestniczyła „Odyseja”.

– Maskowanie uruchomione. Minimalna wykrywalność wszystkich systemów.

– Dobrze. Teraz możemy się zabawić. – Eric pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Daniels i Waters zerknęli na siebie i także się uśmiechnęli. Było jasne, że kapitan trochę za dobrze się bawi.

***

Umysły okrętów ledwie zauważyły cel, gdy ten zniknął. Spodziewały się tego. Zapisy wskazywały, że jest to typowy wzorzec, i szybko się do niego dostosowały. Cztery okręty złamały szyk, rozproszyły się, aby nie zostać trafione pojedynczą salwą ze znanej broni obcej jednostki.

Było jasne, że okręt to nośnik czerwonej pręgi, może nawet jeden z pierwotnych nosicieli zakażenia. Należało go zniszczyć, jednak jak dotąd okazał się odporny na zwyczajne metody działania roju. Stanowiło to poważny problem, ponieważ jeżeli pojawił się taki jeden, to mogło być – albo nawet na pewno BYŁO – ich więcej.

Jednak na taki wypadek istniały procedury. Coś podobnego zdarzyło się wcześniej, a twórcy wiedzieli, że zdarzy się znowu.

I właśnie zgodnie z tą procedurą umysły okrętów przygotowały się do poddania nowo odkrytego wroga próbie.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Wszystkie sygnały zamilkły, kapitanie. Najwyraźniej dotarli do celu.

Kian skinęła głową, zajęta własnymi myślami. Przyglądała się żółtej gwieździe, widocznej na ekranach systemów wykrywania dalekiego zasięgu. Odbierali już zabłąkane sygnały, gdy tylko zaczęli ich szukać. Wskazywały one na cywilizację zaawansowaną technicznie. Nie trzeba było długich analiz, aby rozpoznać je jako modulowane przez Terran, dlatego Kian uznała, że udało jej się zlokalizować przynajmniej jedną terrańską kolonię, o ile jakąś mieli.

Lecz Kian uważała, że na dobre czy na złe, zależnie od punktu widzenia, udało się jej zlokalizować ojczysty układ gwiezdny Terran.

Jednak miało to teraz o wiele mniejsze znaczenie niż odkrycie, że między dwoma okrętami Kian i terrańskim systemem gwiezdnym znajdowała się nieznana liczba przyczajonych jednostek Drasinów.

„To dziwne, że tak ucichli. Drasinowie nie wkradają się do systemów. Wlatują do nich bez żadnych środków ostrożności i bez odrobiny zdrowego rozsądku. Dlaczego zatem wykryliśmy ich, jak się czają na granicy tego systemu gwiezdnego?”

Wydawało się to nieprawdopodobne, ale wpadła jej do głowy inna myśl.

„Może boją się Terran?”

Po prostu niewiarygodne.

Drasinowie byli jak potwory z dziecięcych bajek. Nie bali się. BYLI strachem. Właśnie to sprawiało, że budzili takie przerażenie – nie znali lęku, szacunku ani ostrożności. Przybywali po prostu nieprzerwaną falą destrukcji i nie odchodzili, dopóki nie zakończyli swojego dzieła.

Dlaczego teraz zachowują się tak nietypowo?

Pytanie zaczynało ją dręczyć na granicy niemal obsesji, a Kian doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Miała przeczucie, że to, co zmieniło zachowania dronów, zapewne stanowiło rozwiązanie kryzysu, jaki wywołało przybycie Drasinów. Kian musiała dowiedzieć się jak najwięcej.

– Zwolnić. Przekazać „Neptowi”, żeby powtarzał nasze manewry – rozkazała. – Jedna trzecia prędkości. Nie wzburzyć cząsteczek nadświetlnych.

– Tak jest, kapitan Kian. Prędkość na jedną trzecią, żadnego wzburzania cząstek nadświetlnych.

„Nept” i „Posdan” zaczęły zbliżać się wolniej do układu planetarnego, ustawiły swoje zakrzywienia czasoprzestrzeni na minimum, które pozwalało utrzymać prędkość, ale umożliwiało także nieujawnianie ich obecności nikomu, kto dysponował urządzeniami wykrywającymi w prędkości nadświetlnej.

Przed nimi jaśniała w czerni kosmosu żółta gwiazda i czekał wróg.

Niszczyciel imperialny „Heros”

– Komendancie, otrzymujemy niezwykłe odczyty tła z systemów telemetrycznych połączonych z okrętami dronów.

Ivanth zerknął zirytowany, że ktoś mu zakłóca spokój.

Okręty flotylli powoli zbliżały się do granic systemu planetarnego. Dzięki niewielkiej prędkości nie tworzyły żadnych wykrywalnych sygnatur dla jakichkolwiek skanerów nadświetlnych. Jednak okręty znajdowały się po prostu za daleko, żeby uzyskać wiarygodne dane o sytuacji taktycznej w układzie planet, a Ivanth nie życzył sobie, by mu przeszkadzano z mało ważnych powodów.

– Wyślij odczyty do działu kontroli – odparł. – Cokolwiek to jest, na pewno to rozpracują.

– Tak zrobiłem, komendancie, ale to dziwne. Nie mamy nic w naszych danych o tego rodzaju odczytach przekazywanych przez drony.

Ivanth westchnął ponuro, ale odwrócił się od ekranów i ruszył do stanowiska namiarowego.

– No, dobrze, niech się przyj…

– Komendancie, nieznany statek włączył maskowanie!

Ivanth odwrócił się i spojrzał na miejsce, gdzie wcześniej na ekranach widniał obcy okręt. Obnażył zęby i machnął ręką.

– Po prostu nadaj odczytom wyższy priorytet i przekaż działowi kontroli, żeby to rozpracowali. Jestem zajęty.

– Na rozkaz, komendancie.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Straciliśmy ślad bandyty trzy i cztery. Rozproszyli się i zmniejszyli prędkość, żeby się ukryć, kapitanie.

Eric zachował opanowany wyraz twarzy, ponieważ taki manewr wroga również go nie zaskoczył.

– Przyjąłem. Czy bandyta numer jeden wciąż jest widoczny?

– Tak, kapitanie. On też zwolnił, ale możemy go śledzić – zapewniła Winger.

Eric zaśmiał się cicho.

– A zatem to gra, czyż nie?

– Na to wygląda – przytaknął Roberts. – Zaczynam myśleć, że powinniśmy czuć się urażeni.

– To zależy, czy nie przygotowują podwójnej pułapki. – Eric wzruszył ramionami. – Pytanie tylko, czy i tak zdejmiemy bandytę numer jeden? To prawie wstyd pozwolić, żeby taki łatwy cel nam się wymknął.

– Ma pan sposób na powstrzymanie trójki i czwórki, żeby nas nie zaatakowały, gdy skupimy się na jedynce? – zapytał Roberts. – Ponieważ wie pan, że tych dwóch będzie oskrzydlać numer jeden, chociaż chcą nas przekonać, że podkradają się z innej strony.

– Racja – przyznał Eric. – Możemy wykonać dosłownie strzał w ciemno.

– Czym? Bandyci zauważą torpedy, gdy będą się zbliżały, a naszych laserów nie można dostosować do tak dalekiego zasięgu – zauważył Roberts. – Jak rozumiem, chce pan utrzymać działa T w sekrecie, więc pozostają nam tylko pociski rakietowe.

– Właśnie.

– Sir – stwierdził oschle Roberts – to tylko marnowanie amunicji.

– Nie, jeżeli wrogowie próbują udawać niezdarnych i głupich – odparł Eric, kończąc obliczenia. – Proszę sprawdzić te równania. Strasznie się motam, gdy muszę obliczyć trajektorię i próbuję wykorzystać efekty relatywistyczne.

Roberts zmarszczył brwi, ale przebiegł wzrokiem po liczbach i dodał kilka drobnych poprawek.

– Naprawdę uważa pan, że będą się trzymać tego kursu?

– Owszem. – W głosie Erica zabrzmiało całkowite przekonanie. – Wyraźnie nauczyli się nas szanować, ale nadal nas nie doceniają.

– Byłoby dobrze, gdyby udało się utrzymać ten stan rzeczy – mruknął Roberts ironicznie.

Eric ponownie wzruszył ramionami.

– Jeżeli potrafi pan wymyślić sposób, żebyśmy dla Drasinów wyglądali na głupich, i uniknąć odstrzelenia nam okrętu, słucham.

Roberts niechętnie przyznał dowódcy rację. Chociaż byłoby miło, gdyby wróg traktował ich niezmiennie jak kretynów, jednak istniała granica, za którą takie udawanie stanowiło po prostu głupotę. I była to granica, której Roberts wolałby nigdy nie przekroczyć.

– Namiary na cel wysłane do pańskiego stanowiska, Waters. – Eric skinął głową oficerowi taktycznemu. – Przygotować salwę pocisków przeciw okrętom i wystrzelić.

Waters zamrugał, zerknął na kapitana trochę niepewnie, ale potwierdził przyjęcie rozkazu i zaczął wprowadzać obliczenia do swojego komputera. Zaraz potem oznajmił:

– Pociski gotowe, wystrzał za trzy… dwa… jeden.

„Odyseja” zadrżała lekko, gdy magnetyczne wyrzutnie wypuściły wielotonowe kinetyczne pociski, zabójczą broń w przestrzeni. Zamontowane na niej MP włączyły się wraz z silnikiem rakietowym. Pociski mignęły na sensorach „Odysei”, a potem zniknęły, gdy rozpędziły się do pełnej prędkości.

– Ster, lepiej zmieńmy kurs – rzekł Eric z zadowoleniem. – Wracajmy na płaszczyznę ekliptyczną.

– Tak jest, sir. Zmiana kursu.

Eric sprawdził czas na swoim ekranie, po czym przeprowadził jeszcze kilka obliczeń. Jeszcze trzy minuty i okaże się, czy miał rację.

***

Szybkobieżne pociski były po prostu kawałkami metalu wyposażonymi w potężne, lecz działające krótko generatory MP i równie mocne silniki rakietowe. Przez zakrzywianie czasoprzestrzeni wokół masy metalu możliwe było odłączenie jej nieco od miejscowego pola Higgsa i tym samym nieznaczne zredukowanie jej ogólnej masy pozornej.

Gdy silniki się włączyły, rozpędzały coś równie dla nich lekkiego jak piórko, biorąc pod uwagę ich moc, i osiągały prędkości uważane powszechnie za niemożliwe w relatywistycznym wszechświecie. Nadal jednak zachowywały część masy, dlatego nie mogły przekroczyć prędkości światła.

Jednak pomimo tych ograniczeń nawet obiekty o bardzo niewielkiej masie, lecz poruszające się z prędkością procentowo dość bliską światłu, mogły stanowić zagrożenie dla ciężkich jednostek.

Tak wyglądała sytuacja, zanim do użytku wprowadzono dwa ostatnie modele pocisków szybkobieżnych.

W tych nowych czujnik z przodu śledził obiekt. Przy rozwijanej przez pocisk prędkości żaden komputer nie mógł podjąć decyzji przed zderzeniem, więc bezpiecznik był podłączony do systemu pokładowego. Kiedy w zasięgu krytycznym wykryta została masa, bezpiecznik włączał ostatnie dwa systemy.

Po odblokowaniu samonaprowadzania pokładowy generator MP wybuchał i tym samym odwracał efekty swojego działania. Zamiast odłączać metalowy pocisk od miejscowego pola Higgsa, wciskał go tam głębiej, przez co pojawiało się wielokrotnie więcej bozonów wciągniętych w metal.

Naturalnym albo raczej nienaturalnym skutkiem tego procesu był nagły wielokrotny wzrost efektywnej masy pocisku bez najmniejszego wpływu na jego prędkość.

Równanie, które rządziło podczas zderzenia pocisku z celem, należało do najprostszych:

$E = mc^2$

Kilka ton metalu o masie wielokrotnie większej niż normalnie i zwielokrotnionej przez kwadrat prędkości światła potrafiło wyzwolić piekielny ogrom energii.

***

– Jasna cholera – zaklął Roberts cicho, ale nie dość cicho, żeby nie został usłyszany.

Rozbłysk wywołany zderzeniem spowodował natychmiastowe przyćmienie ekranów, gdy czujniki „Odysei" automatycznie włączyły zabezpieczenia przed przepaleniem. Jednak nawet z włączonymi filtrami wydawało się, że wszechświat eksplodował załodze okrętu w twarz, a przecież rozbłysk zdarzył się w odległości kilku minut świetlnych.

– Skurwiele. – Roberts wyraźnie miał problem z tym, co zobaczył. – Nie do wiary, że do końca trzymali się kursu.

– Sądzili, że nas zwodzą – wyjaśnił Eric z przebiegłym uśmieszkiem. – Udawali niezdarnych i głupich.

– Nikt nie jest tak niezdarny albo głupi.

– Subtelność nie jest ich najmocniejszą stroną, jak sądzę – rzucił Eric konwersacyjnym tonem. – Chociaż wydaje się, że potrafią się uczyć.

– Kapitanie – przerwała rozmowę Winger – rozbłysk oświetlił bandytę numer dwa i trzy. Zdaje się, że zawróciły i oskrzydlały bandytę numer jeden.

Eric uśmiechnął się rozbawiony.

– Och, niech pan przestanie się tak cieszyć – warknął pierwszy oficer. – Drasinowie może nie należą do najmądrzejszych, ale za to jest ich od groma i trochę, a wie pan, co się mówiło o Rosjanach podczas zimnej wojny.

To rzeczywiście odebrało Ericowi radość, jakby wylano na niego kubeł zimnej wody.

– Tak, wiem. Ilość kontra jakość, ale ilość jest jakością sama w sobie – zacytował Eric. – Znam sytuację, pierwszy. Ale niech mi będzie wolno się cieszyć z drobnych zwycięstw, dobrze?

Roberts przewrócił oczami, ale wiedział, że teraz lepiej się nie odzywać. Komandor miał świadomość, że jego zwierzchnika cieszy taktyczny aspekt dowodzenia okrętem bardziej, niż to było zdaniem Robertsa rozsądne. Jednak pod wieloma względami miało to sens. Eric Weston był utalentowanym taktycznie dowódcą i równie dobrym przywódcą. Jeżeli chodzi o talent strategiczny, kapitan bił Robertsa na głowę.

Komandor podejrzewał, że te zdolności czyniły kiedyś z Erica Westona wspaniałego pilota i dowódcę eskadry. W większości przypadków Roberts cieszył się z tego i był zadowolony, że może służyć pod takim człowiekiem oraz się od niego uczyć. W pozostałych przypadkach… cóż, miał nadzieję, że jeśli Konfederacja zdoła wybudować dość okrętów, aby nazwać je flotą, postawi na ich czele ludzi, którzy mają prawdziwe wyczucie strategiczne.

– Są szanse, że eksplozja uszkodziła eskortę? – zapytał Eric.

– Nic z tego, kapitanie. Rozpoczęli manewry oddalające ich z kursu na wybuch – odparł Waters.

– Nic zaskakującego. Liczyłem na dodatkowe skutki, ale zbyt wiele nie oczekiwałem – przyznał Eric. – Jakieś oznaki, że wiedzą, gdzie jesteśmy?

– Nie, sir. Odczyty wskazują raczej, że to standardowe manewry unikowe.

– Dobrze. Namierzyć bandytę numer dwa i dostosować kurs na zbliżenie.

– Tak jest, sir – Daniels i Waters odpowiedzieli nierównym chórem.

– Jeden z głowy, zostały jeszcze trzy.

ROZDZIAŁ 14

Sala narad dowództwa
Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

Admirał Gracen wbiła spojrzenie w ekrany. Twarz zastygła jej w kamienną maskę, gdy kobieta obserwowała rozwój wydarzeń po zewnętrznej stronie Układu Słonecznego.

„Odyseja” się ukryła, co jak na złość wyciszało również jej transponder, więc dowództwo mogło tylko zgadywać położenie okrętu. Wystrzelenie szybkobieżnych pocisków rakietowych na chwilę zdradziło, gdzie jest jednostka – ukazała się jako cień na tle eksplozji i jej sylwetka była wyraźnie widoczna nawet na prostych skanerach – jednak skoro wielki okręt pojawił się tylko na krótko, istniała nadzieja, że równie słabo wykrywalny jest dla wroga.

Nie budziło to jednak zadowolenia dowództwa, zwłaszcza że większość jego członków dorobiła się swoich szarż, nadzorując bitwy z pomieszczeń podobnych do tego, w którym znajdowali się teraz, a tu nagle zostali poinformowani, że zwykły kapitan przejmuje dowództwo nad sytuacją.

Jednak niewiele z tym mogli zrobić, skoro nie mieli jak nadzorować starcia sami. Do czasu, gdy rozkazy z dowództwa dotarłyby do „Odysei”, sytuacja na polu bitwy uległaby całkowitej zmianie.

– Skąd ten chłopak wie, że może trafić wroga z takiej odległości?

Gracen prychnęła na to pytanie, ledwie zerknąwszy na trzygwiazdkowego generała, który się odezwał.

– Nie miał pojęcia. To był strzał w ciemno.

Kilka par oczu zwróciło się na nią i admirał westchnęła w duchu. Powinna była trzymać język za zębami. Ale skoro tak się nie stało, postanowiła wyjaśnić dokładniej:

– Przeciwnik wabił go w pułapkę, generale. Weston uznał, że zapewne wróg nie oddalił się za bardzo od przynęty w obawie przed utratą zdobyczy. Dlatego strzelił na oślep i jak widać, opłaciło się – powiedziała. – Wiele można powiedzieć o Ericu Westonie, ale zawsze był cudownym dzieckiem, jeżeli chodzi o strategię. Ten człowiek potrafi odczytać intencje wroga z najmniejszych skrawków informacji i gotów jest zaryzykować, gdy sytuacja wydaje się sprzyjająca.

– Co teraz zrobi Weston pani zdaniem? – zapytał nieco szorstko generał.

– Prawdopodobnie wybrał już kolejny cel i zmniejsza dystans – odparła admirał Gracen. – Nie ma szans na okazję do kolejnego takiego strzału, więc musi podejść na bliższy zasięg, żeby zadać kolejny cios.

– Powinien namierzyć wroga i zestrzelić – warknął admirał Sandecker. – Tak bliskie podejście to duże ryzyko. Działa tranzycyjne mogłyby zdjąć bez trudu wszystkie cztery jednostki bez wystawiania „Odysei” na niebezpieczeństwo.

– To prawda, admirale. – Gracen skinęła głową. – I szczerze mówiąc, całkowicie się z panem zgadzam. Ale kapitan Weston lepiej od nas zna wroga. Skoro uważa, że powinniśmy zatrzymać działa w rezerwie, posłuchamy go.

– To nam nie pomoże, jeśli stracimy „Odyseję”, admirał Gracen – zaoponował Sandecker. – Na tym okręcie znajduje się dwie trzecie naszych dział tranzycyjnych. Jedynych dział tranzycyjnych. Jeżeli „Odyseja” przegra, pociągnie za sobą całą Ziemię.

– Wiem. I kapitan Weston również to wie – zauważyła Gracen. – Jak dotąd udało mu się zdjąć jedną czwartą sił wroga bez wystawiania się na ostrzał. Proszę dać chłopakowi szansę.

– Żałuję tylko, że nie unowocześniliśmy „Enterprise” przed „Odyseją” – skrzywił się Sandecker. – Weston jest stanowczo zbyt samowolny.

Admirał Gracen znowu westchnęła cicho. Nie podobały się jej negatywne opinie wyrażane o jednym z jej kapitanów na tym zgromadzeniu, zwłaszcza że chodziło o tego, który teraz walczył za nich wszystkich. Ale przecież, szczerze mówiąc, sama czasami myślała podobnie. Wybór Erica Westona na kapitana „Odysei” zawsze budził kontrowersje i gdyby wcześniej było wiadomo, jak istotne okaże się to stanowisko, z pewnością dawny dowódca eskadry Archaniołów nigdy by nie otrzymał tego przydziału.

Jednak, na dobre czy na złe, Eric Weston dostał „Odyseję”.

„Nie waż się tego zepsuć, Ericu. Nikt z nas nie może sobie na to pozwolić”.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Bandyta numer dwa wchodzi w nasz zasięg, sir.

– Dziękuję, panie Waters. – Eric zerknął w lewo, gdy odpowiadał. – Jakieś ślady pozostałych naszych towarzyszy gry?

– Odebraliśmy słabe odczyty około dwudziestu sekund świetlnych za numerem drugim – zameldowała Winger. – Nie mogę przysiąc, ale to chyba bandyta numer cztery.

– A trójka?

– Żadnego śladu, przykro mi, kapitanie.

– Proszę sprawdzać odczyty, ale trzeba się przygotować, że straci pani żagle. Będziemy musieli tym razem podejść bliżej, niżbym sobie życzył.

– Tak jest, kapitanie, wszystko przygotowane. Żagle zostaną schowane, gdy tylko pan wystrzeli w bandytę numer dwa.

– Dobrze. Tak trzymać.

Żagle „Odysei” stanowiły istotny element systemu wykrywania i namierzania, szczególnie w sytuacjach, gdy poza

nimi dostępne były tylko dane ze skanerów pasywnych. Zarazem stanowiły jednak element bardzo kruchy. Wykonane niemal w całości z materiału pokrytego powłoką adaptacyjną, aby lepiej wychwytywać emisje energii, mogły zostać rozdarte nawet przez coś tak małego jak mikrometeor.

Z pewnością manewry na dużych prędkościach, wymagane podczas walki w przestrzeni kosmicznej, dostarczały dość okazji do rozdarcia cennych żagli, więc złożenie ich przed rozpoczęciem bitwy było dobrym posunięciem.

Oczywiście zwinięcie żagli oznaczało również pozbawienie „Odysei" odczytów obrazów otoczenia, ale do tego właśnie szkolona była Winger.

– Namierzyć bandytę numer dwa. Przygotować dla mnie kursy o średnim rozproszeniu torped impulsowych – rozkazał Eric. – Wszyscy pozostali obserwować odczyty i dać znak, nawet jeżeli będzie się komuś tylko wydawało, że dostrzegł bandytę numer trzy.

Na mostku rozległy się potwierdzenia, podczas gdy kapitan już rozważał kolejny ruch. Nie martwił się jednak tym, co zrobi. Najbardziej obawiał się tego, co w odpowiedzi uczyni przeciwnik. Zamiary kapitana były oczywiste – zdjąć bandytę numer dwa. Proste, oczywiste i dość łatwe do realizacji, biorąc pod uwagę doświadczenie w starciach z Drasinami, jakiego nabyła „Odyseja".

Nadal jednak pozostawały dwa niszczyciele, które tylko czekały na okazję do ataku. Eric nie sądził, że to uczynią po spektakularnej eksplozji bandyty numer jeden, którego rozbłysk mógł ujawnić położenie pozostałych jednostek Drasinów na ekranach taktycznych. Nawet przy normalnym poziomie promieniowania ekran coś by odbił.

– Słaby namiar na bandytę numer dwa – zameldował Waters po paru sekundach. – Trzydzieści trzy procent prawdopodobieństwa, że to nasz cel.

– Strzelać, gdy tylko znajdzie się w zasięgu.

– Tak jest, kapitanie, ostrzał, gdy cel będzie w zasięgu.

„Odyseja” szła nadal właściwie kursem balistycznym. Potrzebowała osiemdziesięciu trzech sekund, żeby wycelować wyrzutnie we wroga i wypuścić torpedy impulsowe. Pociski z antymaterią oddalały się od „Odysei” z rosnącą prędkością, ich podobne ładunki elektryczne i magnetyczne sprawiały, że odsuwały się od siebie i rozciągały szyk, gdy przecinały przestrzeń między macierzystym okrętem a celem.

Naładowane cząstki, nawet te najmniejsze, jak atomy antydeuteru, miały masę, więc nie mogły przekroczyć prędkości światła jak tachiony. Jednak masa ta była skrajnie niska, jak na standardy magnetycznych akceleratorów okrętu, więc mogła zostać rozpędzona do prędkości bliskiej światłu. Niestety, nie chroniło to pocisków całkowicie przed wykryciem, ale w krótkim i średnim zasięgu ich dostrzeżenie wymagało bardzo dokładnych obserwacji oraz szybko reagujących na wskazania skanera techników.

Drasinowie jak na złość okazali się zarówno dobrymi obserwatorami oraz wykazali błyskawiczną reakcję. Dron oznakowany przez „Odyseję” jako bandyta numer dwa z sześciosekundowym wyprzedzeniem wiedział o zagrożeniu zniszczeniem przez antymaterię w pociskach i zareagował w sposób, który sprawdził się w przeszłości.

Ciasna eskadra myśliwców uformowała zasłonę przed jednostką wroga. Zasłona ruszyła naprzód i dwie pierwsze torpedy uderzyły w nią z dziką mocą. Anihilacja rozdarła myśliwce na strzępy i uwolniła energię rozprzestrzeniającą się falami, które zniszczyły resztki po uszkodzonych maszynach.

Dwie kolejne torpedy impulsowe przedarły się przez wyrwę w zasłonie i uderzyły w bandytę numer dwa, podczas gdy trzy następne rozproszyły się i chybiły całkowicie. Niekontrolowanie wirowały po spirali, pchane ładunkami materii wokół nich, aż wreszcie zdołały przypadkowo uderzyć w jeden z okrętów, który flankował bandytę dwa.

Smugi plazmy wybuchły z trafionej jednostki i ujawniły położenie w przestrzeni okrętów oznakowanych przez „Odyseję” jako bandyta numer dwa i cztery.

Na mostku „Odysei” wydarzenie zostało zarejestrowane dopiero po prawie trzydziestu sekundach. Krótki okrzyk satysfakcji poniósł się echem po pomieszczeniu, paru młodszych oficerów zachowało się nawet głośniej, niż należało, ale nawet Eric i Roberts wyszczerzyli zęby i unieśli triumfalnie pięści, choć w milczeniu i starannie ukryci za swoimi stanowiskami.

– Namierzyć ich. Posłać pociski szybkobieżne, poruczniku – rozkazał Eric.

– Tak jest, kapitanie. Cele namierzone.

– Ostrzał, krótkie salwy.

„Odyseja” wyszła na prostą, gdy wymierzała uzbrojenie w cel, a magnetyczne akceleratory zaczęły pulsować przy ostrzale krótkimi seriami. Wielotonowe odłamki stali znikały po oddaleniu się od okrętu i przyśpieszeniu do najwyższej możliwej prędkości relatywistycznej, aby dotrzeć do celu.

– Kapitanie, myślę, że mam przebłysk bandyty trzy! – Winger odwróciła się od konsoli. – Zbliża się szybko na naszej dziewiątej z dołu!

– Manewr unikowy!

„Odyseja” skręciła w przestrzeni zgodnie z programem uruchomionym pośpiesznie przez komandora porucznika Danielsa. Wektorowy odrzut pchnął ją w chaotyczną serię skrętów i pętli, co zmusiło ludzi do przytrzymywania się foteli, pomimo działania potężnych generatorów masy przeciwnej.

– Podeszli blisko – zawołała Winger. – Myślę, że mogli nas wykryć.

– Ustawić pancerz na najwyższe odbijanie! – rozkazał Eric. Uznał, że czas ukrywania się już minął. – Włączyć wszystkie systemy, pełna moc bojowa.

– Tak jest, sir. Pełna moc bojowa.

Pracujące na „biegu jałowym” i solidnie izolowane urządzenia „Odysei” zbudziły się do życia w rozbłysku, który choć słaby według standardów Drasinów lub Priminae, był wystarczający do rozświetlenia ciemności wokół ziemskiego okrętu. Systemy radarów i lidarów zaczęły działać z pełną

mocą, pompując gigawaty energii w przestrzeń, podczas gdy uśpiony dotąd reaktor zbudził się gwałtownie. Energia przepływała do kondensatorów, aby uzupełnić to, co zostało zużyte podczas starcia.

– Mam ich! Szlag, są blisko! – zaklęła Winger.

– Wysłać dane do taktyki – warknął Eric.

– Już przesłane.

– Mam – zameldował Waters. – Nie żartowała. Jak im się udało podejść tak blisko, Michelle? Zwykle masz sokoli wzrok.

– No wybacz, że nieco mi przeszkodziły dość duże eksplozje – odwarknęła Winger.

– Spokój, dzieci – napomniał ich Eric. – Mamy teraz na głowie ważniejsze sprawy.

– Przepraszam, sir.

– Przepraszam – powtórzył Waters za Winger. – Zdaje się, że wróg ruszył do ataku. Przygotować się na trafienie laserem.

– Cała załoga w gotowości, rozpocząć namierzanie atakującego – rozkazał Eric. – I jak, Michelle? Zaktualizowałaś namiar na bandytę dwa i cztery?

– Załatwione, kapitanie. Czyste trafienie pociskami szybkobieżnymi – odpowiedziała porucznik. – Obie jednostki uszkodzone. Nie zdołają nas zaatakować.

– To właśnie chciałem usłyszeć…

– Rozbłysk lasera! – przerwała mu Winger. – Chybienie o włos, kapitanie.

– Wyłapałaś częstotliwość?

– Musi pan pytać? – mruknęła pod nosem, ale zaraz dodała głośniej: – Posłana na stanowisko taktyczne.

– Program dla pancerza zakodowany, kapitanie – zameldował Waters.

– Proszę włączyć – odparł Eric z lekkim uśmiechem, po czym odwrócił się do Robertsa. – Zaczynam czuć się tutaj zbędny, zupełnie jakby nas nikt nie potrzebował.

– Proszę mówić za siebie, kapitanie – odparł pierwszy, obróciwszy swój monitor tak, aby Eric mógł widzieć płynący nieprzerwanie strumień danych, które pierwszy musiał

filtrować dla odpowiednich sekcji okrętu, aby wszystko mogło dobrze funkcjonować.

Eric powstrzymał chęć trzepnięcia pierwszego oficera i westchnął.

– Czyli jestem osamotniony.

– To świadczy, że kapitan jest dobry – zauważył z rozbawieniem Roberts. – Okręt leci bez jego nadzoru.

– Bandyta numer trzy koryguje kurs, kapitanie.

– Obrócić nas do pozycji do ataku, komandorze poruczniku – rozkazał Eric Danielsowi. – Poruczniku Waters, rozgrzać główne działa.

– Tak jest, kapitanie.

„Odyseja” zwróciła się powoli dziobem do nadlatującego niszczyciela Drasinów, przednie lasery rozjarzyły się lekko, gromadząc energię. Oba okręty pędziły na siebie, gdy otworzyły ogień.

Dwa promienie energii skrzyżowały się w przestrzeni, jeden dosłownie tysiąckrotnie silniejszy od drugiego, i uderzyły w cele niemal w tym samym momencie. Ogromna moc głównego lasera Drasinów rozprysła się odbita na adaptacyjnej powłoce „Odysei”, a kilka mikronów osłony uległo ablacji.

Laser „Odysei” nawet nie rozgrzał kadłuba, którego dotknął, ale odbił energię w kierunku, skąd został wysłany. Komputery i czujniki okrętu ludzi dokładnie zarejestrowały częstotliwość odbitego światła i dostosowały laser o zmiennej częstotliwości na jak najlepszą absorpcję w oparciu o strukturę pancerza Drasinów.

Dopiero wtedy „Odyseja” podkręciła moc.

Niskotemperaturowy laser do namierzania i analiz został zastąpiony multiterawatowym promieniem, dostosowanym do pancerza, w jaki uderzał. Cztery metry kwadratowe kadłuba jednostki wroga wyparowały w okamgnieniu, a wtedy laser „Odysei” uderzył z pełną mocą.

Na mostku okrętu Konfederacji Erica ogarnęła satysfakcja, gdy obserwował gwałtowną sublimację pancerza wroga. Laser, choć nie tak potężny, jak ten drasiński, został dostrojony do

tego, co miał niszczyć, i to właśnie wykonał. Materia kadłuba, pancerz oraz wszystko inne zmieniało się od razu w gazową plazmę.

W rezultacie nastąpiła potężna i niszcząca cel eksplozja, gdy materia trafionego okrętu zwróciła się przeciwko niemu dzięki efektowi superrozgrzania, wywołanemu przez dostrojony laser.

Po kilku sekundach starcie dobiegło końca, chociaż „Odyseja" musiała porzucić maskowanie.

– Zbliża się osłona myśliwców, kapitanie!

Eric oderwał oczy od resztek okrętu Drasinów i spojrzał na nowy czerwony znaczek na ekranach.

Pewnie to myśliwce z pozostałych zniszczonych jednostek. W normalnych warunkach byłyby przez to bardziej niebezpieczne, ale Drasinowie wcale nie dbają o przetrwanie, po prostu idą ustalonym wcześniej kursem.

– Pełna aktywność, uruchomić stanowiska obrony przeciwlotniczej. Ostrzał ze skrzydła.

– Nie powinniśmy wypuścić Archaniołów, sir? – zapytał cicho Roberts.

– Nie. – Eric pokręcił głową. – Poradzimy sobie bez nich, obrona przeciwlotnicza wystarczy, o ile nie przeszkodzą nam inne niszczyciele. Już wkrótce Archanioły będą nam bardziej potrzebne.

– Tak jest, sir.

– Obrona przeciwlotnicza, rozpocząć ostrzał.

Pierwsze z myśliwców, zapewne, jak przypuszczał Eric, w misji samobójczej, weszły w granice dalekiego zasięgu i zostały trafione przez lasery i falangę pocisków. Eric nie mógł usłyszeć ryku wystrzałów, lecz wiedział, że byłby to potężny odgłos w atmosferze, gdzie dźwięk może się rozchodzić, w przeciwieństwie do rozrzedzonego środowiska próżni. Na ekranach czerwone ikony myśliwców znikały jedna po drugiej, gdy broń je namierzała i likwidowała.

A ponieważ „Odyseja" mogła manewrować szybko, aby pozostać poza zasięgiem przeciwnika, nie była to właściwie walka, lecz masakra.

Niszczyciel imperialny „Heros”

Najbardziej irytująca podczas poruszania się w kosmosie, zwłaszcza w warunkach walki, była w opinii Ivantha koszmarnie niska prędkość, z jaką podróżowało światło. Fotonom pokonanie dystansu, z jakim miało się do czynienia w skali przestrzeni, zajmowało tyle czasu, że mogło to doprowadzić człowieka do obłędu, chociaż przez wieki postrzegał światło jako najszybsze we wszechświecie.

Na ekranach Ivanth obserwował, jak wrogi okręt po prostu anihiluje kolejne cztery jednostki dronów z łatwością, która budziła dreszcze.

„Niemożliwe. Nawet niszczyciele imperialne miałyby trudności z pokonaniem okrętów drasińskich w starciu cztery na jednego. Dlaczego wcześniej nie słyszeliśmy nawet wzmianki o tych ludziach? Nie mogli przecież pojawić się znikąd. Ktoś musi mieć o nich więcej informacji”.

Nadal rozważał ten paradoks, gdy za plecami usłyszał zaniepokojone wezwanie. Zirytowany obejrzał się przez ramię.

– Coś nie w porządku? – warknął.

– Okręty dronów, komendancie! Odmawiają wykonania rozkazów!

– Co? – Ivanth odwrócił się i ruszył szybko do stanowiska. – Musiałeś zrobić coś źle.

– Nie, komendancie, przysięgam. Postępowałem co do joty zgodnie z procedurami – wyjąkał wyraźnie przerażony mężczyzna. – Drony zaczęły zachowywać się dziwnie całkiem niedawno. A teraz lekceważą wszystkie sygnały, jakie do nich wysyłamy.

– To niemożliwe. – Ivanth zacisnął zęby. – Sprawdziłem osobiście blokady odruchów. Są nie do złamania.

Młody mężczyzna, bez wątpienia okazując mądrość wykraczającą ponad jego wiek, nie skomentował tego oświadczenia. Ivanth jednakże nie zwróciłby na podwładnego

uwagi, nawet gdyby ten się odezwał. Odepchnął technika i zaczął gorączkowo sprawdzać system.

– To nie ma sensu. Nic nie działa – warknął, zerkając to na wyświetlacz, który nadal działał bez zarzutu, to na ekran pokazujący pozycję okrętów Drasinów. – Przynajmniej nie próbują atakować nas ani „Nieśmiertelnego”.

– T-tak, komendancie.

Ivanth zignorował jąkającego się podwładnego i skupił się na sytuacji. Wynikało z niej tylko tyle dobrego, że drony kierowały się tam, gdzie zamierzał je posłać. Jednak to, że czyniły tak BEZ ROZKAZÓW, budziło o wiele większe przerażenie niż wszystko, do czego zdolny był ten przeklęty okręt wroga.

– Połączyć z „Nieśmiertelnym” – wycedził Ivanth, gdy wyprostował się nad konsolą. – Nakazać, żeby się wycofał. My też tak zrobimy. Lepiej, żeby drony nie zwróciły się przeciwko nam.

– Tak jest, komendancie.

Bez wątpienia ten rozkaz zostanie wykonany z pośpiechem i nieskrywanym entuzjazmem. Nikt w Imperium, zwłaszcza ci, którzy przydzieleni zostali do kontroli nad tymi bestiami, wolał nie przebywać w pobliżu żadnego Drasina, o ile ten nie był w pełni opanowany.

Ivanth rzucił ostatnie spojrzenie na system, zmarszczył brwi na widok jasno podświetlonej jednostki, która pozbywała się kolejno myśliwców ze zniszczonych wcześniej niszczycieli dronów. Wątpił jednak, czy nieznany okręt długo sprosta pozostałej flocie Drasinów. Przecież składała się z niemal trzydziestu okrętów.

Cztery do jednego to jedna sprawa, ale trzydzieści na jednego?

To zupełnie, ale to zupełnie innego.

„Wolałbym przeprowadzić bardziej przemyślany atak, ale jest coś przerażającego w czystej brutalnej sile. Wycofamy się i spróbujemy odzyskać kontrolę nad tymi przeklętymi dronami, kiedy walka dobiegnie końca”.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Sygnały nadświetlne przed nami, kapitan Kian. Są silne.

Kian zerknęła na ekrany, skupiła uwagę na wskazanych punktach. Raport z pewnością nie był przesadzony. Ktokolwiek tam dowodził, chyba porzucił wszelkie subtelności i ukrywanie się na rzecz bezpośredniego ataku.

Liczne wyraźne sygnały napędu wskazywały, że mnóstwo jednostek ruszyło prosto do układu planetarnego Terran.

„Och, Stwórco. Atakuje ich rój…”

Tej taktyki nie obserwowano od pojawienia się Drasinów w ostatnich czasach, ale dawne mity opisywały ją dość dokładnie. Wiele okrętów zbierało się w jednym miejscu i rzucało na cel jak wściekła chmara owadów na zdobycz.

Coś w układzie gwiezdnym Terran je wzburzyło, ale Kian zastanawiała się również, skąd tutaj się wzięło tylu przeklętych Drasinów?

– Kapitan Kian, wychwyciliśmy słabsze sygnały, które oddalają się od systemu gwiezdnego.

Kian syknęła.

– Pokaż mi.

– Tylko echo, kapitan Kian. Proszę spojrzeć tutaj…

Kian przyjrzała się danym na ekranie, jednak wynikało z nich niewiele więcej niż to, co już zameldowano – że to tylko słabe echo.

„Możliwe, że okręt, nawet dwa, albo i nie”.

Raz jeszcze spojrzała na ekrany, zawahała się, ale zaraz opanowała.

– Niech to osobliwość pożre – zaklęła. – Wyznaczyć kurs do układu planetarnego Terran, pełna prędkość!

– Pełna prędkość, tak jest!

„Podchody będą musiały zaczekać. Jesteśmy winni Terranom parę interwencji z naszej strony”.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Cholera!

– O co chodzi, Michelle? – zapytał Eric, nie spuszczając oczu z ekranów, gdy okręt wyszukiwał myśliwce, które mogły wymknąć się spod ostrzału.

– Zbliżające się sygnały fal czołowych – odparła natychmiast. – Wiele, kapitanie. Mamy spore towarzystwo, które wcale się nie kryje ze swoim przybyciem.

Eric przeniósł uwagę na nowe dane z pośpiechem, jaki rezerwował wyłącznie dla wyjątkowo złych wieści, przyjrzał się odczytom ze zmarszczonymi brwiami, po czym rozluźnił się, a nawet lekko uśmiechnął.

– Kapitanie? – zapytał niepewnie Roberts.

– Zdaje się, że to reszta pogoni za „Weifangiem” – stwierdził spokojnie Eric. – Nie wyglądają na uszczęśliwionych naszym widokiem.

– Ciekawe dlaczego – mruknął ironicznie Roberts.

– Kapitanie – wtrącił Waters – pancerz gotowy do uruchomienia maskowania…

– Nie – powstrzymał go Eric. – Nie wydaje mi się. Czas na pokaz, jak sądzę.

Podszedł do stanowiska Watersa i sięgnął nad ramieniem młodszego oficera, żeby wpisać parę poleceń. Kiedy skończył, cofnął się bez pośpiechu.

– Proszę zastosować te obliczenia do pancerza, panie Waters.

– Uch… Tak jest, sir. – Waters był zmieszany, ale nawet do głowy mu nie przyszło, żeby kwestionować rozkaz.

Nowe obliczenia zostały wpisane do komputera i chromato-zmienne poszycie kadłuba „Odysei” włączyło się natychmiast. W kilka sekund nieco wyblakłe barwy marynarki zostały zastąpione oślepiającą bielą i lustrzanymi powierzchniami, a zewnętrzne oświetlenie rozbłysło pełną mocą.

– Przygotować się do nadania wiadomości na pełnym paśmie – rozkazał Eric. – Wszystkie kanały, wszystkie częstotliwości, ZWŁASZCZA kodowanie i tłumaczenie dla Priminae. Założę się, że ktokolwiek jest tam w kosmosie, złamał ich kody, i to pewnie już dawno temu.

– Tak jest, sir. Gotowość do transmisji.

Eric zaczerpnął powietrza, zastanowił się, co powiedzieć, po czym skinął głową.

– Tu terrański okręt międzygwiezdny „Odyseja". Naruszyliście suwerenne granice tego systemu planetarnego. To jedyne ostrzeżenie. Jeżeli nadal będziecie wdzierać się w nasze terytorium, napotkacie zbrojny opór. Mówił kapitan Eric Stanton Weston, dowódca „Odysei". Bez odbioru.

Wziął głęboki wdech, po czym kiwnął głową.

– Zakodować, przetłumaczyć i puścić w pętli.

– Tak jest, kapitanie.

Roberts podszedł bliżej.

– Terrański okręt? Konfederacji się to nie spodoba, sir.

– Z całym szacunkiem – wysyczał Eric cicho w odpowiedzi. – Pieprzyć Konfederację. Pora stanąć do walki razem albo przegrać osobno.

Roberts zachował kamienny wyraz twarzy, gdy wracał na swoje stanowisko. Nie był pewien, czy należało załatwiać sprawy właśnie w ten sposób, ale też ani trochę nie miał pewności, że to zła metoda.

Nieważne, co jeszcze się stanie, nieważne, co nadejdzie, było jasne, że okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej stanął do walki niczym rycerz w lśniącej zbroi, który wyzywa z otaczającego go mroku wszystko, co stanie mu na drodze.

ROZDZIAŁ 15

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Co za bezczelny, arogancki drań…

Admirał Gracen potarła nasadę nosa. Żałowała, że nie może cofnąć słów, które pomknęły w eter.

„Po prostu musiał nadać to na wszystkich pasmach. Dobry Boże. Każdy odbiornik radiowy w całym przeklętym Układzie Słonecznym odebrał ten komunikat, łącznie z cywilnymi”.

– Niewiele można z tym zrobić – stwierdziła ze znużeniem. – I tak zamierzaliśmy wezwać Chińczyków, skoro już doskonale wiedzą, co się dzieje. Równie dobrze możemy też wezwać ONZ, skoro do niego należymy.

– Naprawdę możemy sobie pozwolić na takie decyzje na tym etapie?

– Nie sądzę, żebyśmy mogli sobie pozwolić na niewzywanie wsparcia – zaoponowała Gracen. – Los tej bitwy nie spoczywa w naszych rękach. Pomijając działa tranzycyjne na Liberty, wszystko rozegra się pod dowództwem Westona i Carrowa. Tylko oni są naszymi siłami gwiezdnymi w całym Układzie Słonecznym.

Zmarszczyła brwi.

– Będą nam potrzebne zjednoczone siły międzynarodowe, jeżeli mamy stworzyć znaczącą siłę bojową. I doskonale to panom wiadomo – stwierdziła. – A przynajmniej musimy się upewnić, że Blok nie strzeli nam w plecy, gdy będziemy walczyć z Drasinami.

– Prezydent nie będzie zadowolony.

– Czy ktoś z nim rozmawiał po tym, jak została nadana transmisja z „Odysei”? – zapytała Gracen, czując zimny dreszcz na plecach. Zgromadzeni w sali rozejrzeli się przerażeni, gdy dotarło do nich, co się stało.

O cholera.

– Dobrze, porozmawiam z Ziemią i sprawdzę, co się dzieje w umysłach polityków – westchnęła admirał. – A tymczasem wydaje mi się, że powinniśmy przyjąć sugestię Westona i wprowadzić do walki okręty Bloku.

– Admirał Gracen, z całym szacunkiem, czy pani nie oszalała?

Admirał przeszyła swojego kolegę groźnym spojrzeniem.

– Wolałby pan, żeby Chińczycy nie fatygowali się nawet z powiadamianiem nas, że wystrzelili pociski? Jeżeli wydaje się panu, że Blok będzie siedzieć i czekać bezczynnie, to chyba właśnie pan oszalał.

W pomieszczeniu zapadła cisza, gdy wszyscy przetrawiali to stwierdzenie i szybko uświadamiali sobie, że Gracen ma rację, nawet jeżeli nikt nie chciał tego przyznać.

– My nie możemy tego załatwić – wiceadmirał wyraził obawy, które dręczyły również resztę. – Propozycja musi wyjść od władz cywilnych.

Gracen skrzywiła się, ale skinęła głową.

– Słusznie. Lepiej zatem, żebym jak najszybciej skontaktowała się z prezydentem, nieprawdaż? – zapytała retorycznie.

Nikt nie był na tyle głupi, żeby odpowiadać na to pytanie.

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”
Orbita Ziemi

– Jaki jest stan naszych napraw? – zapytał Sun ze znużeniem, nadal myśląc o transmisji Konfederacji.

– Uszkodzenia są oczywiście spore. Skończyliśmy z połową maszynowni, kapitanie.

– Większość tych systemów jest zastąpiona i zmultiplikowana, tak?

Dostrzegł w oczach oficerów wahanie, gdy potwierdzali, i szczerze mówiąc, wcale ich nie winił. Było jasne, o co Sun zamierza ich poprosić, i zdawał sobie sprawę, że oficerowie już się tego domyślili. Jasne również było dla wszystkich, że to misja samobójcza. Cóż innego jednak mógł zrobić?

To oni sprowadzili wroga na Ziemię. To była ich wina. Może to Konfederacja nastawiła obcych wrogo do ludzi, a może nie. Sun jednak w głębi duszy piastował przekonanie, że czymkolwiek okażą się te stwory, od początku były wrogo nastawione.

Zresztą nieważne, jak było. Nie miało to znaczenia.

Kapitan był osobiście odpowiedzialny za właśnie rozegraną bitwę, nie wspominając nawet o wojnie. Ten bałagan stanowił dzieło Suna, więc musiał sam zająć się sprzątaniem.

– Jaka jest nasza gotowość do walki?

– Brakuje jednej trzeciej pocisków – zameldował pierwszy oficer. – A jedno trafienie z laserów obcych zetrze nas z czasu i przestrzeni, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

Sun skrzywił się, ale potwierdził skinieniem głowy, że zrozumiał.

Siła rażenia broni obcych była monstrualna, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Jednak wiedzieli również, że obce okręty nie okazały się całkowicie nietykalne, a ich obronę można przełamać. Nuklearne pociski „Weifanga” jasno dowiodły swojej skuteczności, a Konfederacja dysponowała własnymi zabawkami, które dorównywały siłą uzbrojeniu przeciwnika.

Sun wziął głęboki oddech, popatrzył na swoich ludzi i skinął głową.

– Opuścimy orbitę za dziesięć minut.

– Kapitanie, nie mamy pozwolenia…

– Wyślę prośbę o pozwolenie – wtrącił pierwszy oficer „Weifanga” – ale to trochę potrwa.

– Dowództwo i tak nam odmówi – stwierdził Sun. – Jak powiedziałem, opuszczamy orbitę za dziesięć minut.

Spojrzał po zgromadzonych oficerach.

– Chyba że ktoś chciałby zaprotestować?

Jego ludzie popatrzyli na siebie, ale żaden się nie odezwał. Po ciągnącej się jak wieczność chwili Sun pokiwał głową.

– Dobrze. Zatem zajmijcie się przygotowaniem swoich sekcji. Mamy trochę do zrobienia.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Nie zwolnili ani trochę – zachichotał Eric, bo sytuacja, szczerze powiedziawszy, mocno go bawiła.

– Chyba nie spodziewał się pan, że to zrobią, prawda, sir? – Roberts uniósł brwi, co przypomniało Ericowi innego pierwszego oficera, którego nazwiska wolałby jednak przy obecnym nie wspominać w obawie przed reakcją Robertsa.

Jednak ta myśl rozbawiła go jeszcze bardziej i sprawiła, że uśmiechnął się szerzej, po czym pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Zresztą transmisja nie była skierowana do Drasinów.

– Racja, sir – zgodził się Roberts. – Myśli pan, że odebrali wiadomość?

Eric przytaknął.

– Założę się, że tak. Wiemy, że ta grupa ma nadzorców, którzy kryją się w pobliżu.

– Chociaż raz mam taką nadzieję, sir – westchnął Roberts. – Drasinowie nie rozmawiają, nie negocjują… nie można sobie z nimi poradzić inaczej niż tylko w walce. Mam nadzieję, że ten, kto ich trzyma na smyczy, jest zupełnie inny.

– Ja również – przyznał Eric w napięciu, nie spuszczając wzroku z ekranów.

Okręty Drasinów zwolniły, przestały zakrzywiać czasoprzestrzeń, gdy znalazły się w zasięgu oddziaływań

grawitacyjnych Słońca, po czym zaczęły głębiej wchodzić w granice systemu planetarnego. Oznaczało to, że „Odyseja” straciła namiary na zmierzające w jej kierunku dwadzieścia osiem niszczycieli wroga, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Było całkowicie jasne, dokąd zmierza ta flota, a Eric czuł cichą satysfakcję, że może zająć pozycję i powitać przybyszów osobiście.

„Lepiej, żeby szli na nas niż na Ziemię lub Marsa”.

Rozkazał, żeby „Odyseja” pokazała wrogom komplet dział tranzycyjnych i pozostałe uzbrojenie. Skoordynował już działania ze stacją Liberty w zbliżającej się bitwie, więc teraz pozostało jedynie strzelać.

Niech tylko wróg podejdzie trochę bliżej.

– „Enterprise” zbliża się do naszej pozycji – zameldowała Winger z drugiej strony mostka. – Przecięli orbitę Marsa i zmierzają tutaj.

Eric zerknął na schemat, gdzie pojawił się drugi okręt Konfederacji i wykres jego kursu.

– Mają dobre wyczucie czasu. Szkoda, że nie dostali nowych dział.

– A to w ogóle ma znaczenie?

Eric wzruszył ramionami.

– Przeciwko dwudziestu ośmiu wrogim okrętom? Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że wkrótce się przekonamy, nieprawdaż, komandorze?

– Nie ma wątpliwości, kapitanie.

Weston odwrócił się do stanowiska namierzania.

– Przygotować pojedynczy ping tachionowy, porucznik Winger.

– Tak jest, kapitanie, gotowość do pingu.

Stacja kosmiczna Liberty

Orbita Ziemi

– Admirał Gracen – odezwał się dowódca stacji, wchodząc w rozmowę, którą Gracen prowadziła przez radio z Ziemią. – Mamy odczyty, które wskazują, że „Weifang” uruchomił silniki.

Admirał zmarszczyła brwi, rozejrzała się, po czym spojrzała na swój terminal.

– Proszę wybaczyć, generale. Muszę coś sprawdzić.

Wyłączyła terminal i podeszła do oficera.

– Co się dzieje?

– Myślę, że „Weifang” postanowił wyruszyć do walki.

Gracen prychnęła z pogardą.

– Chyba pan żartuje. Ten okręt nie nadaje się do walki.

– Co go bynajmniej nie powstrzymuje, admirał Gracen.

– „Weifang” otrzymał pozwolenie na lot? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie. Poprosił o nie, ale nie otrzymał.

Gracen prychnęła nerwowo.

„Przeklęci uparci głupcy, którym powierzamy dowództwo nad naszymi okrętami. Zdaje się, że oni wszyscy są do siebie podobni”.

– No dobrze – stwierdziła. – Proszę mnie z nim połączyć.

– Pani admirał?

– To nie pora na wahania. Proszę mnie połączyć z „Weifangiem”.

– Tak jest.

Gracen pochyliła się nad konsolą, gdy tylko nawiązano łączność, i zaczęła mówić po mandaryńsku z lekkim obcym akcentem.

– Tu stacja kosmiczna Liberty do „Weifanga”, okrętu Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Mówi admirał Gracen. Proszę odpowiedzieć.

Usłyszała tylko ciszę przerywaną trzaskami kosmicznego promieniowania zakłócającego łączność. Gracen zmarszczyła brwi, zdenerwowana sytuacją. „Nie potrzebuję tego teraz”.

– Kapitanie Sun – warknęła do radia – pański rząd odmówił panu pozwolenia na lot. Pana okręt nie jest zdolny do walki, a co ważniejsze, jeżeli „Odyseja” i „Enterprise” poniosą porażkę,

tylko pan i ta stacja pozostaną do obrony planety. Proszę potwierdzić, że pan mnie słyszy.

Gracen czekała. Chciałaby stwierdzić, że czekała cierpliwie, ale byłoby to bezczelne kłamstwo. Ledwie mogła się powstrzymać od rozdrażnionego przytupywania, a trzaski zakłóceń, które słyszała, wydawały się głośniejsze niż zwykle.

Minęła wieczność, gdy wreszcie przez trzaski przebiły się starannie wymawiane angielskie słowa:

– To nasz obowiązek, admirał Gracen.

– Pańskim obowiązkiem – Gracen też wróciła do angielszczyzny – jest chronić pański naród i świat. Ta bitwa zakończy się, zanim pan dotrze w jej pobliże. Pański obowiązek jest tutaj, kapitanie. Pańskie ego nie ma znaczenia.

Powróciły trzaski zakłóceń, kiedy wszyscy na pokładzie wstrzymywali oddech i czekali na odpowiedź.

– Przekonała mnie pani. „Weifang" pozostanie na orbicie, admirał Gracen. Będziemy gotowi pomóc wam, gdy tylko zajdzie potrzeba.

Gracen odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję, kapitanie Sun. Siły Konfederacji również będą gotowe do walki.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja"

– Liberty sygnalizuje gotowość. Mają zielone światło dla naszego planu.

Eric prychnął. Tak jakby mieli do wyboru wiele możliwości. Równie dobrze mogli udzielić mu pozwolenia na oddychanie.

Sygnały wroga były teraz ograniczone prędkością światła, ale Eric i jego załoga dość dobrze domyślali się pozycji obcej floty. Właśnie mijała orbitę Plutona, czyli oficjalnie przekroczyła umowną granicę Układu Słonecznego, co znaczyło, że Drasinowie teraz zasłużyli na wszystko, co ich spotka.

– Wszystkie stanowiska, pełna gotowość. Pojedynczy ping.

– Tak jest, sir. Wszystkie stanowiska, gotowość do jednego pingu tachionowego.

„Musimy zrobić wrażenie na ukrytych obserwatorach. Choćby tylko po to, żeby zyskać na czasie”.

– Czas do odliczania? – zapytał cicho, bardziej z przyzwyczajenia niż z ciekawości.

– Dwie minuty trzydzieści cztery sekundy – poinformowała Winger.

Eric skinął głową w zamyśleniu, zaskoczony, że porucznik nie dodała jeszcze setnych sekundy. W tej misji bardzo dokładne odmierzanie czasu nie miało dużego znaczenia.

– Wprowadzić na schemat domyślną pozycję wroga za… – zerknął na ekran – dwie minuty dwadzieścia osiem sekund.

– Tak jest, sir. Na ekranie.

Schemat ukazał przebieg trajektorii wrogich jednostek, szacowany oczywiście. Opóźnienie wynosiło teraz prawie dziesięć minut, gdyż Drasinowie znajdowali się w odległości około dwóch jednostek astronomicznych od „Odysei”.

„Okręty Drasinów znajdą się w naszym zasięgu dosłownie za parę sekund”.

– „Enterprise” zgłasza pełną gotowość do udzielenia wsparcia, sir.

– Dobrze. Przekazać im, że będzie nam potrzebna osłona myśliwców, żeby posprzątać.

– Tak jest, sir.

Roberts zerknął na kapitana.

– Nie wydał pan rozkazu Archaniołom, sir.

Eric ściszył głos i sarknął.

– Po co? Jeżeli to się nie uda, wszyscy będziemy mieli szanse równie wielkie, jak kometa w koronie Słońca.

– Chciałbym jednak spróbować, gdybym był kometą.

– Jak my wszyscy, czyż nie? – odparł Eric z lekkim uśmiechem, zanim zerknął znowu na ekrany. – Cóż, spójrzmy na zegar. Czas pożegnać naszych… gości. Winger, ping szerokopasmowy, pełna moc.

– Tak jest, sir. Pojedynczy ping, pełna moc, zasięg do celu za trzy… dwa… jeden.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Na Wielkiego Stwórcę, jest ich całe mrowie!

Kian niemal już napomniała tego, kto się odezwał, ale szczerze powiedziawszy, pomyślała to samo.

Do żadnego układu planetarnego Priminae nie przybyło więcej niż sześć jednostek Drasinów, a były to systemy centralne. Flota złożona z dwudziestu ośmiu nie mieściła się w głowie. Zupełne szaleństwo. Tak wielu Drasinów mogło zniszczyć za jednym zamachem cały układ gwiezdny.

Kian mogła tylko się cieszyć, że wróg nie uznał nigdy żadnego ze światów Priminae za wart takiego wysiłku.

Czuła spojrzenia załogi i domyślała się ich przyczyny.

„Nept” oraz „Posdan” utrzymywały pozycję poza systemem w gotowości, by wskoczyć w sam środek bitwy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że było już na to za późno. Kian nie czuła się na siłach, by zignorować sytuację, nieważne, jak gówniana by była.

„Jedyne, co mogę zrobić, to wraz z »Odyseją« sprawić, by przeciwnik słono zapłacił za atak na ten system planetarny”.

– Transmisja na „Nepta” – rozkazała. – Wchodzimy. Tylko działa dalekiego zasięgu. Nie nadajemy się do starcia z przeciwnikiem w bliskiej odległości. Zrobimy, co w naszej mocy, dopóki planeta nie upadnie. Nie dajcie się wciągnąć w bezpośrednią walkę.

Była świadoma, że to bezcelowe. Przeciw tak wielu okrętom wroga, nawet z „Odyseją” i drugim okrętem Priminae, niewiele mogli zdziałać. To będzie szybsza walka, niż Drasinowie mogliby przypuszczać, ale w ostatecznym rozrachunku nie pozostawały najmniejsze wątpliwości, że system planetarny Terran upadnie.

„Mam nadzieję, że wywiad mylił się, gdy twierdził, że Terranie kontrolują tylko jeden system gwiezdny”.

Jeśli nie, Kian będzie świadkiem ludobójstwa.

– Kapitan Kian! Wiele sygnałów nadświetlnych, źródło wewnątrz systemu!

Niszczyciel imperialny „Heros”

Ivanth popatrzył na ekran i zdał sobie sprawę z własnej bezsilności. Jakimś cudem stracili kontrolę nad dronami (fakt, że wybrały cel, przeciw któremu sam by je wysłał, wcale się nie liczył), a to znaczyło, że miał naprawdę poważny problem.

Jednostki należały do drugiej i trzeciej generacji, co sprawiało, że były cenne. Powierzono mu drony o wysokich zdolnościach bojowych. Każdy się liczył, choć w Ulu było ich całkiem sporo. A teraz stracił nad nimi kontrolę.

Stracił kontrolę!

Przekleństwo, którym był nawet widok tych przeklętych stworów w akcji, to jedno, ale teraz przydarzyło się Ivanthowi coś strasznego. Jeżeli będzie miał szczęście, może prohuer pozwoli mu zachować pozycję. Możliwe jednak, że straci nawet życie.

Na razie jednak najbardziej bolało go to, że siedzi tylko w ukryciu i obserwuje bieg wydarzeń. Nic więcej nie mógł zrobić. Co najwyżej modlić się o odzyskanie kontroli nad dronami.

„Albo stanie się najgorsze i ci ludzie zdołają zniszczyć więcej Drasinów, niż »Heros« i »Nieśmiertelny« mogą razem wysłać!”

Arogancja okrętu, który nadał komunikat z wyzwaniem, była na tyle wielka, by rozśmieszyć Ivantha pomimo kiepskiej sytuacji, w jakiej się znalazł. Ci ludzie wierzyli, że mogą zatrzymać lub – co jeszcze zabawniejsze – odeprzeć wroga z systemu.

„Odnieśli parę przypadkowych sukcesów i tak na to reagują? Głupcy”.

– Komendancie! Nadświetlne sygnały z systemu!

– Możesz odkodować?

– Myślę, że to prymitywny system detekcji.

Ivanth skrzywił się. Jeszcze więcej dziwnych działań ze strony mieszkańców tego systemu gwiezdnego. Drony nie kryły się ani trochę, tak samo nie próbowały nawet najprostszych manewrów. Nie było powodu, by śledzić je w nadświetlnej, dopóki pozostawały poza zasięgiem bezpośrednich walk.

Ivanth zaczynał mieć coraz większe przekonanie, że ci ludzie są naprawdę tak niedoświadczeni, jak się wydaje. Ich działania i technologia nie pasowały do rezultatów, jakie udało się im dotąd osiągnąć. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógł celowo postępować tak głupio.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Mamy namierzanie w czasie rzeczywistym na nadlatujące okręty, kapitanie – zameldowała Winger. – Wszystkie pozostają na przewidzianych kursach.

– Idzie dość gładko – skomentował Eric. – Waters?

– Namierzeni. Musiałem nieco zmodyfikować program, kapitanie.

– No to, poruczniku, odpalić wszystko, co mamy… – nakazał Eric z dzikim uśmiechem. – Strzelać bez rozkazu.

– Tak jest, sir! – Uśmiech Watersa nie był tak dziki jak kapitana, ale również zwierzęco zaciekły. – Ognia!

Działa obracały się na masywnych wieżyczkach, kierując na cel. Ledwie widzialne obłoki eksplozji cząsteczek stałych pojawiły się wokół otworów luf, gdy rozpoczął się ostrzał. Daleko im było do ognistych podmuchów konwencjonalnych dział, ale z odległości, z jakiej strzelała „Odyseja”, nikt i tak nie zdążyłby dostrzec rozbłysku.

„Odyseja” otworzyła ogień z piętnastu minut świetlnych.

ROZDZIAŁ 16

Działa tranzycyjne szerzej znane były jako „system pocisków tranzycyjnych naprowadzanych falą tachionową”. Jednak ani potoczna, ani techniczna nazwa (składająca się z ośmiu zawiłych słówek) nie była tak dobrze przyjęta, jak ukuty przez nieznaną osobę termin działo T. Ludzie miewają dziwne poczucie humoru.

System ładowania pobierał dane z komputerów „Odysei” i przetwarzał je na zasięg oraz wpływy grawitacyjne w odniesieniu do miejsca, gdzie znajdował się przeciwnik na podstawie danych o miejscowych zakrzywieniach czasoprzestrzeni i jej zakłóceniach, wywołanych przez gwiazdy, planety i czasami szacowany impakt systemów napędowych dowolnego namierzanego okrętu.

Na szczęście, w większości przypadków zakrzywienia znajdowały się w przestrzeni lokalnej i miały minimalny wpływ na dane dotyczące trajektorii, chyba że okręt znajdował się bardzo blisko, jako cel lub przeszkoda na drodze wystrzelonej wiązki tachionów. Komputery „Odysei” rozbijały wtedy niemożliwe zadanie na zestaw równań możliwych do rozwiązania, a skoro obliczenia były możliwe natychmiast, wszystko działało bez problemów. Po wprowadzeniu poprawnych danych do systemu celowniczego broń obracała się jak trzylufowe działo na morskich niszczycielach z dwudziestego wieku. Działa dostosowywały kąt strzału w zależności od położenia „Odysei”, a w tym samym czasie komputer rozpoczynał sekwencję ładowania.

Pociski o metrowej średnicy zawierały materiał rozszczepialny i były ładowane do wyrzutni automatycznie w próżni. System umożliwiał wprawdzie ładowanie do czterdziestu pocisków na minutę w każdym z dział, jednak układy zasilania okrętu nie pozwalały na wystrzelenie więcej

niż dziesięciu procent. Po załadowaniu i zablokowaniu pocisku wybuch energii inicjował fazę tranzycji tachionowej. Pocisk był konwertowany z ciała stałego w nieposiadające masy tachiony, zachowując przy tym swój kształt i właściwości na poziomie kwantowym. Tachiony to niezwykły fenomen – zachowują się jak cząsteczka i zarazem fala, podobnie jak światło, nie posiadają jednak masy i mogą istnieć TYLKO przy prędkości większej niż prędkość światła.

Terranie mają powiedzenie, że natura nie znosi próżni. Naukowcy uważają to stwierdzenie za absolutny żart, ponieważ jeśli spojrzeć na wszechświat w ujęciu statystycznym, okazuje się, że natura JEST próżnią. Specjaliści od tachionów twierdzą natomiast, że natura tak naprawdę nie znosi tachionów. Tachiony nie lubią istnieć i szczerze mówiąc, wszechświat też zachowuje się tak, jakby nie chciał ich istnienia.

Po naładowaniu i konwersji pocisk dosłownie skakał przez przestrzeń… przechodząc przez wszystkie punkty drogi od punktu wystrzelenia do celu i zarazem nie ruszając się z miejsca, póki nie rozładowała się cała energia tachionów. Wtedy pocisk wracał do pierwotnej postaci, z poprzednią masą i prawie identyczną strukturą kwantową.

A struktura mogła wywołać sporo problemów w punkcie docelowym, zwłaszcza gdy była to struktura materiałów rozszczepialnych broni jądrowej.

***

Drasiński „krążownik” nie był okrętem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, jego wnętrze przypominało bardziej żyjący organizm. Żyły i tętnice okrętu pompowały płynne metale tam, gdzie były potrzebne, zasilając systemy zakrzywiania czasoprzestrzeni jednostki, podczas gdy tubami przypominającymi puste tunele wulkaniczne przelatywały gazy konieczne do tych procesów, do których nie nadawały się związki metali.

Ogromna ładownia wypełniona była myśliwcami i dronami do walk naziemnych. Właśnie to zajmowało największą część okrętu i tam najczęściej materializowały się pociski z dział tranzycyjnych „Odysei”.

Pojawienie się takiego pocisku w tłumie ludzi na jednym z pokładów wywołałoby panikę i chaos. Jednak na jednostce Drasinów jedynym bytem, który rejestrował wydarzenia, był sam okręt. Pozostali Drasinowie na pokładzie oszczędzali energię i czekali w uśpieniu na przybycie do celu, zupełnie nieświadomi zagrożenia. Różnica między nimi a ludźmi była jednak dyskusyjna, jako że ludzie tak naprawdę mieli tylko czas, aby uświadomić sobie, że czeka ich nieuchronna śmierć.

Pocisk wystrzelony z „Odysei” był typu implozyjnego, zaprojektowany tak, by ładunki wybuchowe skierowane do wewnątrz zmusiły atomy plutonu, żeby się zderzały. Powodowało to rozerwanie atomów, a wtedy neutrony i protony oddzielały się od siebie i uderzały w kolejne atomy, które też ulegały rozpadowi. W samopodtrzymującej się reakcji łańcuchowej atomy zderzały się z taką siłą, że rozrywane były ich wiązania, co posyłało więcej cząstek na kursy kolizyjne z kolejnymi atomami.

Rozszczepiany materiał jednak miał tylko wzmacniać prawdziwy wybuch. Reakcja łańcuchowa doprowadzała do detonacji mieszanki deuteru i trytu, otoczonej płaszczem uranowym.

Ta dziwna wersja maszyny Goldberga skutkowała eksplozją o sile dwustu megaton WEWNĄTRZ drasińskiego krążownika.

Czy daleko było tym pociskom do wielogigatonowej broni Drasinów i Priminae? Owszem, ale tylko kilka gatunków pomyślało o opancerzeniu okrętu od wewnątrz w takim samym stopniu jak z zewnątrz, a Drasinowie do tych nielicznych nie należeli.

Kilka sekund po zakończeniu tranzycji pocisku z naładowanej tachionami czasoprzestrzeni jeden z wrogich okrętów zmienił się w rozszerzającą się kulę gazów i plazmy.

A był to dopiero pierwszy.

Jedna po drugiej, potem dwójkami i czwórkami, drasińskie jednostki zmieniały się w miniaturowe supernowe, które kończyły swój krótki żywot w ognistej chwale.

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Nie przerywać ognia – rozkazała Gracen, wbijając oczy w ekran, na którym nie pojawiało się nic godnego uwagi.

– Tak jest, pani admirał.

Stacja posiadała cztery działa T, o jedno więcej niż „Odyseja”, jednak przez specyficzne różnice w konstrukcji Liberty mogła używać tylko jednego naraz. Właśnie wyczerpywało ono zapas metrowych pocisków w cholernie szybkim tempie. Tak szybkim, że admirał oczyma duszy widziała budżet operacyjny, znikający z prędkością większą od światła.

Co gorsza, nikt nie wiedział, czy wystrzelone pociski w ogóle trafiają w cel.

Dotarcie sygnałów świetlnych powracających od celu potrwa ponad godzinę, ale już za dziesięć minut obsługa dział zostanie z pustymi magazynkami, jeśli nie zwolnią tempa ostrzału. Gracen wolałaby nie utrzymywać tak wysokiej szybkostrzelności przez długi czas. Strzelano jednak dwa lub trzy razy w każdy oznaczony cel, zgodnie ze standardowymi procedurami operacyjnymi, i właśnie przez to tak prędko kurczyły się zapasy amunicji.

„Dobrze chociaż, że ambasador Bloku podpisał tymczasowe zniesienie zakazu używania broni jądrowej w Układzie Słonecznym. Inaczej nasz arsenalik doprowadziłby do wojny”.

Z oczywistych przyczyn w świecie, gdzie dawna pięćdziesięciomegatonowa car bomba uważana była za malutką w porównaniu z nowoczesnymi głowicami, politycy i wojskowi wspólnie zgodzili się, że używanie tego typu uzbrojenia na

Ziemi lub w jej pobliżu stanowiłoby prosty przepis na globalną katastrofę. Nawet podczas wojny z Blokiem żadna z agencji rządowych nie sięgnęła po broń jądrową.

Parę ekstremistycznych ugrupowań próbowało zrobić taką broń własnoręcznie w oparciu o starą technologię, jednak nie osiągnęli więcej niż kilka kiloton. Wojsko uznało broń konwencjonalną za skuteczniejszą, dokładniejszą i tańszą, przez co bomby jądrowe nie trafiły do arsenałów nikogo, kto posiadał choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Przynajmniej do chwili, kiedy „Odyseja" spotkała Drasinów.

Dlatego też na Liberty było tak mało pocisków do dział T. Przetwarzanie materiałów radioaktywnych nie stało się zapomnianą technologią, jednak tylko kilka zakładów posiadało odpowiednie wyposażenie, żeby tego dokonać. O wiele za mało.

Przynajmniej w Ameryce Północnej.

Jak na ironię jednak, Blok nie zamknął swoich zakładów wtedy, kiedy zrobiła to Konfederacja, więc wciąż zachował pewne możliwości produkcyjne. Konfederacja też nie porzuciła technologii, rzecz jasna. Taki pomysł byłby szalony… czy może byłby rozsądny w tym szalonym świecie. Trudno powiedzieć. Nie, Konfederacja utrzymywała tylko tyle zakładów, aby wystarczyło do pięćdziesięciokrotnej zagłady ludzkości, zamiast kilku tysięcy razy, co teoretycznie pozostawało w granicach możliwości Bloku.

Gracen słyszała o kilku nieformalnych rozmowach z oficjelami Bloku odnośnie zlecenia produkcji pocisków oraz ponownym otwarciu paru fabryk w Konfederacji.

Nie podobał jej się ten pomysł, zwłaszcza że zaprawiła się w bojach z Blokiem podczas walk na Pacyfiku o nikomu niepotrzebne wysepki. Krew, którą tam przelała, którą rozkazała przelać, na zawsze zabarwiła jej światopogląd. Prawdopodobnie dobrze zrobiono, że nie wysłano jej na negocjacje dotyczące porozumienia zbrojnego. Zresztą miała ważniejsze sprawy na głowie.

– Pani admirał, zakończono ostrzał.

Gracen skinęła głową.

– Dobra robota. Teraz wszyscy zróbcie sobie przerwę, mamy około godziny, nim dowiemy się, czy w coś trafiliśmy. Jeśli macie coś do załatwienia, zróbcie to teraz.

Walka w kosmosie była szaleństwem nawet według standardów admirał Gracen.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Kapitanie, program ostrzału gotowy.

– Oczekiwanie na wstępne obrazowanie – zameldowała Winger, przekrzykując Watersa. – Dziesięć minut, odliczam.

Eric nic nie mówił. Niewiele mógł teraz powiedzieć. Aby podjąć decyzję, potrzebował informacji, ale nie mógł przyśpieszyć przepływu danych. Kątem oka dostrzegł ruch w rogu mostka. Wszedł tam steward – technicznie rzecz biorąc: „specjalista kulinarny” – który zamachał do niego pytająco.

Kapitan skinął głową, a mężczyzna wprowadził jeszcze dwójkę „specjalistów” z tacami pełnymi przekąsek i kubkami z kawą. Stewardzi poczęstowali wszystkich na mostku, Eric sam przyjął ochoczo kubek, jednak odmówił przekąsek – to nie był moment na zaspokojenie głodu.

– Jeśli potrzebujecie skorzystać z toalety, to teraz jest dobra pora – powiedział. – Przerwa dobrze nam zrobi.

Dziesięć minut to niezbyt długo, ale na pewno żaden okręt nie zdoła się zbliżyć w tym czasie na tyle, by zacząć walkę. Eric zastanowił się, po czym rozkazał:

– Wszystkie stanowiska, spocznij.

– Tak jest, kapitanie – powiedział Roberts i nadał rozkaz.

Chwilę później jego głos poniósł się echem po całym statku:

– Cała załoga, zwolnić stanowiska. Powtarzam, cała załoga, zwolnić stanowiska.

Eric spojrzał na Robertsa, nim ten się odwrócił.

– Wie pan, czego nie lubię w walkach w kosmosie?

– Czekania? – odparł oschle Roberts. Właśnie tego nie lubiło się najczęściej.

– Blisko. Nie lubię, że walka nie ma żadnego napięcia – skrzywił się Eric. – Jak już dowiadujemy się, co się stało, naprawdę dawno jest po wszystkim. Jest po wszystkim dawniej, niż mógłbym sobie wyobrazić.

– Nie, jeśli wrogowie znajdą się bliżej – łagodnie zauważył Roberts.

– Jeśli znajdą się bliżej, będziemy martwi.

– Nie będzie problemu z nielubieniem czegokolwiek.

– Ha! Jest pan jak powiew świeżego powietrza, wie pan, pierwszy?

– Staram się, sir.

Eric zamrugał i spróbował ponownie skupić się na zadaniu. Cierpliwość była podstawowym wymogiem funkcjonowania każdego oficera. Nauczył się tego dawno temu, ale nigdy nie przynosiło mu to ulgi. Nawet na Ziemi, z informacjami od wywiadu odświeżanymi co kilka sekund, musiał czekać, aż ktoś te informacje przeanalizuje, a potem powie, co znaczą.

Wydawało mu się, że nawet światło spiskuje przeciwko niemu.

„Śpiesz się i czekaj”.

Dziesięć minut później, gdy wszyscy już zrobili sobie chwilę przerwy, zaczęły napływać dane. Były tak dobre, jak mieli nadzieję. Eric kiwnął głową z aprobatą, gdy patrzył na okręty znikające po kolei w rozbłyskach nuklearnych fajerwerków.

„Byliby szaleni, gdyby po tym, co zobaczyli, jeszcze ośmielili się tu wrócić”.

Coś jednak nie pozwalało Ericowi cieszyć się z załogą.

Po pierwsze, Drasinowie nie byli szaleni. Wątpił, czy mieli dość rozwiniętą mentalność, by dało się ich zdiagnozować.

Po drugie… po drugie, przypomniał sobie niezliczone drony w chmurze Dysona.

Przeciwnik, który nie myśli i nie może być zdiagnozowany jako rozsądny lub szalony, ale dysponuje prawie nieograniczoną liczebnością sił zbrojnych?

Nie, Eric nie miał powodów do radości.

Niszczyciel imperialny „Heros”

Ivanth nigdy nie był szczęśliwszy, że ma za plecami oparcie. Obraz wybuchających dronów został zapętlony, a podwładni szukali wskazówki, jakiejkolwiek wskazówki, która wyjaśniłaby, co się stało. Jednak Ivanth był tylko wstrząśnięty i przejęty grozą na widok tego, co zaszło.

„W co myśmy się wpakowali…?”

To było niemożliwe. W znanej części Galaktyki nie istniało nic, co mogłoby zagrozić dronom. A Imperium wiedziało o Galaktyce całkiem sporo.

Odczyt został odtworzony ponownie, ukazując rozprzestrzeniającą się falę niszczonych dronów. Ponownie Ivanth mógł tylko patrzeć.

„Miny?”

Chwytał się tej myśli jak tonący brzytwy i doskonale o tym wiedział, ale miny wydawały się całkiem możliwe. Drony przylatywały w szyku wzdłuż płaszczyzny systemu, była to standardowa procedura wśród większości cywilizowanych istot. Nie żeby drony nimi były. Po prostu lubiły, gdy ich posiłek ustawia się w ładnych, równych rządkach.

Z tego wniosek, że ludzie z tego systemu gwiezdnego mogli domyślić się, skąd nadlecą, i zaminować to miejsce. Teoretycznie. Musieliby dysponować samopodkładającymi się minami, podobnymi do dronów, które zbudowały Ul. Było to oczywiście wykonalne.

Gdzie tkwiła luka w tej teorii?

„Gdzie są miny?”

Nie było żadnego sygnału, żadnej podpowiedzi, żadnej platformy w systemie, która mogłaby podłożyć taką minę. Jedynie na powierzchni trzeciej i w okolicach szóstej oraz siódmej planety, ale to by się udało odnotować. Broń

z materiałem rozszczepialnym, która mogłaby doprowadzić do tego, co się stało, była wykrywalna. By ją ukryć przed czujnikami promieniowania, potrzebowaliby szczelnych pojemników, a te zostałyby zauważone na skanach wizualnych.

– Komendancie?

– Analiza skończona? – spytał szorstko Ivanth.

– Tak…

– Wynik?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Taki sam jak poprzednio. Nieznana broń.

– Powtórz analizę.

– Komendancie, to już szósty raz. Bez nowych danych…

– Powtórz! – warknął Ivanth. – Chyba że chcesz zająć moje miejsce i tłumaczyć się przed prohuerem, co tu zaszło!

– Zrozumiałem, komendancie.

Ivanth wpatrywał się w podwładnego, póki ten nie odwrócił się do konsoli. Musiała być jakaś odpowiedź, jakaś wskazówka, która pomogłaby zrozumieć, co się tu stało!

„Prohuer wystrzeli mnie w kosmos, jeśli wrócę i powiem, że straciłem wszystkie drony drugiej generacji, ot tak, bez żadnego wytłumaczenia, co, na Otchłań, się stało”.

Po odkryciu dronów przez Imperium naukowcy zdołali przekodować ich podstawowe polecenia programu. Nigdy jednak nie doprowadziło to do jakichkolwiek masowych strat, które choć trochę przypominałyby tę katastrofę.

„Wliczając w to nawet przejście w pobliżu supernowej”.

– Co robi wroga jednostka? – spytał Ivanth w nadziei, że coś wyrwie go z mrocznych myśli.

– Nic, komendancie.

– Nic?

– Utrzymuje się cały czas na tej samej pozycji. Nie manewruje, odkąd wypuściliśmy drony. Nie próbuje nawet uruchomić kamuflażu.

– Rzuca nam wyzwanie – skwitował Ivanth. – Prowokuje nas, żebyśmy wkroczyli na jej terytorium.

– Komendancie, ci ludzie wiedzą, że tu jesteśmy?

– Z całą pewnością – odparł Ivanth z przekonaniem.

Poczuł ucisk w żołądku. Pozostała mu tylko jedna możliwość, która nie zostałaby uznana za zdradę Imperium.

– Sygnał dla „Nieśmiertelnego” – rozkazał. – Wycofujemy się, kurs na Ul.

– Komendancie?

Ivanth zignorował nieufny ton podwładnego i przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy, pod którym skrył swoje nieprzyjemne odczucia.

– Słyszałeś. Wycofujemy się.

– Tak jest, komendancie.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

Kapitan Kian opadła ciężko na fotel. Własnym oczom nie wierzyła, gdy ujrzała to, co ukazało się na ekranie. Wszyscy na mostku oniemieli ze zdumienia. Nikt nie odezwał się słowem, wbijając tylko wzrok w przekazywany obraz.

Miała ochotę zapytać, czy to, co widzi, stało się naprawdę.

„Sądząc po minach reszty załogi, zadają sobie to samo pytanie”.

– Co robimy, kapitan Kian?

„Oto jest pytanie, prawda?” – Kian zamyśliła się, błądząc oczami po ekranie i próbując odgadnąć, co się stało i co wobec tego należałoby uczynić.

– Czy ktoś widzi coś, co wygląda jak nieprzyjacielski okręt, który ocalał?

– Nie. Czysto.

– Odczyty obcych innych niż Drasinów? Cokolwiek w systemie planetarnym?

– Nie wiadomo.

„Nie wiadomo. To znaczy, że nie było. Wykrylibyśmy obce okręty, gdyby tam były. Wszystkie systemy naszych jednostek śledziły Drasinów i ich otoczenie”.

Skrzywiła się z westchnieniem.

– Pełna moc skanerów. Pewnie się gdzieś ukrywają, znajdźcie ich.

– Tak jest.

– I przygotujcie wiadomość dla „Odysei” – dodała. – Jest trochę późno, ale możemy się chociaż przywitać i podzielić danymi, jakie zdołaliśmy zebrać przy śledzeniu obcych jednostek.

Załoga wzięła się do pracy i zostawiła Kian, by mogła ułożyć wiadomość. Nigdy się nie zastanawiała, jak coś takiego zrobić. Uważała, że powinno to być zwykłe powitanie, chyba że natrafiłaby na niezidentyfikowany okręt, który śledziła wraz „Neptem”. Kian zdała sobie sprawę, że wkroczenie do układu gwiezdnego Terran bez pozwolenia mogłoby okazać się krokiem bardzo nierozważnym.

Wiedziała, że ludzie chcą utrzymać lokalizację swojego świata w tajemnicy, ale na to było już za późno. Miała nadzieję, że nie poczują się urażeni pojawieniem się pary sprzymierzonych okrętów wojennych, które postanowiły wpaść z krótką wizytą.

„To nie tak, że mieliby się nas bać. Nie powinni, skoro potrafią załatwić drasińską flotyllę”.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”
Orbita Saturna

– Potwierdzam trafienie we wszystkie cele, kapitanie.

– Niech komputer przetworzy dane realne i szacunkowe – zaczął Eric, przechadzając się po mostku. – Chcę wiedzieć o wszystkim, co poleciało inaczej, niż szacował komputer, chcę też wiedzieć dlaczego. W niektóre okręty wystrzeliliśmy po trzy lub cztery razy, zanim udało się je trafić. Im mniej wystrzelimy w jednego wroga, tym lepiej, liczba naszych pocisków nie jest nieskończona.

– Tak jest, sir. Już się robi – odpowiedziała Winger. Nagle na jej pulpicie zabrzmiał brzęczyk.

– Coś się stało, porucznik Winger?

– Tak, sir. – Skinęła głową. – Dwa okręty właśnie wleciały do naszego systemu. Poruszają się z dużą prędkością, sądząc po ich obecnej trajektorii.

– Nasi tajemniczy nadzorcy? – Eric pochylił się nad ramieniem porucznik.

– Trudno powiedzieć, sir. – Przepuściła dane przez swój komputer z wyuczoną wprawą. – Sygnał, jak dotąd, pasuje do sygnatur okrętów Priminae.

– Widywaliśmy już takie.

– Kapitanie, chwileczkę… Nadeszła transmisja – wtrąciła Michelle. – Jest zakodowana, kompatybilna z naszymi urządzeniami łączności, skierowana do nas, czysty przekaz… To „Posdan”, sir.

Eric wyprostował się zaskoczony, choć nie powinien się dziwić. Priminae śledzili obcy okręt tak samo, jak „Odyseja” tropiła „Weifanga”.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

– Otworzyć kanał, nadajemy z tym samym kodowaniem, co oni.

– Kanał otwarty, sir.

– Kapitan Kian, w imieniu „Odysei” witam na Ziemi – zaczął Eric. – Zapraszam do systemu, gwarantuję bezpieczny przelot i mam nadzieję, że wizyta będzie udana.

Michelle wpisała komendę i potwierdziła:

– Zakodowane i wysłane, kapitanie.

– Dobrze. Proszę mnie powiadomić, jeśli „Posdan” odpowie lub skieruje się w naszą stronę – odpowiedział Eric. – Tymczasem niech komputer przeanalizuje dane z bitwy. Na wczoraj.

– Tak jest, kapitanie!

ROZDZIAŁ 17

Orbita okołoziemska

Dwa ogromne okręty Priminae krążyły na wysokiej orbicie wokół Ziemi, praktycznie przesłaniając stację Liberty, z którą się zrównały. Dla każdego, kto dysponował zdolnością nawet najprostszej obserwacji z powierzchni, okręty stanowiły świadectwo nadejścia dramatycznych zmian w historii Ziemi. Nawet ludzie słabo poinformowani byli tego świadomi, rząd Konfederacji nie mógł ukryć bitwy stoczonej w kosmosie przez „Odyseję".

Blok na pewno również posiadał nagrania starcia, a to wywoływało wśród wysokich rangą oficerów Konfederacji potężne migreny. Dowództwo wolałoby nie ujawniać dział T tak wcześnie i spektakularnie. Rozpoczęcie przez Blok dyplomatycznych indagacji o „superbroń" wynalezioną przez Konfederację było już tylko kwestią czasu.

Na szczęście ta „superbroń" właśnie ocaliła całą planetę, więc Blok mógł sobie marudzić, jak mu się żywnie podobało – nie powinno to wstrząsnąć pozycją Konfederacji w najbliższym czasie. Oczywiście mogło stanowić problem później, o ile Ziemia przetrwa nadchodzącą wojnę.

Ale na wszystko przyjdzie odpowiednia pora. Nie teraz.

Rosjanie, Brytyjczycy, kraje europejskie oraz większość innych, niezrzeszonych państw, prawie wszystkie widziały, co się stało.

Nie, tej bitwy nie dało się utrzymać w tajemnicy.

Zatem rząd Konfederacji postanowił, że nadeszła pora, aby zerwać kurtynę i pokazać światu, jak wygląda prawda.

***

Eric Weston skrzywił się na widok dziennikarzy. Wolałby w ogóle nie opuszczać pokładu „Odysei”. Ostatnie, czego by sobie życzył, to radzenie sobie z sępami medialnymi, jednak nie miał wielkiego wyboru.

Nagranie z walki podjętej przez „Odyseję” oraz przebitki z poprzednich misji były w kółko puszczane na wszystkich kanałach. Nikt nie starał się już ukrywać lub minimalizować zagrożenia ze strony Drasinów. Rząd stąpał po cienkim lodzie. Eric miał tylko nadzieję, że rządzący wiedzą, co robią. Powszechna panika przysłużyłaby się jedynie wrogowi, a i bez tego miał przecież wystarczająco dużą przewagę.

W rzeczywistości to wszystko nie było wcześniej tak naprawdę wielką tajemnicą. Chociaż sporo szczegółów dotyczących misji „Odysei” zostało zakwalifikowanych jako tajne, jednak nie dało się ukryć ogólnych wiadomości o wyprawie, zwłaszcza że pojawili się goście z Ranquil i tymczasowy ambasador Priminae. Wielu ludzi zdawało sobie sprawę, co działo się w głębokim kosmosie. Nie wiedzieli tylko, że te wydarzenia prędzej czy później będą miały na nich bezpośredni wpływ.

Eric rozumiał, że wkrótce będzie musiał spotkać się z dziennikarzami, ale na szczęście nie oczekiwano, że teraz będzie udzielał wywiadów. Po skończonej wojnie, zakładając, że on i Ziemia przetrwają, zostanie rzucony na pożarcie mediom, jednak do tego czasu mógł się schronić za tarczą wojska.

Admirał Gracen jednak nie miała tyle szczęścia.

Znajdowała się w samym środku huraganu. Z chłodnym spokojem wybierała kolejnych reporterów i odpowiadała na ich pytania lub zamykała kwestię krótkim „bez komentarza”.

„O Boże, a oto Lynn. Jak ja nienawidzę tej kobiety”.

Weston przybrał opanowany wyraz twarzy, gdy dostrzegł w tłumie dziennikarkę z Bloku, kobietę, z którą kiedyś coś go

łączyło. Należała do niewielu ludzi na Ziemi, których Eric nie znosił i chyba trochę się obawiał. Walka nie wzbudzała w nim niepokoju. Gdy chodziło o żołnierzy, próbowaliby go zabić, ale Eric przynajmniej mógł im się zrewanżować tym samym.

Lynn Mei nie była żołnierzem, ale w przeszłości prawie udało jej się go zabić. Eric wiedział, że nie będzie miała oporów, aby spróbować ponownie w przyszłości. Problemem było to, że dziennikarka rozgłosi to, co znajdzie przez swoje źródła, wszystko uprzejmie i legalnie.

Eric zerknął na Kian i jej towarzyszy.

Kapitan Priminae została poproszona o pojawienie się na konferencji, ale nikt nie uważał, że rzucenie jej lub kogokolwiek z kolonii bezpośrednio na pożarcie reporterskim szakalom to dobry pomysł. Przecież na Ranquil nie było niczego, co przypominałoby ziemskie media.

Nie chodziło o to, że Priminae nie mieli mediów. Na ile Eric zdążył się zorientować, obcy mieli po prostu czysty strumień informacji. Suchy i w zasadzie nudny, bez zbędnych komentarzy, same fakty. Nie rządziła tam zasada „dobra wiadomość to zła wiadomość".

Zapewne Priminae uważali, że nie wszystko powinno być robione dla zysku, zwłaszcza rozpowszechnianie informacji.

Oczywiście nie było zbyt wielu ludzi, którzy świadczyliby uczciwe usługi medialne, a na pewno nie poza rządem, a Eric, chociaż lojalny wobec Konfederacji, dostrzegał problem, jakim byłoby powierzenie władzom pieczy nad rozpowszechnianiem informacji.

Stanowiłoby to kolejny wybór między mniejszym i większym złem, jak przypuszczał Weston. W tym przypadku – między skorumpowanymi dziennikarzami a skorumpowanym rządem. Szczerze powiedziawszy, nie było między tymi formacjami wielkiej różnicy.

„Zupełnie jak podczas ostatnich wyborów, co tu kryć".

Podchwycił spojrzenie Kian, nieco zmieszanej poświęcaną jej uwagą. Eric spróbował posłać jej współczujący uśmiech. Nie

miał pewności, czy to zadziała. Wprawdzie Priminae i Terranie dzielili niektóre elementy mowy ciała, ale nie wszystkie.

Kian jednak spojrzała na Erica i uśmiechnęła się lekko, wyraźnie nieco spokojniejsza.

Uznał to za małe zwycięstwo.

***

Kian czułaby się pewniej w walce przeciwko Drasinom. Przeszywające spojrzenia ludzi były deprymujące, ale to, co kryło się w oczach tych, którzy trzymali… jak je nazywali… mikrofony? Nieważne. To błysk w ich oczach najbardziej ją niepokoił.

Starała się zachować spokój i wyglądać na opanowaną, podobnie jak kapitan Weston i paru członków jego załogi, których Kian widziała w pobliżu.

Wyglądali, jakby starali się patrzeć na tę sytuację jak na coś, co trzeba znieść, niczym drobne problemy z kursem, o które nie warto się martwić. Kian nie była pewna, czy ona i jej ludzie zdołają traktować to w ten sam sposób. Ale nie dowiedzą się, póki nie spróbują.

Cały rytuał wyglądał nieco przesadnie w stosunku do tego, co jej mówiono.

Z pewnością jednak nie zamierzała kwestionować konieczności poinformowania obywateli Terry o wszystkim, co się dzieje, ale były tu dziesiątki ludzi zadających pytania i jeszcze więcej urządzeń rejestrujących. Nie można by po prostu przygotować wojskowego raportu i udostępnić go w sieci publicznej, aby zainteresowani przejrzeli informacje samodzielnie?

„To różnice kulturowe, o których wspominali starsi. Ale przecież widziałam już różnice kulturowe. To jest zupełnie inny poziom”.

Postanowiła zapytać o to kapitana Westona, gdy tylko wszystko się uspokoi, a na razie spróbować o tym nie myśleć.

„Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić”.

***

Po wyjściu z sali Eric odetchnął z ulgą. Nie mógł znieść konferencji i mediów, nawet jeśli miał tylko stać i wyglądać jak wojskowy. Większość z członków załogi, którzy przyszli razem z nim, czuła się podobnie, ale zapewne i tak lepiej niż wysłannicy z „Posdana”, którzy nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczyli.

Eric przeprosił i odłączył się od grupy, po czym skierował do Kian, stojącej ze swoimi oficerami. Kapitan była wysoka, miała ponad sześć stóp wzrostu, co nie stanowiło rzadkości wśród znanych Ericowi kobiet. Nie miał jednak pewności, jak się to mieści w standardach Priminae. Kilka przedstawicielek tej rasy, jakie zdarzyło mu się poznać, należało raczej do drobnych.

Milla Chans była pierwszą osobą należącą do Priminae napotkaną przez załogę „Odysei”. Odebrali jej sygnał alarmowy, który dosłownie dochodził znikąd. Przypadkowo to właśnie ona wyznaczyła Ericowi standardy, według których patrzył na kobiety Priminae, choć nie wydawało się to tak całkiem słuszne. Eric uśmiechnął się w duchu, gdy sobie o tym przypomniał.

„Kian wygląda podobnie jak Milla, zwłaszcza oczy i policzki. Ciekawe, czy to cecha rasowa czy pokrewieństwo?” Większość spotkanych przez niego Priminae miała jasną karnację, choć bynajmniej nie jako dziedzictwo po kaukaskich przodkach. Rysy twarzy różniły się jednak, a Westonowi nie udało się jak dotąd znaleźć wyrazistego wzorca, który mógłby zdefiniować jako typowy dla Priminae.

Domyślał się za to, że jasny odcień skóry powstał w wyniku braku pracy w słońcu przez kilka tysięcy lat, dzięki czemu nie musieli wytwarzać ciemnych pigmentów do ochrony przed promieniowaniem ultrafioletowym. Szczerze mówiąc, nie przykładał do tego najmniejszej wagi, ale był pewien, że gdzieś

w trybikach biurokratycznej maszyny Konfederacji tkwił jakiś naukowiec, którego by to zainteresowało.

Kian miała rysy twarzy łączone przez Erica z pochodzeniem od ras azjatyckich, jeśli brać pod uwagę tylko włosy i wykrój oczu. Policzki i podbródek kapitan Priminae wyglądały na europejskie, jednak oczy miała jaśniejsze, niż spotykało się na Ziemi. Reszta była typowa, a dobrze zarysowane kości policzkowe sprawiały, że wyglądała na silną kobietę, która potrafiła twardo postawić na swoim. Pod każdym względem stanowiła atrakcyjny widok.

– Kapitanie Weston. – Skinęła Ericowi głową, gdy podszedł.

– Kapitan Kian.

Uśmiechnęli się do siebie, nieco rozbawieni sytuacją, po czym Eric podjął:

– Dziękuję, że Priminae przyszli tutaj, choć wiem, że ani pani, ani przedstawiciele załogi „Posdana" nie przywykli do dziennikarzy.

– Z pewnością było to… inne – przyznała. – Jednak rozumiem, że obecność reprezentantów Priminae okaże się pomocna.

– Bezwzględnie – spoważniał Eric. – Teraz, jak nigdy, musimy zgodnie dążyć do tego samego celu, jeśli chcemy przeżyć nadchodzące wydarzenia.

– Zrozumiałe – przytaknęła Kian. – Kolonie też potrzebowały trochę czasu, żeby się dogadać. Straciliśmy wiele małych światów, zanim okazało się, że to nie był fałszywy alarm.

– Niestety, nie mamy żadnego świata do stracenia – przyznał ponuro Eric. – Dlatego liczę, że dojście do porozumienia nie będzie się odwlekać.

– Z tą nową bronią, którą pokazaliście w ostatniej bitwie, możecie powstrzymać dowolną liczbę Drasinów – zdziwiła się Kian. – Czym tu się martwić?

– Po pierwsze, jesteśmy pewni, że przeciwnik posiada dosłownie DOWOLNĄ liczbę okrętów, którą może na nas wysłać – westchnął Eric. – Można zmiażdżyć każdą obronę, jeśli posiada się odpowiednią liczbę jednostek, a Drasinowie mają ich pod dostatkiem. Nasz mały pokaz fajerwerków sprawił, że

Ziemia stała się priorytetowym celem obserwacji lub ataku. Mam jednak nadzieję, że udało nam się zaskoczyć i choć trochę przestraszyć tego, kto pociąga za sznurki.

Kian wyglądała na zdziwioną.

– Nie wierzy pan, że taki pokaz siły wystarczy, by przerazić tych, którzy jak się panu wydaje, stoją za tymi atakami?

Eric potrząsnął głową.

– Nie wierzę.

– Przyznaję, że należę do tych, którzy… nie skłaniają się ku pańskiej teorii. Drasinowie zbyt głęboko zakorzenili się w naszych legendach, bym mogła od razu uwierzyć, że istnieje ktoś, kto może ich kontrolować – wyznała Kian. – Chociaż widziałam okręty na własnych skanerach i wiem, że nadzorcy istnieją… Dlaczego uważa pan, że nie wstrząsnęło nimi to, co pan osiągnął?

Eric wziął głęboki wdech, rozważając, co powiedzieć.

– Ile pani wie o modus operandi w działaniach wojennych dronów, kapitan Kian? – spytał w końcu.

– Nic. Co to takiego?

– Chodzi między innymi o używanie maszyn do wygrania wojny – wyjaśnił Eric. – Nie broni, lecz maszyn kontrolowanych z bezpiecznej odległości. Nie trzeba wtedy ryzykować życia żołnierzy. Wysyła się roboty, by wykonały zadanie.

– To ma sens – przyznała z namysłem. – Chociaż kolonie nie używają maszyn do walki, wykorzystuje się je w innych niebezpiecznych przedsięwzięciach. W kopalniach, operacjach ratunkowych i tym podobnych.

– Też tak robimy – zgodził się Eric. – Ale wykorzystywanie dronów w walce jest zakazane na Ziemi przez międzynarodowy traktat.

Zaskoczona Kian przystanęła.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie trzeba wtedy ryzykować życia. – Eric wzruszył ramionami. – To sprzeczne z intuicją, ale jeżeli śmierć ludzi ogląda się tylko przez ekrany komputera, w pewnym momencie przestaje się ich widzieć jako ludzi, a zaczyna dostrzegać tylko

liczby. Operuje się… liczbami i robi z nimi to, czego żaden rozsądny i moralny człowiek nie zrobiłby innemu człowiekowi. W poprzednim wieku mój kraj wiele razy uczynił coś, co nie powinno nigdy się zdarzyć.

Eric zamknął oczy i potrząsnął lekko głową, żeby odsunąć wspomnienia z przeszłości.

– Kolejne, co wynika z używania maszyn do walki, to… poczucie bezpieczeństwa. Ludzie kontrolujący drony czują się bezpieczni. Nietykalni. Niezniszczalni. Kogo interesuje, że stracona została kolejna maszyna? Ludzie za tym stojący nie wycofają się z walki tylko dlatego, że przeciwnik zniszczył im parę zabawek. Będą nacierali, dopóki nie zaczniemy niszczyć ich samych.

Historia była pasją Erica, zarówno zawodowo, jak i prywatnie. Miał głębokie przekonanie, że z historii trzeba się uczyć i wyciągać wnioski z tego, jak się powtarza. Czasem jednak czuł, że ci, którzy znają historię, będą skazani na przyglądanie się, jak inni ją powtarzają. Ludzkość ogółem, szczerze mówiąc, uczyniła niewiele, by go nie rozczarować.

Na szczęście w tej masie było wielu ludzi, którzy się naprawdę starali.

Na Ziemi Stany Zjednoczone nie pogrążyły się w kulturowym szaleństwie podczas tak zwanej wojny terroru, nim drony stały się tanie i tak wszechobecne, że każdy mógł je kupić. A jeżeli przeciwnik może w każdej chwili zrzucić ci na głowę zdalny pocisk równie łatwo, jak ty na niego, może nadeszła pora, by przemyśleć swoje stanowisko.

Musiały jednak minąć jeszcze trzy dekady kulturowego wstydu, zanim tak się stało. Przez ten okres rząd ignorował własne prawo i uciekał się do zabijania obywateli tylko dlatego, że mogliby coś zrobić w przyszłości. Na samą myśl Eric dostawał dreszczy. Pozbycie się kogoś, kto stanowił zagrożenie tu i teraz, to jedna sprawa – wydawało się to kapitanowi słuszne i usprawiedliwione – ale jeżeli żadnego zagrożenia nie było i chodziło tylko o prawo do obrony kogoś lub czegoś, wówczas

sprawą powinien zająć się odpowiedni organ, aby nie dopuścić do prawnej samowoli.

Bał się społeczeństwa podążającego tą ścieżką, ścieżką wykorzystania Drasinów, dronów stanowiących latającą i mobilną broń masowej zagłady. Drony nie znały litości, a ich operatorzy tracili poczucie człowieczeństwa.

– Dlatego właśnie nie wierzę, że nasz mały pokaz zrobi wrażenie – odezwał się ponownie. – Obawiam się, że nadzorcy dronów nie będą nim poruszeni. Ani trochę.

Zastanowił się chwilę, po czym dodał:

– A przynajmniej nie tak, jak byśmy tego chcieli.

Niszczyciel imperialny „Heros”
W pobliżu Ula

Podczas gdy okręt zbliżał się do Ula, Ivanth czuł coraz większą złość, która wpływała na jego zachowanie. Spędził podróż na oglądaniu nagrań i próbach zrozumienia, co się stało, ale poza nietypowymi sygnałami nadświetlnymi, zapewne z systemów namierzania, nie znalazł NIC, co mogłoby wyjaśnić zajście.

Stracił całą flotyllę jednostek drugiej generacji. Jedyne, co mógł zrobić jeszcze gorzej, to dać się złapać w pułapkę wroga. Bez możliwości wytłumaczenia, jak przeciwnikom udało się zepsuć operację Ivantha, jego pozycja w Siłach Kosmicznych była zagrożona.

„Jeśli mi się poszczęści, zostanę odesłany do jakiegoś sektora na zadupiu, gdzie spędzę resztę życia na nadzorowaniu ruchu w układzie gwiezdnym, który nikogo nie obchodzi”.

Jego myśli błądziły wokół tych słów przez cały czas, gdy okręt zbliżał się do Ula, a Ivanth żałował, że nie ma tego czasu więcej. Niestety, skanery grawitacyjne wykryły Ul już dawno, a teraz pojawił się na potwierdzenie również odczyt termiczny.

– Komendancie.

Ivanth podniósł głowę.

– O co chodzi?

– Nie zostaliśmy wezwani, pomimo że znaleźliśmy się już w zasięgu Ula.

– Na pewno? – Ivanth pochylił się i zmarszczył brwi. Spojrzenie, jakie posłał mu w odpowiedzi oficer, kwalifikowało się jako złośliwe i w innej sytuacji Ivanth pociągnąłby podwładnego do odpowiedzialności za patrzenie w ten sposób na wyższego rangą, ale teraz uznał, że na to zasłużył.

– Tak, komendancie, na pewno.

„Chyba jestem zbyt zmęczony tym, że muszę tu siedzieć, skoro zadaję takie pytania".

System okrętu zarejestrowałby wezwanie automatycznie. Nie można było tego przegapić. Ivanth potarł policzek i powstrzymał się od komentarza, który zapewne tylko pogorszyłby sytuację.

– Dobrze. Są jakieś dziwne odczyty na skanerach?

– Nie, komendancie.

Ivanth zmarszczył brwi, bardziej ze zdziwienia niż z niepokoju.

Ochrona nie była tu ścisła w porównaniu z innymi miejscami w Imperium, ponieważ tylko prawdziwy szaleniec zaatakowałby Ul. Zanim nieznany okręt stąd uciekł, Ivanth przysiągłby, że była to droga tylko w jedną stronę. Sprawdzano każdą wykrytą w pobliżu jednostkę. Stanowiło to minimalny środek ostrożności dla wszystkich okrętów Imperium, we wszystkich placówkach.

Dlatego po zbliżeniu się z otwartej przestrzeni powinien otrzymać wezwanie do identyfikacji. Brak takiego wezwania był wystarczającym powodem, by włos się na głowie zjeżył.

„Jedyną przyczyną braku wezwania mogło być to, że prohuer i pozostałe okręty opuścili Ul. Ale nie było żadnej misji w planie. Nadal przygotowywaliśmy strategię podboju Ranquil. Więc dokąd miałby odlecieć prohuer?"

– Ile czasu nam zostało, nim dotrzemy do zewnętrznej strefy Ula? – W głosie Ivantha zabrzmiało napięcie wywołane nie tylko niepokojem o karierę.

– Niewiele. Dokładnie nie mogę podać tego bez użycia aktywnego skanu. Ul jest dobrze ekranowany, oczywiście wyjąwszy ciepło. Użyć skanu?

– Nie. Nie ujawniamy się – rozkazał Ivanth, choć czuł się głupio, że w ogóle wydał taki rozkaz.

„Nic nie mogło się tu stać. Nie w Ulu. Nie ma takiej siły w Galaktyce, która mogłaby wyeliminować tylu Drasinów… nawet dronów trzeciej generacji i nowszych. Po prostu nie ma takiej siły".

Czas rozciągał się w nieskończoność, podczas gdy na ekranach rósł termiczny obraz Ula, coraz większy i większy, aż okręt nagle minął szczelinę i znalazł się wewnątrz. Ivanth sprawdził czujniki. Zaschło mu w ustach, gdy wyobraził sobie, co mogłaby tutaj zrobić flota tych nieznanych okrętów.

„Widzieliśmy jeden… Ale kto normalny buduje tylko jeden okręt wojenny? Musi ich być więcej".

Na mocy niepisanej umowy „Heros" i „Nieśmiertelny" wlatywały w zewnętrzną warstwę Ula w ciszy, bez przesyłania sobie nawet aktualizacji danych ze skanów. Coś było nie tak, Ivanth to wyczuwał, jak zapewne każdy, kto miał dostęp do czujników.

„Obcy przylecieli tutaj, podczas gdy zajmowaliśmy się walką w ich systemie? To był tylko podstęp, aby wyciągnąć nas jak najdalej od Ula?"

Wydawało się to zupełnie niedorzeczne. „Nieśmiertelny" i „Heros" były potężnymi okrętami wojennymi, a z ich flotyllą dronów mogłyby zatrząść w posadach każdym układem gwiezdnym. Jednak w porównaniu z wojskami Ula byli niczym dzieci w piaskownicy.

Liczba dronów w Ulu była tak duża, że żadna flota, nawet Imperialne Siły Kosmiczne, nie byłaby zdolna temu sprostać i z pewnością nie wróciłaby do domu, nawet gdyby dorównała liczebnie dronom.

– Wkraczamy do wnętrza Ula, komendancie.

– Pokaż obraz najbliższego otoczenia – rozkazał Ivanth.

– Na rozkaz.

Wnętrze Ula wydawało się większe niż wtedy, gdy Ivanth je opuścił, by przejąć dowodzenie nad „Herosem”. Nic dziwnego. Istnienie tak wielkiej konstrukcji jak Ul wymagało nieustannych zmian. Nawet drony nie mogłyby jej zniszczyć w tak krótkim czasie, gdy Ivanth był nieobecny. Do zniszczenia Ula potrzebna byłaby siła ognia, która po prostu nie istniała. Prawdziwe i jedyne zagrożenie dla konstrukcji mogłaby stanowić gwiazda w jej środku. Ta jednak znajdowała się tam, gdzie powinna. Zatem należało wykluczyć prawdopodobieństwo wybuchu supernowej.

– Jakiekolwiek przekazy, komunikaty łączności?

– Nic, komendancie. Cisza na wszystkich częstotliwościach.

Ivanth zadrżał, szybko się jednak opanował. Osobiście sprawdził sygnały, po czym podjął decyzję.

– Wysłać wezwanie. Szeroki zakres częstotliwości, włącznie z nadświetlną.

– Komendancie?

– Wezwać Ul – rozkazał Ivanth.

– Uch… Tak jest, komendancie.

Na sygnał wysłany z „Herosa” przyszła natychmiast odpowiedź z komputera „Nieśmiertelnego”. Czas mijał, sekundy zmieniały się w minuty, lecz nie nadeszła żadna inna odpowiedź. Ivanth czekał i czekał, po czym znowu czekał.

– Nic. Brak odpowiedzi od dronów, brak odpowiedzi od grup operacyjnych prohuera. Cisza – wysyczał Ivanth, przyznając się tym samym, że nerwy miał naprawdę w strzępach. Na wszystkich częstotliwościach panowała cisza, choć nie powinna. Nawet jeśli w pobliżu nie było oddziałów prohuera, zakładając, że naprawdę nie stało się nic poważnego, na częstotliwościach dronów powinno się słyszeć nieustanny harmider. Ale i tutaj panowało milczenie. Dwa okręty dryfowały przez wnętrze Ula, z ustawionymi na maksimum czułości czujnikami pasywnymi, by wychwycić najsłabsze nawet promieniowanie lub emisje

i uzyskać jakiś obraz sytuacji. Wnętrze Ula wyglądało tak, jak powinno – gwiazda, a wokół niej osłony z zewnętrznej i wewnętrznej warstwy platform, widoczne w odbitym świetle i promieniowaniu.

„A jednak jest tutaj za cicho”.

– Skalibrujcie nasze czujniki i komputery z systemami „Nieśmiertelnego” – rozkazał Ivanth. – Rozpocząć aktywny skan, pełen zakres w znanym spektrum.

– Na rozkaz, komendancie.

„Co tu się stało?”

ROZDZIAŁ 18

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Raport znajduje się już na pani biurku, admirał Gracen.

Gracen skinęła głową i machnęła ręką w podziękowaniu. Matowa, szklana powierzchnia biurka czekała na komendę. Usiadłszy, admirał przesunęła dłonią nad panelem, żeby go włączyć.

Lista plików, w skład której wchodziły oczekiwane przez nią raporty, wyświetliła się na ekranie. Gracen przeszła od razu do raportów produkcyjnych, dotyczących metrowych pocisków jądrowych.

„Nie jest tak źle, jak się obawiałam, przynajmniej produkcja ruszyła i w ciągu tygodnia nadejdzie zaopatrzenie. Oby tylko to wystarczyło”.

Admirał odwróciła się w fotelu i spojrzała na ekran ścienny, gdzie widniał „Enterprise” przechodzący właśnie remont. Nie wiadomo było, ile dokładnie zostało czasu, więc siłą rzeczy Konfederacja zbroiła wszystkie swoje jednostki w broń tranzycyjną.

Tak naprawdę oznaczało to tylko wyposażenie „Enterprise”, „Odysei” oraz samej stacji Liberty. „Valley Forge” stanowił zaledwie zarys w kosmosie, rusztowanie okrętu, zaś pod kolejne trzy nie położono nawet stępki, znajdowały się dopiero w fazie planowania.

Konfederacja po prostu nie miała stoczni, która mogłaby zbudować znaczącą liczbę jednostek. Nie ustalono na to nawet budżetu, dopóki „Odyseja” nie przyleciała z raportem o innej

cywilizacji, choć potem jeszcze poddawano to pod dyskusję. Gracen podejrzewała jednak, że teraz fundusze wzrosną i będzie można przyspieszyć budowę.

„Miejmy nadzieję, że to wystarczy. I nie będzie za późno”.

Stocznie orbitalne stanowiły potężny biznes. Chociaż wielkie okręty wojenne mogły powstać tylko w rządowych dokach, istniały też małe prywatne zakłady produkcyjne. Rozpoczął się już proces przystosowywania tych ostatnich na potrzeby wojska. Była to jednak jedynie prowizorka, na którą zdaniem Gracen nie warto było marnować surowców.

Wydawało się, że jednostki nowej klasy Grasant spełnią swoje zadanie jako ograniczone do obrzeży Układu Słonecznego metalowe puszki. Udało się zapakować na nie tyle uzbrojenia, że stanowiły zagrożenie nawet dla okrętów takich jak „Odyseja” czy „Enterprise”, jednak parametry obronne miały zatrważająco niskie. Pomimo zastosowania zmodyfikowanego kadłuba adaptacyjnego trzeciej generacji ich pancerz był wyjątkowo słaby.

Lasery używane przez Drasinów były potężne na tyle, że nawet przy ułamku ich mocy mogły wypalić pancerz. Trafiony okręt zostałby odarty z poszycia, jeżeli nie było wystarczająco grube. „Enterprise” oraz „Odyseja” posiadały kadłuby odlewane w przestrzeni kosmicznej, grube na stopę i w całości o strukturze nanomolekularnej, okryte przy tym warstwą zmodyfikowanego aktywnego pancerza. Dlatego mogły stracić część poszycia i przejść nad tym do porządku dziennego. Jednostki klasy Grasant nie mogły na to liczyć.

Ostatnio trwała gorąca debata, czy umieścić na pokładzie nowe jednostki systemu zdalnego sterowania, jako odpowiedź na Drasinów. Pomijając zakazy prawne, dotyczące stosowania uzbrojonych dronów w Układzie Słonecznym, istniało też sporo technicznych ograniczeń, które według Gracen uniemożliwiały takie rozwiązanie.

Największe utrudnienie stanowiła prędkość światła. W walce każda sekunda stracona na odczyty danych czy przesłanie rozkazu mogła okazać się fatalna w skutkach. Ale nawet gdyby

Ziemia dysponowała w pełni zautomatyzowanymi jednostkami, było ich za mało. Admirał Gracen nie mogła sobie pozwolić na stratę żadnego, nawet małego okrętu czy platformy, zwłaszcza gdyby sprawy przybrały nie zły, lecz jeszcze gorszy obrót. Liczył się każdy kilogram metalu, jaki znajdował się obecnie w kosmosie.

Nie, mniejsze okręty będą musieli prowadzić ludzie. Gracen nie wiedziała jednak, czy te jednostki wystarczą do uzyskania choćby minimalnej siły uderzeniowej, która zrównoważyłaby ryzyko, na jakie zostaną narażone ich załogi.

„Oby mały pokaz Westona powstrzymał choć na chwilę wroga, a zdążymy wybudować flotę, zwłaszcza że nastroje polityczne temu sprzyjają”.

Admirał wiedziała, że Blok także potroił starania na orbicie, między innymi rozpoczął w swojej stoczni budowę czterech okrętów, podczas gdy dwie superkonstrukcje były już prawie na ukończeniu. Okręty Bloku może nie dorównywały „Odysei” prędkością czy jej nowym możliwościom rażenia wroga i umieszczania ładunków od środka, wywiad jednak donosił, że „Weifang” i drugi okręt dysponowały własnymi sposobami na przeciwnika i doskonale sobie radziły w walce.

„Czas. Potrzebujemy tylko czasu”.

Niszczyciel imperialny „Heros”

UI

– Komendancie, zlokalizowaliśmy… odpadki.

Ivanth wytrzeszczył oczy i obrócił się do oficera. Powoli do niego podszedł.

– Odpadki?

– Powinien pan to zobaczyć, komendancie.

Ivanth skrzywił się, ale pochylił nad ekranami.

„Odpadki” okazało się trafnym określeniem na to, co widzieli. Głównie metalowe fragmenty, z których żaden nie wyglądał znajomo. Analiza ukazała fragmenty metalu z dużą ilością krzemu oraz domieszki innych materiałów. Całość nie pasowała do żadnej zarejestrowanej sygnatury, z jaką Ivanth wcześniej miał do czynienia. Musieli się upewnić, co to może być.

– Pasuje to do czegokolwiek w bazach danych?

– Nie, komendancie. Sprawdziłem kilka razy, nikt nie używa mieszanek, jakie wykazała analiza. Priminae nie stosują metalu do budowy okrętów, nasze to zupełnie inna metalurgia, a Drasinowie są organikami opartymi na krzemie. Nawet pomniejsze cywilizacje nie używają niczego, co by pasowało do tych szczątków.

– A nieznany okręt?

– Nie. Mamy kilka jego odczytów ze skanerów, ale to głównie prosta metalurgia, łatwa do rozpoznania. Nic z tego, co jest tutaj.

Ivanth skrzywił się ponuro. Nie podobało mu się to zupełnie. Ul był praktycznie pusty, żadnego śladu tysięcy dronów, które powinny się tutaj znajdować. Ani śladu grup operacyjnych prohuera. Takie wydarzenia były praktycznie niemożliwe osobno, a co dopiero razem. Logistyka organizacji odlotu tylu okrętów naraz…

Potrząsnął głową. To nie miało sensu.

„Prohuer zapewne porzucił Ul, ale dlaczego?”

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, a jedyna osoba, która mogłaby mu jej udzielić, nie przebywała już w tym systemie gwiezdnym. Ivanth musiał jak najszybciej dołączyć do floty i otrzymać nowe rozkazy. Z dwoma okrętami pod komendą groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby napotkał czy to okręty Priminae, czy nieznaną jednostkę.

No dobrze – to, co tu zaszło, wydawało się nieprawdopodobne. I niepokojące, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak daleko znajdowali się od możliwości wsparcia ze strony Imperium.

Ivanth podjął decyzję.

– „Nieśmiertelny” jest bliżej zatoki piątej. Niech zbada tamtą okolicę, my lecimy do zatoki głównej.

– Wedle rozkazu, komendancie.

„Heros” powoli obrócił się i zaczął zakrzywiać czasoprzestrzeń, przyśpieszając na nowym kursie. Dzięki wykorzystaniu napędu zarówno do akceleracji, jak i zwalniania, w krótkim czasie dotarł do celu. Tej prowizorycznej przystani używały imperialne jednostki do przeładunku i wymiany personelu, dokonywano tam także przeglądów technicznych i podobnych operacji.

Ul był całkowicie obcą konstrukcją, stworzoną przez drony i różne generacje subdronów. Zdaniem Ivantha nie został zaplanowany do podtrzymywania jakiegokolwiek życia. Drony były wstrętnym wynaturzeniem, zrodzonym w jakimś zapadłym kawałku wszechświata, do którego Ivanth miał nadzieję nigdy nie dotrzeć, a w ich intencjach nie leżało tworzenie konstrukcji do użytku nie tylko ludzi, ale i wszystkich innych form życia poznanych przez Imperium.

Pomimo to imperialni inżynierowie zdołali przystosować tę zatokę do napraw, których wykonanie w otwartej przestrzeni byłoby niezwykle trudne lub prawie niemożliwe. Jeśli zostały jakieś wiadomości lub wskazówki dotyczące tego, co tu zaszło, powinny znajdować się właśnie w tej zatoce.

Centrum dowodzenia
Mons Systema, Ranquil

– Admirale.

Rael Tanner podniósł wzrok znad biurka i rozejrzał się za osobą, która go oderwała od pracy.

– O co chodzi, ithan?

Ithan przełknęła nerwowo, co jak Tanner zdążył się już przekonać, było zawsze złym znakiem i nigdy dobrze nie

wpływało na jego zdrowie. Westchnął.

– O co chodzi?

– Odebraliśmy sygnały nadświetlne, admirale.

– Przekaz? Fala czołowa? – zapytał Tanner.

– Nie wiemy. – Ithan wyglądała na zdenerwowaną.

„No dobrze, chyba powinienem rzucić na to okiem". Tannera ogarnęło szczere zaciekawienie. Centrala posiadała informacje o prawie wszystkich odnotowanych do tej pory sygnałach nadświetlnych z okresu obserwacji obejmującego mniej więcej dziesięć tysięcy lat. Odkrycie czegoś nowego było… rzadkością. Coś podobnego zdarzyło się ostatnio tylko raz, gdy do układu planetarnego Priminae przyleciała „Odyseja".

Tanner podszedł do głównego ekranu podłączonego do siatki skanerów i zrozumiał, co młodsza oficer miała na myśli.

„Nigdy w życiu nie widziałem tak silnego sygnału nadświetlnego".

Sygnał rozpościerał się na niewiarygodnym wycinku kątowym obejmującym kilka sekund i docierał do czternastu czujników dalekiego zasięgu.

– Prawie jak wzbudzenie łukowej fali czołowej – stwierdził Tanner po chwili namysłu. – Ale okręt, który by to wywołał, musiałby być wielkości układu gwiezdnego.

– Dlatego pana wezwałam, admirale. Nie wiadomo, co to jest – odparła ithan. – Najbardziej zbliżony sygnał, jaki posiadamy w zapisach, to eskadra zakrzywiająca czasoprzestrzeń przy najwyższej możliwej prędkości.

– Widziałem już taki sygnał – stwierdził oschle Tanner. – Ale w wielokrotnie mniejszej skali w porównaniu z tym tutaj. Żeby coś takiego wywołać… potrzeba by… tysięcy…

Urwał, bo nagle zaschło mu w ustach.

– Która stacja pierwsza to wykryła?

– Fierra dwa-pięć-dziewięć, w sektorze dziewięć-osiem-trzy.

Tanner aż syknął.

– To posterunek, który znajduje się najbliżej konstrukcji gwiezdnej odkrytej przez „Odyseję".

– Zgadza się, admirale.

– W którym kierunku zmierza sygnał? – zapytał Tanner, a serce zabiło mu gwałtownie. – Jaki ma wektor?!

– A-admirale? – zająknęła się ithan i cofnęła o krok.

– Czy to wektor wymierzony w któryś z naszych światów?!

– N-nie. Sygnał zmierza w głąb ramienia Galaktyki, w przeciwną stronę niż nasze kolonie.

Tanner odetchnął z ulgą.

– Nie wiem, kto nad nami czuwa, ale niechaj mu będą dzięki.

Wziął kilka głębokich oddechów, rozważając kolejne posunięcie, po czym skinął głową.

– Śledźcie źródło i wyślijcie ostrzeżenie, by żaden okręt nie zapuszczał się w pobliże fali i jej trajektorii. Meldujcie mi o wszelkich zmianach. Muszę to skonsultować z Centralą.

– Tak, admirale.

Tanner odwrócił się i opuścił bunkier dowodzenia.

Niszczyciel imperialny „Heros”
Ul, główna zatoka serwisowa

– Komendancie, odkryliśmy boję imperialną wewnątrz zatoki.

– Można ustalić, z której jednostki pochodzi?

Podwładny przytaknął.

– Tak, znaleźliśmy alarmowe urządzenie rejestrujące, komendancie. Niestety, uszkodzone.

– Sprowadzić na pokład.

Ivanth przyglądał się, jak boja jest izolowana i wciągana do jednej z ładowni „Herosa”. Wiedział, że upłynie trochę czasu, zanim urządzenie zostanie zabezpieczone tak, by nie stanowiło zagrożenia dla okrętu lub załogi, ale Ivanthowi ledwie wystarczyło cierpliwości, żeby znieść oczekiwanie na załadunek. Boje alarmowe wystrzeliwano automatycznie, jeśli okręt Imperium znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a samo urządzenie było prawie niezniszczalne. Dlatego

uszkodzenia boi świadczyły o istnieniu poważnego zagrożenia w pobliżu, ale sytuacja wydawała się bardziej skomplikowana, ponieważ brak jakichkolwiek śladów zniszczeń w zatoce temu przeczył.

„Na osobliwości Otchłani, co mogło zagrozić okrętowi Imperium, ale nie zostawić żadnych śladów?”

Tylko kilka rzeczy w Galaktyce mogło tego dokonać.

– Sir! Sygnał alarmowy z „Nieśmiertelnego”!

Ivanth odwrócił się szybko.

– Co nadają?

– Nic, komendancie. Czysty sygnał o zagrożeniu na wszystkich częstotliwościach.

– Wciągnąć boję na pokład „Herosa”, JUŻ! – zagrzmiał. – Odwrócić zakrzywienie czasoprzestrzenne, pełna moc!

– Wedle rozkazu, komendancie!

Okręt zatrzeszczał lekko, gdy moc popłynęła do pól zakrzywiających czasoprzestrzeń, które tworzyły sferę wysokiego ciśnienia grawitacji na rufie i słabego na dziobie. Obszar wysokiej grawitacji przyciągał okręt, podczas gdy niskiej pchał, więc „Heros” zaczął oddalać się od zatoki ze stałym przyśpieszeniem.

Gdy tylko okręt ruszył, Ivanth przywołał dane z czujników pasywnych, ale ujrzał na ekranie spokojnego i cichego „Nieśmiertelnego”. Sygnały alarmowe poruszały się z prędkością nadświetlną, a dane ze skanerów pasywnych, ograniczonych prędkością światła, miały kilka minut opóźnienia. W tym czasie wszystko mogło się zdarzyć.

– Kurs na „Nieśmiertelnego”, przygotować się do zakrzywienia czasoprzestrzeni – rozkazał Ivanth. – Pełna moc, gdy tylko będziemy gotowi.

***

Silne pola grawitacyjne naciskały na okręt, efekty fali wyczuwało się w ogromnej konstrukcji. Wyginały metal,

ponieważ przy pełnej mocy części jednostki bliżej studni grawitacyjnej były przyciągane mocniej niż pozostałe.

W skrajnych przypadkach siła grawitacji dosłownie rozrywała wiązania atomowe i cząsteczkowe w sposób, w jaki nigdy nie powinna. Ludzcy naukowcy nadali temu zjawisku techniczną nazwę „spaghettifikacji". Słowo to było aż nazbyt trafnym określeniem.

Oczywiście generatory, nawet tak potężne jak te na „Herosie", nie dorównywały wpływom oddziaływań gwiazd, zwłaszcza czarnych dziur. Spaghettifikacja nie groziła okrętowi, lecz stałe oddziaływanie zmiennych pól grawitacyjnych mogło nadwyrężyć konstrukcję do tego stopnia, żeby ją złamać.

Dlatego tylko w naprawdę wyjątkowych sytuacjach dowódca jednostki wydałby rozkaz użycia całej mocy napędu.

***

„Heros" w okamgnieniu przeszedł z dryfu do prędkości światła i równie szybko się zatrzymał, gdy dotarł do miejsca przeznaczenia. Efekt Dopplera przy takim ekstremalnym przyspieszeniu spowodował, że zaawansowane systemy nie wytrzymały i przez sekundę okręt był ślepy.

Ślepy, ale nie głuchy.

Sygnał alarmowy cały czas docierał z „Nieśmiertelnego", jednak z taką energią, że zagłuszał inne pasma i uniemożliwiał nadanie modulowanego przekazu, aby spytać, co się stało. Załoga drugiego okrętu nie nadawała dodatkowo żadnej wiadomości. Nie odpowiadała na wezwania i nie przesyłała nic na jakiejkolwiek częstotliwości. Przez chwilę na mostku rozbrzmiewała tylko wyjąca syrena, a wszyscy wstrzymywali oddech i zastanawiali się, co teraz będzie.

Gdy tylko na ekrany wróciła wizja, wydawało się, że wszystko w porządku. Ivanth wpatrywał się w wyświetlane obrazy z nieskrywanym grymasem irytacji, wzbierała w nim złość na siebie i na kapitana „Nieśmiertelnego" za marnowanie czasu.

I wtedy właśnie dostrzegł lekki ruch na pancerzu okrętu. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

– Zbliżenie!

Ekran zamigotał, gdy przybliżył obraz stukrotnie, a na mostku zapadła cisza. Potem ktoś zaklął. Ivanth chciał go za to zbeształ, ale wtedy zdał sobie sprawę, że to on sam.

Po kadłubie „Nieśmiertelnego" pełzały drony żołnierze.

– Aktywny skan na pełnym spektrum – zażądał otępiałym głosem Ivanth. – Stanowiska obronne, strzelać bez rozkazu. Alarm bojowy, cała załoga na pozycje.

Ostatni rozkaz był zbędny, Ivanth zdawał sobie z tego sprawę. Zjadłby własny mundur ten, kto jeszcze nie znajdował się na stanowisku. Powaga sytuacji wykraczała poza atak paru dronów na okręt Imperium. Sposób, w jaki je zbudowano, nie pozwalał zwariować tylko kilku wybranym egzemplarzom. Skoro zbuntował się jeden, zrobiły to wszystkie.

Kiedy drony oszalały w systemie nieznanej rasy, coś się stało i tutaj.

Nie to go zaskoczyło. Dziwił się, gdyż istniała ogromna różnica między atakiem na dany gatunek bez rozkazu a atakiem na jednostkę Imperium.

– Komendancie, jesteśmy otoczeni!

Ivanth osłupiał. Ogarnęła go irracjonalna groza, nim wróciło wyszkolone opanowanie.

– Na moje ekrany.

Dane popłynęły po monitorach. Ivanth starał się je przesiać, przetworzyć najszybciej jak mógł, a zarazem nie wysunąć języka lub nie zrobić czegoś równie poniżającego.

Rzeczywiście, byli otoczeni, ale nie wyglądało to tak źle. W przestrzeni unosiło się dosłownie tysiące dronów żołnierzy, ale nie potrafiły zakrzywiać czasoprzestrzeni ani manewrować w kosmosie.

„Zapewne zmiażdżyliśmy setki z nich, gdy zwalnialiśmy. Inaczej byłyby także na naszym kadłubie".

– Zdjąć drony z poszycia „Nieśmiertelnego" – rozkazał Ivanth. – Śledzić wszystko wokół nas, pełny zakres aktywnego

skanowania. Nie interesuje mnie, kto nas zobaczy, chcę widzieć wszystko.

– Na rozkaz!

Pojedyncze strzały laserów strącały kolejne drony z poszycia drugiego okrętu, w tym czasie „Heros” kontynuował śledzenie pozycji wszystkich zawieszonych w przestrzeni jednostek. Nie było sygnału z żadnego dronowca, co nie miało dla Ivantha żadnego sensu. Nie mógł zrozumieć, co właściwie ogląda.

„Tysiące gotowych do walki okrętów i dosłownie miliony replikatorów. Wszystkie nie mogły zniknąć. Dokąd zatem poleciały?”

ROZDZIAŁ 19

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

Kapitan Kian zatrzymała się, gdy komunikator przy jej uchu zawibrował. Przeprosiła grupę towarzyszących jej Terran i cofnęła się o krok.

– Tu Kian – powiedziała na otwartym kanale. – O co chodzi?

– Sygnał z Ranquil, kapitan Kian – drugi oficer mówił śmiertelnie poważnym tonem. – Wykryto sygnał w nadświetlnej. Naprawdę potężny.

Kian zamarło serce.

– Co to znaczy „potężny”?

– Porównywalny do tysięcy okrętów w nadświetlnej, zakrzywiających czasoprzestrzeń z pełną mocą.

Kapitan zamknęła oczy.

„Rzeczywiście potężny”.

– Gdzie się kierują?

– Lecą tutaj, kapitan Kian.

Prawie podskoczyła, szerzej otworzyła oczy.

– Dowództwo jest pewne?

– Dowództwo nie ma pojęcia. Sam przeliczyłem wektor sygnału. Powinniśmy wykryć pierwsze oznaki zbliżających się jednostek nadświetlnych za kilka godzin.

– R-rozumiem.

– Potrzebne nam rozkazy, kapitan Kian.

Kian zastanowiła się, po czym zacisnęła zęby.

– Wkrótce się skontaktuję. Na razie chcę, by „Posdan” i „Nept” dokonały pełnego przeglądu, od pancerza po rdzenie.

Upewnijcie się, czy okręty są gotowe do akcji.

– Tak jest, kapitan Kian.

Zamknęła kanał i rozejrzała się po pomieszczeniu. Jej wzrok padł na kapitana Westona, stojącego z grupką ludzi, których nie znała. Małe zebranie, by ustalić wspólne cele, było czymś w rodzaju terrańskiej tradycji, dzięki temu można było poznać się nawzajem, nauczyć się zwyczajów i nawyków towarzyszy. Przynajmniej tak to Kian wytłumaczono. Niewątpliwie takie zebranie miało jedną zaletę – pozwalało jej łatwo odnaleźć ludzi, z którymi musiała porozmawiać. Kian ruszyła przez salę.

Wyraz twarzy Erica zmienił się ze znudzonego na zadowolony, a zaraz potem całkowicie poważny, gdy jego wzrok padł na Kian.

– Pani kapitan – powitał ją kurtuazyjnie, gdy tylko się zbliżyła. – Czy coś się stało?

Kian przyjrzała się osobom zebranym wokół. Nie rozpoznała jednego z mężczyzn, spojrzała więc pytająco na Westona. Uśmiechnął się.

– Kaptian Kian, to Gregory Wolfe, komodor i komendant naszych zakładów na Marsie.

– Komodorze – odpowiedziała chyba nieco zbyt szorstko, jak na normy uprzejmości, miała jednak ważniejsze sprawy na głowie. – Kapitanie… jest pewien problem.

Eric skinął głową.

– Coś, z czym my, nisko postawieni kapitanowie, możemy dać sobie radę, czy coś, z czym powinniśmy zgłosić się wyżej?

– Wyżej, kapitanie, zdecydowanie wyżej.

Terrański kapitan i komodor wymienili spojrzenia, które świadczyły, że potrafią porozumieć się bez słów, po czym skinęli głowami.

– Poszukam admirał Gracen. – Wolfe ukłonił się lekko. – Ericu, może znajdziesz dla nas spokojniejsze miejsce do rozmowy?

– Oczywiście – zapewnił Weston krótko. Położył Kian dłoń na plecach i wyprowadził ją z pomieszczenia. – Tędy, pani kapitan.

***

Admirał Gracen potrzebowała miejsca, żeby usiąść.

Nie, potrzebowała alkoholu. Dużo.

„Na tyle dużo, żeby paść i porządnie się wyspać” – pomyślała po usłyszeniu słów kapitan Priminae. Oficerowie zrozumieli, co oznaczały usłyszane wieści, i byli wstrząśnięci tak samo jak ona. Tysiące okrętów Drasinów. To nie był koszmar. To był koniec.

– Nie damy rady zatrzymać takiej siły – Gracen oficjalnym tonem potwierdziła to, co wszyscy już wiedzieli. Słowa, których admirał wolałaby nie wymawiać, których nikt nie chciałby wymówić ani usłyszeć. Jednak zostały powiedziane i nie można ich było cofnąć.

– Przecież udało wam się zniszczyć błyskawicznie całą flotyllę – zaprotestowała Kian. – Możecie więc…

– Nie mamy tyle amunicji – przerwał Eric i wyraźnie przygarbił się na krześle. – Ile mamy, pani admirał? Dwieście, trzysta?

– Może nieco więcej – odparła Gracen. – Około trzystu pięćdziesięciu. Kolejnych kilkadziesiąt może uda się wycisnąć z zakładów produkcyjnych, jeśli nie będzie jakichś problemów. Załóżmy, że będziemy mieć do dyspozycji czterysta pestek, o ile nam się poszczęści.

Kian zmarszczyła ponuro brwi, chociaż nie całkiem miała pojęcie, o czym rozmawiają Terranie. Pestki? Co mają do broni jakieś owoce? Zrozumiała jednak sytuację w ogólnym zarysie. Terranie mogli zniszczyć kilkaset okrętów wroga, co stanowiło samo w sobie pokaźną liczbę. Rasa Kian ledwo dawała sobie radę w pojedynczych konfrontacjach, a ci ludzie potrafili zmieść tak dużo dronów… Jednak wciąż za mało. To było tak przerażająco niesprawiedliwe, tak bardzo nie w porządku…

Zadrżała, ale zaraz skinęła głową.

– „Posdan” oraz „Nept” wezmą na pokład każdego, kogo zechce pani ewakuować z systemu, admirał Gracen.

Gracen spojrzała na nią i także kiwnęła głową.

– Dziękuję. Dam pani znać.

Kian wstała.

– Powinnam wrócić na okręt i dopilnować, żeby wszystko było gotowe. Pragniemy pomóc, na ile tylko zdołamy.

– Kapitan Kian – zatrzymała ją admirał.

– Tak?

– Proszę nie pozwolić, aby pani okręty zostały przyszpilone przez wroga – powiedziała Gracen beznamiętnie. – Nie ma sensu umierać tutaj na próżno.

Kian powoli skinęła głową.

– Nie pozwolę. Proszę się ze mną skontaktować, gdy będzie pani mogła. Zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc.

– Dziękuję.

Gdy tylko kapitan Priminae wyszła, Gracen zwróciła się do dwóch pozostałych osób w gabinecie. Na jej twarzy odmalowała się ni to surowość, ni zagubienie.

– Podejrzewam, że nie macie żadnych pomysłów?

– Niestety – przyznał z bólem Wolfe.

Gracen spojrzała wyczekująco na milczącego Erica. Wpatrywał się w przestrzeń, dosłownie i w przenośni.

– Kapitanie? – próbowała go wyrwać z zamyślenia. – Kapitanie?!

Eric spojrzał na nią.

– Przepraszam, admirał Gracen. Słucham?

– Pytałam, czy ma pan jakiś pomysł – warknęła Gracen.

– Możliwe – przyznał. – Ale muszę porozmawiać z tym kapitanem Bloku, który dowodzi „Weifangiem”.

– Co to da? – spytała. – Używają zasadniczo skutecznej broni, ale z doniesień wywiadu wynika, że nie są w stanie dorównać „Odysei”, zwłaszcza po zamontowaniu na niej dział tranzycyjnych.

– Mam tylko pomysł, ale muszę najpierw coś potwierdzić.

Gracen skrzywiła się niechętnie.

– Proszę zatem tak zrobić. Ja muszę się skontaktować z Pentagonem.

– Tak jest! – Eric zasalutował i opuścił gabinet.

Gracen spojrzała za nim.

– Ten człowiek przyprawi mnie o wrzody, o ile pożyję wystarczająco długo.

– Admirał Gracen, wiem, że dowództwo nie postrzega kapitana w najlepszym świetle, zwłaszcza teraz – cicho i z powagą zaczął Wolfe – ale nie ma nikogo innego, na kim polegałbym w walce tak, jak na Ericu Westonie.

– Komodorze, walka nigdy nie była jego słabym punktem.

***

Eric przemierzał korytarze stacji, kierując się do ambasady Bloku. Blok nie trzymał tu dużego personelu, podobnie jak Konfederacja na jego stacji po drugiej stronie planety. Kiedy jednak kapitan znalazł się w odpowiednim sektorze, nie podszedł do ambasady zbyt blisko, aby nie uznano jego poczynań za podejrzane i nie wszczęto alarmu. Przynajmniej taką miał nadzieję.

„Jeszcze tego mi brakowało, żeby jakiś oficer ochrony Bloku zobaczył, że Eric Weston kręci się koło wschodniej ambasady".

Po dwóch minutach odwrócił się i ruszył do spokojniejszej części stacji. Kupił napój w automacie i usiadł na ławce. Po dwudziestu minutach nie siedział już sam.

– Zaryzykowałeś.

Eric uśmiechnął się.

– Zawsze, gdy cię widzę, kładę życie na szali. Dobrze, że znowu mamy okazję pogadać, Jei.

Jei Fan, wybitny kamerzysta Lynn Mei, sapnął i usiadł naprzeciwko starego przyjaciela, który czasami był wrogiem.

– Gotowy, by opowiedzieć, co zaszło między tobą a Lynn? Od akcji w Pekinie tylko czeka na okazję, żeby usmażyć ci dupę.

– Może innym razem. Potrzebuję przysługi.

– A kiedy nie potrzebujesz? – prychnął Jei, na wpół z rozbawieniem, na wpół z oburzeniem. – Co tym razem?

– Kapitan „Weifanga” – stwierdził Eric. – Muszę z nim pogadać.

– Poproś o coś, co mogę zrobić – odparł zirytowany Jei. – Kapitan Sun przebywa na swoim okręcie. Wiesz, że Blok monitoruje wszystkie połączenia z tą jednostką.

Eric westchnął.

– To, co powiem, nie jest przeznaczone dla szerokiej publiczności, dobrze, Jei?

Kamerzysta rozejrzał się dyskretnie, po czym wbił wzrok w Erica i przypatrzył mu się dłużej, nim kiwnął głową.

Eric zawahał się, rozważając sytuację. Pod wieloma względami i w niemal każdych okolicznościach udostępnianie informacji Blokowi postrzegano jako zdradę. Biorąc jednak pod uwagę, że Ziemia za kilka dni prawdopodobnie przestanie istnieć, Weston był gotów podjąć ryzyko.

– Nasi sojusznicy dostali wiadomość ze swoich kolonii – wyznał w końcu. – W naszym kierunku zmierza wroga flota. Poza nami nie ma na jej kursie nic, co mogłoby stanowić cel.

Jei Fan nie był tylko kamerzystą, podobnie jak Eric nie był też tylko pilotem. Chińczyk od razu pojął skalę zagrożenia, o którym mówił kapitan, i zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Wiesz, że będę musiał poinformować przełożonych.

Eric skinął głową, wiedząc, że nie chodziło o kierowników nowego kanału wiadomości. Jei był od dawna członkiem agencji wywiadu Bloku.

– Sami się dowiedzą za dzień lub dwa. Nie pozwól tylko, by wypłynęło moje nazwisko.

– Rozumiem. Dlaczego chcesz porozmawiać z Sunem?

– Potrzebuję „Weifanga”.

Jei zakrztusił się napojem. Przez chwilę rozpaczliwie walczył o oddech.

– Czego potrzebujesz? – wydusił wreszcie, patrząc na Westona z niedowierzaniem.

– Kiedy walczyliśmy z Drasinami po raz pierwszy – zaczął Eric – zauważyłem coś w sposobie działania ich napędu. Coś, co znałem z teorii, ale nigdy nie widziałem w praktyce. „Weifang”

używa podobnego systemu, na tych samych zasadach. Możemy to wykorzystać i przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Jei potrząsnął głową.

– Tego już za wiele, Eric. Może udałoby się skontaktować z Sunem, ale Blok nigdy nie pozwoli na użycie „Weifanga". Nie w tym stanie i nie po tragedii, do jakiej się przyczynił.

– Tragedia? Jei, tragedia dopiero nadchodzi – spokojnie odparł Eric, popijając sok. – I choć wolałbym tego nie przyznawać, Sun tylko przyspieszył nieuniknione. Ten dzień i tak by nadszedł.

– Masz na myśli: odkąd tylko zdradziłeś tym obcym nasze istnienie.

– Nie, od zawsze. – Eric odstawił szklankę i spojrzał ostro na przyjaciela. – Zaufaj mi. Nie wiem, kto pociąga za sznurki tych dronów, ale nie dbają oni o życie i nie mają najmniejszych oporów moralnych w twoim i moim rozumieniu. Zajęłoby im to może więcej czasu, ale prędzej czy później by nas znaleźli. Teraz, gdy już tu są, zapytam cię wprost: powinniśmy ginąć razem… czy też stracić życie osobno?

Oficer wywiadu Bloku spojrzał na Westona ponuro, a po chwili wstał i warknął z niechęcią:

– Mogę skontaktować cię z Sunem. Ale to, co potem obaj uknujecie, spadnie tylko na wasze głowy.

Eric popatrzył, jak Jei się oddala, po czym pociągnął łyk i raz jeszcze przeanalizował odbytą właśnie rozmowę.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

***

Suna nie można było nazwać szczęśliwym człowiekiem.

Tytularnie wciąż pełnił funkcję dowódcy „Weifanga", ale podejrzewał, że ten stan rzeczy nie potrwa długo, skoro go wezwano.

Od jakiegoś czasu czekał na takie wezwanie, ale zaskoczyło go, że ma się zjawić na stacji Konfederacji i że wezwanie

przesłał wywiad.

Sun spodziewał się, że zostanie posłany bezpośrednio na Ziemię, więc ta sytuacja nieco go skonfundowała.

Stawił się dokładnie o czasie, jak mu nakazano. Został wprowadzony do pomieszczenia ochrony o nagich, szarych ścianach. Stało tu krzesło przy plastikowym biurku, więc kapitan usiadł i czekał. Zajęło to prawie godzinę. Tak przynajmniej mu się wydawało, bo nie wziął ze sobą żadnych urządzeń z czasomierzem, a w pomieszczeniu nie było zegara.

– Kapitan Sun. – Drzwi w końcu się otworzyły i w progu stanął jakiś mężczyzna. – Zapewne się pan zastanawia, dlaczego wezwano pana na Liberty?

Nieznajomy wypowiedział nazwę stacji lekko szyderczym tonem. Zaintrygowało to Suna, ale odpowiedział tylko:

– Tak jest.

– Cóż, obawiam się, że to zwykła urzędnicza pomyłka. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Jest pan wolny.

Sun zamrugał.

„To jakiś żart”.

Wstał powoli, nie spuszczając wzroku z nieznajomego, jakby oczekiwał, że coś się stanie. Podszedł do drzwi, a mężczyzna przepuścił go bez zwłoki. Gdy jednak Sun go mijał, nieznajomy złapał go za ramię. Sun wzdrygnął się. Był lojalny wobec rządu, ale Blok nie wybaczał żadnych uchybień i nie uwzględniał okoliczności łagodzących.

– Skoro już pan tu jest, doradzam skorzystać z restauracji na tarasie widokowym – powiedział tajemniczy mężczyzna z niepokojącym uśmiechem. – Wspaniały widok, a TOWARZYSTWO naprawdę interesujące.

Sun zatrzymał się, słysząc nacisk na słowo „towarzystwo”. Spojrzał niepewnie. Na twarzy nieznajomego wciąż gościł ten sam promienny uśmiech.

– Oczywiście, sir. Dziękuję za sugestię – potwierdził czujnie Sun.

– Nie ma za co. Pragnę również przeprosić za zaistniałe niedogodności.

Sun potrząsnął głową.

– Jak pan sam powiedział, nie ma za co.

Nie zamierzał skarżyć się na kogoś, kto wyraźnie należał do wywiadu. „Mam wystarczająco dużo problemów”.

Wciąż był zaskoczony, że wypuszczono go z ambasady ledwie z przysłowiowym klepnięciem w plecy.

„Albo w tyłek” – pomyślał Sun, wspomniawszy, jak protekcjonalnie potraktowano go na niedawnym „spotkaniu”.

Poza terenem ambasady zatrzymał się na korytarzu. Niezdecydowany obejrzał się na tunel prowadzący na lądowisko promów, po czym zerknął na mapę, gdzie wyświetlał się znacznik „tu jesteś” i trasy wiodące do różnych sektorów stacji Liberty.

„Chyba bardziej ugrzęznąć się nie da”.

Westchnął i obrał kierunek na taras widokowy. Taras znajdował się kilka poziomów poniżej ambasady, prawdopodobnie po to, by można było bez problemów oglądać Ziemię. Sun rozmyślał przez całą drogę, póki nie wsiadł do windy, która zabrała go do celu.

***

Gdy Eric wszedł do wielkiej sali, od razu dostrzegł chińskiego kapitana. Mężczyzna minę miał niepewną, jego niepokój zdradzała też mowa ciała. Weston domyślił się, że Jei nie poinformował nieszczęśnika, po co ma się tutaj stawić. Machina wywiadu stosowała takie sztuczki – gdyby sprawy potoczyły się niezgodnie z planem, można było zostawić Suna na lodzie bez obaw, że zezna coś niepożądanego.

Jei Fan nie był zdrajcą Bloku, podobnie jak Eric nie był zdrajcą Konfederacji. Obaj wiedzieli jednak od lat, że posiadanie dojścia do obozu przeciwnika pozwala uchronić obie strony od zrobienia czegoś naprawdę niewiarygodnie głupiego. Zazwyczaj wiązało się to z małymi przysługami, a czasami próbowali dokonać czegoś większego, gdy ten drugi nie

patrzył. Wszystko to było wielką grą, czyli czymś, czego Eric nie znosił, gdy chodziło o działania wywiadu.

Spędził wystarczająco dużo czasu w CIA, zaraz po służbie w Marines. Firma potrzebowała pilota do wysoce ryzykownej misji, a Weston potrzebował zajęcia, które nie polegało na wygniataniu tyłkiem kanapy i patrzeniu, jak świat pogrąża się w otchłani piekła.

W Firmie oblatywał maszynę, która oficjalnie nie istniała. Impulsowy odrzutowiec zwiadowczy przyspieszał tak gwałtownie, że Eric miał na kręgosłupie na stałe odciśnięty ślad po szwach fotela. Zdarzyło mu się także latać nad Pacyfikiem w niewidzialnym samolocie, który jak nic innego na świecie poddawał się poleceniom pilota. A misja, podczas której musiał dotrzeć do Chin i „zdobyć" prototyp CM, pozwoliła mu się bez problemu zakwalifikować do programu Archaniołów.

Kochał tę pracę. Nie cierpiał tylko pracodawcy. I samej Firmy.

Szpiedzy byli opisywani w najlepszym razie jako cwane małe skurwiele, ale tylko gdy pracowali. Gdy nie pracowali, byli najnudniejszymi ludźmi na świecie. Eric nie miał najmniejszej ochoty spotkać któregoś i unikał tego jak ognia. Bohaterowie filmowi, tacy jak James Bond, mogli być stworzeni na wzór prawdziwych agentów, ale w dobie wywiadu elektronicznego typowy mistrz wśród szpiegów był mniej interesujący od nastoletniego hakera. Z tą różnicą, że szpiedzy bardziej dbali o higienę. Zazwyczaj.

Weston obserwował chińskiego kapitana. Mężczyzna zamówił lekki posiłek. Eric pozwolił mu znaleźć stolik i zabrać się do jedzenia, nim podszedł. Użył wszystkich swoich zdolności aktorskich, udając, że „zauważa" mężczyznę przez pomieszczenie, a potem wpatruje się w niego ze zdziwieniem. W końcu podniósł się z krzesła, wziął swój napój i ruszył do Sun Ang Wena, przyciągając jego uwagę, gdy wskazał na miejsce przy stoliku.

– Mogę się przysiąść?

Chińczyk przyjrzał mu się czujnie i Eric dostrzegł w jego oczach błysk rozpoznania. Nic dziwnego. Zaczął być znaną

postacią jeszcze za czasów pracy w Firmie, zanim objął dowództwo „Odysei” i nawiązał kontakt z obcymi. W pewnym sensie obcymi.

– Proszę – odparł Sun po angielsku z lekkim akcentem. Eric skorzystał z zaproszenia.

– Kapitan Sun Ang Wen, zgadza się?

Sun ostrożnie kiwnął głową, ale rozejrzał się po pomieszczeniu. Eric uśmiechnął się, wiedząc, że Chińczyk szuka osoby, z którą miał się spotkać. Kapitan Bloku z pewnością nie spodziewał się, że wywiad zaaranżował spotkanie z Westonem, biorąc pod uwagę jego misję na terytorium Chin pod koniec wojny.

„Wciąż pewnie jesteśmy tam ścigani za »zbrodnie wojenne«” – pomyślał Eric.

Była to trudna misja – dotarcie do bazy wojskowej pracującej nad bronią biologiczną. Placówka znajdowała się w centrum Pekinu. Firma oznaczyła Chiny jako kraj niebezpieczny i wysłała grupę uderzeniową. Mieli wykonać zadanie po cichu, ale zanim wyruszyli, byli już spaleni.

Udało się jednak zdobyć dane projektu. Na samą myśl o produkowanej tam broni Erica do dziś przechodziły dreszcze, a samo zadanie również do przyjemnych się nie zaliczało. Nic nie wyszło z wykonania go po cichu, zwłaszcza że członkowie grupy zostali straceni za szpiegostwo. Taka przynajmniej była oficjalna wersja Bloku. Nagranie z przekazów radiowych jednak dowodziło, że zespół walczył do ostatniego człowieka.

Wtedy padł rozkaz, że zakład musi zostać zniszczony, i to jak najszybciej. Nie można było dać Chińczykom czasu na przeniesienie placówki lub tylko projektów badawczych. Ale chociaż amerykański Korpus Marines zawsze słynął z tego, że wzywało się go, gdy trzeba było coś doszczętnie i szybko unicestwić, to jeśli zniszczenie musiało nastąpić bardzo szybko, posyłało się Archanioły.

Misja nie była sama w sobie wyjątkowa. Archanioły zrzuciły inteligentne termitowe pociski penetracyjne na laboratoria, podpalając wszystko i wszystkich w środku. Dodatkowym

efektem ubocznym był pożar sąsiednich budynków przemysłowych. Liczba ofiar pozostała do dziś nieznana, a choć akcja odbyła się w nocy, zapewne śmierć poniosło wielu ludzi, ponieważ Blok wymagał, aby zakłady pracowały bez przerwy.

Dość rzec, że od tamtej pory Eric nie był mile widzianym gościem w Pekinie.

– Kapitan Weston – odezwał się Sun z zaskakującym opanowaniem i uprzejmym skinieniem głowy. – Jestem zaskoczony, że nie przebywa pan na „Odysei".

– Ach, moja mała poradzi sobie beze mnie przez chwilę – uśmiechnął się Eric.

Sun lekko się zdziwił. Eric zapomniał, że Chińczycy nie mają tradycji przypisywania płci swoim okrętom.

– Jestem pewny, że sobie poradzi – odpowiedział Sun lekko zmieszany, ale i rozbawiony. – Sądziłem jedynie, że jest pan bardzo zajęty po ostatniej walce.

Eric przytaknął, chociaż sam nie nazwałby tego walką. Nie licząc potyczki na samym początku, to była po prostu rzeź.

– Cóż, tak… O tym właśnie chciałem z panem porozmawiać.

Sun szerzej otworzył oczy, a rysy jego twarzy stwardniały. Chyba zorientował się, że to właśnie Weston był osobą, z którą zaaranżowano mu spotkanie.

– Proszę wybaczyć, ale nie wydaje mi się, że to będzie właściwe.

– Pański rząd został… dyskretnie poinformowany o tym, co zaraz panu powiem, a w ciągu paru dni i tak wszyscy się dowiedzą – zaczął Eric. – Nie jest to coś, co chcielibyśmy rozgłaszać, ale dłużej nie da się tego ukrywać przed opinią publiczną. Drasinowie nadlatują, kapitanie. Przypuszczalnie w ciągu dwóch dni będą w Układzie Słonecznym.

Sun wyprostował się i wyraźnie napiął.

– Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

– Ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy – wyznał Eric. – A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Nie rozumiem.

– Nie znamy dokładnej liczby, ale szacujemy, że wrogowie nadlecą całą armią – wyjaśnił Weston. – Więcej okrętów, niż mamy amunicji.

Sun wpatrywał się w niego, a jego twarz mówiła wszystko. Przerażenie, poczucie winy, zdumienie. Eric prawie mógł czytać mu w myślach i szczerze mówiąc, zamierzał wykorzystać to, żeby manipulować Sunem, jeżeli zajdzie potrzeba, chociaż wolał tego uniknąć. Jeżeli jednak zostanie zmuszony… Cóż, chyba nie spędzi mu to ostatecznie snu z powiek.

Sun opuścił wzrok na stół.

– Nie wiem, w czym mogę pomóc.

Eric westchnął.

– No cóż, na początek chyba jestem panu winien przeprosiny, kapitanie.

– Nie… rozumiem – powiedział Sun po raz drugi, jeszcze bardziej zmieszany.

– Tropiliśmy pana – wyznał Eric. – Gdy pański okręt leciał z nadświetlną, nie mogliśmy się z panem skontaktować i ostrzec, że jest śledzony, więc wydałem rozkaz, aby strzelić do pańskiej jednostki.

Sun zamarł. To, do czego ten człowiek się przyznał, stanowiło pełnoprawne wypowiedzenie wojny. Sun przemyślał jednak sytuację i spochmurniał.

– Szkoda, że się panu nie udało, kapitanie. Nie powinniśmy byli wrócić do domu.

Eric wzruszył ramionami. Przecież wiedział doskonale, że ten dzień i tak musiał nadejść. Prędzej czy później. Może nie tak wcześnie, ale gdzieś w kosmosie były istoty pragnące zniszczyć „Odyseję” wraz z gatunkiem, który ją zbudował. Wcześniej czy później odnalazłyby Ziemię i raczej nie po to, aby porozmawiać lub negocjować.

Nie zamierzał tego jednak mówić Sunowi. Westonowi zależało, by ten mężczyzna chciał mu pomóc.

– Liczyłem, że zwrócę na siebie pana uwagę – przyznał. – Dlatego użyliśmy tylko broni konwencjonalnej, jednak z mizernym skutkiem, bo pański okręt nawet tego nie poczuł.

– Zaginaliśmy przestrzeń – wyjaśnił Sun. – Trudno się przebić, gdy zakrzywiamy ją na pełnej mocy.

– Zapewne – westchnął Eric. – Gdy nas minęliście, zaatakowaliśmy Drasinów, którzy śledzili „Weifanga", bronią impulsową. Jest ona panu znana?

Sun przytaknął odruchowo, przyznając tym samym, że Blok wie o technologii Konfederacji nieco więcej niż to, co ujawniały media. Eric uśmiechnął się tylko i kontynuował:

– Pociski z antymaterią rozbiły u Drasinów zakrzywienie przestrzeni. A to wytrąciło ich jednostki do podświetlnej w sposób, którego nie oczekiwaliśmy. Gdybym wiedział, że tak to działa, zrobiłbym to samo z pańskim okrętem.

Sun przytaknął ponownie, wyraźnie zafascynowany.

– Więc możecie uniemożliwić jednostce poruszanie się szybciej od światła?

– Na to wygląda. Jednak najbardziej zafascynowało mnie, że wyjściu z nadświetlnej towarzyszył impuls energii oraz eksplozja wysoko naładowanych cząsteczek.

Sun odchylił się na krześle i pokiwał głową w zamyśleniu.

– Pański atak musiał zniszczyć systemy wyrównujące. W przypadku takiego uszkodzenia w przestrzeń wyrzucanych jest sporo niebezpiecznych cząsteczek, kapitanie.

– To niedopowiedzenie – stwierdził Eric, po czym pochylił się do Suna. – Widziałem co najmniej dwa drasińskie okręty spalone przez napęd ich towarzyszy. I dlatego muszę coś wiedzieć…

Sun zmrużył oczy i także pochylił się do Erica.

– Co takiego?

– Potrafi pan zrobić to specjalnie ze swoim okrętem?

ROZDZIAŁ 20

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”

Sun Ang Wen wrócił na pokład „Weifanga”, rozmyślając nad słowami kapitana Konfederacji. Zdziwiło go, że dowódca „Odysei” nie pasuje do wizerunku, jaki rozpowszechniano w Chinach i pozostałych krajach Bloku.

Chociaż właściwie Suna nie powinno to zdumiewać, doskonale przecież zdawał sobie sprawę, jak bardzo propaganda lubiła wyolbrzymiać pewne kwestie. Widział niektóre dokumenty dotyczące działań Zachodu podczas wojny, a w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jego rząd nie był wcale lepszy.

Weston sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka, odbiegającego od opisu zbrodniarza, za którego wielu w Bloku go uważało. Ale to, o co prosił, było zatrważające pod niemal każdym względem.

Sun oraz tylko garstka z jego załogi wiedzieli, że ta prośba była w ogóle możliwa do spełnienia, a z tej garstki co najwyżej trzech mogłoby tego dokonać. Wysokoenergetyczne cząsteczki uwolnione z okrętu bez systemów kompensacyjnych, który wypadł z nadświetlnej po długiej podróży, wystarczyłyby do sterylizacji całej hemisfery planety. Sun wiedział o tym z raportów Bloku, dotyczących użycia silników jako broni przeciw Konfederacji.

Na szczęście nikt nie okazał się na tyle szalony, żeby tego spróbować, przynajmniej do tej pory.

Przede wszystkim nie można było takiej akcji przeprowadzić zdalnie sterowanym okrętem. Nie przy obecnej technologii. Silniki nadświetlne były skomplikowane i wymagały ciągłego dostrajania, żeby działać bezawaryjnie. Im dłuższa podróż, tym gorzej ją znosiły. Z tego powodu ciągle je sprawdzano i regulowano, inaczej istniało ryzyko wysadzenia całego systemu planetarnego po przymusowym, gwałtownym i nieskompensowanym przejściu do podświetlnej.

Wykonywanie tego manewru jednostką załogową w prawie każdym przypadku było katastrofalne w skutkach. Nie chodziło o samo gwałtowne wyjście do podświetlnej, lecz o to, że radiacja i część uwolnionych cząsteczek wracała do okrętu i niszczyła silniki. Sun nie powiedział o tym Westonowi. W ogóle prawie się nie odzywał. Kontrolowany ześlizg do podświetlnej był do przeżycia tylko i wyłącznie wtedy, gdy niedaleko znajdowała się ekipa ratunkowa, gotowa zabrać załogę z okrętu, ponieważ ten pogna przed siebie bez możliwości wyhamowania.

„Przynajmniej będziemy mieli porządny ciąg, jeśli to zrobimy” – pomyślał Sun ponuro. Ogarnął go nastrój czarny jak kosmiczna pustka, gdy siedział tak w swojej kabinie i wpatrywał się w terminal komputera, chociaż większość obliczeń wykonywał w pamięci.

Nie ufał komputerowi – maszyna mogła zaalarmować dowództwo armii. Zresztą w tak ważnej sprawie Sun nie ufał nikomu i niczemu. Nie złożył kapitanowi Konfederacji żadnej obietnicy, w końcu pomysł pod każdym względem wydawał się szalony. Przynajmniej dopóki Weston nie ustąpił nieco i nie wyjawił, z ilu w przybliżeniu okrętów składa się flota wroga. Zanim się tego dowiedział, Sun nie był nawet skłonny rozważyć szans na powodzenie planu Westona.

„Tysiące… Wygrać z nimi? To niewykonalne, nieważne, jakie sztuczki i techniczne cuda wyciągniemy z rękawa… Ich liczebność jest po prostu za duża”.

Co nie znaczyło, że Sun będzie siedział na orbicie i czekał na śmierć.

Przeciwko tak licznemu wrogowi plan Westona wcale nie wyglądał na tak szalony, jak mogło się wydawać. Matematyka poszła w ruch, chociaż Sun żałował, że wynik nie jest lepszy. Ale przynajmniej jakiś wynik był.

Największą lukę w planie stanowiła ślepota „Weifanga" przed i podczas akcji. Sun będzie zmuszony polegać na człowieku – jeszcze parę lat temu wrogu – że doprowadzi przeciwnika w miejsce, gdzie poświęcenie „Weifanga" będzie miało znaczenie. Jeśli Weston zawiedzie albo zdradzi, Sun poświęci swój okręt i załogę na próżno.

„Życie wystawia każdego na próbę. Ale ta może być ponad moje siły".

Sun nie wiedział, co zrobić, więc przez kolejne parę godzin nie robił nic. Niech Konfederacja trochę się spoci. Sun postanowił poczekać i sprawdzić, czy straszna wieść o masowej inwazji okaże się prawdą. Zamierzał podjąć decyzję w sprawie planu Westona dopiero wtedy, gdy będzie wiadomo, czy Ziemia jest celem, czy nie.

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Wejść!

Admirał Gracen podniosła wzrok na Erica, po czym zerknęła na zegar. Kapitan wyszedł sześć godzin temu, a przecież nie można sobie było pozwolić na marnowanie czasu.

– Gdzie pan był?

– Rozmawiałem ze starym przyjacielem i wrogiem zarazem – zaczął Weston z uśmiechem, który doprowadził admirał prawie do furii. – Potem uciąłem sobie pogawędkę z kapitanem „Weifanga", przeprowadziłem szybkie badania i wróciłem tutaj.

Admirał uniosła brew na tę wyliczankę, ale powstrzymała się od komentarza.

– Dowiedział się pan przynajmniej tego, czego chciał się dowiedzieć? – spytała sucho.

– Chyba tak. Zyskamy pewność, kiedy ci źli zapukają do naszych drzwi.

Wydawał się zrelaksowany, aż nazbyt, jak na gust admirał Gracen. Nachmurzyła się i tym razem skomentowała:

– Mógłby pan mieć choć na tyle przyzwoitości, by wyglądać na przynajmniej w połowie tak zdenerwowanego jak ja, kiedy nasi drodzy przyjaciele Priminae przynieśli nam radosne wieści o inwazji.

– Nie widzę potrzeby. Jesteśmy przyparci do muru. Stres jest dla tych, którzy mają wybór i mogą podjąć jakąś decyzję. My mamy w perspektywie tylko walkę. Zacznę się stresować, gdy w końcu będę mógł coś z tym zrobić.

Gracen przewróciła oczami.

– Niech panu będzie. Podczas pańskiej nieobecności skontaktowała się z nami kapitan Kian. Ich skanery dalekiego zasięgu wychwyciły uderzeniową falę łukową. Sądząc po zebranych przez „Odyseję" informacjach, w ciągu kilku godzin sami ją dostrzeżemy. Drasinowie naprawdę tu lecą.

– Nic dziwnego – stwierdził Eric. – Coś w nas musiało ich nieźle poirytować, pani admirał.

– Ciekawe, co takiego – odpowiedziała z przekąsem, spojrzawszy na Erica ponuro.

– Miło z pani strony, że się zastanawia, jednak nie sądzę, bym to był ja lub „Odyseja". Szczerze mówiąc, nie miałoby to najmniejszego sensu.

– Co ma pan na myśli?

– Dlaczego przylecieli z prawie trzydziestoma okrętami, admirał Gracen? To nie w ich stylu, Drasinowie tak nie działają. Z początku grupa była kontrolowana i systematyczna, całkowicie konserwatywna taktycznie podczas bitew. Wysyłali jednostki falami, by sprawdzić obronę, słabości i mocne strony… Nie wlatywali nigdzie na ślepo w trzydzieści okrętów, a co dopiero tysiącami. „Odyseja" nigdy nie przeprowadziła akcji, która mogłaby ich do tego sprowokować. Dopóki nie

wyrżnęliśmy tej trzydziestki oczywiście… Ale to powinno ich uciszyć na jakiś czas, a nie doprowadzać do ślepej furii.

Gracen musiała przyznać mu rację.

Niestety, jedno było jasne – nie wiedzieli wszystkiego. Nie żeby na wojnie nigdy nie pracowało się przy wykorzystaniu szczątkowych danych. Wręcz przeciwnie, bardzo rzadko miało się do dyspozycji pełny obraz sytuacji. Jednak chodziło też o coś innego. Umykało im coś ważnego, co, jak się zdaje, definiowało przeciwnika. Było to coś podstawowego i prawie zawsze istnienie tego czynnika zakładano w interakcjach międzyludzkich na Ziemi.

Widzieli tylko działania, ale nie znali motywacji działań, a te działania nie miały sensu w świetle dowolnego zestawu motywacji, jaki admirał Gracen mogłaby sobie wyobrazić.

– Wygląda to tak, jakby były tam dwie grupy wydające rozkazy – podsumowała. – Jedna myśli i planuje…

– A druga działa instynktownie jak zwierzęta i jest całkowicie nieludzka – dokończył Eric. – Wiem.

– Trudno to inaczej wyjaśnić – westchnęła Gracen. – Bo ma sens i zarazem jest go pozbawione. Jak sądzę, ma pan jakąś teorię?

Eric potrząsnął głową.

– Nie tym razem. Zbyt mało wiemy, żeby nawet zgadywać.

– Czasami mam wrażenie, że powinniśmy byli siedzieć na własnym podwórku.

– Trudno się nie zgodzić – przyznał Eric. – Chociaż mnie się wydaje, że jednak na niewiele by się to zdało. Ile zyskalibyśmy czasu? Dziesięć lat, pięćdziesiąt, sto? Bez różnicy, prędzej czy później Drasinowie i tak przylecieliby do nas. Jestem tego pewien. A gdybyśmy siedzieli tylko w naszym układzie i pogrążali się w ignorancji, czy bylibyśmy zdolni zbudować wystarczająco skuteczne konstrukcje obronne, by ich powstrzymać? Nawet gdybyśmy mieli czas?

– Nie wiem – odparła Gracen. – W ciągu ostatnich dwóch lat włożono w badania więcej surowców i pieniędzy niż w ciągu ostatnich dwóch dekad.

– Ja też nie wiem. Jak to jest, że widzimy korzyści, ale tylko w najbliższej perspektywie? Nikt nie chce inwestować w przyszłość, jeśli ta jest odległa bardziej niż dobę.

– Wizjonerstwo kosztuje – odpowiedziała ze smutnym uśmiechem Gracen.

– Nie inaczej – stwierdził Eric z namysłem.

– Proszę mnie na bieżąco informować o pana planach, kapitanie. – Gracen aktywowała swój pulpit. – Nie chcę żadnych kowbojskich wybryków bez wcześniejszych powiadomień. Zrozumiano?

– Oczywiście.

– Doskonale. Odmaszerować, kapitanie.

Eric wstał, zasalutował i wyszedł z gabinetu. Podobnie jak admirał Gracen, miał sporo do zrobienia.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

Kian patrzyła na błękitno-biały świat, wokół którego orbitowały „Posdan” i „Nept”. Widok robił wrażenie. Było tu więcej wody niż na Ranquil, co powodowało, że tworzyły się cięższe i bardziej imponujące chmury niż w domu. Uznała ponuro, że Ziemia to piękny świat.

Bardzo piękny świat, który czeka paskudny koniec.

Spojrzała na dane, które otrzymała z centrum dowodzenia na Ranquil, oraz na sygnał zbliżającej się floty Drasinów.

Musiała to być flota, teraz nie miała już wątpliwości. Nie wątpił w to nikt, kto widział odczyty. Potwierdzały to choćby czysta siła i wielkość sygnału. Coś zmierzało w tę stronę, a nic, co Kian w życiu widziała, nie miało takich rozmiarów. Priminae, prawdę mówiąc, też nigdy nie zarejestrowali czegoś równie wielkiego, a to nie wróżyło dobrze mieszkańcom planety.

– Możemy oszacować przewidywany czas przybycia? – spytała nie pierwszy raz w ciągu ostatniej godziny.

– Nie, kapitan Kian. – Ta sama odpowiedź, co poprzednio. – Rozpiętość sygnału nie pozwala na dokładne obliczenia. Jednak przybędą później, niż zakładaliśmy. Siła sygnału sprawia, że wydają się znajdować bliżej niż w rzeczywistości.

Chociaż jedna dobra wiadomość.

Kian nie była pewna, co powinna zrobić, kiedy flota już przybędzie. Kiedy oni przybędą.

„Posdan" oraz „Nept" były potężnymi okrętami wojennymi. Mogła wystawić je do walki przeciwko niemal każdej jednostce, jaką Drasinowie wystawią przeciw niej… lecz wiedziała też, że nie ma szans przeciwko wszystkiemu, co Drasinowie mogą wystawić do walki.

– Kapitan Kian, Tsarin na pokładzie „Nepta" prosi o rozkazy w związku z zaistniałą sytuacją.

Kian kiwnęła głową. Nie była zdziwiona. Sprawowała funkcję starszego kapitana i technicznie rzecz biorąc, oba okręty podlegały jej rozkazom, jednak sytuacja, w której się znaleźli, nie została opisana w instrukcjach z centrum dowodzenia. Tsarin był starszym mężczyzną. Sprawował dowództwo nad przygranicznymi wykopaliskami, zanim zaczęła się inwazja Drasinów, i był jednym z ostrożnych, konserwatywnych oficerów.

Z tego właśnie powodu to Kian przydzielono dowództwo nad grupą. Tsarin był kompetentny, jednak nie podjąłby najmniejszego ryzyka, nawet w obronie cywilów. Wypełniłby każdy rozkaz, nawet taki, który naraziłby okręt i życie załogi, ale sam nie podjąłby tego rodzaju inicjatywy.

– Przekaż kapitanowi Tsarinowi, że niedługo zwołam odprawę – odpowiedziała. – Wciąż rozważam możliwości. Poinformuj go też, że wprawdzie nie zamierzam uciekać przed wrogiem, ale nie mam też zamiaru walczyć do ostatniej kropli krwi o Ziemię. Udzielimy takiej pomocy, jakiej będziemy w stanie.

– Tak jest. Nadaję wiadomość.

Obawy Tsarina były słuszne, Kian musiała to przyznać. Sama nie wiedziała, co zrobi, gdy pojawi się wróg. Nie było

możliwości zorganizowania wystarczająco silnej obrony przeciwko tak wielkim siłom. Kian nie czuła się jednak dobrze z myślą o pozostawieniu Ziemian na pastwę losu. „Odyseja” tyle ryzykowała dla Priminae, że opuszczenie Terran wydawało się… wynaturzeniem.

Jedno wiedziała na pewno – nie mogła pozwolić, by okręty pod jej rozkazami zostały zniszczone w bezcelowej i skazanej na porażkę walce. Priminae potrzebowali każdego kadłuba, który można przebudować, dostosować lub wzmocnić, a dwa krążowniki klasy Godan, którymi dowodziła Kian, stanowiły niemałą część tonażu floty Kolonistów.

Poświęcanie okrętów bez korzyści nie wchodziło w grę.

„Pozostanę tu tak długo, jak to możliwe, potem prawdopodobnie zabiorę kilka tysięcy uchodźców. O ile Ziemianie będą chcieli”.

To najlepsze, co mogła zrobić. Uratować tylu ludzi, ilu tylko zdoła, wraz z ich wiedzą i kulturą, tak by nic nie przepadło.

To bardzo samolubne, ale Kian wiedziała, że to zrobi, że poprosi… nie, będzie błagać, o pozwolenie na zabranie planów ziemskiej technologii do kolonii. Nowe możliwości, które dostrzegała, mogły uratować cywilizację Kian, o ile Priminae zyskają dość czasu, by zbudować i zamontować nową broń na swoich okrętach.

„Tego tematu wolałabym nie poruszać”.

Kian czuła, że Terranie nie przyjmą tego z zadowoleniem. Nie żeby ich o to obwiniała.

„Nie jest łatwo patrzeć w otchłań osobliwości ze świadomością, że nie ma ucieczki. Nawet jeśliby można się zmienić w światło, nie ucieknie się przed swoim losem. Wkrótce temu samemu losowi będą musiały stawić czoła kolonie. Zastanawiam się, jak to przyjmiemy, kiedy i jeśli ten czas nadejdzie?”

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

Admirał Gracen weszła do centrum operacyjnego i jej wzrok odruchowo padł na ekran skanerów dalekiego zasięgu.

– Mamy potwierdzenie? – Nie spuszczała oczu z wściekle czerwonego ostrzeżenia na ekranie.

– Tak jest – potwierdził specjalista z Sił Powietrznych, odpowiedzialny za kontakt ze sztabem w Cheyenne. – Nasze pułapki tachionowe na Antarktydzie wychwyciły sygnał niecałe pół godziny temu.

Gracen kiwnęła głową. Ośrodek na Antarktydzie wiódł prym w badaniach nad tachionami, wykorzystywał obszary pól lodowych jako pułapki cząstek, dzięki czemu można było wykryć jeszcze bardziej egzotyczne elementy. Cały kontynent był zasadniczo jednym wielkim detektorem cząstek o rozmiarach przewyższających wszystko, co kiedykolwiek wynalazła ludzkość.

Był to pierwszy system detekcji tachionów i wciąż pozostawał najlepszy.

– Raporty Priminae są prawdziwe, admirał Gracen… Cokolwiek nadlatuje, jest wielkie.

Gracen nie wątpiła, choć miała nadzieję, że jednak się pomylili.

– Prezydent podjął już jakieś decyzje?

– Nic oficjalnego – zaprzeczył oficer. – Siły Konfederacji zostały postawione w stan gotowości DEFCON 4, anulowano wszystkie odloty.

– Sojusznicy?

– Tak samo. Nie informowaliśmy jeszcze oficjalnie Bloku, jednak ktoś już im, że tak powiem, wsunął karteczkę z informacjami pod drzwi. – Oficer wzruszył ramionami. – Przeszli w stan gotowości wkrótce po tym, jak my to zrobiliśmy.

– Zrozumiałe. – Gracen miała tylko nadzieję, że ktoś wyjaśnił Blokowi sytuację i zapewnił, że Konfederacja nie szykuje się do kolejnej wojny ze Wschodem. Byłby to w rzeczy samej parszywy koniec ludzkości, gdyby teraz, gdy nadlatuje flota Drasinów, zacząć wojnę jądrową z Blokiem.

Zmusiła się do odepchnięcia tych myśli i skoncentrowała na pracy. Powierzono jej zorganizowanie obrony planety. A nie zostało wiele czasu.

– Niech ktoś się dowie, jak postępuje przebudowa „Enterprise". Jeśli wieżyczki dział nie zostaną zamontowane w ciągu doby, niech zostaną zezłomowane, a ta metalowa puszka zamknięta! – warknęła. – Ten okręt będzie nam potrzebny, gdy nadejdzie pora.

„Nawet jeżeli mielibyśmy wydać tej jednostce tylko rozkaz odwrotu. Lepiej, żeby ktoś przeżył, gdy reszta zginie".

– Tak jest!

– Mamy terminarz dla jednostek klasy Grasant?

– Na pani pulpicie, admirał Gracen.

Gracen skinęła krótko głową i otworzyła folder z przychodzącymi raportami. Znalezienie potrzebnego wśród innych wiadomości priorytetowych zajęło więcej czasu, niżby sobie życzyła, ale to było chyba naturalne w obecnej sytuacji.

Zakończono już prace nad czterema okrętami klasy Grasant – pozlepiano je z cywilnych kadłubów i wszystkiego, co Konfederacja miała pod ręką. Żadnej broni pulsacyjnej, niestety, nie posiadały, ale Gracen jeszcze nie oszalała, żeby autoryzować instalację generatorów antymaterii i podtrzymujących je systemów na czymkolwiek, co nie było odpowiednim okrętem, obsadzonym wyszkoloną załogą.

Pozostawały jednak pociski szybkobieżne, lasery trzeciej generacji i przestarzałe głowice nuklearne, zainstalowane na rakietach penetracyjnych. Zarówno admirał, jak i reszta świata wiedzieli, że wybuch jądrowy na zewnątrz drasińskich kadłubów nie wyrządzi im żadnej szkody, ale stawiano, że uda się osiągnąć penetrację dzięki ulepszeniom przeciwpancernym. Sztuczka polegała na tym, aby sprawić, że głowice będą

poruszać się z szybkością wystarczającą do przebicia pancerza, ale nie za szybko, żeby nie wyparowały przy zderzeniu.

Kolejne trzy jednostki z niezbyt regularnej klasy Grasant miały być gotowe już nazajutrz i wypchane czym tylko się da. A potem Gracen wyda rozkaz i rzuci je do walki przeciwko siłom, które w tydzień potrafią obrócić w ruinę całe układy planetarne.

„Tak, to na pewno się uda, co tu kryć".

Wciąż nie było żadnych sugestii z sektorów cywilnych, poza poleceniem, by Gracen robiła swoje, co ją zarówno cieszyło, jak i bardzo martwiło. Jedyne, co się nigdy nie zmieniało, gdy miała coś do zrobienia, to politycy wchodzący jej w drogę, więc nagła cisza była niepokojąca. Nikt nie chciał ryzykować rozłamu w kręgach rządowych w obecnej sytuacji, ale jeżeli jakiś kryzys miał nastąpić, to niemy paraliż był chyba najlepszą z najgorszych możliwości. W jednej z wiadomości w jej skrzynce znajdował się meldunek z „Odysei". Gracen przejrzała go szybko i wrzuciła do archiwum. Nie było tam nic poza ogólnym raportem o stanie okrętu i stwierdzeniem, że „Odyseja" jest gotowa do akcji. Pocieszające, ale mało użyteczne. Chociaż zawsze to jeden powód mniej do paniki.

„Nie panikuj. Nie ma paniki. Koncentracja, tak. Czujność, na pewno. Nawet obawy, jeżeli sytuacja stanie się trudna… ale żadnej paniki. Nigdy. Za dużo mam do zrobienia, by marnować czas na panikę".

Powtarzanie tej mantry pozwalało jej zachować spokój, pomimo że jej umysł chciał panikować. Przy takim napięciu ostatnie, na co mogła sobie pozwolić, to utrata panowania nad sobą. Gracen czuła determinację – jeżeli stacja Liberty miała się stać ostatnim bastionem Ziemi, niech okaże się takim szańcem, na którego wspomnienie przeciwnik będzie się budził zlany zimnym potem przez kolejne kilkaset generacji.

Gracen zacisnęła zęby i spojrzała na wściekle czerwoną kropkę na skanerze dalekiego zasięgu.

„Nie odejdziemy po cichu w mrok. Nie macie pojęcia, w jakie bitewne piekło się pakujecie, wy małe, chore, skrzywione

skurwysyny… ale wkrótce się dowiecie. Obiecuję”.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Na mostku „Odysei” panowała cisza. Jednym powodem była zredukowana do minimum załoga, drugim wściekle czerwona wysypka na ekranach. Ci, którzy weszli na mostek i ją zobaczyli, dowiadywali się albo już wiedzieli, co oznacza. Patrzyli potem na kapitana pogrążonego w milczeniu i pracy, nie śmiejąc wypowiedzieć słowa. Eric zwykle nie zachęcał do ciszy, ale teraz pasowała do jego nastroju i ułatwiała skupienie, więc też się nie odzywał.

Jest czas mówienia i czas działania, ale teraz nadszedł czas na planowanie.

Weston miał dane dotyczące kursu wrogich okrętów i wektor zbliżenia do systemu, ale przy tej liczbie jednostek wydawało się to niemal bez znaczenia. Przeciwnik zamierzał chyba otoczyć system, i to dosłownie, choć Eric uważał, że to po prostu głupota. Sygnał tachionowy dochodził od wrogiej floty na szerokości co najmniej roku świetlnego. W rzeczywistości, jak Eric zgadywał, flota mogła być rozrzucona najwyżej na przestrzeni kilku miesięcy świetlnych, ale to i tak była skala dość przerażająca.

Z sygnału wynikało, że Drasinowie sukcesywnie zacieśniają formację. Weston przypuszczał, że wkroczą do układu planetarnego w niepomiernie ciaśniejszym ugrupowaniu.

„Ciekawe, czy rozciągnęli się tak dlatego, że ich silniki interferują ze sobą przy pełnej mocy?”

Eric wiedział z doświadczenia, że efekty manipulacji czasoprzestrzenią mogą się kumulować. To pierwsze, czego można się nauczyć podczas latania na myśliwcach z systemem MP w ciasnym szyku. Jeśli formację się zacieśnia, trzeba dostosować zakrzywienie czasoprzestrzenne do zakrzywienia swojego skrzydłowego, inaczej myśliwiec zostanie wybity

z pozycji. Eric nigdy nie miał takich problemów w przestrzeni, nawet gdy latał w pobliżu kolosalnych okrętów Drasinów lub Priminae, ale też nigdy nie znajdował się w pobliżu tak wielu potężnych jednostek.

Takie czynniki miały znaczący wpływ na powodzenie planu. Potrzebował informacji, gdzie przeciwnik pojawi się w systemie i jak ciasną formacją będzie się poruszał. Brak danych o możliwościach wroga był nieznośny, ale Eric wiedział, że będzie musiał sobie z tym poradzić albo obejść problem najlepiej jak potrafił.

Nawet kapitan Kian nie znała odpowiedzi na żadne z jego pytań. Nikt z cywilizacji Priminae nie latał tak liczną gromadą w takim dużym skupieniu. Nie było nawet eksperymentalnych danych, niczego, co mogło pomóc Westonowi w analizie sytuacji. Zapytał o to swoich inżynierów, podobnie jak znajomych z korpusu inżynieryjnego i ośrodków badawczych Konfederacji, ale przypuszczał, że jeśli nawet otrzyma jakąś odpowiedź, przyjdzie ona zbyt późno, by miało to znaczenie.

„Dobrze, że w Marines nauczyli mnie pracować z tym, co mam, a nie z tym, czego potrzebuję” – pomyślał Eric, gdy przeprowadzał na komputerze kolejne obliczenia. „Gdyby nie to, cała ta akcja byłaby niemożliwa i wkurzająca zarazem, a nie tylko niemożliwa”.

– Kapitanie?

Podniósł wzrok.

– Tak, komandorze?

Roberts zerknął najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Nie potrzeba było geniusza, by zrozumieć, o co chodzi, więc Eric tylko wzruszył ramionami.

– Roznoszą się plotki, sir.

– Oczywiście, tylko one, poza tachionami, są szybsze od światła – odpowiedział Eric z wymuszonym uśmiechem.

– To prawda, ale morale załogi się pogarsza.

Eric pokiwał głową, bo sam też zauważył, że parę osób wyciąga szyje z foteli, by podsłuchać jego odpowiedź. Podniósł głos na tyle, by słowa rozeszły się po całym mostku.

– Widział pan, komandorze, te same liczby, co ja. Rzeczywista sytuacja jest o wiele gorsza od tego, co przedstawiają najbardziej nawet przesadne plotki – powiedział Eric. Wstrząśnięty wyraz twarzy Robertsa sprawił mu perwersyjną przyjemność. Komandor spodziewał się pewnie, że kapitan zbagatelizuje zagrożenie, żeby nie straszyć ludzi, Eric jednak nie uważał, żeby ktokolwiek z załogi był na tyle głupi, żeby uwierzyć w wykręty.

„To nie pora, aby traktować członków załogi jak dzieci, komandorze" – pomyślał złośliwie.

– Uch… Tak jest, sir – wyjąkał zmieszany Roberts.

– Proszę się nie martwić, pierwszy. Załoga wie, że to okazja, którą warto wykorzystać.

– Okazja, kapitanie?

Tym razem na twarzy Erica zagościł szczery, radosny uśmiech.

– Nie wiem jak pan, komandorze, ale ja zawsze chciałem wziąć udział w planowaniu obrony Alamo.

Jason Roberts początkowo poczuł oburzenie na taki ton i słowa, ale Eric dostrzegł, jak wyraz twarzy komandora się zmienia. Po chwili na obliczu pierwszego również zagościł uśmiech, i to bynajmniej nie wymuszony.

– Ma pan rację – przytaknął. – Nie pomyślałem o tym.

Roberts wrócił na swoje stanowisko z miną na wpół zamyśloną, na wpół dziką. Dziwna mieszanka, jak stwierdził w duchu Eric. Nieczęsto widzi się taki wyraz twarzy u innych. Ale czy była lepsza pora na takie dziwne, mieszane uczucia?

– Kapitanie – z drugiej strony mostka rozległ się głos Winger – „Weifang" zakrzywia przestrzeń!

– Naprawdę? – Eric pokiwał głową. – Dobrze wiedzieć.

– Przechwytuję ich rozmowy z kontrolą lotów Bloku. Mieli rozkaz czekać na orbicie. „Weifang" nie podporządkowuje się rozkazom, kapitanie, schodzi z orbity.

– Nie nasz problem – mruknął Eric. – Monitorować i nagrywać wszystkie połączenia przychodzące i wychodzące z „Weifanga" na wypadek, gdyby nas o nie poproszono.

– Tak jest, sir. „Weifang” przyspiesza… – Winger wytrzeszczyła oczy. – Sto g i rośnie. Chyba chce opuścić system.

– Dziękuję, porucznik Winger. – Eric wstał i spojrzał na zegar, który odliczał przewidywany czas przybycia floty wroga.

„T minus trzydzieści sześć godzin, a zegar tyka”.

ROZDZIAŁ 21

Niszczyciel imperialny „Heros”
Ul

– „Nieśmiertelny” ginie, komendancie.

Ivanth widział to, ale nic nie odpowiedział w obawie przed wyładowaniem swojej bezsilnej frustracji na podwładnym. Odruchowo zaciskał i rozluźniał pięści, gdy wpatrywał się ekrany, pokazujące niszczyciel rozdzierany od środka przez zbuntowane drony.

Podkomendni Ivantha zniszczyli te, które przyczepiły się do kadłuba, ale było już za późno. Drony wtargnęły na pokład, a załoga „Nieśmiertelnego” nie miała szans, żeby pozbyć się ich wystarczająco szybko i skutecznie. Wraz z postępem dronów przez kolejne włazy okrętem wstrząsały małe eksplozje, wywołane dekompresją.

Ludzie na „Nieśmiertelnym” nie mieli szans.

– Ktoś przeżył? – spytał w końcu Ivanth. Musiał spytać, chociaż znał odpowiedź.

– Nie, komendancie.

– Zakrzywienie czasoprzestrzeni, ciąg wsteczny. Opuścimy Ul. Utrzymać aktywny skan, dopóki nie będzie pewności, że jesteśmy bezpieczni.

– Na rozkaz, komendancie.

„Heros” powoli oddalił się od wraku bliźniaczego okrętu, sunąc przez kosmos gładko, nim odwrócił zakrzywienie i zaczął stale przyśpieszać. Za rufą dawna duma Floty Imperium rozpadała się na strzępy.

Szczątki zostały szybko zebrane przez drony – posłużą jako materiał do wyprodukowania kolejnej generacji bestii.

Ivanth nie miał pojęcia, co zaszło w Ulu i co stało się z pozostałymi okrętami Imperium, było jednak jasne, że Ludzie utracili kontrolę nad dronami. Nie powinno do tego dojść. Kod, który wprowadzono do rdzenia ich oprogramowania, był bezbłędny. W żadnych okolicznościach te bestie nie powinny się zwrócić przeciw jednostce Imperium.

„To wszystko zaczęło się, kiedy namierzyliśmy jednostkę obcych i jeden z ich światów. Może coś tam było? A może coś się stało tutaj w tym samym czasie?”

– Gia – rzucił spokojnie. Podniósł głos nieznacznie, aby tylko podwładna mogła go usłyszeć.

– Tak, komendancie? – Gia podeszła do niego.

– Czy nagrania z boi awaryjnej zostały już wgrane do archiwum?

– Tak jest. Przysłać bezpośrednio do pana?

– Nie, dziękuję – odparł. – Sam znajdę.

Dane z boi były jego ostatnią nadzieją na znalezienie odpowiedzi i zrozumienie, co zaszło w Ulu, a co ważniejsze, dlaczego do tego doszło. Okręt prohuera był w Ulu wraz z pełną grupą bojową. Jeśli podzielili los „Nieśmiertelnego”, to misja Imperium w tym ramieniu Galaktyki była skończona.

Naprawdę nie chciał być tym, który wróci do Imperatora i powie mu, że oddali cały sektor bojowy własnym dronom. Zwłaszcza jeśli miałby jeszcze donieść, że te drony wyrwały się spod kontroli i latają samopas po całym ramieniu Galaktyki.

„Mam nadzieję, że gdzieś w tym bałaganie znajdują się jakieś wyjaśnienia”.

Głęboka przestrzeń
W pobliżu Układu Słonecznego

Rój zwolnił, zbliżając się do układu. Zacieśniali formację, gdy przed nimi rosła żółta gwiazda. Drony wciąż były za daleko, by posmakować szkarłatnej pręgi, która zaraziła cały system planetarny. Każda jednostka tworząca rój doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo skażony i odrażający był ten system. Wiedziały również, że jest śmiercionośny, co zostało wyryte w ich genetycznej pamięci, choć wydawało się niesłychane.

Już raz tak się stało, dawno temu, nim obecny rój w ogóle się narodził. Pewna rasa zainfekowała wiele układów gwiezdnych, zostawiając za sobą pokłosie w całej Galaktyce. Rasa ta doprowadziła drony prawie na kraniec zagłady, niszczyła je bowiem bez żadnych problemów, jak nikt wcześniej i później.

Setki królowych i miliony żołnierzy oraz okrętów było potrzebnych, by wyeliminować tę rasę. Ich ostatni system był fortecą wzniesioną w studni grawitacyjnej gwiazdy, uzbrojoną w broń, która mogła zmieść setki okrętów naraz. Ale i ten bastion poddał się rojowi. Ponad milion dronów padło w walce, jednak ich ciała, bezwładna masa, stały się bronią samą w sobie przeciwko fortyfikacjom.

Masa martwych dronów uderzyła w gwiezdną konstrukcję, strukturę większą od Ula, aż materia się wgniotła i nadwyrężyła. Kiedy forteca wahała się na swojej orbicie, energia z nieustannego ataku wytrąciła ją z równowagi i konstrukcja zaczęła się mocno chwiać. Przez czas, który zniknął nawet z pamięci roju, atak trwał, a mieszkańcy fortecy nie mogli ocalić swojego sztucznego świata.

Wreszcie forteca została wytrącona z orbity i zderzyła się z gwiazdą, wokół której krążyła.

Tym razem takie posunięcie nie będzie konieczne. Rasa, którą rój obrał za cel, stanowiła śmiertelne zagrożenie pod wieloma względami, i podobnego zagrożenia nie widziano od bardzo dawna, jednak nie została ufortyfikowana. System pozostał prawie w naturalnym stanie, poza cuchnącym pasmem szkarłatu spowijającym jedną z planet.

Nie ma znaczenia, jak niebezpieczny był to świat, nie ma znaczenia, jak zaciekle będzie się bronić – upadnie.

Upadnie, a wtedy rój wróci do swego pierwotnego zadania.
Galaktyka musi zostać oczyszczona.

Centrum dowodzenia
Mons Systema, Ranquil

Admirał Rael Tanner usiadł ciężko. Wiadomości z rodzimego świata Terran nie były dobre. Wyczytał to między wierszami raportu Kian, chociaż ani kapitan, ani admirał z Terry, Gracen, nie wyraziły tego wprost.

Przerażające bardziej niż koszmar czekający świat Terran było to, że ci ludzie wynaleźli broń, która mogłaby ocalić kolonie.

„Gdybyśmy mieli kilka lat. Albo chociaż miesięcy!”

Kian zamierzała poprosić, nawet błagać, jeśli trzeba, żeby Terranie udostępnili jej plany broni. Nawet sama koncepcja takiej konstrukcji byłaby przełomowa, ale nie wiadomo, czy kapitan coś uzyska. Tanner nie znał Terran za dobrze, ale jeśli miałby ich oceniać po Ericu Westonie, wątpił, by przyjęli swoją zagładę w milczeniu.

Nie. Będą walczyć do ostatniego przedstawiciela swojej rasy, co do tego nie było wątpliwości.

A także, o czym również Tanner był przekonany, nie pomyślą nawet o udostępnieniu planów tak potężnej broni, rozwiniętej przez stulecia krwawych walk. Dopóki koniec nie stanie się nieuchronny.

Tanner nakreślił rozkazy dla Kian szybkimi, pewnymi ruchami, ze świadomością, że prawdopodobnie poświęca dwa najlepsze okręty, ale nie mógł przepuścić szansy na przeżycie własnego ludu.

Wysłał plik i zwrócił się do oficera.

– Ithanie.

– Tak, admirale?

– Skontaktuj się z ambasador LaFontaine. Poproś o pilne spotkanie.

– Oczywiście, admirale, natychmiast.

Nie będzie to miła rozmowa. Na pewno nie taka, jaką Tanner chciałby pamiętać w obliczu coraz mroczniejszej przyszłości.

***

Istota nazywana przez miejscową ludność Centralą uważnie śledziła przetworzone właśnie informacje z – jak określiliby to ludzie – ciężkim sercem. Egzystencja Terran wywoływała tak wiele zagmatwanych myśli, które tylko mąciły się i w ostatecznym rozrachunku przynosiły jeszcze więcej zamieszania.

Centrala stanowiła jedynie produkt swojego środowiska pod wieloma względami, do których nie zawsze chciała się przyznać, ale wiedziała jedno – że zachowuje spokój i działa pasywnie. Porządek, rozsądek, inteligencja, wiedza i pokojowa egzystencja były jej priorytetem.

Terranie, nieważne, jak na nich spojrzeć, stanowili antytezę Centrali. Gwałtowni, zaciekli, brutalni i chaotyczni. Och, nie chodziło o to, że nie myśleli logicznie ani też, że Priminae brakowało zaciekłości. Jednak istniały subtelne różnice, kwestie intensywności i ogólnego toku myślenia.

Jednostki się różniły w podejściu do pewnych kwestii, ale już całe grupy faworyzowały wyraźnie któreś z rozwiązań.

Terranie różnili się jako grupa od Priminae, naprawdę bardzo się różnili. Zagłada tych ludzi mogła mieć negatywny wpływ na Priminae, poza tym oznaczała pozbawienie istotnego wsparcia, jakie oferowała Ziemia. Przetrwanie jak nigdy stanęło pod znakiem zapytania, pomimo informacji, do jakich Centrala miała dostęp, danych o historii światów i społeczeństw.

Poza tym w głębi antycznej osobowości coś drżało.

Żal?

Możliwe. Centrala nie potrafiła tego stwierdzić, to uczucie należało do rzadkości. Nie żeby sama osobowość nic nie czuła, czy też twardo trzymała się matematycznych zasad lub innej głupoty. Odczuwała emocje jako gestalt świata, a naprawdę rzadko zdarzało się, by jedno uczucie dominowało nad całą planetą.

Jednak osobiście Centrala coś czuła tam w głębi, w miejscu, w którym rzadko kiedy cokolwiek odczuwała, i nie kwapiła się tego zrozumieć.

Centrala zatęskni co najmniej za jednym Terraninem.

***

Ambasador LaFontaine usiadła ciężko na fotelu w swoim gabinecie, spoglądając na niesamowitą panoramę starego monolitycznego miasta, które wznosiło się wewnątrz piramidy. Admirał Tanner właśnie wyszedł, a wieści, które przyniósł, choć wcale nie takie nieoczekiwane, były niczym topór rzucony prosto między oczy.

Ani ona, ani nikt inny nie byli w stanie nic zrobić. Wiele lat świetlnych od niej, na Ziemi, znajdowali się mężczyźni i kobiety, na których barkach spoczywał los całej rasy. Na barkach ludzi praktycznie nieuzbrojonych i nielicznych w obliczu potężnego wroga.

Ambasador LaFontaine zamknęła drzwi do gabinetu dotknięciem przycisku. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

***

Palce Jeremy’ego Reeda zwiotczały, ledwo utrzymały kartkę z raportem. Mężczyzna kontrolował się na tyle, by nie zadrżały mu ręce, jednak odczuł nagłą potrzebę, żeby usiąść.

Zatoczył się przez gabinet i odsunął od okna z widokiem na bazę i poligon, które pomógł budować, po czym opadł ciężko na

krzesło.

„Te zapomniane przez Boga i ludzi monstra znalazły Ziemię. Nie wierzę”.

Wbił oczy w biurko, zrobiło mu się niedobrze, po czym ukrył twarz w dłoniach. Miał rodzinę na Ziemi, chociaż nie był w najlepszych stosunkach z żoną. Okazał się lepszym mężem na odległość, czego dowiedział się już dawno temu, a jego żona na pewno nie zasługiwała na to, co ją czekało. Czuł się źle. Miał dwóch synów, których nie widział od cholernie długiego czasu, a teraz…

Nie wiedział. Po prostu nie wiedział, co zrobić.

Sięgnął przez biurko i wcisnął guzik.

– Sir? – w głośniku zabrzmiał czysty głos miejscowej sekretarki.

– Skontaktuj się, proszę, z moją drużyną i powiedz, żeby przyszli do mojego gabinetu jak najszybciej.

– Tak jest, sir.

Nie wiedział, co im powie, był jednak pewny, że prawdopodobnie przyjmą to jeszcze gorzej od niego.

Niszczyciel imperialny „Heros”

UI

Ivanth zaciskał pięści, żeby opanować drżenie rąk, gdy wyłączał nagranie z boi.

Właśnie obejrzał imperialną flotę wojenną zniszczoną przez własną broń. Nie było w tym ŻADNEGO sensu! Zabezpieczenia, wszystko, co zrobiono, by drony nie wymknęły się spod kontroli… Nic nie powstrzymało ataku. Nawet ich to nie spowolniło!

Poczuł ciężar w żołądku… Tyle straconych istnień i zanihilowanych okrętów! Gdyby nie był tak odrętwiały, Ivanth pewnie naprawdę by się rozchorował.

Czas, w którym doszło do zdarzenia, pokrywał się z czasem, w którym zbuntowały się drony Ivantha. Jednak te w systemie obcych, zamiast atakować okręty Imperium, ruszyły na wroga. Nie tak, jak sam by rozkazał, jednak tam, gdzie Ivanth chciał…

Coś się w nich zmieniło, coś głęboko wewnątrz tych małych potworów, ale dopóki Ivanth nie dowie się co, nie zdoła rozwiązać problemu.

„Ważniejsze od tego, co się w nich zmieniło, jest to, gdzie, na Otchłań, poleciały?”

W Ulu stacjonowały tysiące okrętów, więcej, niż potrzeba do tuzina kampanii. Miliony żołnierzy, pomijając te, które zaatakowały „Nieśmiertelnego”, również zniknęły. Jedyne, co zostało, to samoorganizująca się konstrukcja, Ul. Lecz Ivanth nawet nie próbował stacjonować między platformami, nie teraz, gdy drony zwróciły się przeciw Imperium.

Dokąd więc poleciała reszta?

„Najbliższy świat Priminae znajduje się kilka lat świetlnych stąd. Powinniśmy wykonać szybki zwiad, sprawdzić, czy tam poleciały. Jeśli nie, to…”

Ivantha ogarnęło przerażenie, gdy przypomniał sobie własne doświadczenie ze zbuntowanymi dronami. Nie zaatakowały jego okrętu. Nie, od razu skupiły się na tym małym, śmiercionośnym światku i enigmatycznej rasie.

„Jeśli tam wróciły, będziemy mieli jednego wroga mniej”. Tak podejrzewał, chociaż wciąż miał przed oczami obraz okrętów eksplodujących ot tak, bez powodu. Zastanawiał się, czy tym razem drony nie postanowiły pożreć czegoś, czego nie będą w stanie strawić.

ROZDZIAŁ 22

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Enterprise”

– Przylecieli, kapitanie.

Kapitan Carrow skinął głową. Stał przy swoim stanowisku i spoglądał na mostek i główny ekran. Wroga flota znalazła się na tyle blisko, że wychwytywały ją nawet pokładowe sensory, co oznaczało, że nieprzyjaciel dotarł tuż za granicę heliopauzy. Carrow pomasował sobie ramię, patrząc na odliczający w ciszy zegar, który przypominał mu o innym dniu i innej walce.

Eric Weston był odznaczonym weteranem walk powietrznych nad Pacyfikiem, ale Carrow od początku dowodził lotniskowcem. Poprowadził swoich ludzi przez piekło, jakiego wolałby nawet nie wspominać, i wyglądało na to, że będzie musiał uczynić to ponownie.

„Szkoda, że nie mieliśmy dość czasu, by przygotować odpowiednią flotę”.

Jego grupa składała się z „Enterprise”, oddziału myśliwców oraz czterech okrętów nowej improwizowanej klasy Grasant. Daleko jej było do dawnych grup bojowych marynarki wojennej, pomimo wielokrotnie większej siły ognia.

Komputer wciąż przetwarzał dane, przez co licznik szalał, ale to, co się pokazywało, nie wyglądało lepiej niż wcześniejsze szacunki. W miarę jak flota zwalniała, cząsteczki szybsze od światła wyprzedzały każdy okręt osobno i nakładały się na siebie, przez co grupa wroga wyglądała jak pojedynczy kawał masy, lecący w stronę „Enterprise”.

Ta masa miała teraz ponad DZIEŃ świetlny szerokości.

– Mam nadzieję, że Weston wie, co robi – rozległ się znajomy głos.

Carrow spojrzał w bok. Andrea Parker, w nienagannym mundurze, stanęła obok niego. Była jego pierwszym oficerem i jednym z najlepszych pilotów, którzy przetrwali wojnę z Blokiem, ale nie mogli korzystać z łącza neuronowego.

– Ma więcej doświadczenia niż ktokolwiek inny.

– Co nie oznacza, że wie, co robi – zaoponowała twardo Parker. – Oznacza tylko, że miał do czynienia z podobną sytuacją wcześniej.

– Tak, miał. I przeżył – poprawił Carrow oschle. – Dwukrotnie. Nie mamy nikogo lepszego.

– Weston był nieobliczalny w Marines i w Archaniołach, a teraz jest nieobliczalny i uzbrojony, odkąd objął dowództwo nad swoim przeklętym okrętem – mruknęła Parker cicho. Z każdego słowa przebijało bardzo mocno, co pierwsza oficer sądzi o Westonie.

Carrow nie zamierzał jej poprawiać. Działania Westona poza Układem Słonecznym tylko potwierdzały jej słowa, chociaż pewien kapitan Bloku chyba ostatnio przyćmił niesławę kapitana „Odysei". Nic dziwnego, że to właśnie Weston otrzymał taktyczne dowodzenie nad zbliżającą się bitwą, zwłaszcza podczas działań w głębi Układu Słonecznego.

Weston znał przeciwnika, a biorąc pod uwagę lagi w komunikacji, związane z odległością i prędkością światła, dowództwo na Ziemi nie mogło zrobić nic innego, jak tylko patrzeć, aż wróg znajdzie się o wiele za blisko. Dlatego tylko Carrow i Weston mogli coś zdziałać w porę.

Czego by nie powiedzieć, Weston był też wyższy stopniem na tym polu bitwy, a do tego pozostawał z Priminae w doskonałych stosunkach.

Dwa ich okręty oskrzydlały „Odyseję", a „Enterprise" zajmował pozycję z tyłu konwoju. Patrząc na tę grupę, Carrow musiał przyznać, że dysponują zatrważającą siłą ognia, na szczęście skierowaną w przeciwną stronę niż Ziemia.

„Lecz i tak siła, jaka jest wymierzona w naszą stronę, przyćmiewa bez wysiłku wszystko, czym dysponujemy".

– Znamy już liczbę jednostek wroga? – Spojrzał na technika przy stanowisku namiarowym.

– Nie, kapitanie. Interferencje między okrętami wciąż są zbyt silne.

– Będziemy mieli obraz za kilka godzin – wtrąciła Parker – więc nie ma to znaczenia.

– Wiem, ale lubię wiedzieć – odpowiedział Carrow.

Kobieta skrzywiła się, co rozbawiło Carrowa. „Andrea nie cierpi gier słownych prawie tak samo jak banałów”.

– Co pan sądzi o naszych szansach? – Parker postanowiła zignorować ostatnie słowa kapitana.

– Widziałaś dane ich broni – odparł Carrow cicho, aby nikt więcej nie usłyszał. – Czekamy, żeby zobaczyć, ile rzucą na nas okrętów. A jeśli zostanie więcej niż kilka tuzinów po tym, jak opróżnimy magazynki…

Urwał. Parker skinęła głową ze zrozumieniem.

W najlepszym wypadku, kiedy przeciwnik znajdzie się już w zasięgu dział, Ziemianom uda się zniszczyć tylko niewielką liczbę okrętów. Parker czytała raporty o tym, co te drony zrobiły ze światami, do których zyskały nieograniczony dostęp, więc wiedziała, co się stanie, gdy ludzie poniosą klęskę.

„Boże, zaczynam popadać w depresję. Załoga nie może mnie zobaczyć w takim stanie”.

– Nie wierzę, że okręt Bloku uciekł – zmieniła temat, odchodząc nieco od nieprzyjemnej prawdy. – Nie lubię drani, ale nigdy nie widziałam wśród nich tchórzy.

– Mają swoich bohaterów – odpowiedział Carrow. – Ale niewielu z nich zostało kapitanami okrętów, większość tych, których spotkałem, poszła w generały.

Andrea zdławiła prychnięcie, a Carrow obserwował z rozbawieniem, jak jego pierwsza próbuje stłumić śmiech. Przyłapał się na tym, że lubi wytrącać z równowagi poważną i stoicką oficer.

– Przyznaję ci jednak rację. Raz zdarzyło mi się walczyć z kapitanem Sunem. Nie jest tchórzem – stwierdził. – Możliwe, że dostał jakieś tajne rozkazy. Nie obserwowaliśmy Chińczyków

zbyt uważnie podczas napraw i przebudowy okrętu. Mógłbym się założyć, że są w stanie zabrać na pokład kilka tysięcy osób, choć pewnie nadwyrężą wówczas systemy podtrzymywania życia.

– Próba kolonizacji, sir? – Andrea uniosła brwi.

– Możliwe. Za mało mam informacji, by zgadywać, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby kilka gabinetów szych z Bloku właśnie opustoszało.

– Napawa optymizmem – odrzekła ironicznie Andrea.

– Nieprawdaż?

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

„Odyseja” zajmowała czołową pozycję w konwoju. Pancerz został ustawiony na biel, tak jak wcześniej, rozpięte żagle czujników tachionowych otaczały okręt metalicznie srebrzystą chmurą.

Eric wierzył, że wygląd całej grupy jest imponujący, przynajmniej na tyle, by zwrócić uwagę Drasinów po wejściu w Układ Słoneczny.

„Wszystko inne na tym się opiera”.

– Nowe dane o liczbie wrogich okrętów, sir – przerwała ciszę Michelle.

– Zrobiło się ich mniej od ostatniego liczenia?

– Nie, sir.

– Tak myślałem – westchnął Eric. – Będzie o czym pisać w podręcznikach historii.

– Nie miałbym nic przeciwko udziałowi w ich pisaniu – stwierdził cicho Roberts.

– Tego nie mogę obiecać – uśmiechnął się kapitan.

– Nikt nie może – westchnął Roberts. – Chociaż byłoby miło dożyć takiego dnia.

– Ale mogę obiecać, że niezależnie od wszystkiego, ta akcja będzie… bombowa – stwierdził Eric z uśmiechem.

– Chyba będzie musiało mi to wystarczyć.

***

Tuż za heliopauzą systemu znanego Ziemianom jako Układ Słoneczny drasińska flota zwolniła do prędkości podświetlnej, żeby zbadać przestrzeń w pobliżu. Drony nie znalazły żadnego zagrożenia, skupiły się więc na gwieździe centralnej i planetach. Tam od razu natknęły się na to, o czym meldowali pobratymcy. Szkarłatna pręga lśniła w systemie jak ostra wysypka, świeciła na kilku planetach i księżycach, a także miejscami w próżni!

Cały system musi zostać zniszczony. Każda planeta, każdy kamień, kula lodu czy błota. Nic innego nie wchodziło w rachubę, biorąc pod uwagę siłę zakażenia. Może zaraza sięgnęła również gwiazdy… Jednak taki przypadek należał do rzadkości, jeśli w ogóle występował.

Flota zawahała się, ustalając taktykę i hierarchię celów. Nim skończyła, skaner podjął decyzję.

Okręt.

Jednostka, która prześladowała rój od początku misji w tym ramieniu Galaktyki. Teraz nie próbowała się ukrywać. Żadnych podchodów, jak to miało miejsce wcześniej, lecz otwarte wyzwanie na pojedynek.

Wyzwanie podjęte.

***

Kapitan Kian na mostku obserwowała nerwowo ekrany. Połączone komputery „Posdana” i „Nepta” wykorzystywały kilka sekund świetlnych odległości między okrętami do odfiltrowania interferencji mnóstwa fal czołowych, co miało pomóc w zliczeniu wrogich jednostek. Może uda się dokładnie sprawdzić, czemu naprawdę mieli stawić czoła.

Koszmar.

Tylko tak można to było określić. Kian wierzyła, że nic w znanym jej wszechświecie nie budziło takiego przerażenia, jak to, co właśnie widziała. Liczebność wroga znana była nadal tylko w przybliżeniu, ale wciąż rosła.

– Tysiąc czterysta jednostek i wciąż liczymy, kapitan Kian.

Kian potwierdziła beznamiętnie, że przyjęła raport. Ledwo była w stanie ogarnąć rozmiar wrogiej floty. Miała przed sobą tyle drasińskich okrętów, ile kupieckich jednostek we wszystkich koloniach, łącznie z międzyplanetarnymi okrętami górniczymi i wahadłowcami pasażerskimi! Oszałamiająca, niemieszcząca się w głowie liczba… po prostu NIEMOŻLIWA!

„Skoro posiadają tak liczną flotę, dlaczego zawsze atakowali najwyżej sześcioma okrętami naraz?”

Nic nie miało sensu – ani działania dronów, ani wszechświat, który pozwolił, by taka liczba Drasinów istniała.

– Kapitan Kian, zostaliśmy dostrzeżeni.

Kian przeszedł zimny dreszcz, chociaż spodziewała się tego meldunku. Przecież wcale się nie ukrywali, prawda? Z jakiegoś powodu Weston postanowił dać Drasinom cel do ataku, co w ogóle nie pasowało do jego wcześniejszych akcji, przynajmniej tych, które znała. Co takiego ukrywał terrański kapitan?

– Wróg skorygował kurs?

– Tak jest, zgodnie z przewidywaniami kapitana Westona. Wrogowie lecą prosto na nas.

– Doskonale. Wyślij raport „Odysei” – powiedziała, starając się zachować opanowanie, choć w głowie kłębił się jej strach.

„Mam szczerą nadzieję, że kapitan Weston wie, co robi”.

***

Na „Odysei” wszyscy chcieliby mieć jakiekolwiek pojęcie o tym, co kapitanowi się wydaje, że robi. Cieszyliby się z każdej wskazówki. Sam zarys by wystarczył, ale Eric Weston po prostu siedział i nieznacznie się uśmiechał.

Tylko to powstrzymywało od paniki każdego, kto widział licznik wrogich okrętów. Zazwyczaj gdy kapitan się uśmiechał przed walką lub w jej trakcie, znaczyło to, że zna puentę żartu, którego przeciwnik raczej nie doceni. Nie zmieniało to faktu, że byłoby miło, gdyby ktoś poza kapitanem usłyszał ten żart.

Atmosfera na pozostałych pokładach była nieco mniej napięta niż na mostku. Nie było tam uśmiechów, które uspokajały i oznaczały, że kapitan wie, co robi. Ale też nikt poza oficerami na mostku nie miał dostępu do licznika wrogich okrętów.

Załoga zajmowała się swoimi sprawami, jak za każdym razem, gdy zaczynała się akcja. Ludzie wiedzieli, że sytuacja jest wyjątkowa. Przynajmniej bardziej wyjątkowa niż zwykle. Przede wszystkim bronili Ziemi. Z tej bitwy nie było ucieczki, jeśli coś pójdzie nie tak, ale kiedy ostatnio „Odyseja" uciekła od czegokolwiek, gdy na szali spoczywało czyjeś życie?

Jedynie wśród Archaniołów i w oddziałach naziemnych panował grobowy nastrój… Wśród dwóch formacji słynących z tego, że nigdy nie godziły się na najmniejszy kompromis w obliczu niebezpieczeństwa.

***

Stephen „Stephanos" Michaels był w podłym nastroju.

Stał w gotowości na pozycji *ready one*, wraz z resztą niezbyt licznego skrzydła myśliwców, czekając na rozkaz startu. Zastanawiał się, czy taki rozkaz w ogóle padnie. Z jakiegoś powodu ostatnio kapitan coraz rzadziej spuszczał Archanioły ze smyczy, a to zaczynało irytować Stephena.

Archanioły były najlepsze w tym, co robiły, nieważne, czy w pełnym składzie, czy okrojonym, a trzymanie ich w hangarach „Odysei" wydawało się słabo zawoalowaną zniewagą. I Stephanos tak by to traktował, gdyby nie osoba, która wydawała rozkazy.

Eric Weston nigdy nie powiedziałby złego słowa o Archaniołach, to pewne. Dlatego Steph z szacunku do dowódcy hamował gniew i niecierpliwie czekał na rozkazy. Nagle zabrzmiał alarm na wszystkich pokładach.

– Myślisz, że powinniśmy się przygotować? – spytała Szulerka ze swojego kokpitu. Oczy miała zamknięte, hełm unosił się tuż nad jej głową.

– Nie – odpowiedział Palnik ze znudzeniem. – To po prostu sprawdzanie, czy wszyscy są na swoich stanowiskach. Wciąż mamy kilka godzin do jakichkolwiek walk, o ile w ogóle kapitan puści nas do akcji.

Steph skrzywił się na ten komentarz. Tak jak się spodziewał, wszyscy się denerwowali i mieli pretensje. Wsłuchiwał się w rozmowę, dopóki nie zaczął się irytować, jednak nie na kapitana, ale na członków eskadry.

– Posłuchajcie, co mówicie – warknął na tyle głośno, żeby ich uciszyć. – Kapitan trzyma nas na JEDNĄ walkę, tylko jedną, a wy zachowujecie się jak rozwydrzone bachory. Weźcie się w garść albo wstanę i pójdę wam pomóc dorosnąć w bardzo drastyczny sposób.

Starał się bezskutecznie zapomnieć, że jeszcze przed chwilą sam jęczał tak samo, choć tylko w duchu.

***

Sensory podświetlne wychwyciły pierwsze niezakłócone sygnały Drasinów. Sytuacja była gorsza, niż Eric się spodziewał, ale nie aż tak zła, jak się obawiał.

Spodziewał się wystarczającej liczby jednostek do zniszczenia całego Układu Słonecznego, niezależnie od obrony przygotowanej przez Ziemię w tym krótkim czasie, jaki miała. Obawiał się, że przylecą wszystkie drony ze sfery Dysona. Jego obawy były bezpodstawne, ale i tak dostał to, przed czym się wzdragał.

„Zawsze się zastanawiałem, co bym zrobił, gdybym musiał bronić Alamo” – pomyślał Eric, wpatrując się w liczby.

Nieco ponad dwa tysiące okrętów, a liczba ciągle rosła.

Eric wciąż się uśmiechał, jednak dało się w tym uśmiechu dopatrzyć odrobiny smutku. Oczywiście jeśli ktokolwiek jeszcze miał ochotę się przyglądać.

„Nigdy bym nie przypuszczał, że stanę murem przed Ziemią i na moich barkach spocznie los ludzkości… to znaczy terrańskiej ludzkości”.

Czułby się o wiele lepiej, gdyby siły były bardziej wyrównane. Nie znał sposobu, aby tak małe środki operacyjne, jakimi dysponował, mogły powstrzymać nadlatującą flotę. To po prostu nie miało prawa się udać.

Westona zawsze dręczyło pytanie, co zrobić w sytuacji, gdy zwycięstwo nie wchodzi w grę.

„Pora się przekonać”.

– Szacowany czas przybycia wroga? – spytał, sprawdziwszy dane telemetryczne.

– Przy obecnej prędkości nieco poniżej czterech godzin, kapitanie.

Eric zerknął na dane, przeliczył je z grubsza w pamięci i pokręcił głową.

– Za wcześnie. Przekazać do reszty, wycofujemy się na pozycję.

– Tak jest, sir.

– Sternik, utrzymać szyk.

Sygnał drasińskiej floty dotarł do heliosfery i zbliżał się do „Odysei” i reszty wycofującej się grupy. Eric przeliczył położenie punktu spotkania z dronami i skinął machinalnie głową nad wynikiem, po czym wybrał miejsce w pobliżu Jowisza, które oznaczył jako Punkt Trojański.

***

Grupa wycofywała się, przyspieszając do jednej dziesiątej prędkości światła. Kierowali się ku gazowemu olbrzymowi, mijając po drodze Saturna. Wróg poruszał się znacznie szybciej, jednak miał dłuższą trasę do przebycia. Musiał minąć Plutona i zanurzyć się głębiej w system, nim dotrze do gazowych olbrzymów. Drasińskim jednostkom parę godzin zajmie podróż za orbitę Neptuna, Urana i Saturna, nim zaczną zwalniać, żeby przystąpić do walki.

Zegar powoli odliczał minuty, podczas gdy mała flotylla połączonych sił Ziemian i Priminae obserwowała potężną flotę wroga.

***

– Pełna gotowość bojowa, uruchomić reaktory – rozkazał Eric. – Załadować kondensatory impulsowe.

– Tak jest, sir!

Mostek natychmiast ożył. Długie oczekiwanie nareszcie się skończyło i mogli w końcu wyraźnie zobaczyć, z czym mają do czynienia.

Ponad dwadzieścia dwie setki okrętów znajdowały się w odległości niecałej minuty świetlnej. Erica ogarnęło podniecenie, strach i wątpliwości.

Jak każdego na „Odysei”. To samo emanowało z innych jednostek niewielkich sił Ziemi, praktycznie dawało się to wyczuć. Nikt o nic nie pytał, ale Eric wiedział, że wszyscy na okrętach pod jego tymczasowym dowództwem zastanawiają się, dlaczego kapitan wstrzymywał się tak długo. Dlaczego pozwolił wrogom zbliżyć się tak bardzo i nie wystrzelił ani jednego pocisku z dział tranzycyjnych?

Nic nie szkodzi, że załogi się zastanawiały. Zaraz wszystko zrozumieją, o ile tylko Eric dobrze wyliczył czas.

„Proszę, Boże, jeśli tam jesteś i słuchasz, nie dopuść, bym spierdolił czasówkę”.

– Wykrywamy myśliwce wroga. „Enterprise” prosi o zgodę na wypuszczenie swoich – na mostku zabrzmiał głos Michelle Winger.

– Odmawiam – odpowiedział Eric twardo.

– Tak jest, sir.

Wroga flota wyglądała na ekranach skanerów jak szkarłatna chmura. Czerwone kropki nakładały się na siebie, aż zlały się w jeden wściekły kleks. Eric ponownie prześledził liczby, wpatrując się w ekran, który pokazywał to, co widziała również Winger. Odetchnął, opanowując drżenie, bo napięcie na mostku i jemu zaczynało się mocno udzielać.

„No dalej, gdzie, kurwa, jesteś?” – zastanawiał się nie po raz pierwszy podczas ostatnich minut.

Ale chyba po raz ostatni, bo Winger zesztywniała przy swoim stanowisku, po czym pisnęła z zaskoczeniem i niedowierzaniem:

– Fala tachionowa! Dokładnie nad nami!

– Wyrównać osłony! Pełne odbicie! Przesłać do „Enterprise” i pozostałych jednostek! Wyrównać osłony, ustawienia na pełne odbicie! – Eric wstał, wykrzykując rozkazy. – Grasanci niech się trzymają z daleka, nie ufam ich pancerzom!

– Tak jest, sir!

– Promieniowanie gwałtownie rośnie, sir! Nie wiem, na co patrzę! – zawyła Winger. – Komputer identyfikuje źródło jako pulsar!

– To nie pulsar, porucznik Winger – wyszczerzył zęby Eric. – To „Weifang”.

ROZDZIAŁ 23

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”

Okręt zachowywał się, jakby lada chwila miał się rozlecieć na kawałki, ale kapitan Sun myślał tylko o jednym.

„Błagam, jeżeli istnieje jakaś moc nadrzędna we wszechświecie, niech nie pozwoli mi tego spieprzyć”.

Plan stworzony przez Westona był prosty i szalony, a opierał się na wykorzystaniu całej energii napędu nadświetlnego i uwolnieniu jej celowo tak, aby dokonała niemożliwego. System kompensujący „Weifanga” został wyłączony, ku wściekłości i skrajnemu niezadowoleniu inżynierów z maszynowni, ale teraz, gdy obniżali moc z napędu, aby znów korzystać z konwencjonalnych systemów, zrozumieli, czemu to wszystko miało służyć.

Przy wychodzeniu z nadświetlnej system kompensujący „Weifanga” zwykle ściągał wszystkie wysokoenergetyczne i naładowane cząsteczki z zakrzywionej wokół okrętu czasoprzestrzeni. Wyłapane cząsteczki były wykorzystywane do odnowienia masy reaktora lub bezpośredniego zasilenia systemów jednostki. Resztę przetwarzano w bezpieczne odpady i emitowano w przestrzeń przez różne pokładowe systemy.

Bez kompensacji oraz regeneracji masy przy wyjściu z nadświetlnej sumaryczna energia wszystkich cząsteczek wyrzucana była gwałtownie przed okrętem z siłą małej klasycznej nowej.

Pojedyncza cząsteczka, nawet naładowana i wysokoenergetyczna, nie była specjalnym zagrożeniem.

Jednak „Weifang” krążył wokół Słońca od co najmniej trzydziestu sześciu godzin, z maksymalnym zakrzywieniem i z ciągłym przyspieszeniem.

Wyłapane z przestrzeni cząstki były już naładowane, a napęd tylko podnosił ten ładunek do niebezpiecznie wysokiego poziomu. Zakrzywienie przed dziobem okrętu przypominało w tej chwili zbiornik przepełniony niestabilnym materiałem, który właśnie był brutalnie pchany z mniej więcej prędkością światła.

Nie udało się przewidzieć wszystkich skutków ubocznych takich działań, choć Sun przeczuwał, że coś może się zdarzyć. Czy mu się to podobało, czy nie, niektóre z praw Newtona wciąż działały, nawet przy prędkości równej lub większej od światła. Eksplozja energii mogła spowodować gwałtowne wyhamowanie „Weifanga”. Gwałtowne na tyle, by zagrozić załodze, ponieważ okręt w żaden sposób nie był chroniony przed siłami inercji.

Siłę inercji można by było skompensować ruchem naprzód z wykorzystaniem tradycyjnych silników, ale wtedy miejsce wyjścia z nadświetlnej znacznie się przesunie. Sun modlił się tylko o to, by nie spudłować za bardzo.

– Przekroczenie bariery prędkości światła.

– Pełny widok z dziobu na ekrany – rozkazał Sun, pochylając się do przodu.

Ekrany na mostku „Weifanga” zamigotały. Czujniki zewnętrzne obrazu oraz inne urządzenia detekcyjne włączały się, podczas gdy okręt zwolnił do podświetlnej.

– Ciąg wsteczny! Pełny ciąg wsteczny! – wrzasnął Sun, gdy ujrzał przed sobą setki okrętów obcych.

– Kapitanie, generatory zakrzywienia padły! Nie mamy mocy!

– Więc silniki rakietowe! Pełna moc wstecz! Silniki manewrowe też!

– Tak jest, kapitanie!

Prawa dynamiki Newtona zadziałały i gdy tradycyjne silniki zaczęły pracować, Sunem rzuciło do przodu. Obce jednostki rosły na ekranach, choć nie włączono powiększenia. Stało się jasne, że „Weifang” nie zatrzyma się w porę, nie zdoła nawet

skręcić. Kapitan przygotował się na nieuchronne zderzenie. Jednak zaraz Sun wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Widoczna na ekranie wroga jednostka, dokładnie na wprost „Weifanga”, zaczęła BULGOTAĆ, po czym zmieniła się w kulę ognia. Wyglądało to tak, jakby okręt dosłownie ugotował się na ich oczach.

„To chyba sen. Coś takiego jest zbyt nierealne, by miało prawo zaistnieć w zdroworozsądkowym wszechświecie”.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Na nieskończoną Otchłań – westchnęła Kian. Nie wierzyła własnym oczom.

Na ekranie wrogie jednostki eksplodowały. Dziesiątkami lub nawet setkami zmieniały się w ogniste kule. Reakcję zapoczątkował supergorący podmuch energii, którego źródło pojawiło się dosłownie znikąd, niecałe trzydzieści sekund świetlnych od pozycji „Posdana”! Kian widziała to na własne oczy, ale nie mogła uwierzyć.

– Specjalnie wysadzili własny napęd nadświetlny – wyszeptała. Serce Kian biło gwałtownie, gdy wpatrywała się w roztaczającą się przed nią grozę.

Zniszczony generator zakrzywienia czasoprzestrzennego mógł pochodzić z opowieści grozy, podobnie jak Drasinowie, przynajmniej w odczuciu Kian.

Paraliżująca była myśl o zniszczeniu generatora celowo i tak głęboko w studni grawitacyjnej gwiazdy. Każdy Priminae dałby się wrzucić w czarną dziurę, byle temu zapobiec.

„A jednak… – zamarła wpatrzona w rozprzestrzeniającą się przed terrańskim okrętem chmurę ognia – pewnie nigdy już nie ujrzę tylu drasińskich okrętów niszczonych naraz”.

– Raport o uszkodzeniach! Jak wysoki jest miejscowy poziom radiacji? – rzuciła. – I policzcie, ile okrętów właśnie uległo anihilacji!

– Radiacja rośnie, ale w granicach bezpieczeństwa. Większość została bezpiecznie skierowana poza systemy okrętu.

Nie zaskoczyło to Kian. Napęd tamtego okrętu działał na tej samej zasadzie, co „Posdana” i „Nepta”, ale wyraźnie było widać, że Terranie nie posiadali tak wydajnego źródła zasilania, jak okręty Priminae. Gdy tylko było to możliwe, rozpoczęli skany. Napęd terrańskiego okrętu zasilały generatory jądrowe. Były wystarczająco potężne, ale nie mogły się równać z generatorami osobliwości.

Kian podejrzewała, że powinna się z tego cieszyć. Okręt napędzany osobliwością przy takiej akcji prawdopodobnie zniszczyłby większą część układu planetarnego, a także siebie.

Kapitan „Posdana” nie poświęciła ani chwili na rozmyślanie, dlaczego Priminae nie próbowali tej metody przeciw flotyllom Drasinów. Odpowiedź była krótka i oczywista. Po pierwsze, Drasinowie nigdy nie atakowali kolonii w grupie na tyle licznej, by taki ruch można było wykonać. Poza tym Terranom udało się trafić tylko dlatego, że flota okazała się na tyle duża, że mogłaby przesłonić Słońce. W przypadku mniejszych flotylli nie było szans, by trafić choćby jeden z okrętów.

Po drugie, o wiele ważniejsze… w całym wszechświecie nie znalazłby się ani jeden tak SZALONY Priminae!

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Naliczyliśmy osiemset zniszczonych okrętów, a liczba wciąż rośnie, kapitanie!

Winger ledwo mogła mówić, zwłaszcza że nie wierzyła w to, co widziała.

Cała załoga mostka zamarła na wpół wstrząśnięta, na wpół uradowana, za co Eric nie potrafił jej winić. Pojawienie się „Weifanga” było więcej niż spełnieniem jego nadziei. Chociaż wiedział, co się stanie, i tak zaskoczył go rozwój zdarzeń.

„Będę musiał się upewnić, że zespoły badawczo-rozwojowe zaczną pracę nad jakimś systemem ochrony przed takim atakiem, oczywiście jeśli przeżyjemy na tyle długo”.

Wszyscy wiedzieli, że Blok właśnie dostał do ręki broń masowej zagłady o niespotykanej dotąd sile. Działa tranzycyjne wyglądały przy tym jak packi na muchy. Eric starał się nie myśleć o tym, że to właśnie on spośród wszystkich inteligentnych istot we wszechświecie dał tę broń Chińczykom do ręki. Pocieszył się jedynie, że prędzej czy później Konfederacja opracuje taki system dla siebie, zwłaszcza że teraz cała planeta potrzebowała tyle broni masowego rażenia, ile tylko mogła pozyskać.

Jednak nie poprawiło mu to humoru. W głębi duszy czuł, że właśnie zdradził Konfederację. Ponure myśli rozpraszała tylko konieczność prowadzenia dalej działań wojennych.

„Wciąż zostało tysiąc pięćset tych gówien, a ja nie mam już asów w rękawie, które przyćmiłyby ten pokaz”.

– Wiadomość na „Enterprise” – rozkazał. – Kapitanie Carrow, osłaniamy „Weifanga”.

– „Enterprise” potwierdza, sir.

Dwa okręty Konfederacji oskrzydliły „Weifanga”, który dryfował przez płonące rumowisko. Kursy jednostek Konfederacji przecięły się przed dziobem okrętu Bloku, po czym „Odyseja” podleciała na jego bakburtę, a „Enterprise” zajął pozycję na sterburcie. Jednocześnie wysunęły działa tranzycyjne.

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang”

– Kapitanie, generatory MP stopiły się. Inżynierowie mówią, że nie da się ich naprawić.

Nie zaskoczyło to Suna, ale i tak zaklął. To raczej nie był jego szczęśliwy dzień.

– Zrozumiałem. Przekazać wiadomość dla „Odysei", że jesteśmy wyłączeni z akcji.

– Nie do końca – odezwał się Shi ze swojego stanowiska. – Nasza broń nie została uszkodzona, a wiele wrogich okrętów wciąż jest w zasięgu.

Sun uśmiechnął się i skinął powoli głową.

– Ma pan rację, Shi Ang Fa. Wysłać okrętom Konfederacji listę oznaczonych przez nas celów, nie warto marnować pocisków na dublowanie ataków. Strzelać bez rozkazu, gdy tylko będziecie gotowi.

– Z przyjemnością, kapitanie.

„Weifang", choć niezdolny do manewrów i poruszający się z prędkością, z którą dotarcie na Ziemię potrwa kilka miesięcy, nie był bezbronny. Ranny tygrys wciąż pozostaje tygrysem i biada temu, kto znajdzie się w zasięgu jego kłów i pazurów.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Enterprise"

– Kapitanie, okręt Bloku przesyła namiary swoich celów.

Carrow zamrugał, wyraźnie zaskoczony.

– Zamierzają otworzyć ogień?

– Tak, sir.

– Świetnie. Wykluczyć oznaczone przez nich cele z naszej listy – rozkazał. – Jest tu na tyle dużo jednostek do wyeliminowania, że nie powinniśmy strzelać dwa razy do tych samych.

– Tak, sir. Przetwarzam dane – zgodziła się Parker i zajęła wykonaniem polecenia. – Najwyraźniej ten Sun i jego ludzie jednak nie uciekali.

– Najwyraźniej – przyznał Carrow. – Nie sądziłem przecież ani przez chwilę, żeby uciekł. Podejrzewam, że wraz z Westonem uknuli tę małą intrygę.

– Mówiłam, że Weston jest nieobliczalny – stwierdziła kwaśno Parker. – I jeśli kiedyś spotkam osobę, która uznała, że to dobry pomysł dać mu pociski z antymaterią, to…

Carrow zachichotał cicho.

– Spokojnie, Andrea. Weston jest po naszej stronie i nie mierzy do nas. Ciesz się tym szczęściem.

Parker prychnęła szyderczo, co sprawiło, że Carrow uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Chciałbym wiedzieć, jak przeklętemu Ericowi Westonowi, jednemu z nielicznych uczestników wojny, za którego głowę wyznaczono nagrodę, udało się porozmawiać wystarczająco długo z kapitanem Bloku, by to wszystko tutaj uknuć.

Urwał, a po chwili dodał:

– Spodziewałbym się raczej, że oficer Bloku zastrzeli go bez ostrzeżenia, a nie przyłączy się do planowania zasadzki na wroga.

Andrea pochyliła głowę. Kapitan trafił w sedno.

– No właśnie. Tym bardziej że ani Weston, ani jego ludzie nie wyglądają na takich, którzy rozmawiają z wrogiem.

Carrow chrząknął niewyraźnie, nie wyrażając ani aprobaty, ani zaprzeczenia.

Widział akta Westona tylko raz, pod koniec wojny. Nie było tam ani jednej wzmianki o tym, że kapitan „Odysei” nienawidził lub chociaż nie lubił ludzi Bloku. Jeśli coś takiego by tam się znalazło, nikt nie pomyślałby nawet o powierzeniu mu obecnego stanowiska. I Archanioły, i „Odyseja” miały zbyt wysoki poziom utajnienia, by oddać je w ręce fanatyka z naszywkami, nawet podczas wojny.

W aktach Westona było też dużo białych plam, obejmujących łącznie ponad rok. Wszystko, co robił ten człowiek w tym czasie, zostało utajnione.

Tak samo jak Andrea, Carrow niespecjalnie lubił Westona. Na pewno kapitan „Odysei” był doświadczonym oficerem i taktykiem, ale jeśli chodziło o zdrowy rozsądek, zachowywał się jak zwariowany pilot myśliwca, a nie dowódca okrętu. Weston skrywał jednak więcej talentów, niż się wydawało,

wątpliwe bowiem, by kapitan „Odysei” przeżył tak długo, gdyby było inaczej.

„Jednak to nie czas ani miejsce na takie rozmyślania” – napomniał się Carrow.

– Lista celów zaktualizowana, sir.

– Świetnie. Strzelać bez rozkazu.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Kapitanie, zsynchronizowaliśmy komputery broni z tymi na „Enterprise” – zameldował Waters.

– Czy lista została uzupełniona o cele oznaczone przez „Weifanga”?

– Tak jest, sir.

– W takim razie otworzyć ogień – spokojnie rozkazał Eric.

– Tak jest, kapitanie – Waters niemal to wysyczał. – Ognia ile wlezie!

– Winger, wezwij dwa grasanty, niech odholują „Weifanga”. Nie możemy ich tu tak zostawić.

– Tak jest, sir!

Dwa okręty Konfederacji obróciły się i dryfowały coraz dalej od siebie, podczas gdy ich wieżyczki obracały się i strzelały do wroga. Działa tranzycyjne w ciszy posyłały pociski w głąb kosmosu. Drasińskie jednostki znowu spowił ogień.

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Widzę, że bitwa dobrze się zaczęła – powiedział dwugwiazdkowy generał znad jednego z wielu ekranów

zapełnionych twarzami, zarówno znanymi, jak i takimi, których Gracen nie rozpoznawała. – Zaskakująco, ale dobrze.

Gracen zerknęła na oficera wywiadu, Seamusa Gordona.

– Nie widziałam pana meldunku o spotkaniu Westona z kapitanem „Weifanga”.

– Nie wiedziałem – wzruszył ramionami mężczyzna w tanim garniturze, a jego twarz pozostała stoicko nieprzenikniona. – Wbrew temu, jak zachowuje się publicznie, kapitan ma przyzwoite przeszkolenie z czasów, gdy pracował dla wywiadu… Może nie najlepsze, ale wystarczające, by zgubić ogon.

– Mamy kamery wszędzie na stacji, Gordon. – Gracen przewróciła oczami. – Nawet w najlepszych kasynach jest gorszy monitoring niż na tej stacji.

– Proszę wybaczyć, ale to bzdura – stwierdził Gordon. – Musi pani przestać czytać propagandowe broszurki. Na stacji jest pełno przejść technicznych i tuneli serwisowych, które nie są w żaden sposób pilnowane, poza tym tracimy dziennie około dwudziestu kamer z powodu awarii. Czasami ich wymiana ciągnie się przez kilka dni, co oznacza, że w dowolnym momencie…

– Dość.

Wszyscy zamilkli, gdy usłyszeli ten głos. A potem odwrócili się, żeby spojrzeć na mężczyznę, który patrzył groźnie z ekranu.

– Przepraszam, panie prezydencie. – Gracen miała dość przyzwoitości, by wyglądać na napomnianą. Takie dziecinne sprzeczki na oczach głowy państwa wcale nie należały do rzadkości, ale stanowcze uciszanie takich kłótni przez samego szefa zdecydowanie nie zdarzało się często.

– Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie – powiedział zdecydowanie Douglas Merryweather. – Ale tak czy inaczej, w ciągu tygodnia chcę zobaczyć na moim biurku raport, który wyjaśni, CO, DO CHOLERY, okręt Bloku zrobił tym Drasinom.

Za tym tygodniowym terminem kryła się milcząca sugestia, że będzie się o co martwić tylko, jeżeli przeżyją kolejne dni. Na razie jednak musieli się zająć tym, co naprawdę ważne.

– Tak jest, panie prezydencie – powiedział na kanale Pentagonu czterogwiazdkowy generał z zarządu DARPA. Gracen miała tylko ogólne pojęcie, co się właśnie stało w kosmosie. Spodziewała się, że ktoś z dużą wiedzą na temat silników stosowanych w okrętach Bloku będzie odpowiedzialny za wyjaśnienia, ale tym razem na szczęście nie spadnie to na nią.

– Pani admirał, jakie mamy szanse?

Gracen spojrzała poważnie na prezydenta, jednak nie zdołała powstrzymać westchnienia.

– Aż tak źle? – Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Tak źle, sir – potwierdziła Gracen. – Nawet w sojuszu z kapitanem Bloku nie uda się zmniejszyć liczebności wrogiej floty poniżej tysiąca okrętów. Nie muszę też nikomu przypominać, że wystarczy tylko jeden, by zniszczyć całą planetę.

– Zgadza się – przyznał ponuro prezydent. – Chyba wysłali nieco za dużą flotę, jak na nasze możliwości obronne. Weston musiał ich wkurzyć bardziej, niż się spodziewaliśmy.

– Nie wiem, sir. Szczerze mówiąc, nie wiemy praktycznie nic o Drasinach ani o tych, którzy ich nadzorują – odpowiedziała Gracen. – Tylko jedno wiemy na pewno: okazaliśmy się cierniem, którego nie zamierzają tolerować ani chwili dłużej.

– W ogóle nie powinniśmy się angażować w tę wojnę – zagrzmiał gniewnie jeden z generałów.

– Nie pomaga pan, generale Steyr.

– Przepraszam, sir.

– Pani admirał, czego należy oczekiwać, gdy Drasinowie już dotrą na orbitę? – spytał spokojnie prezydent.

Gracen wzięła głęboki oddech, wiedząc, że pytanie nie dotyczy wcale najgorszego możliwego scenariusza, tylko najbardziej prawdopodobnego.

– Jeśli postąpią tak samo, jak w poprzednich atakach, zrzucą wszystkie drony żołnierzy na planetę.

– Zgodnie z rozkazami wszystkie formacje wojskowe są już postawione w najwyższy stan gotowości, panie prezydencie –

zagrzmiał ponownie Steyr. – Zanim dotrą na powierzchnię, będzie w nich celować cała dywizja.

– Co z siłami Bloku?

– Tak samo, jak u nas – odpowiedziała Gracen w imieniu zgromadzonych na telekonferencji. – Jestem w kontakcie z moim odpowiednikiem na ich stacji. Blok jest w stanie gotowości.

– To pokrywa około osiemdziesięciu procent powierzchni planety – skomentował Douglas Merryweather. – Nasi sojusznicy zajmą się resztą. Admirale Jerome, proszę zadbać, by grupa uderzeniowa była w gotowości, żeby wesprzeć każdy osłabiony punkt obronny, zwłaszcza Antarktydę.

– Tak jest.

– Pani admirał – adiutant próbował zwrócić na siebie uwagę Gracen – mamy najnowsze dane telemetryczne. „Odyseja” oraz „Enterprise” nawiązały walkę.

Gracen spojrzała na adiutanta, po czym zwróciła się z powrotem do prezydenta, który machnął ręką.

– Proszę się zająć bitwą, dopilnuję tutaj wszystkiego.

– Tak jest, sir.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Rusz te palety! – wrzasnęła starsza bosman Corrin na podwładnego przy podnośniku magnetycznym. – Strzelamy z tych nowych zabaweczek na sucho, trzeba przeładować!

– Szybciej już nie mogę, bosman Corrin – odpowiedział członek załogi, powoli prowadząc podnośnik przez hangar.

Corrin nie zamierzała nic więcej mówić. Wiedziała, że chłopak robi, co może, ale musiała się odzywać, a nie zamierzała mówić niczego „miłego”, dopóki się walka nie skończy lub pozostanie już tylko krok do śmierci. A kiedy śmierć spojrzy im w oczy, bosman powie swoim „dobra robota” albo „to był zaszczyt”, i ani słowa więcej. Czas na czułe

i patetyczne banały nadchodził wtedy, kiedy Corrin za dużo wypiła, a miejscem do tego odpowiednim było jej prywatne łóżko.

Podnośnik kroczył powoli na górny pokład, gdzie zamontowano nowe działa, co zmuszało bosman Corrin do pozostania w hangarze i szukania powodów do krzyku.

„Lubię buty magnetyczne. Robią odpowiednio złe wrażenie, gdy dosłownie walę w podłogę, jakbym była cały czas wkurwiona".

Jedyne, czego jej brakowało do idealnego wizerunku starszego bosmana, to cygaro w zębach i zwalista postura. Niestety, nie dość, że bosman nie posiadała odpowiednio przerośniętych mięśni, to na dodatek papierosy stanowiły kontrabandę klasy B na wszystkich jednostkach kosmicznych. Gówno zapychało cały system filtrowania powietrza.

„Nic tylko żałować".

Corrin dostrzegła kolejnego operatora podnośnika. Podwładny próbował dostać się do palet z amunicją, więc wystawił na środek paki z jedzeniem. Bosman zabłysły radośnie oczy.

– Hej! Nie zostawiaj tego gówna na środku hangaru – krzyknęła. – Blokujesz przejście do wyrzutni!

***

Na mostku brak amunicji stanowił poważny problem i Eric zaczynał się denerwować tak, że gotów był wyładować frustrację na pobliskich elementach wyposażenia.

– Ile czasu zajmie przeniesienie palet z hangaru? – dopytywał się zirytowany.

– Jeszcze tylko kilka minut, kapitanie.

– Ster, zabierz nas trochę dalej. Pełna moc do kondensatorów laserowych, sprawdzić też, czy kondensatory impulsowe są naładowane i sprawne – rozkazał Eric. – Jeśli damy najbliższym

jednostkom wroga kilka minut, skończymy jako mięso na ich grillu.

„Nie mówiąc o tym, co się stanie z Chińczykami, jeśli ktoś ich nie osłoni”.

Chiński okręt cały czas wystrzeliwał pociski, nawet wtedy, gdy dwa grasanty zaczęły go holować w głąb Układu Słonecznego. Ten jakże chwalebny czyn ściągał zbędną uwagę drasińskich jednostek, które przetrwały pierwszy atak.

Ziemskie okręty uratowało na początku to, że „Weifang” wyrwał w formacji wroga dziurę wielkości gazowego olbrzyma. Z floty Drasinów pozostały tylko flanki.

– Skontaktować się z „Posdanem”. Zapytajcie, czy wraz z „Neptem” mogą nas osłaniać – dodał kapitan. – Albo czy mogą odholować „Weifanga” szybciej.

– Tak jest, sir – odparła Winger. – Już się łączę.

– Waters, broń jest pańska. Trzymać Drasinów pod ostrzałem. – Eric odwrócił się do stanowiska taktycznego. – Zmiażdżyć ich wszystkim, co mamy!

– Już się robi, sir.

Ledwie słyszalny pisk rozszedł się po mostku. Eric wiedział, że był to dźwięk rozładowywanych kondensatorów laserowych, przenoszony przez metal kadłuba. Kapitan starał się nie zwracać na odgłos uwagi, ale i tak ścierpły mu zęby. Na ekranie widział trzy jednostki wroga, znajdujące się w zasięgu niesterowanych pocisków podświetlnych, wykres pokazał też linię trajektorii lasera, gdy jeden z okrętów został przecięty wiązką na pół.

Trzy sekundy zajmie światłu dotarcie z powrotem do czujników „Odysei”, jednak nikt nie zamierzał czekać na pokaz fajerwerków.

Komandor porucznik Daniels, który przejął stery od swojego podopiecznego, gdy zaczęła się walka, prowadził wielki okręt po ciasnej pętli, która umożliwiała otwarcie ognia z jak najmniejszego dystansu. Obok Erica Waters z niesamowitą szybkością przemykał palcami po klawiaturze swojego komputera, by oznaczać cele i trajektorię pocisków, starał się

przy tym wyprzedzić o dwa kroki i jednostki Drasinów, i Danielsa.

– Torpedy poszły – wrzasnął Waters. – Dan, nowa telemetria na twoim panelu.

– Mam! Dopasowuję korektę kursu. Wygląda nieźle. Idą na nas!

– Myśliwce wroga – krzyknęła przez cały mostek Winger. – Odbieramy wielokrotne odczyty… Nie wiem, jak dużo, system nie wyrabia!

– Jasna cholera. – Eric przygryzł usta, zniesmaczony tym widokiem.

Wróg wypuścił wystarczająco dużo myśliwców, by dosłownie przeładować komputery „Odysei”. Startowały z ocalałych okrętów, prawdopodobnie miały być wykorzystane jako osłona ablacyjna, na ile Weston mógł ocenić po tym, co już widział podczas walk z Drasinami. Niezależnie jednak od przeznaczenia myśliwców, na pewno trudno będzie się przez nie przebić.

– Wypuścić Archanioły. Przekazać na „Enterprise”…

– „Enterprise” melduje gotowość myśliwców!

– Albo nie przekazywać. – Eric wzruszył ramionami.

– Kapitan Carrow dowodził lotniskowcem podczas ostatniej wojny – przypomniał mu Roberts. – Polega na swoich ptaszkach prawie tak, jak pan na Archaniołach.

– Powiedziałbym, że nawet bardziej – sprostował Eric złowrogo. – Ma ich na tyle, by uformować coś większego niż oddział zwiadowczy.

– Racja, sir.

Dwa skrzydła uzbrojonych po zęby i żądnych walki myśliwców opuściły pokłady startowe „Enterprise”. Eric życzył im powodzenia, zdawał sobie jednak sprawę, że myśliwce wroga mają miażdżącą przewagę liczebną.

– Siły Drasinów ponownie ustawiają się w formacji i ruszają naprzód – oznajmiła Winger.

– Sygnał dla wszystkich jednostek – odparł Eric. – Wycofujemy się na drugą linię.

Po nadaniu rozkazu padły ostatnie strzały i okręty pod dowództwem Westona zaczęły się wycofywać, podczas gdy myśliwce osłaniały je przed samobójczymi atakami maszyn Drasinów.

W oddali jaśniał Jowisz, a bitwa się od niego oddalała.

Zmierzała w stronę kolejnej linii obrony Układu Słonecznego, na czwarty świat, Czerwoną Planetę.

Na Marsa.

ROZDZIAŁ 24

Umysły okrętów ogarnęło oszołomienie. W słowniku nie było lepszego słowa oddającego stan, w jaki popadły, ale nawet ono wydawało się słabe w porównaniu z tym, co czuły. W ułamku sekundy ponad jedna trzecia sił została zniszczona, i to niemal bez ostrzeżenia.

Dużo czasu zabrało przeszukanie baz danych, by znaleźć coś podobnego do tego, co uderzyło we flotę. Jedyne, co pasowało, to naturalna katastrofa – wynik niewykrycia, że jeden z oczyszczanych systemów okrąża pulsar. Gdyby drony zostawiły tamten system w spokoju na dzień dłużej, gwiazda sama rozwiązałaby dla nich problem.

Tutaj jednak nie było śladu takiej gwiazdy. Wszystkie szkody wyrządzone flocie poprzedzało pojawienie się okrętu rozpoznanego jako jednostka, która naprowadziła drony na ten system gwiezdny.

Wpadły prosto w pułapkę, jednak nigdy w swojej egzystencji nie napotkały żadnej rasy tak dobrze rozstawiającej zasadzki.

Drony ruszyły do przodu pomimo strat, ponieważ głęboko wewnątrz systemu znajdowała się planeta tak bardzo skażona, że rój nie mógł jej tolerować.

Każdy inny gatunek wycofałby się i przemyślał sytuację, przestudiował system i dopasował strategię do okoliczności.

Jednak rój wiedział tylko, który świat należy zniszczyć, i znał metodę osiągnięcia celu.

Wszystko, co stanie mu na drodze, zostanie zniszczone. Świat zostanie zniszczony.

Prędzej czy później wszystko poddawało się rojowi, czas nie miał żadnego znaczenia.

Okręty roju ustawiły się w formacji, korzystając z osłony myśliwców, po czym ruszyły za jednostkami, które powoli zmierzały ku odległej czerwonej planecie. Ten świat też nurzał

się w szkarłacie pręgi. Nie był tak zakażony, jak trzecia planeta, główny cel, ale też powinien zostać unicestwiony.

Cały system musi zniknąć, pozostanie tylko samotna gwiazda, która spłonie w bezkresnej czerni.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Działa tranzycyjne zostały przeładowane, magazynki uzupełnione – zameldował Roberts. – To będzie ostatnia salwa, nie mamy więcej pocisków.

– Przyjąłem. Dziękuję, komandorze – odparł Eric.

– Kapitanie, transmisja od komodora.

– Na mój ekran poproszę.

Twarz komodora Wolfe’a pojawiła się na ekranie po prawej. Obraz uległ zniekształceniu przez promieniowanie wydzielone w wyniku nieortodoksyjnego włączenia się „Weifanga” do walki.

– Kapitanie, kiedy otrzyma pan tę wiadomość, ostatnie wahadłowce opuszczą powierzchnię planety. Ustawiliśmy automatyczne systemy obronne, więc każdy okręt nieposiadający należącego do Konfederacji kodu rozpoznawczego zostanie uznany za wrogi przez nasz system IFF, zatem proszę trzymać swoich sojuszników z dala od Marsa. Jeśli nie może pan tego zrobić, wysyłam kody deaktywujące. Nie mieliśmy czasu na przeprogramowanie systemu IFF tak, by rozpoznawał okręty Bloku i pańskich pozaziemskich sojuszników jako swoich.

Wolfe przemawiał z hangaru w bazie w Barsoom na Marsie. Za jego plecami biegali ludzie próbujący załadować wahadłowce i wznieść się w atmosferę najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Dysponujemy tu wystarczającą siłą ognia do odparcia ewentualnego ataku sporych formacji Bloku. Całość zostaje do

pańskiej dyspozycji – zakończył Wolfe. – Powodzenia, Eric. Bez odbioru.

Eric skrzywił się do ekranu, ale już zaczął rozważać, jak dobrze wykorzystać dostępne środki i zarazem ochronić sojuszników.

– Będziemy musieli podzielić nasze siły – przyznał w końcu z niezadowoleniem.

Roberts skinął głową.

– Jak zamierzamy to zrobić i nie zgubić zbyt wielu jednostek, które nas gonią?

– Jakoś nie wydaje mi się, że będzie to problem. – Eric pokręcił głową, potem zerknął na stanowisko namiarów i łączności. – Porucznik Winger, proszę otworzyć mi prywatny kanał z „Posdanem".

– Tak jest, sir. Prywatny kanał otwarty.

– Kapitan Kian – zaczął – moglibyście odciągnąć „Weifanga" z dala od pola walki?

– Tak, kapitanie. Żaden problem, zakładając, że wróg nie rzuci się na nas ze zbyt dużą przewagą liczebną.

– „Odyseja" i „Enterprise" spróbują odciągnąć drony – odparł Eric. – Mam wrażenie, że ich flota nie jest teraz w stanie myśleć racjonalnie, i zamierzam to wykorzystać.

– Ro…zumiem?

Eric uśmiechnął się. Ton odpowiedzi wyraźnie zdradzał, że kapitan Kian nie rozumie. Nie szkodzi, jeśli przeżyje, zrozumie. To jedna z lekcji podczas walk, jak się zdaje. Tylko czas jej trwania był ograniczony.

I nie wszyscy absolwenci dożyją promocji.

***

Brzęczenie myśliwca było tym, czego Stephanosowi ostatnio bardzo brakowało. Nie mógł się doczekać, kiedy rozpocznie się walka, a ciche brzęczenie zmieni się we wściekłe burczenie.

Jego skrzydło było małe i niepełne, ale wciąż najlepsze w Konfederacji i Stephanosowi zupełnie to odpowiadało.

– Po kolei – zaczął. – Mamy osłaniać „Odyseję” i pilnować, czy nie nadlatują kamikaze.

– Masz to jak w banku, Steph – odpowiedział Palnik. – Boże, ale ich dużo.

Wściekle czerwona fala zalewała ekran. Przeklęty komputer nie radził sobie z odróżnieniem okrętów od mrowia myśliwców osłaniających, a co dopiero mówić o liczeniu ich. Nie była to normalna walka dla Archaniołów ani dla kogokolwiek innego. Ale taka była i koniec.

Jeśli mieli stanowić ostatni bastion ludzkiej rasy albo samej Ziemi, to niech przynajmniej będzie wiadomo, że Archanioły walczyły do ostatniego myśliwca.

„Wolałbym tylko, żeby ostatni myśliwiec należał do wroga, nie do nas”.

Pozostało trochę czasu, zanim flota przeciwnika dotrze na pozycje, ale bardzo niewiele. Uszkodzony okręt drastycznie spowalniał ziemskie siły. Steph spojrzał na holowanego „Weifanga”, do którego zbliżał się jeden z okrętów Priminae.

„Chyba uda się przyspieszyć nieco bardziej, niż mi się wydawało”. Ale nie wiedział na pewno.

Jednostki Priminae mogły poruszać się dużo szybciej, co do tego nikt nie miał wątpliwości, jednak nie wiadomo było, jak działała fizyka przy holowaniu takiej jednostki.

HUD domagał się uwagi pilota, sygnalizując popiskiwaniem nadejście nowych rozkazów.

„Nooo. Na taki rozkaz czekałem naprawdę długo. Kapitan musi bardzo nienawidzić Drasinów” – pomyślał Steph.

– No dobra, Aniołki, dostaliśmy nowe rozkazy – wycedził przez sieć łączności taktycznej. – Nazwa operacji: Furia. Szulerka, trzymaj się mnie.

Archanioły wyleciały z „Odysei” i gwałtownie przyspieszyły w kierunku chmary wrogich myśliwców.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Enterprise”

– „Odyseja” posłała myśliwce na flotę wroga, sir.

Carrow wytrzeszczył oczy.

– Zrobiła co?

– Wygląda to na frontalny atak.

Carrow wymienił spojrzenia z Andreą. Nawet ona nie kryła całkowitego zaskoczenia i niedowierzania.

– Weston raczej nie poświęci swoich ludzi ot tak – zaprzeczył Carrow. – Nie ma mowy.

– Zgadzam się – przyznała niechętnie Parker, która nie lubiła jakichkolwiek komplementów pod adresem kapitana „Odysei”. – Tylko co planuje?

– Nie mam pojęcia. Nie zamierzam wydawać myśliwcom podobnych rozkazów, jeśli nie będę miał ku temu dobrego powodu.

– Myślę, że to docenią – odparła oschle pierwsza oficer.

Na pokładzie „Enterprise” znajdowało się sto czterdzieści najnowszych myśliwców klasy Vorpal. Były zaprojektowane tak, by pod względem technologicznym przyćmić Archanioły w każdym aspekcie. Szybsze, lepiej uzbrojone i opancerzone, bardziej zwrotne… Po prostu lepsze.

Jedynym, w czym Archanioły przewyższały nowe maszyny, była precyzja interfejsu neuronowego, ale chociaż żaden przeciwnik nie potrafił sprostać im w starciu jeden na jeden, spodziewano się, że nowe myśliwce w swojej masie lepiej się sprawdzą.

Carrow miał blisko trzydzieści razy więcej myśliwców niż „Odyseja”, ale nie było mowy, by wysłał którekolwiek skrzydło w piekielny koszmar Drasinów.

„Nie bez sensownego powodu i szansy przekazania rozkazu twarzą w twarz” – pomyślał Carrow ponuro. „Piloci na to zasługują”.

– Rozkazy z „Odysei”, sir – przerwała jego rozmyślania Andrea.

Carrow spojrzał na notatkę, otworzył szerzej oczy, gdy odczytał nowy kurs, po czym skinął głową.

– Rozumiem. – Spoważniał, rozważając rozkazy, zanim podniósł głowę. – Kurs na Marsa, cała naprzód.

– Tak jest, sir. Kurs Mars, cała naprzód!

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

Kian patrzyła na otrzymane rozkazy, czy też raczej prośbę z „Odysei”.

Wiedziała, co Weston próbował osiągnąć. Chciał, by uszkodzony okręt jak najszybciej znalazł się poza zasięgiem Drasinów. Kian uznała to za dość optymistyczne podejście, zważywszy że przeciwnik mógł podzielić siły i wysłać pościg za każdym okrętem w układzie z osobna, a przy tym zachować grupę uderzeniową zdolną zniszczyć dowolną fortyfikację, nawet Priminae.

Kian otrzymała jasne rozkazy z Ranquil. Miała słuchać wszystkich sensownych poleceń i próśb Terran, dopóki nie narażało to jej okrętu bez potrzeby. Jednocześnie powinna szukać okazji, by zdobyć technologię terrańskiej broni, jeżeli tylko będzie to możliwe.

Kapitan nie uważała, że uda się jej osiągnąć ten ostatni cel, ale musiała spróbować.

„Posdan” wraz z „Neptem” bez problemu zniosły obciążenie spowodowane uszkodzonym „Weifangiem” na holu, jednak i tak nie mogły poruszać się zbyt szybko – używany przez Priminae napęd zakrzywiający czasoprzestrzeń w swoim zasięgu zupełnie niwelował efekty przyśpieszenia, ale Terranie obecnie znajdowali się daleko poza tą strefą i mogliby zostać rzuceni na tyły swoich jednostek, gdyby spróbowali ruszyć się szybciej niż o kilka g.

To, niestety, zmuszało całą grupę do posuwania się naprzód w tempie rannych ptaków. Stawali się świetnym celem dla Drasinów, którzy zbliżali się coraz bardziej.

„Nie wiem, skąd to przekonanie, że może pan trzymać przeciwników z dala od nas, ale mam nadzieję, że wie pan, co robi, kapitanie Weston”.

– Kapitan Kian! Terrańskie myśliwce właśnie rozpoczęły atak na flotę Drasinów!

Kian zamurowało. Pięć małych myśliwców oderwało się od „Odysei” i przyspieszało w stronę wrogiej armady.

„Oni zupełnie oszaleli!”

***

– To szaleństwo! – zaśmiała się Szulerka, gdy leciała tuż za prowadzącym. Przed chwilą wykonali beczkę, która pozwoliła im o włos uniknąć promienia lasera.

Obce lasery były tak mocne, że energia prawie wyciekała z wiązki fotonów.

Niektóre fotony wybiła z wiązki kolizja z innymi cząsteczkami, a część została źle wystrzelona. Niezależnie od przyczyny, efekt był ten sam.

Dobrze nastrojony system detekcji pozwalał wyłapać te zabłąkane fotony i wyliczyć pozycję oraz kąt strzału ze źródła. Rozszerzona wizja, którą zapewniał wyświetlacz HUD w Archaniołach, uzupełniała dane, kontrola spoczywała w rękach pilotów, a reszta była już tylko adrenaliną.

– Szulerka, cisza – zażądał Steph, skręcając myśliwcem tak ciasno, że manewr zmieniłby maszynę w złom, a dowódcę w mokrą plamę, gdyby nie systemy MP pracujące na pełnej mocy. – Po prostu rób swoje.

– Wyluzuj, szefie – zaśmiał się Palnik przez komunikator. – Obowiązek obowiązkiem, ale trochę zabawy przy tym nie zaszkodzi, prawda?

– Zabawa zabawą, ale te myśliwce przed nami mogą nas załatwić, jeżeli nie spodoba im się nasze miłe towarzystwo.

– To może pora pokazać im jakieś zabawne sztuczki?

– Dobry pomysł – zachichotał Steph. – Archanioły, pozwolenie na otwarcie ognia. Atak na wrogie myśliwce, tylko działka. Powtarzam: działka, działka i tylko działka.

Wszyscy przez komunikator chórem potwierdzili przyjęcie rozkazu. Pięć myśliwców Skrzydła 444 otworzyło przepustnice na maksimum i rozpoczęło natarcie na wrogą flotę.

Steph pomyślał, że nie wyglądało to na takie szaleństwo, jak mogło się wydawać. Zrobił kolejny zwrot i wszedł w korkociąg, aby ominąć wiązkę lasera. Przeciwnik potrzebowałby cudu, by namierzyć Archanioła przy tej prędkości oraz skomplikowanym i nieprzewidywalnym torze lotu. Dlatego wrogie myśliwce cięły laserami przestrzeń jak mieczem, próbując dosięgnąć ziemskich maszyn.

Ten plan miał jedną podstawową wadę.

Wiązka lasera porusza się z prędkością światła. Jeśli któryś trafiłby prosto w Archanioła, to koniec dla pilota, chyba że dostosowałby pancerz do częstotliwości promienia, co było prawie niewykonalne. Jednak systemy celownicze na wrogich jednostkach nie operowały w prędkości światła. Wiązki musiały pokonać dystans, w czym przeszkadzały im ograniczenia techniczne jednostki, z której zostały wystrzelone, oraz to, że nawet tak słabo opancerzone maszyny jak Archanioły nie mogły zostać poważniej uszkodzone, jeśli przetną promień lasera przez ułamek sekundy.

Nic z tego. Drasinowie musieli wymierzyć w myśliwiec i przytrzymać na nim wiązkę lasera, dopóki cel nie zmieni się w grzankę, czyli przez jakąś sekundę. Przez dwie sekundy ekspozycji myśliwiec zmieniłby się w rozpraszającą się chmurę luźnych części, które zawierały w środku żywą istotę.

Nieszczęśliwie dla Drasinów, piloci myśliwców nie zamierzali czekać nieruchomo na fajerwerki.

Steph mentalnie podświetlił serię celów i rozpoczął ostrzał. Zamontowane na dziobie działko Gaussa wystrzeliło trzy

kilogramy zubożonego uranu.

– Robimy wyrwę, tylko dużą – zawołał Steph, przekrzykując rozbrzmiewające w kokpicie wibracje broni. – Inaczej będziemy musieli wymyślić, jak nawlec igłę przy połowie prędkości światła!

Większość wrogich myśliwców ich ignorowała. Nie było w tym nic dziwnego. Jeśli miało się tak liczną flotę, nie zwracało się uwagi na kilka jednostek, nawet jeśli byłyby uzbrojone w stingery. Było to poniżające, ale też typowe dla mentalności tłumu, który poświęcał uwagę głównym siłom, nie garstce intruzów.

Mimo to i tak ponad sto myśliwców próbowało wziąć Archanioły w krzyżowy ogień laserów.

„A my przejdziemy przez ten tłum i kopniemy w dupę główne okręty".

Steph wyszczerzył zęby i skierował myśliwiec na formacje wroga.

Pociski ze zubożonym uranem dotarły pierwsze, uderzyły z siłą mikroskopijnej broni jądrowej. Ich energia kinetyczna zmieniła spore sekcje celów w kulę plazmy. Wyrwa, o którą prosił Steph, zaczęła się otwierać.

W przeciwieństwie do laserów powolnych pocisków nie trzeba było przytrzymywać na przeciwniku przez dwie sekundy. Trafiały lub nie, ale tak czy inaczej strzelec nie musiał się nimi przejmować, zwłaszcza gdy chodziło o pilotów Archaniołów.

– Przeorać drogę! – rozkazał Steph. Czuł pod sobą wibracje, ponieważ wciąż strzelał, przez co myśliwiec trząsł się bez przerwy.

Maszyny ustawiły się w formację rombu, ze Stephem na czele. Myśliwce wypluwały cały zapas amunicji prosto w zamieszanie, które wywołały.

– Przesłony!

Steph, zgodnie z własnym rozkazem, przestawił kilka przełączników. Wszystkie „miękkie" punkty myśliwca zostały okryte pancernymi przesłonami, używanymi do wchodzenia

w atmosferę. Osłonięte zostały wszystkie czujniki i kokpit oraz inne sekcje. Myśliwce były dzięki temu chronione podczas przebijania się przez rumowisko we wrogich szeregach.

Przemierzali obszar złomu, gdzie kolizja oznaczałaby śmierć, gdyby nie obciążone do granic wytrzymałości generatory MP. Czuli się jak w deszczu stali, który mroził im krew w żyłach, dopóki nie znaleźli się po drugiej stronie linii wroga.

Przesłony Stepha cofnęły się jako pierwsze, czy raczej Steph był na tyle szalony, by opuścić je jako pierwszy. Szaleństwo jednak stanowiło kwestię dyskusyjną, gdy alternatywa oznaczała lot na ślepo i głucho. Przed Archaniołami znajdował się teraz ich prawdziwy cel.

– Zgłosić się – rozkazał Stephanos, sprawdzając telemetrię.

– Palnik obecny.

– Szulerka na miejscu, sir.

– Mroczny Rycerz na stanowisku.

– Straszak gotowy, szefie.

– Oznaczyć cele i otworzyć ogień, gdy tylko będziecie gotowi. Pora wpaść w Furię – powiedział Steph. – Rozdzielić się!

Piloci potwierdzili przyjęcie rozkazu i formacja rozpadła się, a jej członkowie ruszyli w różne strony.

Steph oznaczył każdy wrogi okręt, jaki mu się udało. Na ekranie pojawiało się coraz więcej czerwonych kropek, reprezentujących przeciwnika. Steph odbezpieczył i uzbroił pociski.

– Archanioł Zero Jeden, ognia – powiedział. – Ostrzał bez rozkazu, kod trzy.

Przesunął ostatni przełącznik bezpieczeństwa i przytrzymał guzik. Na automatycznym trybie Archanioł mógł wystrzelić z obrotowych wyrzutni sześć superszybkich rakiet w niecałe dwie sekundy.

Dwa bębny po sześć ładunków wyrzuciły wszystko, co miały.

Zanim ostatni pocisk włączył napęd, Steph szarpnął za drążek i zawrócił na maksymalnie otwartych przepustnicach.

– Tu prowadzący – odezwał się na kanale taktycznym. – Wszystkie pestki poszły!

Widział ikony pozostałych członków skrzydła robiących to samo, co on. Pociski przecięły przestrzeń, gdy Archanioły meldowały wykonanie zadania i ruszały za Stephanosem.

Na pełnej prędkości rakiety obciążały swoje generatory masy przeciwnej, gdy tylko włączały się silniki. Cięły próżnię bardziej jak wiązki światła niż zwyczajne pociski, po czym uderzyły w sześćdziesiąt niszczycieli Drasinów.

Lżejsze pociski używane przez Archanioły były stworzone do atakowania różnych jednostek, ale nawet z odwróconym ciągiem MP, który wzmacniał impet, nie osiągnęły wystarczającej siły, by zniszczyć wielkie okręty dronów. Eskadrze Archaniołów udało się unieszkodliwić około sześciu i uszkodzić kolejnych kilkanaście… Jednak, co najważniejsze, udało im się wkurzyć resztę niezliczonej floty.

Flota, a przynajmniej jej spora część, zaczęła zmieniać kurs i kierować się na Archanioły.

– Misja Furia zakończona, spadamy stąd!

***

– Kapitanie, sygnał od dowódcy Archaniołów – zameldowała Winger. – Misja zakończona.

– Tak. Myślę, że to doskonale widać. – Eric wyszczerzył się w napiętym uśmiechu i odwrócił głowę, by spojrzeć tam, gdzie patrzył Roberts. – Ci Drasinowie to nie tylko beznamiętne drony. Można ich zirytować.

– Właśnie widzę, kapitanie.

– Mają jakieś emocje, widziałem to już przy pierwszym spotkaniu. A przynajmniej pewne oznaki… – Eric zamyślił się. – Nic, co moglibyśmy uznać za człowieczeństwo, jak sądzę. Jednak coś odczuwają. Złość.

– Złość może zostać użyta teraz przeciwko nam – skwitował Roberts.

– Będzie to jeszcze jedna cenna lekcja, którą damy im przed śmiercią.

Roberts skrzywił się, wyraźnie nie podobał mu się tok rozumowania kapitana.

– Poddał się pan, sir?

– Wszyscy umrzemy, komandorze. Może to będzie dziś, ale nie, nie poddałem się – odpowiedział Eric i po chwili dodał: – Jeszcze nie.

– To dobrze.

– Kurs na Marsa, komandorze poruczniku – Eric podniósł głos. – Uformować szyk z „Enterprise”.

– Tak jest, sir… A co z Archaniołami?

– Polecą tuż za nami, nie zaprzątajcie sobie nimi głowy.

– Tak jest, sir.

ROZDZIAŁ 25

Niszczyciel imperialny „Heros”
Obrzeża Układu Słonecznego

– Odbieram sygnały z systemu, komendancie. Sygnatura Drasinów.

„No cóż – pomyślał Ivanth – przynajmniej udało się je znaleźć. Tylko czego tu szukają?”

Pamiętał aż za dobrze, co się stało ostatnio, gdy przyleciał do tego systemu. Stracił wtedy wszystkie okręty dronów, a przy tym zbyt wiele niezastąpionych jednostek drugiej generacji. Drony odrzuciły wszystkie zabezpieczenia kodu i wbrew jego rozkazom zaatakowały istoty ukrywające się w tym układzie gwiezdnym.

Coś podobnego było nie do pomyślenia, niemożliwe.

A jednak się stało.

Ostatnie, na co Ivanth miał ochotę, to znaleźć się między układami gwiazd zajmowanymi przez grupy bojowe niekontrolowanych dronów. Nie można było określić ich tylko jako śmiertelnie niebezpiecznych. Stanowiły nieokiełznaną grozę, która według Ivantha przyćmiewała wszystko inne. Lepiej usmażyć się w gwiezdnej burzy lub dać się rozbić na atomy przez pulsar. To, co mogliby uczynić Drasinowie, było zarówno bardziej przemyślne, jak i… osobiste.

– To dziwne, komendancie.

Ivanth otrząsnął się z ponurych myśli i podszedł do konsoli skanera.

– O co chodzi? – Pochylił się nad ramieniem młodszego oficera.

– Zgubiliśmy około dwóch i pół tysiąca okrętów, zgadza się, komendancie?

– Tak.

– Wykrywam nieco ponad tysiąc w tym systemie.

Ivanth wyprostował się i zmarszczył brwi.

– Gdzie, na czarną osobliwość, są pozostałe?

– To właśnie jest dziwne, komendancie. Skanuję tam wraki, które wyglądają jak…

– Nie… – Ivanth potrząsnął głową. – W to nie uwierzę. Rozumiem zniszczenie kilkunastu czy kilkudziesięciu okrętów. Widziałem to na własne oczy, więc muszę wierzyć. Ale… NIC, absolutnie NIC nie zdołałoby zniszczyć tylu okrętów w tak krótkim czasie.

– Sygnatura otoczenia wskazuje… na pulsar, komendancie.

Zdziwienie w głosie oficera wcale nie zaskoczyło Ivantha. Chociaż pulsar mógłby dokonać takich zniszczeń, żaden nie znajdował się w najbliższym sąsiedztwie tego systemu. Gdyby w pobliżu wykryto pulsar, ten układ planetarny nie wzbudziłby niczyjego zainteresowania. Dawno byłby wyjałowiony przez promieniowanie.

– Im dłużej patrzę na ten przeklęty system, tym bardziej skłonny jestem przyznać dronom rację – warknął poirytowany Ivanth. – Wszystkie stanowiska, pełna gotowość. Będziemy obserwować walkę, potwierdzimy zniszczenie systemu i udamy się do Imperium, by zameldować, co się stało.

– Tak jest, komendancie.

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Komodor Wolfe melduje opuszczenie bazy Barsoom.

– Świetnie. Skierujcie komodora i jego ludzi bezpośrednio na lądowiska na Ziemi. Nie mamy tu dla nich miejsca –

odpowiedziała Gracen, spacerując po centrum dowodzenia.

– Tak jest.

Orbita ziemska bardzo szybko zrobiła się wyjątkowo ruchliwym miejscem. Okręty z całego Układu Słonecznego zlatywały się właśnie tutaj. Prawie osiemdziesiąt procent ziemskiego tonażu czekało w nadziei, że kolejne linie obrony zdołają powstrzymać najeźdźcę.

To, co pozostało na zewnątrz, ukrywało się na stacjach w całym układzie: na orbicie Jowisza, na orbicie Saturna i w Obłoku Oorta. Admirał Gracen życzyła im szczęścia, jednak żadnej z tych jednostek nie wyposażono w napęd FTL, więc jeśli Ziemia upadnie, szanse na przetrwanie ludzi ze stacji będą zerowe.

Jeśli Priminae nie zlitują się nad nimi, nikt nie przeżyje.

Sygnały i wiadomości docierające z „Odysei" miały opóźnienie prawie dwudziestu minut, wkrótce będzie można obserwować walki w czasie rzeczywistym, zwłaszcza wziąwszy pod uwagę prędkość sił operacyjnych. „Odyseja" zmierzała do Marsa, podczas gdy okręty Priminae holowały uszkodzoną jednostkę Bloku w stronę Ziemi.

Westonowi udało się zmusić całą armadę wroga, by zwróciła się przeciwko „Odysei", czy też raczej jej myśliwcom. Takie umiejętności taktyczne zdobył zapewne podczas lat pracy dla Stanów Zjednoczonych, a później Konfederacji. Ten człowiek posiadał niewątpliwy talent do wkurzania wszystkich ludzi w pobliżu.

„Co ciekawe, jego talent działa też na umysły obcych" – pomyślała admirał.

– Co z naszą obroną orbitalną? – spytała podczas wędrówki na drugi koniec sali.

– Rozmieszczamy nowe satelity na niskiej orbicie tak szybko, jak tylko kończymy je budować, ale choć to proste modele, ich złożenie zajmuje trochę czasu.

– Nie mamy już czasu – syknęła Gracen. – Przekażcie kontroli naziemnej, niech wypuszczą w powietrze więcej jednostek albo, jak Boga kocham, zrzucę coś starego i ciężkiego na ich

korporacyjny zarząd, a potem pozwolę szeregowym pracownikom wyciąć w pień menadżerów średniego szczebla.

– Tak jest, admirał Gracen.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Czerwona Planeta była już wyraźnie widoczna na ich ekranach, kiedy Archanioły wylądowały na pokładzie macierzystego okrętu, a podnośniki przeniosły je do sekcji z atmosferą za hermetycznymi grodziami.

Steph wyskoczył ze swojego myśliwca, gdy tylko ciśnienie w hangarze i w kokpicie się wyrównało. Wykonał salto i odepchnął się, by jego podeszwy przylgnęły do podłoża. Zaraz też do dowódcy eskadry zbliżył się szef obsługi technicznej.

– Załadujcie i zatankujcie – powiedział Steph. – Chcę być gotowy do ponownego lotu jak najszybciej.

– Robi się, szefie. Nowe karby za trafienia?

– Musicie przejrzeć nagrania i sami policzyć – odpowiedział Steph. – Byłem zbyt zajęty, żeby się tym przejmować.

– Tak zrobimy, komandorze. Ale najpierw sprawdzę stan techniczny.

– Najpierw załadunek i tankowanie – powtórzył Stephanos. – Są już rozkazy od kapitana odnośnie kolejnej misji?

– Rozkazy z góry są takie, że macie zostawić małe jednostki broniące okrętów i przygotować się do bezpośredniego starcia z główną flotą wroga.

– Zrozumiałem – uśmiechnął się Steph. – To będzie bardzo ciekawe.

Dowódca eskadry poklepał po ramieniu szefa obsługi technicznej, po czym ruszył niezdarnie do windy. Magnetyczne buty przytrzymywały go przy podłodze. Piloci mieli teraz około godziny przerwy, nim znowu będą mogli wystartować, więc należało jak najlepiej wykorzystać wolny czas.

„Boże, potrzebuję czekolady”.

***

Na mostku Eric Weston obserwował podejrzliwie powierzchnię Czerwonej Planety. Wroga flota ścigała „Odyseję”, a kapitan wiedział, że ta czerwona pustynia stanowi ostatnią linię obrony. Potem była już tylko Ziemia.

– Zejść na niską orbitę – rozkazał. – Naprawdę niską, i to szybko. Niech Mars oddzieli nas od wroga jak najszybciej.

– Tak jest, kapitanie – potwierdził Daniels. – Przeciwnik koryguje tylko formację. Myśliwce zrównały prędkość z krążownikami.

Eric skinął głową, już to wiedział. Gdyby było inaczej, myśliwce już dawno zmieniłyby okręt w gwiezdny pył, zanim jeszcze Archanioły wróciłyby na pokład. Westona od początku to nie martwiło. Wiedział, że wielkie grupy Drasinów niechętnie rozbijają się na mniejsze. Przeciwnicy się nie rozpraszali. Trzymali się razem jak rój. W małych, rozproszonych grupach instynkt roju by nie przetrwał. Podobnie by było z przeciętnym człowiekiem, gdyby odciął sobie rękę, po czym oczekiwał, że kończyna nadal będzie mu posłuszna.

Zamierzali zaatakować Westona jak rój, przełamać obronę kapitana i rozerwać go na strzępy.

Najbardziej przerażało to, że ta taktyka była skuteczna.

Przestrzeń międzyplanetarna
W pobliżu Marsa

Szkarłatna pręga życia w tym systemie była bardziej podstępna niż gdziekolwiek indziej. Zainfekowała nawet światy, na których nie mogła przeżyć.

Życie pozostawiało za sobą skazę, a umysły okrętu mogły ją wywęszyć i posmakować podczas zbliżania się do zimnej

pustyni w pogoni za jednostką, która dręczyła Drasinów już tak długo.

Ta szkarłatna skaza nie mogła być dłużej tolerowana, musiała zostać starta z oblicza wszechświata.

Była to jedyna dyrektywa.

Ten konkretny przypadek szkarłatnej plagi był bardzo wytrwały, przemożny jak grawitacja. Lecz nawet grawitację można pokonać odpowiednio skierowaną siłą.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Tak trzymaj, Daniels, ukryj nas za Fobosem. Utrzymuj pozycję trzysta kilometrów od powierzchni Marsa i… – Eric pomyślał o rozmiarach satelity, którego używał jako zasłony, i szybko przeliczył w pamięci – pięć kilometrów w cieniu księżyca.

– Tak jest, sir. Przechodzę na pozycję. – Daniels użył silników manewrowych, by ustawić okręt we wskazanym miejscu.

Eric w pamięci sprawdził obliczenia. Dodatkowa umiejętność, nabyta chyba w brawurowych starciach. Z czasem nauczył się przeprowadzać w pamięci pewne obliczenia, które niewielu ludzi potrafiłoby rozwiązać przy użyciu kalkulatora.

„Fobos okrąża Marsa w nieco ponad siedem godzin. Nie powinniśmy zostać zauważeni, dopóki nie wzejdzie Mars. Wtedy wróg nas wykryje, ale też znajdzie się w zasięgu dział”.

– Dyrektywa dla systemu obrony – zwrócił się do Winger. – Pełna gotowość, ale żadnych działań bez rozkazu.

– Tak jest, sir. Dyrektywa wprowadzona… i potwierdzona – zameldowała Winger. – Systemy obronne Barsoom w trybie gotowości.

– Dobrze. – Eric z aprobatą kiwnął głową. – Bardzo dobrze. Uderzyć i uciec, uderzyć i uciec.

– Credo wojny partyzanckiej – stwierdził kwaśno Roberts. – Minęło trochę czasu, odkąd musieliśmy walczyć w ten sposób.

– Nieprawdaż? – Weston uśmiechnął się ironicznie. – Przez całą karierę walczyłem przeciwko małym sukinsynom, którzy atakowali nas z ukrycia, po czym dawali nogę w nadziei, że ich nie znajdziemy.

– Wszyscy tak walczyliśmy – przyznał Roberts ponuro.

– Teraz wzorujemy się na terrorystach – westchnął Eric. – Niemiłe uczucie znaleźć się pod presją silniejszego, prawda?

– Niemiłe – przyznał Roberts. – Chyba jednak będziemy musieli do tego przywyknąć. O ile tylko przeżyjemy dzisiejszy dzień.

– Galaktyka jest ogromna, co?

– Jeszcze jak.

Mostek „Odysei" rozjaśniały ekrany pokazujące dane telemetrii i raporty o aktualnej sytuacji. Były na nich też obrazy floty wroga po drugiej stronie Marsa, odbierane dzięki satelitom na orbicie Czerwonej Planety, a Weston niemal żałował, że widzi przeciwnika.

Armada była monstrualna. Nie dało się tego opisać inaczej. Myśliwce leciały w tak ciasnej formacji, że wyglądały jak zwarta masa, która czasami się rozpraszała w jednym miejscu, by zgromadzić w innym. Przypominała żywą istotę. Rzadko udawało się dojrzeć to, co skrywało się za nią.

Ponad tysiąc okrętów poruszało się za myśliwcami, a Ericowi nie zostały już w zanadrzu żadne sztuczki.

Och, mogli oczywiście zniszczyć jeszcze trochę obcych okrętów stucentymetrowymi pociskami z dział tranzycyjnych. Wyeliminowaliby kilkadziesiąt, może kilkaset jednostek, zanim zabrakłoby amunicji. Obrona Barsoom też mogła zadać mocny cios, o ile będzie miała czyste pole do ostrzału przez osłonę tworzoną przez myśliwce.

A potem zostanie tylko Ziemia.

Eric doskonale znał stan obrony rodzimej planety. Nawet gdyby udało się skupić cały wysiłek produkcyjny tylko na wyprodukowaniu kolejnych dział i baterii, Ziemia nie miałaby szans, aby powstrzymać kilka tuzinów obcych okrętów, a co dopiero tysiąc.

Mars stanowił najbardziej zaawansowany węzeł obronny w Układzie Słonecznym. I kropka.

Stało się tak tylko dlatego, że Konfederacja wygrała wyścig na Czerwoną Planetę i zajęła cały glob, nim pojawił się tam jakikolwiek okręt Bloku. W celu utrzymania Marsa ufortyfikowano oba księżyce – Deimosa oraz Fobosa – oraz rozmieszczono sieć satelitów, które mogłyby wygrać wojnę, gdyby Blok chciał uderzyć. Blok jednak rozsądnie ominął Marsa i skierował się prosto na pas planetoid, a potem na księżyce Jowisza i Saturna.

W porównaniu z Ziemią Mars był prawdziwą fortecą, lecz Eric zdawał sobie sprawę, że nie uda się powstrzymać sił, które zbliżały się do Czerwonej Planety.

„Niech nam Bóg dopomoże”.

***

– Macie zatankować, załadować i zabrać mi te zabawki z oczu!

Bosman, szef obsługi technicznej na pokładzie startowym Archaniołów, był w wyjątkowym nastroju, gdy nadzorował prace w hangarze. Przyczepił się butami magnetycznymi do ściany, by nie wchodzić swoim podwładnym w drogę.

Funkcja szefa obsługi technicznej eskadry była całkiem przyjemnym i wygodnym stanowiskiem przez większość czasu, nawet podczas wojny. Miało się okazję podróżować. Oczywiście jeśli słowo „okazja” będzie rozumiane identycznie jak „obowiązek”. Zwiedzało się świat, a potem światy, wykonując przyjemną, choć piekielnie powtarzalną pracę, na dodatek w miarę bezpieczną, o ile można to powiedzieć o stanowisku na okręcie wojskowym.

Ale gdy okręt ten ścigała armada obcych i na dodatek stanowił jedyną przeszkodę między wrogiem a Ziemią? To było coś nowego.

Bosman nie wiedział, co te jego nędzne pięć ptaszków może zrobić, ale będą gotowe do akcji, nawet gdyby szef obsługi technicznej osobiście miał je wystrzelić w kosmos przy pomocy gumy rozciągniętej w poprzek pokładu startowego.

„Bo z braku laku i kit dobry, i tak dalej".

Niewiele mógł zrobić, ale zrobi, co może.

***

Doktor Rame westchnął, gdy światła na pokładzie medycznym przygasły i zmieniły barwę na czerwoną, oznaczającą alarm bojowy dla wszystkich sekcji. Nie żeby przypomnienie było konieczne, wszyscy na okręcie wiedzieli przecież, co się dzieje.

Kolejna walka. Nic nowego.

Tylko że to nie będzie walka taka jak inne.

Doktor sprawdził skrupulatnie wyposażenie – znowu – i przygotował wszystko, co mogłoby się okazać potrzebne do opatrywania ciężkich ran – znowu – po czym przeprowadził wszystkie czynności ściśle według procedury przed walką – znowu. Zdawał sobie sprawę, że za cholerę nie ma szans, by pojawili się tutaj ranni po zbliżającym się starciu, chyba że jakiś pechowiec z załogi okrętu zrobi coś głupiego i wyrządzi sobie krzywdę.

Zestrzeleni piloci nigdy nie trafią na stół operacyjny doktora Rame'a, a członkowie załogi nie zdołają dotrzeć na pokład medyczny, jeśli „Odyseja" zostanie bezpośrednio trafiona przez lasery lub inną broń wroga. Nie do takiej walki Rame został wyszkolony i teraz zastanawiał się, dlaczego w ogóle znalazł się na pokładzie.

Mimo wszystko zrobi, co do niego należy.

Doktor ucieszyłby się z napływu rannych, choć wydawało się to makabryczne, alternatywa jednak była o wiele bardziej ponura – mnóstwo ludzi, których już nic nie mogło ocalić.

„Z pewnością to pierwszy przypadek w historii, gdy lekarz pragnie mieć rannych w szpitalu wojskowym” – pomyślał Rame.

Lepiej, by żołnierze trafili na stół chirurgiczny niż pod płytę nagrobną lub w bezkresną przestrzeń kosmiczną.

Rame pochylił się nad wyposażeniem i zaczął wszystko sprawdzać.

Znowu.

***

Na pokładzie krążownika „Enterprise” kapitan Carrow wiercił się nerwowo.

Jego okręt zanurkował w wysokie warstwy atmosfery Marsa, a teraz utrzymywał pozycję za „Odyseją” w cieniu Fobosa. Kapitan wezwał swoje myśliwce klasy Vorpal, aby uzupełniono paliwo w maszynach, a piloci mogli odpocząć, ale wszyscy na pokładzie „Wielkiego E” wiedzieli aż za dobrze, że to najpewniej najważniejsza walka w ich krótkiej karierze – pierwsza i ostatnia.

Wcześniejszy ostrzał z dział się nie liczył, przynajmniej nie dla kapitana Carrowa.

Najnowszy ziemski okręt, ostatni z całej serii tych, które nosiły nazwę „Enterprise”, nie przeszedł jeszcze chrztu bojowego, a w każdym razie nie takiego prawdziwego, a to sprawiało, że kapitan odczuwał sporą presję. Chodziło przecież o honor – jego okręt nosił imię z długą tradycją, zrodzoną jeszcze przed Konfederacją, i wypadało, aby ten krążownik zdobył sławę i szacunek, jak jego poprzednicy pod dawną banderą Stanów Zjednoczonych.

Myśliwce były gotowe.

Najlepiej wyszkoleni piloci Konfederacji. Szkoda, że nie spędzili więcej czasu w kosmicznej pustce, ale byli gotowi.

Przynajmniej na tyle, na ile wszyscy inni.

„Czy można być gotowym na koniec świata?”

Kapitan Carrow nie znał na to odpowiedzi. I chyba nie chciał znać. Nieważne, jak się patrzyło na sytuację, była tragiczną rzeczywistością, której wszyscy musieli stawić czoło. Zapewne będzie to ostatni zryw bojowy ludzkości. I zakończy się tak, jak Alamo.

„To takie poetyckie. Szkoda, że nigdy nie lubiłem poezji. Cholernie przygnębiające".

– Alamo – mruknął Carrow pod nosem.

– Powiedział pan coś, kapitanie? – Parker uniosła głowę znad konsoli.

– Czeka nas bitwa o Alamo.

Pierwsza oficer popatrzyła na niego przeciągle, po czym prychnęła.

– Nie mamy tyle szczęścia – stwierdziła szyderczo.

– Nie rozumiem?

– Obrońcy Alamo musieli utrzymać pozycję tylko do chwili, aż dotrze do nich odsiecz, która odeprze wroga spod twierdzy. Ale my nie mamy ani twierdzy, ani posiłków, które przyjdą nam na odsiecz, sir. To nie Alamo – zapewniła z goryczą. – Czeka nas przeklęta bitwa pod Little Bighorn i przypadła nam rola generała Custera, sir. Niestety. Mogłabym znieść, że umrę w obronie Alamo, ale zginąć pod Little Bighorn to po prostu żałosne, kapitanie.

Carrow tylko się skrzywił.

„Andrea, uwielbiam cię i wspaniały z ciebie oficer, ale musisz przestać mnie pocieszać, bo chyba palnę sobie w łeb ze służbowej broni".

– Kapitanie, osłona obcych myśliwców wkrótce wyłoni się znad horyzontu Marsa.

– Cała załoga, zabezpieczyć główne sekcje. Wszystkie stanowiska, pełna gotowość bojowa – rozkazał Carrow machinalnie. Wieloletni trening i wyszkolone odruchy wyparły z głowy kapitana wszystkie zbędne myśli. – Sygnał dla pokładów startowych i myśliwców, rozpoczynamy operację.

– Tak jest, sir!

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Zaczyna się – stwierdził surowo Roberts. – Oto nasz ostatni bastion.

Eric westchnął.

– Zawsze mogę nas stąd wyciągnąć.

– Jakie to ma znaczenie, czy zginiemy w walce tutaj, czy na Ziemi? – spytał cicho Roberts.

– Tak czy inaczej, zginiemy w walce.

Obaj to rozumieli, ale żaden nie chciał ani słyszeć, ani wypowiadać tych słów. Jednak wreszcie padły i nie można było ich cofnąć.

Oczywiście mogliby też uciec, ale to nie wchodziło w grę. Ucieczka byłaby logiczna. I „Odyseja”, i „Enterprise” posiadały zdolność do poruszania się szybciej od światła, a także na tyle liczną załogę, aby założyć samodzielną kolonię, chociaż lepszym rozwiązaniem byłoby przyłączyć się do obrony Ranquil. Weston przypuszczał, że mogliby zachować się wspaniałomyślnie i zabrać jak najwięcej ludzi ze stacji rozrzuconych w Układzie Słonecznym, a także załogi jednostek klasy Grasant czy nawet obsadę „Weifanga”.

Międzynarodowa zgraja wiedzionych logiką tchórzy, którzy wybiegli na przysłowiowe wzgórza.

Tak się nie stanie.

Ani teraz, ani nigdy.

Semper fidelis.

Zawsze wierni.

Eric wzruszył ramionami.

– Nie przejmujmy się tym, kiedy przyjdzie nam zginąć, komandorze. Martwmy się, w jakim towarzystwie przyjdzie umierać.

Roberts uśmiechnął się i pokiwał w zamyśleniu głową.

– Co racja, to racja, kapitanie.

– Stanowiska bojowe! – Eric pochylił się nieco w fotelu. – Pełna gotowość! Wstrzymać się z ostrzałem, dopóki nie zobaczymy białek oczu wroga…

ROZDZIAŁ 26

MARS.

Czerwona Planeta.

Pustynny świat.

Dom samego boga wojny. Pokrywający planetę rdzawoczerwony pył stanowił przekleństwo dla każdej ludzkiej istoty, która postawiła stopę na tym świecie, oraz był źródłem setek mitów powstałych przez trzy i pół tysiąca lat lub więcej.

W myśl tych wierzeń Mars był skąpany we krwi milionów wyimaginowanych armii, był krainą legendarnych wojowników i legendarnych wojen, był światem rządzonym przez boga wojny i strzeżonym przez jego psy.

Był to świat, który do dziś nie znał innego ostrzału niż ćwiczenia.

Zarzewiem stała się wroga flota tak wielka, że przesłaniała Słońce. Wynurzała się zza krzywizny planety niczym fala przypływu.

Zza Fobosa, psa wojny, „Odyseja” otworzyła ogień z systemów obronnych średniego zasięgu, głównie z laserów i lekkiej amunicji – nic ze wspomaganiem MP i z pewnością nic, co można by uznać za broń przeciw okrętom wojennym. Wystarczało to jednak, by zadać cios nadlatującym z tysiąca mil myśliwcom.

Księżyc i planeta ograniczały trajektorie lotu, po których mogłyby się zbliżyć myśliwce, które praktycznie wystawiały się jak tarcze na strzelnicy. Chwilę później „Enterprise” również otworzył ogień. Broń średniego zasięgu powodowała jeszcze więcej zamieszania w ogólnym chaosie, wysyłając w przestrzeń tysiące pocisków i niezliczone gigawaty energii.

Myśliwce znikały z radarów dziesiątkami, potem setkami, jednak nie powstrzymywało to reszty.

Z powierzchni planety bóg wojny patrzył i śmiał się w głos.

***

– Utrzymać ogień! Tylko obrona punktowa!

– Myśliwce się przebijają – krzyknął Waters. – Nie damy rady ich zatrzymać!

– Rzucić Anioły – warknął Eric. – Powiadomić „Enterprise”, że potrzebujemy osłony myśliwców.

– Powiadomieni – odparła Winger. – „Enterprise” potwierdza start vorpali.

– Ich obstawa będzie znacznie większa niż nasza, kapitanie… – wycedził Waters przez zaciśnięte zęby i zaklął cicho, gdy kolejny myśliwiec prześlizgnął się przez pole ostrzału.

– Jakość przed ilością, poruczniku – odpowiedział Eric. – Jakość przed ilością…

– Ostatnio słyszałem, kapitanie, że ilość jest jakością sama w sobie.

– Tylko bez cytowania anegdot z czasów zimnej wojny, poruczniku. Proszę po prostu strzelać – burknął Eric.

– Nie żebyśmy mieli wybór, ale już się robi, sir.

– Mocno nacierają, kapitanie – stwierdził Roberts.

– Nie mają wyjścia. Wycofanie się nie ma sensu i nie przyniesie im żadnej korzyści, zwłaszcza że sporo ich udaje się nam odstrzelić. Dosłownie rzucają się na nas. To prawie inspirujące.

– Z pewnością byłoby inspirujące, gdyby nie rzucali się właśnie na nas.

– Nawet jeśli – mruknął Eric, obserwując liczne eksplozje daleko od kadłuba okrętu – to wciąż mogę dostrzec we wrogu coś inspirującego. A pan, komandorze?

– Sam nie wiem.

– Archanioły gotowe do akcji, kapitanie! Vorpale wystartowały z pokładu „Enterprise”.

– Mamy jakieś sygnały wrogich krążowników? – dopytywał się Eric.

– Nie, sir.

Odpowiedź Erica zostałaby ocenzurowana w każdym raporcie, o ile taki raport zostałby sporządzony.

***

– Wszystkie myśliwce, gotowość. Pozwolenie na użycie broni. – Steph wyłączył wszystkie zabezpieczenia uzbrojenia.

– Na pozycji i gotowy, sir – odpowiedział Palnik ze swojej maszyny. – Hej, patrzcie, „Wielki E” rzucił swoje nowiutkie zabawki do walki.

Steph odwrócił głowę nieco w lewo i przy użyciu rozszerzonej rzeczywistości w swoim HUD przybliżył obraz jednego z vorpali. System zidentyfikował obiekt i oznaczył jako „swój” zaraz po sprawdzeniu jego sygnału identyfikacyjnego dla IFF.

– Nie mają nawet osmalonych dysz. Pewnie jeszcze pachną farbą – stwierdził. – Zobaczymy, jak sobie poradzą w prawdziwej walce. Jeśli choćby jeden z nich nabije więcej zestrzeleń niż któryś z was, będę BARDZO rozczarowany. Zrozumiano?

– Tak jest, sir! – odpowiedzieli chórem piloci.

– Mądrale – burknął Steph, wpatrując się w nadciągające maszyny wroga. – Uruchomić detektory i system unikowy. Nie wydaje mi się, żeby przeciwnicy ucieszyli się na nasz widok.

Ich start i rozkazy zostały potwierdzone, gdy Steph podłączył się do rozszerzonej rzeczywistości, która wyświetlała mu wszystkie dane i wygenerowane przez komputer trajektorie laserów na podstawie informacji przesyłanych przez jedną lub więcej stacji detekcyjnych Konfederacji. Promienie laserów pojawiały się i znikały tak szybko, jak system je wykrywał albo gubił po którymś ślad. Przypuszczalnie w tym drugim przypadku przeciwnik przestawał po prostu strzelać, ale Steph wiedział z doświadczenia, że nie było żadnej gwarancji.

Nawet przy zaawansowanej technologii jedno pozostało niezmienne we wszystkich wojnach – nigdy nie widziało się śmiertelnego strzału wymierzonego w siebie.

– Cholera, to wygląda jak jeden z koncertów w Los Angeles – odezwała się nieco onieśmielona Szulerka. – Tylko tam było chyba więcej laserów.

– A czy któryś z nich mógł zmienić cię w kulę plazmy? – spytał oschle Steph.

– To było LA, szefie.

– Mądrala. Otaczają mnie same mądrale – grymasił Steph, kręcąc głową. – No dobra, kryjemy „Odyseję". Nic, dosłownie nic nie może się zbliżyć. Jasne?

– Jasne!

***

– Patrz, gdzie strzelasz – poinstruował Eric, położywszy rękę na ramieniu Watersa, podczas gdy młodszy mężczyzna ustawiał priorytetowe cele ostrzału dla systemów uzbrojenia okrętu. – Nie rozbij przypadkiem żadnego z naszych.

– Zrozumiałem, sir. Będę ostrożny.

– Wiem, że będziesz, synu. Po prostu jestem nadopiekuńczym dowódcą.

– Tak jest, sir.

Całe to starcie było tylko mydleniem oczu. Eric zdawał sobie z tego sprawę, wiedział, że to zagrywka, choć śmiercionośna. Lada moment ludzie zaczną ginąć właściwie na próżno, tylko po to, by zyskać trochę czasu. Zasłona myśliwców wroga była przeważająca, ale stanowiła jedynie przedmurze, prawdziwa rozgrywka zacznie się dopiero, gdy krążowniki zdecydują się na udział w grze. Do tego czasu obrońcy Ziemi mogli traktować całą walkę jako rozgrzewkę.

– Są wreszcie jakieś ślady krążowników? – spytał Eric, odwróciwszy się do Winger.

– Cały czas obserwujemy. Mieliśmy kilka wyraźniejszych odczytów, ale zasłona z myśliwców jest zbyt rozległa, sir.

– Nie wątpię – odparł grobowym tonem Eric, przeliczając w pamięci, jak długo można jeszcze utrzymać pozycję

przeciwko tak licznemu wrogowi.

Nieważne, jak liczyć, długo to nie potrwa.

„To nie pora, by Drasinowie zaczęli myśleć. Pośpieszcie się i ruszcie na nas jak zwykli bandyci, którymi tak naprawdę jesteście”.

Kryli się w pobliżu, niezbyt daleko. Drasinowie, jak wynikało z dotychczasowych doświadczeń Erica, nie cenili sobie subtelności. Weston musiał po prostu poczekać, aż wyczerpie się cierpliwość dronów, a to nie powinno trwać zbyt długo.

„Postaraj się, Steph, wytrzymaj tylko tyle, ile trzeba”.

***

W ciągu ostatnich kilku stuleci, a nawet mniej, technologia myśliwców przeszła długą drogę, od człowieka w kokpicie kierującego bezpośrednio ogniem z karabinów do pocisków „wystrzel i zapomnij” z wieloma głowicami, które mogły dotrzeć do celu przez cały Układ Słoneczny. Nie da się ukryć przed takim pociskiem ani przed nim uciec, a jeśli nie ma się technologii podobnej generacji co pocisk, to nie ma się także możliwości przeżycia.

Obce myśliwce ani się nie chowały, ani nie uciekały. Ich technologia przewyższała jakąkolwiek znaną człowiekowi, ale z pewnością nie była kompatybilna, więc przeciwnik nie miał pojęcia, jak unikać broni ludzi.

Drasińskie myśliwce znikały w płomieniach i wyparowywały całymi dziesiątkami, nim którykolwiek z ziemskich pilotów choćby zarysował lakier swojej maszyny. Problem polegał na tym, że dronów były tysiące i nie brały pod uwagę możliwości odwrotu.

***

– Tu Archanioł Zero Jeden, pocisk odpalony – oznajmił Steph, po czym wykonał pół beczki w lewo i gwałtownie odbił

w prawo, przelatując nad wymierzonym w niego promieniem lasera.

Pocisk został wystrzelony spod Archanioła. Wbudowany generator MP uruchomił się w pełnej synchronizacji z podstawowym napędem i pocisk oddalił się szybko od myśliwca. Nie musiał lecieć zbyt daleko, najwyżej jedną do dwóch sekund świetlnych, a wtedy włączał się tryb terminalny i broń eksplodowała, wyrzucając tuzin mniejszych pocisków, każdy z podstawowym systemem naprowadzającym. Po sekundzie obszar o powierzchni pięciuset mil kwadratowych rozświetliła seria krótkotrwałych błysków ognia.

– Tu Archanioł Zero Jeden, odpalenie.

Walka zdawała się bardziej niebezpieczna i zarazem bardziej relaksująca niż jakakolwiek inna, w której Steph brał udział wcześniej. Jednostki Drasinów były liczne, ale ich taktyka i broń – prymitywne. Lasery sprawdzały się w walce okręt przeciw okrętowi, jednak nie nadawały się do zestrzeliwania małych myśliwców na dystansie większym niż sekunda świetlna.

Oczywiście walka była jeszcze łatwiejsza, skoro przeciwnik prawie nie zwracał uwagi na atakujących i pozwalał wybijać swoje myśliwce.

– Ignorują nas! Lecą na „Odyseję”! – zawołała Szulerka. Wyraziła na głos obawy Stepha.

– „Odyseja”, odbieracie nas? Uwaga na ataki kamikaze! – nadał Steph. – Nie zdołamy powstrzymać wszystkich!

– Tu „Odyseja”. Archanioł Zero Jeden, przyjęte. Zróbcie, co w waszej mocy.

– Zróbcie, co w waszej mocy, jasne… – burknął Steph. Niemal zarżnąwszy systemy hamujące, zwolnił, ale tylko na tyle, by obrócić myśliwiec i ponownie ruszyć naprzód z największym możliwym przyśpieszeniem. – Mamy tu ponad dwa tysiące samonaprowadzających się pocisków wycelowanych w „Odyseję”, a kapitan mówi mi tylko, żebyśmy „zrobili, co w naszej mocy”.

Dowódca Archaniołów wydał nieartykułowany jęk, gdy przyspieszenie wgniotło go w fotel przy zmianie akceleracji

i nabieraniu prędkości delta-V. Oznakował jeszcze kilkanaście myśliwców wroga, gdy go mijały, kierując się na „Odyseję”, po czym przysunął kciuk do spustu broni na dźwigni sterów.

– Archanioł Zero Jeden, odpalenie!

***

Komandor porucznik Frank „Frankenstein” Stathus warknął, obracając swojego vorpala wokół własnej osi, potem zaklął pod nosem na przeciążenie, które dawało się odczuć pomimo działających na pełnej mocy generatorów MP. W opinii Franka przeciwnik był wyjątkowo nieuprzejmy, ale ani Frank, ani nikt z jego skrzydła nie zamierzał tak naprawdę narzekać, że jest ignorowany, skoro wróg miał przewagę liczebną ponad tysiąc do jednego.

„No, może nie jest aż tak tragicznie, dzięki Bogu, ale z grubsza…”

Zestrzelił kolejne cztery myśliwce i zawrócił, żeby pokierować swoim skrzydłem i jeszcze podnieść liczbę zestrzelonych przeciwników, ale było jasne, że Drasinów w najmniejszym stopniu nie interesują myśliwce ludzi.

– Cholera! Lecą prosto na „Odyseję”! Ostrza, brać ich!

Jego oddział potwierdził przez komunikatory nowe rozkazy, podczas gdy Frank leciał już w stronę wroga. Na lewo od niego Archanioły robiły to samo, otwierając ogień i wciąż przyśpieszając. Franka zaskoczył współczynnik mocy do masy Archaniołów. Większość informacji o specyfikacji tych jednostek była tajna, jednak Frank nie spodziewał się, że dotrzymają kroku lekkim jednostkom klasy Vorpal. Jeżeli jego myśliwiec miał przewagę, to nie dzięki masie.

Vorpale nie były tak smukłe i opływowe jak Archanioły, za to zyskiwały na rozstawie i zróżnicowaniu broni. W przestrzeni kształt nie miał znaczenia, a modyfikacje pozwolały na nieco szybsze wystrzelenie większej liczby pocisków w razie konieczności.

„Nie żeby miało to znaczenie przy ilości pocisków, jaką ci fanatycy wysyłają w przestrzeń”.

Frank nie był zdolny do używania neurołącza. Zgłosił się do programu parę lat temu i szybko się okazało, że się nie kwalifikuje. Trochę go to zabolało, wziąwszy pod uwagę to, co Archanioły robiły podczas wojny, ale Frank przełknął odmowę i rozwijał się zawodowo dalej.

– Szybkie połączenie do ciebie, Frankie – odezwał się skrzydłowy, Terrance „Piorun” Storm, w słuchawkach komandora porucznika. – „Odyseja” ostrzega przed kamikaze, alarm potwierdził „Enterprise”.

– Już na to wpadliśmy – odpowiedział Frank. – Trzymaj się blisko mnie, osłaniamy „Odyseję” i obserwujemy, czy przeciwnik kieruje się też na „Enterprise”.

– Jestem tuż za tobą, Frankie. To jak wieśniacy goniący nas z pochodniami.

– Spalić ich. – Frankenstein wyszczerzył zęby. – Spalić wszystkich.

***

Na mostku „Odysei” nerwowość Erica rosła, zmuszał się, by nie pochylać się ustawicznie nad ramieniem Winger i nie spoglądać na jej instrumenty. Myśliwce napierały stanowczo za blisko okrętu. Wkrótce osiągną granicę bez powrotu, czyli punkt, w którym okręt nie zdoła już wykonać uniku, jeżeli przedrą się przez obronę krótkiego zasięgu.

– Mamy je wreszcie, Michelle?

– Jeszcze nie, sir. – Winger pokręciła głową, jej krótkie włosy rozwichrzyły się bardziej. – Wciąż nic.

– Kapitanie, „Odyseja” to nie okręt Priminae – zasyczał za jego plecami Roberts. – Nie przetrwamy nawet jednego zderzenia.

– Wiem, komandorze – skrzywił się Eric. – Szlag, chciałem zniszczyć kilka z nich.

Odwrócił się do Danielsa.

– Komandorze poruczniku, proszę przygotować trajektorię ucieczki w stronę księżyców Jowisza. Spróbujemy odciągnąć Drasinów jak najdalej od Ziemi.

– Gotowe, sir – odpowiedział Daniels z podziwu godnym spokojem.

– Świetnie, zabierajmy się…

– Kapitanie! Mamy ich! Krążowniki nadlatują nisko nad krzywizną planety! Prawie na tej samej wysokości, co satelity, dlatego ich nie wykryliśmy – krzyknęła Winger. – Za wysoko dla detektorów skierowanych w dół i za nisko dla tych skierowanych w górę!

– Jak ich znalazłaś? – zdziwił się Eric.

– Zrzucają lądowniki na powierzchnię, sir.

Eric westchnął.

– Włączyć sieć obronną Barsoom.

– Tak jest, sir! Wysyłam rozkazy!

– A ty… – poklepał Danielsa po ramieniu – zabieraj nas stąd.

– Tak jest, kapitanie!

– Powiadomić „Enterprise”. Wycofujemy się.

***

Na powierzchni Czerwonej Planety z łomotem włączyły się umieszczone tam wyrzutnie pocisków i działa. Ich ograniczenia zniesiono, a niebo zaroiło się od celów.

Jako pierwsze odpaliły się pociski ziemia – orbita typu Spartan. Wzleciały w powietrze, śledząc swoje cele i uderzając w nie z ogromną siłą. Niebo nad pustynną planetą zapłonęło oślepiająco, powierzchnię przecięły długie cienie, a opadające szczątki wzbiły tumany kurzu.

Działka wysokociśnieniowe włączyły się jako następne. Choć po odgłosach mogłoby się wydawać, że strzelają wolno, w rzeczywistości z luf wylatywało kilka milionów pocisków na minutę, zmieniając lądujące drony w opadające szczątki z precyzją komputera i nienawiścią człowieka, który je

zaprogramował. Wielkie działa klasy Metal Storm dosłownie przebijały się przez cele z siłą zdolną do strącenia myśliwców, które znalazły się przypadkiem w zasięgu, i na każdą rundę strącały dodatkowo cztery lub pięć jednostek z osłony krążowników wroga.

Jednak najbardziej Drasinowie nie docenili satelitów.

Stosunkowo małe wyrzutnie szybkobieżnych pocisków automatycznie namierzyły cele i oczekiwały na rozkaz otwarcia ognia, a teraz czekać już nie musiały. Każdy z dwudziestotonowych satelitów posiadał pięć szybkich jednotonowych pocisków.

Czterdzieści komponentów tworzących marsjańską orbitalną sieć obronną jednocześnie otworzyło ogień.

Pierwszy raz w historii człowieka powierzchnię Marsa zalało światło równie jasne jak na ziemskich obszarach równikowych w środku lata. Od bieguna do bieguna na całym obwodzie Czerwona Planeta została oświetlona, gdy dwieście mil nad powierzchnią eksplodowało ponad sto krążowników i niezliczone myśliwce.

Jednak niektórym dronom udało się przedrzeć.

Lądowniki uderzyły w pylistą ziemię i wyrzuciły swój ładunek. Bardzo powoli w kilku miejscach powierzchnia Marsa zaczęła pełzać.

***

Umysły okrętowe były… zadowolone.

Jednak do pełni szczęścia jeszcze im brakowało – taki stan umysł mógł osiągnąć dopiero po wypełnieniu swojej misji – chociaż już zdołały przenieść siły na pierwszą planetę skażoną szkarłatną pręgą, wyczuwaną silnie każdym zmysłem. Mały krok… ale konieczny.

Drasinów drogo kosztował atak na tę planetę. Wielu z nich zostało zniszczonych po zbliżeniu się do celu, jeszcze więcej

krytycznie uszkodzonych, zaś w pobliżu nie było żadnego źródła umożliwiającego regenerację.

Umysły miały nadzieję, że wkrótce uda się temu zaradzić, już teraz jednak stało się jasne, że pojawił się problem, który trzeba rozwiązać. Główny cel wylatywał ze studni grawitacyjnej gwiazdy i kierował się głębiej w przestrzeń kosmiczną. W pobliżu obecnej pozycji floty i głębiej w układzie planetarnym pozostawał porażająco wynaturzony świat.

Główny cel musiał zostać zniszczony, dla umysłów okrętowych stanowiło to jasny priorytet, ale nie wolno było również zwlekać z oczyszczeniem planety.

Generalnie umysły obecnego roju wolały siłę wynikającą z liczebności, wiedziały bowiem, że strata kilku jednostek nic nie znaczy wobec sukcesu misji, ale tym razem sytuacja wyraźnie wymagała innego podejścia.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Kapitanie! – Głos Winger podniósł się o oktawę, tak naglący, że Eric gwałtownie się odwrócił. – Mamy problem!

– Jaki? – Podszedł szybko do jej stanowiska.

– Rój się rozdziela, sir. Większość leci w stronę Ziemi, reszta rusza za nami z tego, co widzę.

Eric zaklął, choć nie był zaskoczony.

Im dłużej udawało się sprawić, że przeciwnik ścigał wyłącznie „Odyseję”, tym lepiej dla Ziemi, ale od początku było wiadomo, że prędzej czy później ta strategia zawiedzie.

– Ile z nich leci na Ziemię? – Pochylił się nad stanowiskiem Winger, próbując odczytać chaotyczne dane z jej ekranu.

Technologia przeszła długą drogę od staroświeckiego radaru, a komputery o wiele lepiej radziły sobie z analizą, jednak jeśli chodziło o wyciągnięcie wartościowych wniosków z surowych danych odbieranego echa, doświadczony człowiek w dalszym ciągu był królem.

„Lub królową, w tym wypadku” – pomyślał Eric, patrząc na Winger.

– Trudno powiedzieć. Zasłona z myśliwców jest zbyt gęsta, by uzyskać dokładne odczyty ze skanerów. Wiem tylko, że do zabawy z nami wysłana została niewielka część floty.

– Chyba zostaliśmy znieważeni – skrzywił się Eric.

Winger zachichotała, po czym szybko zasłoniła usta, aby powstrzymać lekki atak paniki.

Eric się tym nie przejął. Wiedział, w jakim napięciu wszyscy pracują, i bez wahania odpuszczał drobne uchybienia.

Odwrócił się do Danielsa.

– Ster, nowe rozkazy.

– Tak jest. Gotów, sir.

– Nowy kurs… – Eric zastanowił się, spojrzawszy raz jeszcze dokładnie na telemetrię. – Trzy-zero-dziewięć koma pięć.

– Tak jest, sir. Zmiana kursu, trzy-zero-dziewięć koma pięć.

„Odyseja” lekko się zatrzęsła, gdy silniki manewrowe zaczęły obracać okręt na nowy kurs, tym razem z daleka od Jowisza.

– Waters, wszystkie działa w gotowości.

– Tak jest, sir. Wszystkie działa w gotowości.

– Połączcie mnie z „Enterprise”.

***

Nawet w najbardziej dyplomatycznym ujęciu nie dało się powiedzieć, że kapitan Carrow był w dobrym nastroju. Dopiero co objął dowodzenie nad nową jednostką, a tu, proszę, co się dzieje po zaledwie kilku tygodniach?

„Arma–kurwa–gedon”.

I właśnie brał udział w walce, dysponując nieporównywalnie mniejszą siłą niż przeciwnik. Problem polegał na tym, że wrogowie mieli wszystko w tysiącach. A kiedy przeciwników jest więcej, niż ma się naboi, wiadomo, że sytuacja jest naprawdę ZŁA.

– Weston do pana, sir. Kanał dowodzenia.

Carrow podszedł do konsoli.

– Carrow.

Wysłuchał i przytaknął.

– Zrozumiałem. Tak. Jasne. Bez odbioru.

Wyłączył kanał i oznajmił:

– Nowy kurs!

– Tak jest, nowy kurs!

– Mniej więcej dziewięć-pięć-dziewięć koma trzy.

– Tak jest, kapitanie. Nowy kurs, dziewięć-pięć-dziewięć koma trzy.

– Wszystkie działa, pełna gotowość bojowa.

– Działa w gotowości!

Carrow spojrzał po swoich oficerach, a potem zastanowił się nad taktyką wroga.

Żaden człowiek nie kontynuowałby natarcia, ponosząc takie straty bez wyraźnej korzyści, ani też nie wznawiałby działań, gdyby to nie miało znaczenia. Nic, co żyło, nie zrobiłoby czegoś podobnego, przynajmniej na ile Carrow wiedział. Jednak te cholerne Drasiny właśnie tak postąpiły i kapitan zdał sobie sprawę, że tych obcych nie uda się zrozumieć.

Zresztą wcale nie chciał ich zrozumieć.

Carrow chciał, żeby zginęły.

ROZDZIAŁ 27

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– To by było na tyle. – Admirał Gracen odczuwała nienaturalny spokój. – Lecą do nas.

Stało się jasne, że „Odyseja” i „Enterprise” nie są w stanie dłużej opóźniać nieuniknionego. Obcy postanowili zakończyć zabawę w kotka i myszkę, po prostu otworzyli klatkę i wypuścili tygrysy. Admirał nie była zaskoczona, zastanawiała się tylko, dlaczego trwało to tak długo.

– Status naszych systemów obronnych? – spytała, podchodząc do stanowiska kontroli systemów.

– Najnowsza dostawa uzbrojonych mikrosatelitów została właśnie rozmieszczona – odparł operator. – Kolejna partia powinna być gotowa w ciągu dwudziestu godzin.

– Nie będzie kolejnej – oznajmiła Gracen. – Chcę pełnej diagnostyki każdej sztuki broni, każdego myśliwca, okrętu, stacji, kamery, komputera i każdej osoby pod moją komendą. I to natychmiast. Nie chcę też słyszeć żadnych gównianych wymówek.

– Tak jest, admirał Gracen!

Admirał odwróciła się i ruszyła w stronę stanowiska obsługi skanerów.

– Przewidywany czas przylotu wroga?

– Pierwszej fali? – spytała chorąży obsługująca konsolę niemal z sarkazmem, ale głos jej się załamał. – Osiem godzin, ani sekundy więcej.

– Impuls tachionowy! „Odyseja” na pozycji! – krzyknął ktoś, odwracając uwagę Gracen. Podchodziła do drugiego stanowiska, gdy nadszedł następny sygnał, tym razem z „Enterprise”.

– Carrow i Weston właśnie wyliczyli dokładną pozycję, prędkość i trajektorię wszystkiego w Układzie Słonecznym, co jest większe niż samochód – warknęła admirał. – Wykorzystać te dane. Zmiażdżyć ile się da działami tranzycyjnymi.

– Tak jest, admirał Gracen. Wprowadzanie danych dla dział tranzycyjnych.

– Strzelać bez rozkazu – wysyczała Gracen, po czym odwróciła się i wyszła z pomieszczenia.

***

– Panie prezydencie.

– Pani admirał. Jaka sytuacja?

Gracen spojrzała na ekran, usiadła ciężko za swoim biurkiem i westchnęła.

– Najgorszy scenariusz, sir.

– Rozumiem – odparł spokojnie prezydent Konfederacji. Oparł się ciężko o fotel. – Autoryzuję natychmiastowe wprowadzenie najwyższego stanu gotowości, DEFCON 1.

– Zrozumiałam, sir.

– Pani admirał, kiedy dotrą na orbitę… – Merryweather się zawahał.

– Wiem, panie prezydencie. Zajmę się tym.

– Dziękuję za służbę, admirał Gracen.

– To był dla mnie zaszczyt, panie prezydencie. – Prezydent Merryweather skinął jej jeszcze głową, zanim wyłączyła ekran i przerwała połączenie. Gracen siedziała w ciemności i ciszy, zastanawiając się, dlaczego jest tak spokojna. Koniec wszystkiego, co miało dla niej znaczenie, zbliżał się nieubłaganie, cały jej gatunek miał zostać zniszczony, a ona nie czuła prawie nic.

W końcu wstała i zajrzała do recepcji.

– Madison?

– Tak, pani admirał?

– Ewakuacja – rozkazała. – Cały zbędny personel, cywile… Zresztą znasz procedurę. Chcę mieć tylko minimalną obsadę, ani jednej osoby więcej.

Sekretarka skinęła głową, przełknęła nerwowo.

– Tak jest.

Gracen ruszyła z powrotem do swojego gabinetu, ale zatrzymała się w progu.

– Madison?

– Tak, pani admirał?

– Żeby to było jasne: zostają tylko ochotnicy.

Tym razem sekretarka skinęła głową o wiele pewniej.

– Tak jest, admirał Gracen.

W oddali, poprzez metal i warstwy ochronne, usłyszały głębokie buczenie generatorów stacji, które zaczęły dostarczać energię do systemów obronnych.

Działa tranzycyjne rozpoczęły ostrzał.

Okręt wojenny Priminae „Posdan”

– Kapitan Kian, odbieramy serię sygnałów nadświetlnych. Sygnatura pasuje do nowej broni Terran.

Kian obróciła się od ekranu, na którym przyglądała się ludziom próbującym naprawić uszkodzenia okrętu rzuconego do ataku na początku. Zerkała również na nową pozycję floty. Systemy „Posdana” śledziły rozwój bitwy wokół Marsa, zaskakująco jednostronnej pomimo przewagi wroga. Drasinowie darowali sobie polowanie na pojedyncze jednostki, chyba nie próbowali też zniszczyć większych okrętów, zapewne oprócz „Odysei”.

„Muszę przyznać, że »Odyseja« nieźle zalazła im za skórę. Chyba nie można ich winić za chęć jej unicestwienia”.

Nienawiść Drasinów do terrańskiego okrętu ograniczała się jednak do wysłania za nim tylko małej grupy bojowej – niechęć nie wystarczyła, aby odciągnąć ich od Ziemi.

– Obserwujcie Drasinów. Spróbujcie policzyć, ile okrętów stracili na Marsie – zabrzmiało to, jakby Kian nie była tym szczególnie zainteresowana.

Szczerze mówiąc, była, ale śledzenie wydarzeń okazało się niełatwe. Los Terran był już przypieczętowany, pozostało tylko patrzeć, jak imponująca będzie ich ostatnia walka.

Jak dotąd, była bardzo imponująca.

Jednak niczego to nie zmieniało.

Kapitan podeszła do inżyniera obserwującego, co się dzieje na „Weifangu".

– Myślisz, że uda im się naprawić silnik?

– Nie mam pojęcia, kapitan Kian. Szczerze mówiąc, to cud, że ten okręt przetrwał taką awarię napędu. „Posdan" nie miałby żadnych szans. Nasze generatory po prostu wywróciłyby okręt na nice – przyznał. – Ci tutaj używają prymitywniejszych, ale o wiele stabilniejszych systemów zasilania.

– Stabilność to nie jest określenie, którego można używać wobec czegokolwiek, czego Terranie się tkną. – Wskazała ruchem głowy uszkodzony okręt. – Nie po walce, którą widzieliśmy.

Inżynier zaśmiał się cicho.

– Nie będę się z tym kłócił. To szaleńcy ze skłonnościami samobójczymi, żeby ważyć się na coś podobnego. Wolałbym również znaleźć się co najmniej trzy parseki dalej, jeżeli znowu będą próbować swoich sztuczek.

– No to jest nas dwoje – odpowiedziała Kian.

Zimne dreszcze przechodziły ją na myśl, że znajdowała się tak blisko niekontrolowanego wyłączenia napędu nadświetlnego, jednak ten czyn świadczył dobitnie, jak daleko Terranie są gotowi posunąć się podczas wojny. Szaleństwem był sam pomysł użycia napędu jako broni.

– Widzimy szczątki okrętów drasińskich z głównej grupy, kapitan Kian.

– Jak mówiłam, liczyć – odpowiedziała Kian, starając się domyślić, w jaki sposób Westonowi udało się tak dokładnie zaplanować całą operację.

Priminae potrzebowali tej terrańskiej broni. Nieważne, jaka to technologia, ale mogła ocalić kolonie, gdyby udało się w porę wyprodukować wystarczającą ilość dział i amunicji. Na ocalenie Terran było już za późno. Jak na ironię, stworzyli broń, której nie zdążyli wykorzystać w pełni. Jednak kolonie miały jeszcze czas.

Kian wystosowała prośbę do rządu Ziemi, oczywiście, jednak grzecznie jej odmówiono. Nie wprost, otrzymała jednak odpowiedzi typu „rozważymy prośbę" albo „prośbę przekazano na wyższy szczebel dowodzenia" i tym podobne. Wiedziała bardzo dobrze, co takie słowa oznaczają, ale nie mogła sobie pozwolić na przyjęcie odmowy.

Jak dotąd, nowa technologia znajdowała się w trzech miejscach – na „Odysei", „Enterprise" oraz na stacji kosmicznej Liberty.

W jakiś sposób Kian musiała zdobyć tę technologię.

Okręt Sił Kosmicznych Armii Ludowo-Wyzwoleńczej „Weifang"

Kapitan Sun przemierzał „Weifanga", sprawdzając główne generatory, krzywiąc się na robotników, którzy mocowali ciężki sprzęt, próbując naprawić uszkodzenia.

– Jak postępy? – spytał Pana, głównego inżyniera.

– Cewki się całkowicie stopiły, kapitanie. Wysłaliśmy je do przeróbki. Może uda się wytworzyć kilka nowych z resztek – odpowiedział Pan. – Reszta systemów w większości jest sprawna, a te, które nie są, łatwo możemy wyprodukować na pokładzie. Niemniej jednak mamy mało paliwa.

– Podobno „Weifang” został zatankowany na pięć lat – prychnął Sun.

– Nikt nie przewidział, co się stanie w przypadku niekontrolowanego wyłączenia napędu, panie kapitanie. Mieliśmy szczęście, że osłony wytrzymały, inaczej już usmażylibyśmy się od promieniowania.

Sun skrzywił się, ale darował inżynierowi zjadliwy ton. Nie miał prawa o nic go obwiniać, nie po tym, co sam rozkazał zrobić z okrętem. Powinien być wdzięczny, że Pan w ogóle się do niego odzywa, biorąc pod uwagę, jak inżynier troszczył się o generatory, które sam projektował.

– Jak długo potrwają naprawy? – spytał z wahaniem.

– Trudno powiedzieć. Kilka godzin produkcji części, godzina na montaż. Jeśli się uda, odzyskamy mobilność, jeśli nie…

– Rozumiem. Proszę przyśpieszyć prace, o ile się da.

– Fabrykatory pracują w swoim tempie, kapitanie. Kiedy skończą, to skończą i nic, co pan powie, tego nie zmieni.

Sun westchnął.

– Zrozumiałem.

– A teraz bardzo proszę stąd iść. Przespać się albo popatrzeć na monitory na mostku. Tu nic pan nie zdziała, dowódco, tylko bardziej zdenerwuje pan moich ludzi.

Niszczyciel imperialny „Heros”
W pobliżu Układu Słonecznego

– Zaktualizowaliśmy wszystkie symulacje walki, bazując na znanych nam możliwościach obu stron, komendancie. Drasinowie powinni przebić się przez miejscowe systemy obronne i przejąć kontrolę nad systemem w ciągu paru obrotów gwiazdy.

Ivanth prychnął.

– Symulacje są bezsensowne. Nie znamy możliwości tych ludzi, tylko to, co ujawnili do tej pory.

Spojrzał na ekran z lękiem i zarazem podziwem. Nie wiedział, co go bardziej przerażało – drony czy ci obcy, nie zamierzał się jednak do tego przyznawać nikomu, tylko sobie.

Nie panował nad dronami, co było nie do przyjęcia. Niekontrolowane mogły zdziesiątkować systemy gwiezdne w większej części Galaktyki.

Jednakże obcy w tym układzie planetarnym stanowili porównywalne lub nawet większe zagrożenie. Jakimś sposobem udało im się przygotować systemy obronne zdolne do powstrzymania dronów, co nie powinno w ogóle być możliwe. Nigdy nie zdarzyło się po prostu nic podobnego. Ci ludzie korzystali z broni, którą skanery „Herosa” ledwo wykrywały, praktycznie niewidocznej dla urządzeń, a jednak zdolnej zniszczyć okręt dronów z niebywałą precyzją i siłą.

Istnienie tych obcych było niedopuszczalne, to nie podlegało dyskusji.

– Utrzymać pozycję, dopóki drony nie zniszczą głównej planety, potem spróbujemy odzyskać nad nimi kontrolę – rozkazał Ivanth. – Jeśli się uda, przechwycimy ocalałych z zagłady układu i przesłuchamy jeńców. Musimy poznać ich technologię i dowiedzieć się, czy zamieszkują także inne planety.

– Tak jest, komendancie – odpowiedział oficer strategiczny. Drugi oficer jednak zmarszczył brwi.

– A jeżeli nie uda się odzyskać kontroli nad dronami, komendancie?

– Wtedy i ta rasa, i jej system planetarny znikną na zawsze w Otchłani.

ROZDZIAŁ 28

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

– Strzelać, strzelać, dopóki mamy czym – powtarzał Eric. – Zyskajmy jak najwięcej czasu dla systemów obronnych na orbicie.

– Tak jest, kapitanie. Przeładowuję.

Kończyła się amunicja, a kiedy liczba pocisków spadnie do zera, działa tranzycyjne staną się już tylko zbędnym balastem. Eric wiedział to doskonale. Oszczędzanie czegokolwiek nie miało teraz sensu. Gra była praktycznie skończona, a szale zwycięstwa bynajmniej nie przechyliły się na stronę obrońców Ziemi. Na dodatek ci źli dopiero szykowali się do wykonania ostatniego ruchu.

„Nie powinniśmy na początku tak łatwo oddawać wrogowi prowadzenia”.

– Bandyci na szóstej, poniżej nas – zawiadomiła Winger. – Osłona myśliwców się przerzedziła, mam odczyty krążowników…

– Ilu?

– Czterech, kapitanie.

Eric zamrugał ze zdumienia, że przeciwników jest tak niewielu.

„Właśnie dali nam szansę na wyrwanie się stąd w jednym kawałku”.

– Niech Steph popilnuje naszego tyłka – warknął Eric. – Musimy utrzymać kurs.

– Archanioły są przygotowane tylko do starcia z myśliwcami, sir – przypomniał mu Roberts. – Nie miały teraz walczyć z krążownikami.

Kapitan zaklął, ale skinął głową.

– Szlag… Dobrze, niech Archanioły pilnują myśliwców, a my zajmiemy się walką z krążownikami wroga. Wszystkie działa, wstrzymać ogień.

– Ogień wstrzymany.

– Daniels, obróć nas i jak najszybciej prześlij całą energię z dział do laserów.

– Tak jest, sir. Wykonuję.

***

– Steph, lecą myśliwce – zameldowała Szulerka. – Zasłona jest nieco słabsza, mam odczyty krążowników.

– Widzę. „Odyseja” już się na nie szykuje. Przypilnujmy osłony, żeby miała czas zająć się dużymi bandytami.

– Prowadź, wodzu – odparł Mroczny Rycerz. – Jestem z tobą.

– Niszczymy myśliwce! – rozkazał Steph i podświetlił kilka celów, które wysunęły się nieco przed szereg i za bardzo zbliżyły do „Odysei”.

– Archanioł Dwa, pocisk odpalony!

– Archanioł Cztery, odpalam!

– Archanioł Trzy, działka, działka!

Sieć taktyczna wypełniała się komunikatami, w miarę jak Archanioły starały się zyskać więcej czasu dla „Odysei” i jej broni zdolnej do zniszczenia dużych jednostek.

Steph odbił w lewo, przekoziołkował nad laserem i przyspieszył, by minąć kolejny promień, po czym oznaczył następny cel.

– Archanioł Zero Jeden, działka, działka!

Strzelające działo wstrząsnęło kokpitem i zaryczało, ciężka amunicja rozdarła myśliwiec przeciwnika na kawałki.

– Szefie, uważaj, przebijam się przez zasłonę wroga! – krzyknęła Szulerka.

– Widzę, widzę! Tak trzymaj! – Steph obrócił myśliwiec po pętli. – Nie przepuść ani jednego!

– Za późno! Jestem za nimi! – zameldowała Szulerka. – Przysmażę im tyłki z szóstej na tyłach!

– Przyjąłem. – Steph ustawił się za kolejnym myśliwcem obcych. – Archanioł Zero Jeden, działka, działka!

***

Jennifer „Szulerka” Samuels poczuła lekką klaustrofobię, gdy przelatywała przez napierającą ze wszystkich stron zasłonę wrogich myśliwców. Kobieta ustawiała się do kolejnego strzału. Kręciła swoim Archaniołem i starała się zachować rakiety na moment, gdy będzie mogła ostrzelać nimi całą grupę obcych.

Jennifer zerknęła na ekran taktyczny. „Odyseja” skończyła robić zwrot i otworzyła ogień z laserów dziobowych. Promień był tak silny, że gdy trafiał myśliwce, zapalały się garściami jak zapałki w ciemności nocy.

Kiedy laser „Odysei” przesunął się w pobliżu jej trajektorii, Jennifer zauważyła coś podejrzanego na ekranach taktycznych myśliwca.

– Archanioł Zero Jeden, tu Szulerka, odbiór.

– Szulerka, melduj – odparł od razu Steph.

– „Odyseja” oczyściła pole, a moje skanery wychwyciły coś nowego. Mam wyraźniejsze dane o krążownikach za zasłoną i wygląda na to, że jest ich chyba więcej, niż myśleliśmy.

– Ile, Szulerko? U mnie wciąż jest sześć.

Jennifer sprawdziła czujniki, marszcząc brwi.

– Na pewno? Mam na ekranie co najmniej dwa razy tyle.

– Co? – wybuchł Stephanos. – Nie ma mowy! Mam czyste pole detekcji na szóstej.

Szulerka odwróciła głowę i otworzyła szerzej oczy.

– Zasłona! Używają zagłuszania i impulsów elektromagnetycznych!

***

– Zasłona się rozsuwa, sir!

– Kapitanie! – wtrącił Roberts. – Raport od Archaniołów, myśliwce zagłuszają nasze skanery. Leci za nami co najmniej dwanaście krążowników.

Eric odwrócił się gwałtownie.

– Co?!

Winger zbladła, sprawdziła odczyty i pokręciła głową.

– Są pewni? Nie mogę wyśledzić więcej niż sześć okrętów, kapitanie!

– Potwierdź lub zaprzecz, porucznik Winger – rozkazał Eric. – Pełny skan, podświetl wszystkie.

– Tak jest, sir.

Winger przekierowała do skanerów więcej mocy, choć starała się wcześniej tego uniknąć. Wiedziała, że okręt potrzebuje energii do walki, a nadwerężenie generatorów skanerami skutecznie tę walkę utrudniało.

Potężne skanery SPY-X rozjaśniły przestrzeń wokół i uwolniły falę promieniowania, która kwalifikowała się jako wysoce niebezpieczna dla każdego nieosłoniętego członka personelu. Po kilku sekundach urządzenie wyłapało sygnał zwrotny i Winger otrzymała wyraźniejsze dane, a zatem i lepszy obraz sytuacji. Rezultaty okazały się zaskakujące.

– Wciąż tylko sześć okrętów, kapitanie. Ale… Anioły mogą mieć rację.

– Dlaczego?

– Coś interferuje ze skanerem, sir – odparła porucznik. – A skoro obcy trudzą się na tyle, by wpływać na skanery…

– Znaczy, że coś ukrywają – dokończył Weston. – Szlag.

– Nie pokonamy tuzina krążowników z tak bliskiej odległości. Szczerze mówiąc, sześć to już ogromne ryzyko – skomentował Roberts.

– Wiem, komandorze, wiem jak jasna cholera.

– Mam krążowniki wroga na odczytach, sir! Przelatują przez zasłonę myśliwców! – zameldowała Winger.

– Na ekran.

W czerni przestrzeni okręty były prawie niedostrzegalne w widzialnym spektrum, jednak wzmocnione obrazowanie, uzyskane dzięki komputerom „Odysei”, problem ten rozwiązywało. Sześć obcych jednostek parło prosto na okręt Konfederacji, a Eric w wyobraźni widział niemal soczewki laserów, migoczące w gotowości i wycelowane prosto w niego.

Oczywiście była to tylko wyobraźnia. Lasery nie jarzyły się w widzialnym spektrum, ale sama myśl o tym przyprawiała o dreszcze.

Komputer śledził sześć wrogich jednostek, wszystkie w zasięgu laserów.

– Dostosować lasery do materiałów używanych przez Drasinów i od razu otworzyć ogień – rozkazał Weston.

– Tak jest. Otwieram ogień, sir.

Ciche buczenie rozładowywanych kondensatorów przebiegło przez okręt, główny laser wystrzelił wiązkę na odległość sekund świetlnych. Komputer odnotował trafienie, korzystając z algorytmów matematycznych, jeszcze zanim można było je potwierdzić wizualnie. Na ekranie jeden z wrogich okrętów zamigotał na żółto. Został oznaczony jako unieruchomiony, ale stanowiący zagrożenie, dopóki nie potwierdzi się jego zniszczenia.

Waters wycelował w kolejny.

– Kapitanie! Mam ich! Kolejnych sześciu bandytów chowających się w cieniu pierwszych! – ogłosiła Winger. – Nie, zaraz… Osiem! Dziesięć, sir!

Ta wiadomość zmroziła Ericowi krew w żyłach. Wleciał prosto w pułapkę, którą SAM zastawił. I było już za późno na odwrót.

– Ostrzał laserowy!

– Unik! – rozkazał odruchowo, choć myśli sparaliżowała mu chwilowa panika. – Ostro na bakburtę!

– Tak jest, sir.

„Odyseja” zaczęła robić zwrot w momencie, gdy terawatowy laser sięgnął burty i zaczął topić metalowe poszycie okrętu. Pancerz odbijający był niczym lustro, jednak pełne skaz, dlatego

dość energii mogło się przedostać do sekcji „Odysei", które otwierały się w przestrzeni.

„Odyseja" niezdarnie kontynuowała manewr, a wrogowie zaczęli się zbliżać coraz bardziej.

– Przygotować działa tranzycyjne! – rozkazał Weston, otrząsając się z paniki.

– Działa tranzycyjne wycelowane, sir!

– Strzelać bez rozkazu!

„Odyseja" znalazła się tak blisko przeciwnika, że nie potrzebowała nawet sygnału tachionowego do naprowadzenia broni na cel. Waters wydał tylko systemowi rozkaz, aby strzelać, i czekał, aż działa obrócą się na wroga.

Mrok przestrzeni rozjaśniły eksplozje niczym miniaturowe słońca, oddalone zaledwie o kilkaset tysięcy mil. W tym blasku okręty i myśliwce stały się widoczne gołym okiem.

Przez „Odyseję" znów przebiegło drżenie, gdy kolejny laser przypalił jej burtę, a wiązka przedarła się do wnętrza, zanim pancerz zdążył się dostosować i odbić promień. Nawet najlepsze odbicie okazało się jednak bezużyteczne wobec ogromnej mocy laserowej wiązki obcego okrętu.

– Spadek ciśnienia w maszynowni!

– Wysłać tam ekipę! – warknął Weston. – Nie możemy stracić tej sekcji!

– Techniczni w drodze, sir!

W oddali działa tranzycyjne wyrzucały w próżnię bezdźwięczne pioruny, a słychać było jedynie ciche brzęczenie ładujących się kondensatorów oraz kliknięcie, gdy energia wyzwalała się w próżnię, po czym cykl się powtarzał.

***

– „Odyseja" oberwała! Pilnować myśliwców w razie, gdyby straciła systemy obronne! – Steph zmienił kolejnego myśliwca Drasinów w dryfujący kawałek metalu i krzemu.

– Zrozumiano – odpowiedział Palnik. – Rycerzu, osłaniaj mnie.

– Jestem obok.

Palnik i Rycerz przerwali pościg za kilkoma przeciwnikami i ruszyli z pełnym przyspieszeniem w stronę „Odysei”.

Tylko kilka wrogich jednostek próbowało podlecieć do „Odysei” i „Enterprise” blisko, jednak bardziej koncentrowały się na tworzeniu osłony, która pozwoliłaby przemknąć większej liczbie krążowników. To mogło się wkrótce zmienić, więc Steph szukał odpowiedniej pozycji do obrony. Nie mógł jednak zostawić Szulerki, która znajdowała się głębiej w formacji wroga od pozostałych.

– No, Samuels, rusz stamtąd wreszcie tyłek – warknął i wleciał odrobinę głębiej między myśliwce obcych, strącając przy okazji te, które jak się wydawało, zamierzały usiąść dziewczynie na ogonie.

– Już lecę, szefie. – Głos Jennifer urywał się z powodu zakłóceń, co nie powinno się zdarzyć w systemie cyfrowym, którego używali piloci Archaniołów. – Robi… si… gorąc…

– Patrz za siebie!

– Chole…ra – zaklęła. – TERAZ się nami zainteresowali!

Odbiła w lewo, kręcąc beczki pomiędzy promieniami lasera. Kolejne jednostki nadlatujące z boku zmusiły ją do odskoku w prawo i zaczęły zaciskać pułapkę. Steph oznaczył kilku obcych i otworzył ogień z pocisków samonaprowadzających, po czym przyśpieszył.

– Wytrzymaj! – krzyknął. – W lewo, w lewo!

Posłuchała bez wahania i ruszyła we wskazaną stronę, ale trzy kolejne myśliwce dołączyły do walki.

Pociski samonaprowadzające osiągnęły drugą fazę lotu i w przestrzeni rozleciały się na mniejsze, które zamieniły w kulę ognia kilka wrogich myśliwców. Drasinów bynajmniej to nie spowolniło. Szulerka wykonywała dzikie tańce między laserami, z przeciążeniami, które zabiłyby każdego bez wspomagania MP, i nadal pozostawała w walce.

Steph zrobił pętlę, starając się zdjąć z ogona Szulerki kolejne drony. Nim zdołał zestrzelić drugiego, dziewczyna odezwała się śmiertelnie spokojnym tonem kogoś, kto wie bez wątpliwości, że nadeszła jego godzina.

– Trafiona! Straciłam silniki wsteczne na lewym skrzydle. Nic się chyba nie pali, ale manewrowanie mam utrudnione. Szefie, lepiej stąd znikaj.

– Akurat! Kieruj dziób na „Odyseję" i cała naprzód – rozkazał Steph. – Zajmę się tymi tutaj.

– Szefie..!

– Słuchaj – warknął, nie przerywając strzelania – albo zrobisz, co każę, albo nie, ale i tak załatwię tych pojebańców. Tyle że jak wrócimy na okręt, będę cię musiał zawiesić za niesubordynację. Ruszaj, bo nie pozwalam ci tu umrzeć!

Nastała cisza, podczas której Steph zdjął kolejne cele. Rozbłysk rozświetlił kabinę i przyniósł satysfakcję pilotowi, a kiedy rozglądał się za kolejnym celem, odezwała się Samuels:

– Tak jest, szefie. Szulerka, odwrót.

„Grzeczna dziewczynka" – pomyślał Steph, uśmiechając się, po czym korkociągiem uskoczył przed promieniem lasera i zestrzelił kolejnego bandytę.

Gdy Szulerka zmierzała ku „Odysei", Steph zorientował się, że nie ma już prawie amunicji, więc też skierował się ku jednostce macierzystej.

„Mam nadzieję, że wciąż jest tam, gdzie ją zostawiłem" – myślał, starając się nie rozważać najgorszego. „»Odyseja« jest zbyt dobrym okrętem, by dać się tym draniom. Wiem to, więc nie próbuj mi wmówić, że się mylę, Eric".

***

Bosman Corrin zaklęła, kopniakiem otworzyła resztki drzwi, po czym chwyciła za kołnierz jednego ze swoich podwładnych, który zbyt szybko ruszył naprzód.

– Odsuń się, tępaku – burknęła. – Uważaj na poszarpane krawędzie. Jak przetniesz sobie skafander, trafisz w foliowym worku do chłodni.

W maszynowni panował chaos. Wielki otwór ziejący w otwartą przestrzeń tylko pogarszał sytuację, ale tym razem, jak zauważyła bosman, przynajmniej wszyscy byli w kombinezonach, gdy poszycie straciło szczelność. Dobrze, może jednak znajdą się ocaleni.

– Po kolei – zaczęła. – Ekipa medyczna, zbadać i zabrać stąd ludzi. Ekipa naprawcza, ta dziura ma być załatana w dziesięć minut albo zasłonię ją waszymi leniwymi dupskami!

Kobiety i mężczyźni zaczęli krzątać się po pokładzie, niektórzy sprawdzali uszkodzenia sprzętu, inni usuwali ciała. Bosman skinęła na mechaników i inżynierów.

– Bierzcie się do roboty, zajmiemy się resztą.

– Jasne, bosman Corrin.

Nie dało się zaprzeczyć, że pokład był w rozsypce, ale musieli go zabezpieczyć i przywrócić do stanu gotowości w dziesięć minut. Jedyny problem stanowiły wewnętrzne uszkodzenia sprzętu, ale to już nie należało do kompetencji bosman Corrin. Tym mieli zająć się inżynierowie.

***

– Meldunek: działa tranzycyjne mają już tylko połowę zapasu amunicji.

Eric skrzywił się. Nie mógł znieść myśli, że marnuje bezcenną amunicję tutaj, zamiast strzelać w obronie Ziemi. Nie miał jednak wyjścia. „Odyseja” zostanie zniszczona, jeśli nie wykończy się krążowników, które się do niej podkradły.

– Liczba wrogich okrętów?

– Odbieram sygnał jeszcze trzech, sir.

Eric zastanawiał się chwilę, czy nie odwrócić się i nie ruszyć do walki z użyciem bardziej konwencjonalnej broni, ale szybko uznał, że to by była niepotrzebna brawura.

– Rozwalić je.

– Tak jest, sir. Otwieram ogień.

– Bosman Corrin do pana, kapitanie.

Eric zerknął na wykresy, po czym podszedł do swojego stanowiska.

– Powiedz, że masz dla mnie dobre wieści.

– Pokład będzie zabezpieczony w pięć minut, sir. Właśnie uszczelniamy wyrwę pianką – zameldowała twarda bosman. – Ale inżynier właśnie mi powiedział, że oberwaliśmy paskudnie, bo napęd tranzycyjny szlag trafił, sir. Nie zrobimy żadnego skoku.

Eric zacisnął pięści, aż pobielały mu kłykcie, ale zmusił się do opanowania.

– W porządku, i tak nigdzie się nie wybieramy.

– Tak jest, kapitanie.

– Dobra robota, bosman Corrin.

– Dziękuję, sir.

Rozłączył się i przyjrzał wykresom danych telemetrii, pozwalając umysłowi na chwilę odpłynąć.

– Ostatni krążownik unieszkodliwiony, kapitanie – zameldował Waters.

– Doskonale. – Weston wrócił do rzeczywistości. – Zróbmy zwrot i użyjmy broni bliskiego zasięgu przeciwko myśliwcom. Niech znikną z mojego nieba.

– Tak jest, sir.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Enterprise”

– „Odyseja” została trafiona, sir.

Carrow zacisnął usta, ale skinął głową i spojrzał na dane telemetryczne odbicia drugiego okrętu Konfederacji. „Odyseja” ściągnęła na siebie uwagę wroga, pozostawiając „Enterprise” wykonanie pilniejszej misji. Okręt nie posiadał już ani jednego

pocisku do dział tranzycyjnych i zasadniczo kapitan Carrow nie miał pojęcia, co teraz począć.

Wiadomości z „Odysei” docierały z prawie minutowym opóźnieniem, niewiele więc można było jej pomóc. „Enterprise” miał też własne problemy.

– Przygotować vorpale załadowane jak na niedźwiedzie – rzucił Carrow. – Na grizzly.

– Tak jest, sir. Ciężko uzbrojone myśliwce są już na pokładzie startowym.

– Niech startują i pokażą brak mojej sympatii dla krążowników wroga.

– Tak jest, kapitanie.

Formacja ciężkich myśliwców mogła bez problemu walczyć z kilkoma krążownikami Drasinów, które uznały, że „Enterprise” wart jest ich uwagi. Kapitan Carrow zastanawiał się, czy powinien być urażony, czy odczuwać ulgę.

„Ulgę, jak sądzę” – pomyślał. Zapewne „Enterprise” nie zirytował dronów do tego stopnia, co „Odyseja”, więc nie został uznany za cel priorytetowy. Carrow przełknął to, chociaż ucierpiała nieco jego duma.

– Wiadomość do „Odysei” – rozkazał. – Zapytać, czy potrzebują naszej pomocy.

– Już wysyłam, sir.

Nie uda się dotrzeć na tyle szybko, żeby pomoc cokolwiek zmieniła, ale może „Odyseja” potrzebowała czegoś, co „Enterprise” zdołałby dostarczyć. Wszystko było możliwe.

– Wroga flota jest pięć godzin lotu od Ziemi, sir.

Carrow skinął głową, ale nic więcej nie było do powiedzenia. „Enterprise” nie miał amunicji, napęd tranzycyjny nie mógł się w tej sytuacji do niczego przydać, a wroga flota posiadała nieprzeliczoną przewagę.

Nawet gdyby „Enterprise” zdołał się zbliżyć, wróg nadal dysponował setkami okrętów, a to było więcej niż „Odyseja” i „Wielki E” razem zdołałyby pokonać.

Atak w obecnej sytuacji tylko by doprowadził do śmierci załogi i nie uratował nikogo na planecie.

Carrow poczuł lodowaty ciężar w brzuchu. Najgorsza była świadomość, że ten ciężar będzie tylko coraz większy…

Przestrzeń międzyplanetarna
W pobliżu „Odysei”

Szulerka zaklęła, robiąc kolejny unik w lewo przed nieprzyjacielskim laserem. Zakłócenia już nie wpływały aż tak bardzo na komunikację i mogła wywołać „Odyseję”, ale problemem było dotarcie na okręt. Ponieważ Archanioł stracił silniki manewrowe na lewym skrzydle, Szulerka mogła korzystać tylko z tych na prawym i skręcać wyłącznie w lewo, w lewo i w lewo.

Jak dotąd więcej czasu poświęciła na latanie w kółko i unikanie ostrzału wroga niż na powrót.

Gdzieś z tyłu leciał Stephanos. Wiedziała o tym, ponieważ czasem jego głos przedzierał się przez zakłócenia, ale przede wszystkim dlatego, że jego IFF wciąż nie zamilkł. Szulerka modliła się, żeby dowódcy nic się nie stało podczas wypadu, który ocalił jej tyłek.

Takie rozmyślania musiały jednak zaczekać, ponieważ sygnał ostrzegawczy myśliwca Jennifer nie chciał się uciszyć, miała też świadomość, że ignorowanie go nie prowadzi do niczego dobrego.

– Tu Archanioł Trzy, zgłaszam alarm – zaczęła nadawać, starając się, aby jej głos brzmiał w miarę spokojnie. – Straciłam silniki lewego skrzydła, będzie mi potrzebna platforma do awaryjnego lądowania. „Odyseja”, odbiór?

Na kanale panował tylko statyczny szum. Jennifer niemal już straciła panowanie nad sobą i miała ochotę modlić się o cud. Szkolenie wzięło jednak górę, więc spokojnie powtórzyła wezwanie i nawet pokonała połowę odległości, gdy alarm zbliżeniowy rozległ się ponownie.

– Zostawcie mnie w spokoju, przeklęte skurwysyny! – wrzasnęła, rozglądając się w poszukiwaniu wroga, którego wykrył system jej myśliwca.

Rozszerzona rzeczywistość HUD-a podświetliła przeciwnika. Szulerka obróciła działko, by odpowiedzieć ogniem, gdy niebo za nią rozbłysło jak fajerwerki w Dzień Niepodległości.

– Co, do…

– Tu kontrola lotów „Odysei” do Archanioł Trzy. Masz czyste podejście do lądowania awaryjnego, pokład drugi. Potwierdź.

Obróciła się i zobaczyła „Odyseję” lecącą prosto na nią. Otwarty pokład startowy witał ją przyjaźnie jak nigdy dotąd, zwłaszcza że Jennifer nie spodziewała się w ogóle już go zobaczyć.

– „Odyseja”, potwierdzam, pokład drugi – westchnęła z ulgą. Wielki okręt zbliżał się do jej myśliwca, jego działka strzelały nieustannie.

***

Na mostku Eric Weston przyglądał się rozbłyskom oznaczającym zniszczenia wśród myśliwców przed dziobem. Trwał nieustanny, szaleńczy ostrzał, byle zniszczyć myśliwce przeciwnika, zanim któryś spróbuje ataku kamikaze. Jak dotąd się udawało.

Miał nadzieję, że tak pozostanie, ale myślami był gdzie indziej.

– Gdy tylko oczyścimy obszar przed nami i Archanioły wrócą na pokład, obieramy kurs na Ziemię.

Daniels skinął głową, ale nie podniósł nawet oczu znad przyrządów.

– Kurs na Ziemię. Tak jest, kapitanie.

To był tylko wstęp. Kurtyna pójdzie w górę i prawdziwe przedstawienie rozpocznie się o kilka minut świetlnych stąd.

Eric wiedział, że ominie go początek , ale nie zamierzał opuścić zakończenia.

ROZDZIAŁ 29

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Drasińska flota w ciągu kilku minut znajdzie się w bezpośredniej odległości, pani admirał.

Gracen kiwnęła głową.

– Przyjęłam. Obrona orbitalna w pogotowiu.

– Wszystkie systemy obronne w gotowości, pani admirał. Sieć obronna jest do pani dyspozycji.

Admirał Gracen podeszła do konsoli ustawionej pośrodku pomieszczenia i przyłożyła dłoń do skanera, żeby przejąć sterowanie.

Ostatnia linia obrony Ziemi była mieszanką starych i nowych systemów, które pomimo politycznych zapewnień nie były nawet w dziesięciu procentach tak zabójcze, jak zakładali ich twórcy. Większość systemu stanowiła skierowana w stronę powierzchni planety różnego rodzaju i kalibru broń kinetyczna i urządzenia szpiegowskie. Przeciwko temu, z czym mieli walczyć, były to systemy równie groźne, co zgnieciona w kulkę kartka papieru.

Jednak niektóre elementy były nowoczesne lub wysoce nielegalne. I jedne, i drugie będą miały okazję dowieść swej wartości. Pociski nuklearne, nielegalne, ale wciąż przechowywane, miały służyć do unicestwiania bunkrów. Zakładano, że w przypadku wojny pozwolą na zniszczenie potężnych fortyfikacji Bloku oraz podziemnych fabryk. Zaś najnowsze wyrzutnie hiperszybkich głowic stanowiły

zagrożenie samym swoim istnieniem, na dodatek miały większą siłę rażenia i były znacznie „czystsze”.

Pozostałą część obrony tworzyły wszelkiego rodzaju pociski rakietowe, automatyczne działa i inne rozmaite zabawki wojskowe, które mogły okazać się skuteczne przeciwko wrogim myśliwcom.

– Aktywować systemy – rozkazała Gracen. – Systemy IFF naszej sieci obronnej mają rozpoznawać sygnatury Bloku oraz każdy inny zapisany przez nas sygnał jako „swój”.

– Potwierdzam – zaintonował komputer żeńskim głosem, który zawsze drażnił Gracen. – Czy chcesz skorzystać z gotowych scenariuszy walki?

– Nie. Walka na żywo. Wprowadź sygnaturę, nazwa kodowa Drasin.

– Wprowadzono.

– Sygnatura Drasin, wartość: wróg.

– Zmieniono wartość.

– Atak.

– Przeprowadzam: atak.

Praktycznie cała sieć obronna była zautomatyzowana. Musiała być, biorąc pod uwagę jej skalę. W przeciwieństwie do broni na okrętach tu nie potrzeba było ani jednego człowieka na każdym etapie działania, nawet do przeładowywania. Między innymi dlatego, że większości systemów nie dało się przeładować. Przeznaczono je do jednego ataku, po którym musiały czekać nieaktywnie, dopóki jakiś wahadłowiec nie podleci i nie uzbroi ponownie satelitów.

Gracen nie zakładała, że ta ostatnia operacja będzie przeprowadzona po zakończeniu nadchodzącego starcia.

– Cele Drasin zidentyfikowane jako wrogie znajdują się w przestrzeni pomiędzy Ziemią a Księżycem. Namierzanie.

Sygnały wroga, dotychczas białe, zapłonęły wściekłą czerwienią, dopóki komputer nie namierzył ich wszystkich i nie zapaliła się zielona lampka, sygnalizująca wykonanie komendy.

– Namierzono.

– Otworzyć ogień – powiedziała Gracen z kamienną twarzą.

– Rozpoczęcie ostrzału przy użyciu wszystkich dostępnych wyrzutni – oznajmił sucho komputer. Na ekranie niebieskie ikonki systemu obrony również zmieniły kolor – na czerwony, oznaczający, że odbezpieczono pociski.

– System wystrzelił głowice nuklearne, admirał Gracen.

Spokojne oświadczenie porucznika siedzącego kilkanaście metrów dalej było dziwnym akcentem w tym najbardziej przełomowym momencie w karierze Gracen. Admirał poczuła wdzięczność za ten przysłowiowy zimny prysznic. Zatwierdziła właśnie użycie broni masowego rażenia w przestrzeni między Ziemią a Księżycem. Stanowiło to naruszenie tylu różnych traktatów, że na samą myśl o papierkowej robocie z tym związanej można się było pochorować.

„W normalnej sytuacji oczywiście. Ach, wszystko ma swoje plusy”.

Na ekranie pociski nuklearne niewzruszenie zmierzały do swoich celów. Po chwili uruchomiły się wyrzutnie głowic szybkobieżnych.

Odległość z orbity Ziemi do Księżyca wynosi około trzystu osiemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów. Głowice jądrowe potrzebowały blisko trzech godzin na przebycie takiego dystansu, ale pociskom szybkobieżnym wystarczało niecałe trzydzieści minut.

Wyprzedziły wolniejsze głowice jądrowe i mknęły przez próżnię, zmierzając do wyznaczonych wrogich celów.

Wszystkie oczy na Ziemi skierowane były teraz w niebo.

Wahadłowiec Konfederacji Północnoamerykańskiej
Około trzysta osiemdziesiąt pięć tysięcy kilometrów od Ziemi

„Cóżem uczynił memu nieszczęsnemu Marsowi?”

Komodor Wolfe bynajmniej nie był w dobrym humorze. Jego myśli nie chciały opuścić bazy Barsoom, więc przez całą podróż na Ziemię pogrążał się w coraz większej depresji i ani trochę nie martwił się o ucieczkę.

Mars był jego ojczyzną przez ostatnie lata, miejscem, które pomógł przeistoczyć ze stanu szałasu na zamarzniętej pustyni w coś, co można z dumą nazwać domem, a teraz… Cóż, z raportów komodor dowie się, co drony zrobiły z jego domem.

I co zamierzały zrobić Ziemi.

– Jasna cholera, co to jest?!

Wolfe podniósł wzrok bez specjalnego zainteresowania i od razu zrozumiał, co wywołało zdziwienie pilota.

– Wojna dotarła na Ziemię, chłopaki. A to są nuklearne fajerwerki. – Głos komodora zabrzmiał lekko apatycznie. – Cóż, admirał Gracen w ten sposób mówi tym draniom: „Witamy serdecznie”.

– Rozumiem, sir. – Mężczyźnie za sterami wyraźnie zadrżał głos. Zerknął na drugiego pilota. – Dostosujmy kurs, żeby nie wejść naszym pociskom w drogę.

– Dobry pomysł.

Wolfe zignorował rozmowę. Sercem i duszą wciąż był daleko od Ziemi. Gdzieś w krainie czerwonych piasków.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

„Przebyć taki kawał drogi w tak krótkim czasie i dać się załatwić przed końcem wyścigu… Jednak coś w tym jest, coś fundamentalnego, w tej perwersyjnej naturze wszechświata”.

Eric patrzył na dane z satelitów lunarnych, przedawnione o około trzydzieści minut. Nic już nie mógł zrobić. Nawet jeśli byłby teraz na orbicie, także nie miałoby to znaczenia.

Mimo to „Odyseja” leciała w stronę pola bitwy. Nikt nie kwestionował tego rozkazu ani z niego nie żartował. Eric czuł się dumny ze swojej załogi, doskonale wiedziała bowiem,

czemu ma stawić czoła i jak minimalne są ich szanse na przeżycie.

Załoga, jak podejrzewał Weston, wciąż jednak wierzyła, że istnieje nadzieja na uratowanie Ziemi.

Nie chciał nikomu tego odbierać.

W końcu nadzieja to potężna siła.

„Enterprise” dołączył do nich, ale trzymał się z tyłu. Oczywiste było, że Carrow nie zamierza angażować się w bezpośrednią walkę i woli skierować się na Księżyc niż w studnię grawitacyjną Ziemi. Eric go za to nie winił, poświęcanie się wraz z okrętem nie miało sensu.

Nic by na tym nie zyskali.

– Kapitanie, wiadomość z pokładu myśliwców. – Podszedł do niego Roberts. – Archanioły zostały naprawione, uzupełniono paliwo i amunicję. Jednak Samuels nie weźmie udziału w kolejnych misjach.

– Jest cała?

– Ona tak, jej łajba wręcz przeciwnie.

Eric skrzywił się lekko. Jennifer używała jego starej maszyny. Ale przynajmniej jej nie straciła. Odesłał Robertsa machnięciem ręki. Gdy oficer odchodził, Eric się jednak rozmyślił.

– Komandorze, proszę wezwać Jennifer do mnie, chcę z nią porozmawiać. Mój gabinet.

– Tak jest. – Roberts był wyraźnie zdziwiony, lecz nie zadawał pytań.

***

Jennifer Samuels nie wiedziała, po co wzywano ją na dywanik i, szczerze powiedziawszy, wolałaby teraz walczyć nawet w uszkodzonym myśliwcu. Stała na baczność przed kajutą dowódcy przez kilka minut. Kapitan wyszedł zza załomu korytarza, otworzył drzwi i gestem zaprosił dziewczynę do środka. Weszła do pokoju wojskowym krokiem, starając się

wyglądać jak idealny oficer, który wcale nie rozbił myśliwca kapitana.

Weston usiadł za biurkiem i uruchomił konsolę wbudowaną w blat. Posłał Szulerce krzywy uśmiech.

– Spokojnie, porucznik Samuels. Proszę usiąść, zanim sobie pani coś złamie.

Jennifer znała tylko jedną odpowiedź na taką propozycję.

– Postoję, sir.

– To rozkaz, proszę usiąść, porucznik Samuels.

„Dooobraaaa" – pomyślała i odruchowo usiadła. Kiedy propozycja zmienia się w rozkaz, nie ma innej odpowiedzi, jak jego wykonanie.

Kapitan coś czytał i nie patrzył na nią, a Jennifer stawała się coraz bardziej nerwowa. W końcu nie wytrzymała i musiała się odezwać:

– Kapitanie?

– Tak? – Spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

„Skubany, czekał, aż się złamię" – pomyślała z oburzeniem. Powinna wytrzymać jeszcze trochę, ale trudno.

– Dlaczego mnie wezwano?

– Dobrze, że pani pyta, porucznik Samuels. O ile wiem, pracuje pani nad pewnym prywatnym projektem – powiedział kapitan.

– Uch, tak, sir. Rozpracowuję neurołącze.

Weston kiwnął głową.

– W takim razie chciałbym, aby pani coś dla mnie zrobiła.

W pobliżu stacji Liberty

– Komodorze, ktoś chce z panem rozmawiać.

– Nie jestem zainteresowany.

– Komodorze, to prezydent.

Wolfe spojrzał na pilota, starając się zrozumieć, co mu właśnie powiedziano. „Dlaczego prezydent miałby się ze mną

kontaktować?”

Był przecież tylko załamanym dowódcą zniszczonej bazy, ale wciąż komodorem, więc gdy dzwonił prezydent… Wolfe westchnął.

– Przełączcie.

– Tak jest, sir.

Pierwsze, co zauważył Wolfe, kiedy prezydent pojawił się na ekranie, były wyraźne oznaki braku snu u głowy państwa. Drugie, co odnotował, to tło. Wolfe wytrzeszczył oczy i po raz pierwszy od opuszczenia Marsa zalała go fala emocji innych niż użalanie się nad sobą.

– Panie prezydencie! Co pan, do cholery, robi w Białym Domu?

Tradycyjne miejsce dla głowy rządu amerykańskiego zostało zaadaptowane do nowych warunków po utworzeniu Konfederacji. Prawdopodobnie była to najlepiej chroniona rezydencja na planecie. Wciąż była to jednak tylko rezydencja, choć publiczna, i przeciwko laserom Drasinów stanowiła równie skuteczną osłonę, jakby ją wykonano z bibułki.

Prezydent uniósł brew na ten wybuch Wolfe’a i tylko patrzył, aż wreszcie komodor uspokoił się i nieco przygarbił.

– Przepraszam, sir – wymamrotał komodor.

– Nie ma sprawy. Wolfe, nie utrzymamy Ziemi i chyba dobrze o tym wiesz.

Wolfe przytaknął.

– Sir, z tego właśnie powodu powinien pan wsiąść do wahadłowca i szybko się ewakuować. „Enterprise” lub „Odyseja” mogą…

– Ewakuujemy już ludzi – przerwał zasiadający w Gabinecie Owalnym mężczyzna. – Ja nie lecę. Przestrzeń to nie miejsce dla mnie. Nie uśmiecha mi się też siedzenie w przeklętym bunkrze, ale chyba będę musiał.

– Sir, czytałem raporty. Pan też je czytał. – Wolfe wiedział, że obaj musieli je przeczytać. – Bunkier to gówno, nie wytrzyma ataku obcych.

Prezydent spojrzał na niego ostro, jednak Wolfe nie zamierzał przepraszać. Nie tym razem.

Po chwili Merryweather machnął ręką.

– Wiem, ale moi ochroniarze – prezydent znacząco spojrzał w bok – nalegają.

Westchnął, po czym znowu pokręcił głową.

– Ludzie, którzy zdołają się stąd wydostać, będą potrzebowali przywódcy. Kogoś, kto ich zainspiruje i poprowadzi dalej. I nie będę to ja.

– Sir, jeśli ma pan na myśli mnie… Nie mogę tego zrobić. – Wolfe'owi robiło się niedobrze na samą myśl. – Jestem tylko biurokratą i tyle. Sam nie mogę się pozbierać po stracie Barsoom.

– Wolfe, nie chodziło mi o pana. – Prezydent spoważniał i popatrzył na komodora ze smutkiem. – Ale musi pan coś dla mnie zrobić, więc proszę słuchać uważnie.

– Oczywiście, panie prezydencie.

Stacja kosmiczna Liberty
Orbita Ziemi

– Kolejnych sześć krążowników zestrzelonych. Wciąż nadciągają następne.

Gracen skinęła głową z kamiennym wyrazem twarzy. Systemy obronne zniszczyły ponad pięćdziesiąt okrętów. Pięćdziesiąt, a na wrogu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Gdyby to Gracen dowodziła taką flotą, wycofałaby się, przegrupowała i przemyślała sytuację. To, co widzieli, to, co się działo, było po prostu NIELUDZKIE. Nie powinno się to zdarzyć, a jednak ponura rzeczywistość była właśnie taka i należało stawić jej czoła.

Pierwsze okręty wroga weszły na wysoką orbitę i zaczęły zestrzeliwać zużyte satelitarne wyrzutnie. Ziemianom było to

na rękę. Po wyrzutniach zostały przecież tylko platformy, a im więcej czasu stracą na nie Drasinowie, tym więcej zyskiwali go Ziemianie.

– Status ewakuacji?

– Wszyscy cywile zostali ewakuowani, ale z personelu wojskowego połowa jeszcze znajduje się na stacji.

Było lepiej, niż się spodziewała. Ewakuacja i tak stanowiła tylko przerwę w koszmarze, bo kto odważyłby się powiedzieć, że na powierzchni planety będzie im lepiej?

– Uruchomić… – zaczęła, ale jej przerwano.

– Stacja Bloku otwiera ogień!

Załoga Liberty miała tylko pośredni widok na stację Bloku, która znajdowała się po drugiej stronie Ziemi, na orbicie geosynchronicznej nad Chinami. Ekrany ukazujące tę część świata rozjarzyły się smugami ognia i energii, gdy Blok rozpoczął ostrzał najbliższych jednostek wroga. Gracen żałowała, że nie ma lepszej koordynacji między obiema stacjami, ale uznała, że tyle wystarczy.

– Uruchomić systemy obronne stacji, wszystkie stanowiska, strzelać bez rozkazu.

Stacja Liberty została zbudowana podczas wyścigu w kosmos z Blokiem. Militarny kolos kosztował miliardy, pod względem kosztów przewyższał nawet wybudowanie „Odysei” lub innych okrętów. Bogu dzięki, że w planach konstrukcyjnych uwzględniono system obronny, który miał służyć do odparcia wroga w przypadku wschodniej agresji.

Wyrzutnie zaterkotały przy wystrzeliwaniu superszybkich pocisków kinetycznych. Lasery cyklicznie pobierały zapasy energetyczne stacji, a punktowe działka obronne śledziły małe cele i czekały, aż te znajdą się w zasięgu.

Przestrzeń wokół Liberty wypełniła się ogniem i chaosem. Drasinowie zbliżali się niewzruszenie. Intensywne światło oślepiło satelity znajdujące się daleko nad równikiem. Gdy wizja powróciła, stacja Bloku właśnie rozpalała się przy wchodzeniu w atmosferę.

– Pancerz adaptacyjny, pełne odbicie!

Na Liberty zamontowano grubszy pancerz, o jakim kapitan „Odysei” mógłby co najwyżej pomarzyć. Gracen jednak wiedziała, że nie był to pancerz na tyle gruby, żeby wytrzymać wystarczająco długo, a wystarczająco długo w obecnej sytuacji i tak znaczyło stanowczo za krótko.

Jeśli obowiązkiem Gracen było zginąć tu i teraz, to trudno.

– Pani admirał! Sygnał od „Odysei”! Szykuje się do ataku!

Gracen odwróciła się i zmarszczyła groźnie brwi.

– Nie! Nie ma żadnych szans! Każ jej się wycofać! Natychmiast! „Odyseja” oraz „Enterprise” mają wycofać się z Układu Słonecznego i przegrupować. Tutaj nic nie zdziałają!

Operator zbladł, ale przesłał rozkazy.

Po chwili odwrócił się do Gracen jeszcze bardziej blady.

– Odpowiedź z „Odysei” to tylko dwa słowa, admirał Gracen – zameldował roztrzęsiony. – „Taka misja”.

– Przeklęty głupiec – wymamrotała Gracen.

Stacja zatrzęsła się, gdy laser trafił w pancerz i wypalił spory kawałek poszycia. Admirał zacisnęła palce na swojej konsoli i bezsilnie patrzyła w ekran.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Eric uniósł brew i spojrzał z zaciekawieniem na swojego zastępcę.

– „Taka misja”?

Roberts, dawny komandos, wzruszył ramionami.

– Wypadało trzymać się tradycji.

– Skoro tak, niech będzie – zachichotał Weston. – Potrzebuję łączności na prywatnym kanale z admirał Gracen.

– Już się robi, kapitanie.

– Admirał Gracen, „Odyseja” nie może już poruszać się w nadświetlnej. Nie wycofamy się – zaczął. – „Odyseja” będzie osłaniać ewakuację. Trzeba wysłać ludzi na „Enterprise” lub okręty Priminae. Zabiorą stąd uchodźców.

Zakończył połączenie. Nagle opadł na niego ciężar zmęczenia.

– Jest pan pewien, sir?

Eric zerknął na Robertsa i skinął głową.

– Tak. Pan też się stąd zabierze z resztą załogi, gdy wydam taki rozkaz. Będzie im potrzebny ktoś, kto dopilnuje, by nie trafili za szybko do piekła.

– Nie może pan sterować okrętem sam, sir.

– Nie mogę tego robić zbyt długo – przyznał Eric. – Ale nie potrzebuję aż tyle czasu, żeby to miało znaczenie.

Roberts zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, sir.

– Nie przejmuj się. Mam po prostu jeszcze jednego asa w rękawie – uśmiechnął się Eric, po czym wstał. – W sumie muszę zobaczyć, jak idą przygotowania do tego przedsięwzięcia.

Roberts patrzył za wychodzącym kapitanem zmieszany, ale nie zamierzał tracić czasu na zagadki. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się dziwactwami Westona.

***

Na Liberty Gracen z wściekłością słuchała krótkiej wiadomości. Nie podobała jej się, ale co mogła teraz zrobić? Postawić go przed sądem wojskowym?

„Panie, niech ten okręt odpłynie”.

– Uwaga, cała załoga, mówi admirał Gracen – zaczęła nadawać na kanale otwartym. – Ewakuować się zgodnie z planem, ale kierować się w przestrzeń międzylunarną, skąd przejmie was „Enterprise” lub któryś z okrętów Priminae. Tam oficerowie dostarczą dalszych instrukcji. Dziękuję i powodzenia. Gracen, bez odbioru.

– Admirał Gracen, wróg zamyka szyki na obwodzie Ziemi.

– O tak – mruknęła z przekąsem. – Drasinowie chyba lubią zbliżyć się do ofiary i własnoręcznie ją zarżnąć, prawda?

Czytała o tym w raportach. Prawie zapomniała o tym sposobie działania wroga, ponieważ „Odyseja” w każdym

starciu z dronami prawie nie dopuszczała do takiej sytuacji. Nie po tym, jak raz na to pozwoliła i została prawie zestrzelona przez nieznany rodzaj broni bliskiego zasięgu. Od tamtej pory Weston stosował walkę na długim dystansie.

„Niestety, Liberty nie może się dowolnie poruszać. Zatem niech drony przylatują”.

– Pani admirał.

Gracen spojrzała przez ramię i musiała mrugnąć kilka razy, by upewnić się, że naprawdę widzi komodora Wolfe’a.

– Komodorze, myślałam, że jest pan na Ziemi.

Wolfe wzruszył ramionami.

– Co mam powiedzieć? Nie mogłem przepuścić zabawy dwa razy z rzędu. Nie po tym, jak oddaliśmy tym draniom Barsoom.

– A teraz i tak nie ma pan wyboru – warknęła Gracen. – Niech pan idzie do hangaru i łapie najbliższy wahadłowiec, który zabierze pana z tej puszki. Będziemy tu mieli niedługo bardzo zły dzień.

– Domyśliłem się – odparł komodor, wpatrując się w ekrany za Gracen. – Gorszego nie można było sobie wyobrazić.

– Mniej więcej.

– Jednak pani zadanie tutaj dobiegło końca – oznajmił spokojnie Wolfe. – Ktoś inny może dokończyć dzieła.

– Moje zadanie się nie skończyło. Zostało jeszcze jedno do zrobienia. – Gracen nie odwróciła się do komodora.

– Cóż. Jest tylko jeden problem. Ignorowała pani wiadomości z samej góry.

– Nie pańska sprawa – odparła. – Tu jest moje miejsce.

– Admirał Gracen, pani miejsce jest tam, gdzie walka. Nie tutaj. Już nie. – Wolfe podszedł bardzo blisko.

Gracen zaczęła się obracać, kiedy usłyszała syk i poczuła coś zimnego na szyi. Zakręciło się jej w głowie, myśli zaczęły odpływać. Zachwiała się i zatoczyła.

Wolfe złapał ją, po czym spojrzał ostro na dwóch wstrząśniętych oficerów, którzy byli świadkami zajścia.

– Na co czekacie? – warknął Wolfe. – Pani admirał potrzebuje pomocy w dotarciu na wahadłowiec.

– Tak jest! – wyprężył się jeden z ludzi i szybko podszedł.

– Chwileczkę. – Wolfe powstrzymał go i zaczął wpisywać zestaw komend na konsoli.

– Przekazanie dowodzenia musi zostać potwierdzone identyfikacją głosową obecnego dowódcy stacji – powiedział komputer.

– Oczywiście, że musi – skomentował Wolfe, po czym wpisał kolejne komendy.

Klawiatura odsunęła się, ukazując czytnik dłoni.

– Procedura zmiany dowodzenia. Proszę potwierdzić tożsamość.

Wolfe przyłożył bezwładną dłoń Gracen do skanera i zaczekał na zakończenie identyfikacji. Następnie wyjął z kieszeni admirał plastikową kartę, złamał ją i wyciągnął znajdujący się w środku kawałek papieru. To samo zrobił ze swoją kartą. Na obu arkusikach spisane były kody bezpieczeństwa, po których wpisaniu komputer autoryzował zmianę dowódcy.

– Przekazano dowodzenie. Witam, komodorze Wolfe.

Wolfe spojrzał ponownie na nieprzytomną admirał.

– Zabierzcie ją na wahadłowiec, a potem na „Enterprise”.

– T-tak jest, sir.

Wolfe rozejrzał się po pomieszczeniu.

– To dotyczy was wszystkich! Ruszać się!

Mężczyźni i kobiety wstali i wyszli po kolei z sali dowodzenia, podczas gdy Wolfe zajął miejsce przed konsolą i sprawdził stan sieci obronnej. Wszystko działało w trybie automatycznym. Większość magazynków została już opróżniona, amunicji nie wystarczy na długo.

„Ta kobieta wie, jak rozkręcić imprezę” – pomyślał Wolfe z melancholią i zarazem podziwem.

Włączył komunikator.

– Tu Liberty do „Odysei”, przygotowujemy się do wysłania ostatnich wahadłowców ewakuacyjnych. Przyda nam się każde wsparcie.

Wiadomość do „Odysei” dotarła po kilku sekundach, po kolejnych wróciła odpowiedź.

– Przyjęte, Liberty. „Odyseja” zajmie pozycję za pięć minut.

– Wytrzymamy, tylko się nie spóźnijcie – odpowiedział Wolfe, po czym spokojnie się rozłączył.

Okręt Konfederacji Północnoamerykańskiej „Odyseja”

Eric wkroczył na mostek. To oczywiście nie było nic niezwykłego. Wszystkich jednak zaskoczyło, że kapitan założył kombinezon.

Nie próżniowy, jaki zwykle zakłada załoga podczas alarmu. Weston miał na sobie przeciwprzeciążeniowy strój pilota Archaniołów.

Podszedł do swojego stanowiska i ostrożnie usiadł. Odwykł już od ubrania, które kiedyś było dla niego jak druga skóra.

– Sir? – pierwszy odezwał się Roberts. – Co pan…?

Eric obdarzył go szczerym uśmiechem.

– Proszę się nie przejmować, komandorze. Już czas.

– Jest pan pewien, sir?

Eric skinął głową.

– Tak. Sygnał do ewakuacji.

Roberts wziął głęboki wdech i odwrócił się do konsoli.

– Uwaga, cała załoga. Zarządzam natychmiastową ewakuację. Proszę udać się do hangaru i zająć miejsca w wahadłowcach. Powtarzam, zarządzam natychmiastową ewakuację. Proszę udać się do hangaru i zająć swoje miejsca w wyznaczonych wahadłowcach.

Wszyscy na mostku popatrzyli na kapitana i pierwszego oficera ze zdumieniem. Eric odpowiedział spokojnym, nieprzeniknionym spojrzeniem.

– To samo dotyczy również was. Walka dobiegła końca.

– Sir, z całym szacunkiem, ale zostaję – odparł Waters. – Ktoś musi zajmować się uzbrojeniem.

– I sterować okrętem – dodał Daniels. – Ja też zostaję.

Eric uśmiechnął się, pozwolił wytłumaczyć się wszystkim na mostku, dlaczego muszą zostać lub jak niektórzy, po prostu odmówić wykonania rozkazu. Potem spoważniał. Uderzył dłonią w podłokietnik.

– Nikt nie zostaje, sam się wszystkim zajmę! – Oparł głowę o zagłówek i wykonał stary, dobrze mu znany gest.

Igła systemu łącza neuronowego wsunęła się w bliznę na jego szyi jak stary dobry przyjaciel, lekkie ukłucie przypomniało kapitanowi o dawnych, lepszych czasach. Poczuł coś w rodzaju zwarcia w karku, gdy igła zaczęła przechwytywać sygnały neuronowe i wysyłać nowe przez interfejs. Okręt zaczął mówić do Erica w skomplikowany, dotychczas nieznany mu sposób. „Odyseja" była większa, bardziej złożona i potężniejsza niż myśliwiec. Weston musiał walczyć, by nie zostać stłamszonym przez własną maszynę. Pierwsze, co zrobił, to zablokowanie wszystkich stanowisk na mostku poza telemetrią.

– Ja tu dowodzę i ja sprawuję kontrolę – oznajmił z powagą. – Wydałem rozkazy.

– Sir… – Roberts zawahał się. – Kapitanie, nie może pan prowadzić okrętu sam.

– Jak już panu mówiłem, zbyt długo nie mogę – zgodził się Eric. – Ale naprawdę nie potrzebuję aż tyle czasu. A teraz wynoście się stąd, póki jeszcze możecie. Bitwa dobiegnie końca, ale wojna będzie trwać. Musicie przeżyć, żeby walczyć dalej. Ruszać się!

Nikt nie zareagował.

– Powiedziałem: RUSZAĆ! – kapitan wrzasnął tak głośno, że przeraził niektórych oficerów.

Jeden za drugim, kolejni członkowie obsady mostka zaczęli wychodzić. Roberts, który szedł jako ostatni, zatrzymał się w drzwiach i posłał kapitanowi przeciągłe spojrzenie, zanim podążył za resztą. Eric został sam.

„Jakże stosownie. Kiedy po raz pierwszy stanąłem na pokładzie tego okrętu, też nosiłem ten kombinezon".

Stosownie i bez wątpienia trochę zabawnie.

Eric uśmiechnął się szeroko i włączył silniki, wstrzymując się jednak z manewrami. Czekał, aż wahadłowce opuszczą okręt.

„To będzie niezła jazda, maleńka” – pomyślał pieszczotliwie do okrętu wokół siebie. „Założę się, że będziemy się bawić tak dobrze, jak kiedyś. Jeszcze tylko ta jedna akcja”.

ROZDZIAŁ 30

Błękitno-zielona planeta, objęta przez szkarłatną zarazę, miała systemy obronne zakrawające na żart.

Początkowy atak kosztował armadę kilkadziesiąt okrętów, a liczba wzrosła jeszcze podczas bitwy. W starciu na bliskich odległościach fala pocisków kinetycznych przypomniała umysłowi, że nawet najprostsza broń może być śmiertelnie niebezpieczna w odpowiednich warunkach.

Głęboko w przestrzeni, gdzie nie ma żadnego źródła grawitacji, tego typu broń jest bezużyteczna. Zakrzywienie czasoprzestrzenne bardzo łatwo odpychało rozpędzone pociski. Jednak tutaj, w studni grawitacyjnej gwiazdy i planety, zasady się zmieniały.

Pędzące metalowe odłamki mogły przebić pancerz i uszkodzić urządzenia wewnątrz okrętu, uczynić go niezdolnym do kontynuowania misji. W połączeniu z cięższymi pociskami miażdżącymi pancerz i wybuchającymi z opóźnieniem oraz laserami, topiącymi oporne poszycie, stanowiły zagrożenie dla każdej jednostki Drasinów. Trafiony, uszkodzony okręt, którego wnętrze zostało rozbite i zamienione w ruinę bez możliwości naprawy, można było tylko porzucić. O tak, rój działał w naprawdę trudnych warunkach.

Jednak nie spowolniło to Drasinów. Umysł wiedział, że to tylko jedna walka i musi zostać wygrana, niezależnie od strat. Godził się z tym i akceptował. Nie miał wyboru, jeśli chciał pozbyć się szkarłatnej pręgi wplecionej w ten świat. Są zadania, które należy wykonać bez względu na wszystko.

Ocalałe statki kierowały lasery we wszystko, co śmiało w nie wycelować.

Po zniszczeniu małych satelitów i innego rodzaju źródeł ognia okręty skupiły uwagę na głównym zagrożeniu, które dało o sobie znać.

Na wysokiej orbicie błękitno-zielonej planety wznosiła się szkarłatna wieża.

Ostatni bastion. Po jego upadku nadejdzie pora, żeby ten świat znikł z oblicza wszechświata.

***

– Wystrzelić wahadłowce – krzyczał Wolfe przez komunikator. – Wróg złamał drugi obwód, obrona stacji nie powstrzyma go dłużej!

Światła migotały wokół niego, zielone, niektóre żółte, jednak większość wściekle czerwona.

Lecz te wskazujące na jednostki z hangaru powoli zmieniały się z czerwonych w zielone, gdy kolejne wahadłowce opuszczały stację. Wolfe obserwował ich ucieczkę, kierując wszystkie lasery na ich kurs, aby torowały drogę. Musiały odlecieć w pobliże orbity Księżyca, aby je przejął któryś z okrętów. Komodor zamierzał zyskać dla nich jak najwięcej czasu i miejsca. Liberty była teraz stacją widmo, pustą i cichą, lecz wciąż groźną. Stało przed nią jeszcze jedno zadanie, zanim odejdzie z tego świata.

Wolfe uśmiechnął się szeroko, gniewnie szczerząc zęby.

– Chodźcie, gnojki! Ruszajcie na mnie, zostawcie małe jednostki, nic wam po nich…

Niektóre z wrogich myśliwców nie podzielały zdania komodora, zawracały w pościgu za wahadłowcami. Wolfe skierował prawie całą obronę stacji właśnie na nie. Było ich jednak za wiele i niedobitki dosięgły niektórych wahadłowców. Te, które leciały za zniszczonymi jednostkami, nawet nie miały czasu zwolnić, lecz przecinały kule eksplozji.

Potężne kondensatory stacji buczały i klikały, ładując się i uwalniając energię. Jednym takim cyklem można by zasilić całe miasto. Przestrzeń wokół stacji płonęła, a komodor Wolfe znajdował się w samym centrum tej pożogi i uśmiechał się niemal jak szaleniec.

Uznał, że ostatni bastion ma w sobie nieodparte militarne piękno.

Wolfe potrafiłby wyobrazić sobie lepszą śmierć, ale przyjąłby bez wahania każdą, gdyby zrobiło to jakąś różnicę w skuteczności zwalczania wroga.

„Każdy wahadłowiec, który zdoła uciec, jest bezcenny” – pomyślał w desperacji, gdy dostrzegł, jak kolejny krążownik rzuca się w pościg za małymi promami.

– Nie! Zostaw ich! Tu jestem, kutasie! – krzyknął. Skierował ogień na krążownik, ale został zignorowany. Myśliwce wroga przyjęły na siebie trafienia laserowej wiązki.

Wolfe nie pozwolił sobie na zamknięcie oczu, patrzył, jak okręt ustawia się do strzału. Chyba nigdy w życiu nie poczuł takiej radości, jak wtedy, gdy krążownik zmienił się w kulę plazmy.

– Wahadłowce z Liberty, opuścić pole walki – nadał Eric na kanale ogólnym. – „Odyseja” będzie was osłaniać.

– Wreszcie dotarłeś! Dłużej nie mogłeś? – Wolfe przywitał Westona niezbyt uprzejmie, ale radośnie. – Mimo wszystko dobrze cię widzieć.

***

Eric pocił się w kombinezonie. Musiał się naprawdę natrudzić, by kontrolować „Odyseję”. Nie chodziło o ogromne rozmiary okrętu – „Odyseja” była prawie w pełni zautomatyzowana, ale nie dało się nią sterować tylko ręcznie. Problem tkwił w interfejsie neurołącza, którego używał Weston. Korzystał z przestarzałej wersji, nastawionej na szybkie poruszanie się, a używał go do inicjowania manewrów.

„Szkoda, że nie miałem czasu poćwiczyć”.

Głos Wolfe’a na kanale łączności trochę go zaskoczył. Eric spodziewał się, że na stacji zastanie Gracen, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tą zmianą.

Rozkręcił moc systemów obronnych i rozgonił tuzin wrogich myśliwców, które rysowały burty okrętu laserami. Powietrze pewnie już uciekło z uszkodzonych sekcji, a Eric dawno temu wyłączył alarmy.

Nie miało znaczenia, czy „Odyseja” zachowa szczelność i powietrze, i tak nie pozostał nikt, kto by nim oddychał.

Eric wykonał zwrot, korzystając z pełnej mocy generatorów MP, by ruszyć okręt, i przejechał laserami po sześciu krążownikach, które na swoje nieszczęście poruszały się w ciasnej formacji. Nie zniszczył ich, ale tony materiału uleciały w przestrzeń, odkrywając wnętrze, w którym kryło się coś ważnego, nad czym Eric nie miał czasu się zastanawiać.

Wahadłowce prześlizgnęły się pod „Odyseją” i ruszyły z pełną mocą w stronę okrętów Priminae i „Enterprise”.

Eric nie wiedział, dokąd polecą ocaleni. Ani trochę im nie zazdrościł. Może Ziemia jeszcze przez jakiś czas utrzyma obronę na powierzchni, ale jeśli nie otrzyma pomocy ze strony Priminae, nie będzie to miało znaczenia.

„W każdym razie to już nie będzie mój problem”.

Z rozmyślań wyrwał go sygnał alarmowy. Eric zaklął, kiedy dostrzegł krążowniki, które wcześniej przeoczył.

Wróg zbliżał się od sterburty, tej, która już mocno oberwała. Weston nie wiedział, ile jeszcze „Odyseja” wytrzyma.

Ponownie uruchomił silniki manewrowe, zmuszając okręt do zwrotu, po czym skierował główne działa na wroga. Zbyt wolno.

Pierwszy strzał przyjął w hangar. Erica to nie wzruszyło – i tak nikt tam więcej nie wyląduje. Kolejny promień trafił wyżej, co budziło większy niepokój.

Drasiński krążownik eksplodował.

Eric dokończył zwrot i wystrzelił w pozostałych przeciwników, po czym rozejrzał się, żeby sprawdzić, kto go ocalił. I wtedy ponownie zaklął.

– Kazałem wam się ewakuować z „Enterprise”! – krzyknął przez kanał taktyczny, do którego był podłączony.

– No cóż, nie ma za co i pierdol się, szefie – odparł podejrzanie radośnie Stephanos.

– Nie chcę was tutaj – zgrzytnął zębami Weston. – To moja walka.

– Nie bądź samolubny, szefie, tyle tu chwały, że i dla nas wystarczy.

– Nie ma tu nic takiego jak chwała, głupcze! – wrzasnął Eric, ledwie zwracając uwagę na to, że „Odyseja” ostrzeliwuje Drasinów automatycznie ze złością prawie taką samą jak ta, którą odczuwał jej kapitan. – Kto niby ma zapamiętać tę bitwę?!

W eterze zawisły słowa, których żaden człowiek nie chciałby usłyszeć.

Kiedy opadnie pył, prawdopodobnie nie zostanie nikt, kto mógłby spisać historię.

– Nigdzie nie odlecę, szefie – stwierdził z uporem Steph. – Ciesz się, że jest nas tylko czwórka. Przynajmniej Szulerka się wywinie.

Eric prychnął.

– Dobra. Do szyku.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział wesoło Steph. – Słyszeliście, chłopaki! Do szyku z Aniołem Jeden. Kapitanie, jesteś Anioł Jeden.

– Zrozumiano – odpowiedział oschle Eric. – Jestem Anioł Jeden.

Cztery Archanioły utworzyły formację strzały, ustawiając się na flankach „Odysei”, okrętu Konfederacji Północnoamerykańskiej, którego kapitanem był Eric Weston. Mała grupka siała zniszczenie w szeregach wroga, osłaniając uciekające wahadłowce i miotając w przeciwnika wszystkim, co zostało z uzbrojenia ich maszyn. Dla Drasinów szybko stało się jasne, że nie można ich dłużej ignorować.

Dzięki obstawie Archaniołów Eric mógł skupić się tylko na ostrzale wrogich krążowników. Na granicy jego pola widzenia wybuchła wielka jednostka, a pobliskie myśliwce spłonęły jak zapałki. Ale wciąż nadciągały nowe. Wciąż było ich za dużo.

W walce na małym dystansie, jaką teraz prowadzili, śmierć była tylko kwestią czasu. Nie mogli sobie pozwolić na wymyślne manewry, nie mogli wycofać się i ukryć, by potem wrócić i

zaatakować znienacka. „Odyseja” zmieniła się w zwykłą tarczę. Eric świadomie prowadził okręt w rejony, gdzie właściwie będzie bezbronny. Miał nadzieję, że „Odyseja” mu to wybaczy.

Był to jedyny sposób, żeby odciągnąć wroga i ocalić jak najwięcej ludzi w wahadłowcach. Eric nie miał lepszego pomysłu i liczył, że ten podstęp wystarczy.

Kolejny strzał trafił w dziób okrętu i zniszczył główny laser oraz większość wyrzutni pocisków szybkobieżnych. Erica ochroniła przed śmiercią jedynie grubość pancerza, słyszał jednak uciekające z okrętu powietrze, więc zamknął przyłbicę i przełączył się na tlen ze skafandra.

– Dowódca do Archaniołów. Tracę atmosferę i możliwości manewrowe. Za dużo spalonych obwodów – oznajmił spokojnie. – To był zaszczyt poprowadzić ten ostatni raz. Z Bogiem.

– Szlag, Eric, zabieraj się stamtąd – warknął Steph. – Masz tlen w kombinezonie! Złapiemy cię i zabierzemy!

– Nie, jestem już umówiony na inne spotkanie – odpowiedział Eric. – Bez odbioru.

Wyciszył wszystkie kanały i przekierował całą moc do systemów MP. Stracił silniki manewrowe, które przydawały się przy małych prędkościach, ale wciąż działał główny napęd i płaty lotek.

„Odyseja” zadrżała i ruszyła z gwałtownym przyspieszeniem na pełnej mocy silników i generatorów MP.

Eric skierował się na kilka krążowników goniących w ciasnej formacji za wahadłowcami. Sterował na oko. „Odyseja” poruszała się z niebezpieczną prędkością, pomimo utraty sporej masy w walce. Okręt pokonał dystans niesamowicie szybko i nie zwolnił, gdy wszedł na kurs zbliżeniowy z drasińskim krążownikiem.

Siła zderzenia wbiła „Odyseję” głęboko we wrogi okręt, popchnęła go na kolejny, i kolejny… W rezultacie cztery jednostki zbiły się w rząd jak ryby na ościeniu szalonego rybaka.

Eric uśmiechnął się i zamknął oczy, gdy przednie kamery „Odysei” spaliły się po wejściu w ziemską atmosferę.

Wszystko stanęło w ogniu.

***

– Eric, do cholery! – Steph nie mógł oderwać oczu od płonącej w atmosferze „Odysei”. – To nie musiało się tak skończyć…

– Co robimy, szefie? – spytał Rycerz, wstrząśnięty tym, co się stało.

– Walczymy tu i teraz – odpowiedział Steph – albo uciekamy i walczymy później.

Palnik zawahał się, zanim odpowiedział:

– Żyjmy, aby walczyć kolejny dzień, szefie.

Stephanos zacisnął zęby, żeby nie zakląć, po czym skinął głową.

– Dobrze. Dołączamy do wahadłowców.

Archanioły uformowały szyk i skierowały się w głęboką przestrzeń.

– Lepiej, żeby nikt z nas nie wrócił z nabojami w magazynkach. Zrozumiano?

– Tak jest, szefie!

***

Komodor Wolfe patrzył, jak „Odyseja” znika za błękitno-białym horyzontem. Uśmiechnął się smutno.

– Żegnaj, przyjacielu.

Drasinowie w końcu zwrócili uwagę na stację i Wolfe wiedział, że niedługo dołączy do Westona po drugiej stronie, ale to mu akurat odpowiadało. Był gotów na śmierć.

Pierwszy obwód obronny został przełamany i lasery wroga zaczęły już siec Liberty na kawałki. Przerwanie kolejnego obwodu obronnego uruchomiło więcej alarmów, ale komodor je ignorował.

Nie miał już broni, została zniszczona przez wroga, zmieniona w papkę gorącego metalu, chłodzącą się w kosmicznej próżni.

Większość broni.

Jedna została. Broń, którą admirał Gracen trzymała na czarną godzinę.

Kiedy trzeci obwód obrony został złamany i Wolfe zaczął czuć się nieswojo, zrozumiał, że wróg jest na tyle blisko, by użyć tej ostatniej ocalałej broni.

– Co mogę powiedzieć? – rzucił na otwartym kanale, wciąż z uśmiechem. – To pułapka.

Trzy sekundy później pola masy przeciwnej zostały odwrócone i Wolfe'a wgniotło w pokład z siłą, która połamała mu wszystkie kości. Umarł, zanim zdążył zobaczyć, co się stało.

Powoli stacja zaczęła się zapadać. Wciągane przez silne pole grawitacyjne okręty Drasinów podjęły rozpaczliwą próbę ucieczki.

Nic z tego nie widział, ale uśmiech na jego martwej już twarzy trwał do samego końca, do chwili, gdy stacja Liberty, osiem krążowników i niezliczone myśliwce zostały zassane do osobliwości.

Osobliwość była stabilna tylko przez ułamek sekundy, po czym eksplodowała i uwolniła wszystko, co wcześniej wciągnęła. W rezultacie kolejny tuzin krążowników został wytrącony z kursu i zniszczony.

Jednak gdy wszystko się uspokoiło, na orbicie Ziemi zostały tylko okręty Drasinów.

Na powierzchnię planety zaczęły jeden po drugim opadać lądowniki obcych.

EPILOG

Amanda Gracen nie czuła się ani trochę szczęśliwa.

Całą podróż z Układu Słonecznego na Ranquil spędziła w ponurym milczeniu i w towarzystwie wyłącznie adiutantów. Nie była gotowa na to, co miała zrobić, nie nastawiała się na takie zakończenie. Powinna zginąć na Liberty, całymi dniami przyzwyczajała się do tej myśli.

A teraz znajdowała się na orbicie obcego świata, na obcym okręcie, i nie wiedziała nawet, czy Ziemia jeszcze istnieje.

– Admirał Gracen?

– Słucham – odpowiedziała obojętnie najmłodszemu ze swoich podoficerów, który zapewne wyciągnął najkrótszą słomkę, więc na niego padło, żeby porozmawiać z szefową.

– Ambasador LaFontaine i admirał Tanner chcą się z panią widzieć.

Gracen wzięła głęboki wdech, wstała i wygładziła ubranie.

– Dobrze, spotkam się z nimi.

Młody oficer wyglądał na szczęśliwego, że jego admirał w końcu z kimś się dobrowolnie zobaczy, jak zauważyła Gracen.

Ambasador i admirał sojuszniczej floty? Och tak, wiedziała, kim jest Tanner.

Nie miała wyboru, musiała się z nimi spotkać.

Dwie osoby weszły do kajuty przydzielonej admirał na pokładzie „Posdana”. Gracen postanowiła nie zostawać na „Enterprise” z różnych przyczyn, głównie osobistych. Tutaj nikt jej nie przeszkadzał, a właśnie spokoju pragnęła najbardziej.

Jednak teraz i ta kryjówka okazała się niewystarczająca.

Gracen nieświadomie się wyprostowała.

„Chyba nadszedł czas, aby znowu być admirałem”.

– Admirał Gracen – przywitała się LaFontaine. – Proszę poznać admirała floty Priminae, Raela Tannera.

– Admirale Tanner. – Wymienili uścisk dłoni, po czym Gracen skinęła głową LaFontaine. – Pani ambasador, co was do mnie sprowadza?

– Planowaliśmy odłożyć to spotkanie, ale admirał Tanner nalegał, by doszło do niego jak najszybciej.

Gracen przeniosła wzrok na niskiego mężczyznę.

– Ach tak?

– Zostałem upoważniony do przedyskutowania… pogłębienia sojuszu – wyjaśnił cicho Tanner. – Chcielibyśmy uzyskać dostęp do terrańskiej technologii, admirał Gracen.

Gracen prychnęła. Oczywiście, że chcieli. Który świat by nie chciał?

– Nawet z naszą technologią nie zdążycie zbudować dość okrętów, żeby miało to znaczenie – westchnęła. – Ledwo radzicie sobie z grupami zwiadowczymi Drasinów. A to, co stało się na Ziemi…

Przełknęła ślinę i spuściła wzrok.

– Widziałem nagrania – odpowiedział spokojnie Tanner. – W tym również utratę „Odysei”. Na Ranquil postanowiono przez tydzień obchodzić po niej żałobę.

– Dziękuję. Jednak problem pozostaje.

– Myślę, że trzeba panią przekonać, admirał Gracen. – Tanner wskazał drzwi. – Zechce pani pójść ze mną?

Gracen zawahała się, zaraz jednak uznała, że nie ma już nic do stracenia. Zapewne da Priminae to, o co prosili. Nie chciała tylko rzucać wszystkiego w tę samą otchłań, która pochłonęła Ziemię.

***

Kapitana Erica Westona ogarnęło znajome uczucie, jedno z tych, których nie zaznał od bardzo dawna.

To dziwne, ponieważ miał wrażenie, że powinien być martwy, a śmierci przecież jeszcze nie poznał. W najgorszym razie właśnie palił się żywcem, czego też przecież nie znał,

zatem wszystko, co zdawało się znajome, oznaczało lepsze rozwiązanie.

Nie czuł żadnego bólu, co na pewno było niemożliwe.

„Wbiłem swój okręt w grupę drasińskich krążowników, a potem wraz z nimi spadłem na Ziemię, prawda?”

– Tak.

Otworzył gwałtownie oczy. Znajdował się na zniszczonym mostku „Odysei”, ale nic nie wyglądało normalnie. Jakby wokół panowała szarość i tylko Eric pozostał w kolorze.

No, nie tylko on, lecz jeszcze ktoś.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się tępo w kobietę.

– Co się stało? Kim jesteś?

– Stało się to – odparła z uśmiechem – że twoja wojna jeszcze się nie skończyła, kapitanie.

„To sen. To musi być sen. Może przetrwałem katastrofę? To możliwe, generatory MP wciąż działały…”

– Zgadza się, działały – przyznała nieznajoma. – Nie ma to jednak znaczenia. Potrafię być bardzo uparta, kiedy mi zależy, a zależy mi, żeby przeżyć, więc postanowiłam, że mnie uratujesz.

– Co takiego? Kim jesteś? – wyjąkał Weston. I wtedy do niego dotarło. – Jesteś jak Centrala.

– Mam wiele imion, kapitanie Weston. Nawet więcej niż ty – zaśmiała się cicho kobieta. Zaraz jednak wyraz jej twarzy zmienił się, stwardniał w gniewie. Śmiech zmienił się w złowieszczy, gdy pochyliła się do Erica i wyciągnęła dłoń. – Weź mnie za rękę, kapitanie, a razem pokażemy tym najeźdźcom, że nigdy nie powinni byli denerwować kochającej matki, obudzą w niej bowiem mściwą sukę. Nasz wróg pozna mnie tylko jako grozę, lecz ty, kapitanie… Ty możesz nazywać mnie Gaja.

***

Gracen zamarła. Nie wierzyła własnym oczom.

– To niemożliwe.

Wszystkie ekrany na mostku wielkiego okrętu pokazywały czerwoną, wijącą się plazmę centralnej gwiazdy systemu. I z każdej strony admirał widziała tylko to – plazmę. A to po prostu było niemożliwe… Nie mogli znajdować się wewnątrz gwiazdy.

Dostrzegła co prawda miejsce, gdzie nie wirowała gwiezdna plazma, lecz miało to jeszcze mniej sensu niż to, że okręt, na którego pokładzie stała, wciąż istniał. Znajdował się na orbicie planety. A planeta też wyglądała bezsensownie, ponieważ były tutaj błękitnozielone oceany, białe chmury oraz coś, co wyglądało na archipelagi tropikalnych wysepek.

To nie mogło się dziać naprawdę. Jej umysł nie chciał przyjąć do wiadomości istnienia takiej planety. Nie, kiedy nad horyzontem i wszędzie wokół wiła się PLAZMA GWIAZDY.

– Zapewniam, że to rzeczywistość – spokojnie zapewnił Tanner. – Ranquil nie jest naszą rodzimą planetą, a ta gwiazda nie zawsze była czerwonym olbrzymem. Kiedyś nasza gwiazda przypominała waszą, jednak w skali kosmicznej bardzo szybko zaczęła przechodzić przemianę. Na szczęście dla nas, trochę jednak to trwało, więc zdążyliśmy się przygotować. Oto rezultat.

Wskazał na ekran, a zza planety wynurzyła się masywna, skomplikowana konstrukcja, zapewne krążąca po orbicie.

– Witamy w Kuźni, admirał Gracen. Jak pani widzi, jesteśmy przygotowani na budowę licznej floty do obrony naszych planet. Pani ludzie umierali, ale może dzięki nim zyskaliśmy czas. I bardzo mi z tego powodu przykro… Ale możecie pomóc nam choćby ich pomścić. Albo zrobić jeszcze więcej. Potrzebujemy waszej technologii.

Tanner wziął głęboki oddech.

– W duchu prawdziwego przymierza zbudujemy okręty także dla was. Otrzymacie pierwszy, który powstanie przy wykorzystaniu technologii obu naszych ludów. I chyba… chyba możemy nazwać go „Odyseja”?

Gracen zmusiła się do opanowania. Oto nadarzała się okazja, aby znów mogła dowodzić flotą, chociaż ta część osobowości Amandy Gracen, która czyniła ją admirałem, została niemal całkowicie pogrzebana pod traumą, jaką przeżyła.

Wyprostowała się, choć jej wzrok wciąż wracał do niemożliwych obrazów na ekranach, ukazujących plazmę, planetę i obcą stocznię.

Próbowała zrozumieć dziwaczność sceny.

– Nie, admirale Tanner – powiedziała pomimo suchości, jaką czuła w ustach. – To nie jest dobra nazwa. Ja… My nie potrzebujemy podróży ku przeznaczeniu. Już nie. Potrzebujemy walecznego króla.

Spojrzała na planetę i przypomniała sobie zniszczenia, jakie widziała, zanim została zabrana z Układu Słonecznego. I pomyślała, że może jeszcze jest nadzieja.

– Nazwiemy go… „Odyseusz”.

O AUTORZE

Evan Currie to poczytny autor serii Odyssey One, Warrior's Wings i wielu innych utworów. Chociaż jego studia dotyczyły komputerów i przez ostatnią dekadę pracował w zakładzie przetwórstwa rybnego, pisanie zawsze stanowiło jego pasję. Currie sam o tym mówi: „Piszę dla przyjemności i dla relaksu. Nie potrafię sobie wyobrazić, co może być lepszego od wymyślania opowieści".

Spis treści

Okładka
Strona tutułowa
Strona redakcyjna
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22

Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Epilog
O autorze